



Aleksandra Tyl

ANIELSKA
ZIMA

prozanni

Aleksandra Tyl

ANIELSKA
ZIMA



Rozdział 1



Telewizor grał za głośno, ale Janina postanowiła nie zwracać na to uwagi. Odkąd Kazimierz, pracując w polu, uległ wypadkowi, i jego prawa ręka oraz prawa noga wciąż były niesprawne, Janina zaciskała zęby, godząc się na wszelkie uciążliwości dla świętego spokoju. Obchodziła się z mężem jak z jajkiem, byle tylko nie zrzędził i nie utyskiwał na swój los.

Zauważyła, że w ostatnich miesiącach mocno posunął się w latach i zdziaiał. Nie chciało mu się nawet ubierać, całe dnie spędzał w piżamie, przed telewizorem. I domagał się uwagi oraz czułości.

Janina była wyrozumiała. Wiedziała, że małżonek nie jest leniem, a tylko sytuacja, w której się znalazł, powoduje marazm i frustrację. Lubił pracować. Gospodarstwo, którym wspólnie zarządzali, było jego dumą. Teraz czuł się wykluczony, ponieważ nawet wiadra nie mógł przenieść, o innych czynnościach nie wspominając.

To z pozoru nie był groźny wypadek. Ot, podczas zbierania ziemniaków traktor stanął w polu i nie chciał ruszyć. Podenerwowany Kazimierz zbyt szybko chciał wysiąść z kabiny, żeby sprawdzić, co się stało, i niefortunnie pośliznął się na schodku, upadając na prawy bok. Uszkodził bark i złamał nogę. Dwóch młodych pomocników do tej pory się podśmiewało, wspominając jego upadek, ale Janina wiedziała, że nie ma się z czego śmiać. To nie wysokość była problemem, tylko nieszczęśliwe ułożenie ciała. Jej siostra w młodości potknęła się o krawężnik i też złamała nogę. A z kolei sąsiad, po pijaku, wypadł z okna na piętrze i nic mu się nie stało.

– Może herbaty chcesz?! – krzyknęła w kierunku salonu.

Kazimierz nie odpowiedział. Prawdopodobnie nie usłyszał, ponieważ telewizor grał naprawdę głośno. Przez moment słycać było reklamy. Janinę drażniło, że mąż, zamiast skoncentrować się na jednym programie, przeskakuje z kanału na kanał, ale doceniała, że przynajmniej jedną rękę ma sprawną, dzięki czemu sam mógł operować pilotem od telewizora.

Mimo braku odpowiedzi zaparzyła herbatę i odstawiła do ostudzenia. Kazimierz nie lubił gorącej. Wróciła do skubania kury. Na niedzielę planowała rosół. Siostra mówiła, że jest dobry na wszelkie złamanie.

Dochodziła druga. Janina w myślach odhaczała kolejne punkty dnia. Nie mogła sobie przypomnieć, czy rano nakarmiła króliki. Odkąd Kazimierz został unieruchomiony, spadło na nią zbyt wiele obowiązków. Czowała się zmęczona, ale nie narzekała. Lekarze oceniali, że na wiosnę Kazimierz stanie na nogi. Teraz trzeba po prostu zacisnąć zęby i czekać.

Herbata ostygła. Janina przelała ją z dzbanka do szklanki i zaniosiła mężowi. Podziękował słabym uśmiechem.

– Masz ochotę na coś do jedzenia? – spytała.

– Poczekam na obiad.

Obiad! – oświeciło ją. Za dużo rzeczy na głowie. Szykowała rosół na jutro, a przecież i dziś trzeba coś zjeść. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że w lodówce jest garnek z wołowymi bitkami, które dusiła w czwartek. Całkiem sporo, bo przecież wszystkiego nie zjedli. Wystarczy podgrzać mięso i ugotować ziemniaki. Obiad będzie gotowy za godzinę. Potem można pójść do zwierząt, posprzątać w kuchni i odśnieżyć obejście. Jak na złość pod koniec listopada mocno popadało, a na początku grudnia chwycił mróz. To nie był dobry zwiastun. W telewizji mówili, że śnieg niebawem stopnieje i być może na święta wcale już go nie będzie. A Janina lubiła białe święta. Zawsze stroiła nie tylko choinkę w domu, ale także drzewka na zewnątrz, opatulając je lampkami, które wieczorami dawały przyjemne światło.

Powłócząc nogami, wróciła do kuchni. Kura musiała poczekać. Odstawiła miskę pod okno, a przy stołku ustawiła wiadro z ziemniakami. Zawsze tak obierała, na siedząco. Kazimierz czasami się śmiał, że obierki zamiast do śmieci spadają jej do spódnicy, ale nie przejmowała się tym. Ważne, że tak było wygodnie.

Garnek z wodą postawiła na stole i sięgnęła do szuflady po nóż. Nie zdążyła jednak go wyjąć, ponieważ z sieni dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi i czyichś ciężkich kroków. Gość najwyraźniej otrzepywał buty ze śniegu.

Janina zastygła. Kogóż licha niesie? Bezradnie rozejrzała się po kuchni, w której panował nieporządek. Nie lubiła niezapowiedzianych wizyt, zawsze ją to krępowało. A szczególnie teraz, kiedy z powodu niedyspozycyjności Kazimierza musiała przejąć w gospodarstwie wszystkie obowiązki i na rzetelne sprzątnięcie w domu nie starczało już czasu.

– Hop, hop, jest tu kto? – spytał męski głos i już po chwili drzwi dzielące sieni od kuchni stanęły otworem.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – krzyknęła Janina na widok mężczyzny.

– Paweł, synu! A co ty tu? Przecie do świąt jeszcze trzy tygodnie! Urlop wcześniej wzięłeś? Trzeba było zadzwonić, naszykowałam obiad, dopiero ziemniaki obieram. – Doskoczyła do mężczyzny i uściskała go serdecznie. – Kazik! Kazimierz! – zaczęła nawoływać męża. – Wyłączaj pudło, zobacz, kto przyjechał!

– Jak ojciec? – Paweł zdjął kurtkę i niedbale rzucił na krzesło stojące w sieni.

Janina wywróciła oczami.

– Bywało lepiej. Siadaj, rozgość się, może kanapkę ci jaką zrobię? Albo jajek usmażę?

– Nie jestem głodny.

– Kazik! – krzyknęła Janina ponownie, usiłując przedrzeć się przez dźwięk telewizora. – Przyjedź no tu!

Wreszcie telewizor ucichł, a po chwili na wózku wjechał do kuchni Kazimierz.

– Paweł? – zdziwił się na widok syna.

– Wróciłem, tato. Przydam się w gospodarstwie. Przynajmniej dopóki nie wydobrejesz.

– Z mojego powodu rzuciłeś taką dobrą robotę?! Niepotrzebnie! Jasia dobrze sobie radzi, a na wiosnę już stanę na nogi. Chyba że cię wyrzucili. – Spojrzał podejrzliwie.

– Ani nie rzuciłem, ani nie wyrzucili – wyjaśnił Paweł. – Skończył mi się kontrakt. Nie podpisałem nowego.

– Dlaczego? – spytała Janina. – Przecie Niemcy dobrze płacą, zadowolony byłeś.

– Byłem. Byłem. – Paweł westchnął. – Ale w życiu potrzebne są zmiany. Nadarzyła się okazja, żeby wrócić... Chłopaki reaktywują ten ośrodek wczasowy nad jeziorem, jesienią zaczęli remont, ale w trakcie zrodził się pomysł przebudowy i modernizacji. Potrzebują inżyniera, zaproponowali mi pracę w zamian za udziały.

– I tak po prostu się zgodziłeś? – Kazimierz nie był przekonany. – Nawet nie wiadomo, czy to wypali, czy przyniesie jakieś zyski.

– A ile można pracować u kogoś? Najwyższy czas wziąć sprawy we własne ręce. Co będzie, to będzie.

– Dzieciaku, ale przecie ile tych zysków będzie? Ile osób do podziału? To ledwie grosze dostaniesz, nie opłaca się.

– Mam oszczędności, zobaczymy. Z głodu na gospodarstwie nie umrę, dom już też wykończony, na co mam tę fortunę zbierać?

– Jak to na co? – zdziwiła się matka. – Na rodzinę. Lada chwila ślub, Mariolka pewnie chybikiem zaciąży, dzieci się urodzą. Na rodzinę trzeba oszczędzać, samo gospodarstwo już dochodu takiego jak kiedyś nie przynosi.

– Nie ma co się martwić na zapas – powiedział z uśmiechem Paweł. – Myślałem, że się ucieszycie na mój widok. Kawy bym się napił. Mocnej, parzonej.

– Ależ się cieszymy! – krzyknęła przepraszająco Janina. – Kawki już ci robię.

– To i dla mnie – wtrącił Kazimierz. – Trzy łyżeczki cukru.

– Po moim trupie! – zaperzyła się Janina. – Co najwyżej zbożowej – dodała nieco spokojniej.

– To ojciec kawy nie pije?

– Od tego wypadku to i ciśnienie mu skacze, lepiej uważać – wyjaśniła Janina i nastawiła czajnik.

Usiedli w pokoju, który wcześniej pełnił funkcję gościnnego, lecz od czasu wypadku stał się sypialnią Kazimierza. Wersalka stale była rozłożona, bo mężczyzna lubił położyć się w ciągu dnia na drzemkę. Sprawna lewa część ciała pozwalała mu na tyle się podźwignąć, żeby nie angażować do pomocy w tym zakresie Janiny.

Naprzeciwko wersalki stał wciąż grający telewizor. Nawet teraz, mimo że był mocno ściszony, dobiegał z niego dźwięk – ku niezadowoleniu Janiny.

– Wyłączyłbyś to pudło! – krzyknęła, wnosząc kawę.

Kazimierz odburknął coś cicho, ale telewizora nie wyłączył, jedynie jeszcze bardziej go ściszył.

– A Mariolkę od razu do rodziców zawiozłeś? Nie chciała się z nami przywitać? – zainteresowała się Janina, podsuwając Pawłowi cukiernicę. – Ona pewnie niezadowolona z tego powrotu? U Niemców pewnie weselej niż u nas, można gdzieś wyjść wieczorem, zabawić się. Wy, młodzi, przecie potrzebujecie rozrywki. Szczególnie przed ślubem, bo potem to już dzieci, obowiązki, nie będzie czasu na głupoty.

– Matka w każdym razie salę już zarezerwowała. Na maj, tak jak było mówione. Zaliczkę my wpłacili, tysiąc złotych.

– W Angel's – wtrąciła z dumą Janina. – U młodego Legranda. Elegancko będzie i z klasą... Miałam ci powiedzieć przez telefon, ale bałam się, że Mariolce może nie podpasuje. Wolałam, żeby na żywo zobaczyła, jakie u nich zmiany. No i zespół możemy wybrać, jaki chcemy, wcale nie musi być od nich. Wybierzemy taki, żeby zagrał i do tańca...

– I do różańca! – roześmiał się w głos Kazimierz. – Bylem do maja na nogi stanął, bo jak nie, to będziesz mnie na tym wózku musiała obracać.

– Wyobracam cię, jak będzie trzeba – zachichotała Janina.

– Ślubu nie będzie. – Głos Pawła z wolna przebijał się przez śmiech, zanim dotarł do uszu Janiny i Kazimierza.

– Co powiedziałeś? – Janina trzymała jeszcze usta lekko uniesione, ale oczy jej się rozszerzyły i jakby z niedowierzaniem wpatrywała się w syna.

– Ślubu nie będzie – powtórzył Paweł stanowczo i spokojnie, po czym upił łyk kawy. – Pyszna! – pochwalił. – W Hamburgu takiej nie mieli.

Janina odwróciła wzrok od syna i spojrzała na męża. Ten odchylił głowę i wciągnął głęboko powietrze do płuc, po czym ze świstem je wypuścił.

– No, słyszałaś, matka. Ślubu nie będzie – powiedział twardym, mocnym głosem.

– Nie będzie – potwierdził Paweł. – Trzeba odwołać salę, orkiestry na

szczęście jeszcze nie zamówiliśmy.

– Ale co się stało? Dziecko, co się stało? – Janina poczuła, jak wbrew sobie zaczyna przybierać płaczący ton, a broda nieznacznie jej drga, jak zawsze, kiedy odczuwała stres. – Pokłóciliście się z Mariolką? Tak przecie bywa. Najlepsze pary się kłóć. Ale żeby zaraz odwoływać ślub?

– Matka ma rację. Nie ma co w pośpiechu decyzji podejmować... – Kazimierz też minę miał nietęgą. Starał się nie okazywać podenerwowania, ale dało się zauważyć, jak redukuje napięcie, ściskając pilota od telewizora.

– Nie będzie ślubu. – Paweł nie miał wątpliwości. – I nie ma co gadać. Wróciłem i zaczynam nowy rozdział życia. Bez Mariolki.

– Jak to? To ona została? – spytała pośpiesznie Janina.

– Ano została.

– Ale jak to? Chyba należą nam się jakieś wyjaśnienia? – Janina nie odpuszczała. Wyrzucała z siebie słowa, patrząc to na syna, to na męża.

– Owszem – zgodził się Paweł. – Mariola ma już nowego narzeczonego, tyle w temacie.

– Że co? – Janina niemal zakrztusiła się śliną.

– Mamo. – Paweł spojrział na matkę zmęczonym wzrokiem. – Nie chcę o tym rozmawiać.

– Ale co ty opowiadasz, chłopie – wtrącił ojciec. – Przecie dopiero co Gawińska razem z matką salę zamawiały, to było nie dalej jak tydzień temu. Toć teściowa twoja o niczym by nie wiedziała?

– W ubiegły czwartek – przypomniała sobie Janina. – Zresztą, co ja gadam. Wczoraj się z nią widziałam w sklepie, rozmawialiśmy o orkiestrze, że ustalimy z wami wszystko, jak na święta przyjedziecie.

– No to już nie ma co ustalać – powiedział Paweł.

– Matko Boska Przenajświętsza. – Janina przeżegnała się i złożyła ręce na piersiach. Oddychała płytko, nerwowo, strzelając oczami to na boki, to w górę, jakby intensywnie o czymś myślała. Nagle jej wzrok spoczął na mężu. Wymienili się spojrzeniami.

Kazimierz odchrząknął i poprawił się na wózku. Janina nagle wstała i strzepnęła ze spódnicy niewidzialne pyłki.

– No dobrze, nie ma co. Zmęczony jesteś, synku, potem porozmawiamy. Ziemniaki nastawię, obiad zjesz, odpoczniesz, może wieczorem coś uradzimy. Zaraz ci przyszykuję pokój na górze, może się zdrzemniesz przed jedzeniem.

– Nie ma potrzeby, mamo. Wszedłem tylko się przywitać i idę do siebie.

– Ale jak do siebie – zaoponowała Janina. – Jak do siebie? U nas pokój, jedzenie. Nigdzie cię nie puszcę. Odpoczniesz, kąpiel weźmiesz, później herbaty ci gorącej zrobię. Z miodem, z cytryną, goździkami, najlepsza w zimie. Zaraz poczujesz się lepiej. A potem porozmawiamy.

– Za obiad dziękuję, nie jestem głodny. A na herbatę wpadnę wieczorem. I jednak wolę do siebie.

– Ale... – Janina spojrzała na męża.

– Chodzi o to, że w twoim domu... – podjął niepewnie Kazimierz – mieszka... ktoś... no... kobieta konkretnie znaczy się. Już od lata.

– Letniczka – dodała szybko Janina i uśmiechnęła się słabo. – Tyle że przez jesień mieszkała i teraz zimą też...

– A od października nie płaci – wtrącił Kazimierz.

– No już ty daj spokój, Kazik – zganiła go Janina. – Nie wygonimy przecie dziewczyny w najgorszy mróz, niech sobie mieszka.

– Ale grzać trzeba! I prądu też zużywa. A nie płaci.

– Zapłaci.

– Wynajęliście mój dom? – zdziwił się Paweł.

– A to ci nie mówiłam? – Janina udała zaskoczoną pytaniem.

– No wiesz – Kazimierz szybko stanął w obronie żony – zawsze to groź jakis wpadnie, a dziewczyna szukała pokoju na lato, dom stał pusty... Pusty dom niszczeje...

– Tyle że mamy już grudzień – zauważył Paweł.

– No właśnie. – Janina rozłożyła ręce. – Miała być tylko przez wakacje, a teraz nie wiadomo, co zrobić... Grzecznie zwracałam uwagę, że to już tyle miesięcy, no i że nie płaci już od dwóch. Ale co zrobić, no przecie nie przegonię...

– Ja przegonię. – Paweł wstał.

– Oj, Pawełku! – Janina załamała ręce. – Toć nie wypada, co ludzie powiedzą, że my letniczkę wygonili.

– To ty się ludźmi bardziej przejmujesz niż własnym synem? – spytał spokojnie Paweł. – Ja domu potrzebuję, swojego. Ciszy, spokoju.

– Ma rację – zgodził się ojciec. – Nasz dziewczyna nie słucha, wodzi za nos, nie płaci i tylko na tym wynajmie tracimy. Niech Paweł zrobi porządek, za grzeczni byliśmy, Jania, trza było babę za fraki i wyprowadzić z domu.

– Mój Boże, tylko nie za fraki. Krzywdy jej jakiej nie zrób, Pawełku. Po dobroci trzeba się rozmówić.

– Dam sobie radę, mam. Od kiedy nie płaci?

– Od października. Trzysta złotych my brali, tyle, żeby na opłaty było... – wyjaśniła pośpiesznie Janina.

– Mówiłem, żeby z pińcet wziąć – wtrącił Kazimierz. – To nie słuchała.

**

Kaja podgłośniła muzykę w telefonie i usiadła w pozycji kwiatu lotosu. Spokojne rytmy indyjskiej pieśni miały ją wyciszyć. Oddychała głęboko, usiłując wyrzucić z siebie napięcie, które nie odpuszczało od tygodnia. Wręcz przeciwnie,

każdego dnia czuła się bardziej spięta i poirytowana.

Nie wiedziała, co robić. Jesienią ogrodziła las kupiony od oszusta, korzystając z przekazanych przez koleżankę pieniędzy, wynajęła gospodarzy ze świniami i szukała trufli. Nie znalazła ani jednej. Powrót do Wrocławia nie wchodził w grę, czułaby się pokonana. Już czuła się pokonana. Jednak porażka przeżywana w samotności mimo wszystko trochę mniej boli niż wtedy, kiedy czuć na sobie palący wzrok innych. Poza tym zawsze jeszcze istniała mała iskierka nadziei, że mimo wszystko – mimo wszystkich złych decyzji, nieprzychylności losu i ludzi, mimo całego pecha, frustracji i głupoty – jeszcze da się coś z tego lasu wykrzesać. Byłe choć trochę się odkuć.

Tyle że pomysły nie nadchodziły, napięcie natomiast wzrastało.

Daisy zaczęła szczekać na dole, a potem ujadać. Kaja, zirytowana nagłym hałasem, niechętnie zmieniła pozycję i wysunęła nogę. Energicznym kopnięciem zamknęła drzwi. Ponownie podwinęła nogi, udając, że jest kwiatem lotosu. Udawała też, że nie dochodzą do niej żadne inne dźwięki oprócz tych, które wypływają z głośnika telefonu.

Ale pies dalej ujadał, jakby po salonie biegał co najmniej tuzin kotów.

– Cholera jasna – warknęła półgłosem Kaja.

Próbowała skupić się na muzyce i własnych ponurych myślach, ale im bardziej usiłowała nie słyszeć szczekania, tym bardziej jej przeszkadzało.

Wreszcie, zdecydowana wypuścić ujadającą Daisy na dwór, podźwignęła ciało z podłogi, wyłączyła muzykę, a telefon włożyła do kieszeni i ciężkim krokiem wyszła z pokoju.

Już na schodach odczuła dziwny niepokój. Zauważyła walizki stojące na dole przy drzwiach wejściowych.

– Daisy? – spytała cicho, choć wiedziała, że suczka i tak nie usłyszysz.

Kaja wzięła głęboki oddech, by dodać sobie otuchy, i weszła do salonu.

Daisy, warcząc i ujadając, biegała dookoła sofy, na której leżał mężczyzna, opierając nogi o oparcie. Oczy miał przymknięte, a jedna dłoń ciężko opadała na czoło.

– Daisy! – krzyknęła Kaja! – Bierz go! Bierz go!

Mężczyzna z wolna usiadł. Daisy odskoczyła od sofy i ukryła się za nogami Kai. Wciąż szczekała.

– Bierz go! – piskliwym głosem rozkazywała Kaja, nie zważając na to, że pies boi się bardziej niż ona.

Mężczyzna nagle wystawił zęby i warknął, na co Daisy z piskiem uciekła do kuchni. Facet parsknął śmiechem.

– No i po zabawie – powiedział, przeciągając się. – Śmieszny szczurek, ale ten jazgot na dłuższą metę męczący – dodał poważniej.

– Proszę stąd wyjść! Natychmiast! – krzyknęła Kaja. – Bo zadzwonię po

policję!

– A proszę bardzo. Bardzo proszę. Tylko na to czekam. Tak się składa, że to mój dom.

– Słucham?! To dom państwa Polniaków i ja go wynajmuję! Natychmiast proszę go opuścić!

– Wynajmuję od lata, tak? A od dwóch miesięcy nie płacę?

Kaja na moment się zmieszała, ale szybko odzyskała fason.

– I co? Nasłali pana, żeby się mnie pozbył? Bo nie płacę? A proszę bardzo, wezwijmy policję, z pewnością się ucieszą, kiedy powiem, że dom wynajmowałam nielegalnie, bez żadnej umowy, a Polniakowie nie odprowadzają podatków. To co, zadzwonić? – Ostentacyjnie wymachiwała telefonem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ma pan pięć sekund, żeby opuścić ten dom – zagroziła, wystukując numer alarmowy.

**

Było zimno. Termometr wskazywał minus piętnaście stopni. Komendant Grzelak wpatrywał się w szybę, zastanawiając się, dlaczego mróz nie wyrysował na niej żadnych wzorów. Pamiętał czasy, kiedy wszystkie okna w komisariacie pokryte były warstwą połyskującego szronu. Kiedyś, kiedy jeszcze posterunek żył i oprócz niego pracowało tu dwóch policjantów. To były czasy... Westchnął i zapalił papierosa. Przez chwilę obserwował smugę dymu rozpraszaną gorącym powietrzem z elektrycznej starej farelki.

Dochodziła czternasta i nic się nie działo.

Grzelak odchylił się na krześle. Rzucił okiem na ekran komputera, na którym migał czarny kursor. Nowa książka. Napisane zaledwie trzy zdania.

Grzelak chciał i zarazem nie chciał dalej pisać. Po pierwsze dlatego, że palce mimo wszystko zgrabiwały, bo choć dogrzewał się piecykiem, to i tak było zimno, a po drugie dlatego, że nie miał motywacji, choć pomysłów na drugą część kryminału mu nie brakowało.

Tydzień wcześniej rozesłał pierwszą swoją książkę do kilkunastu wydawców i wciąż czekał na jakikolwiek odzew. Alicja uprzedzała wprawdzie, że to może potrwać, powiedziała także, że czasem w ogóle nie odpowiadają, jednak komendant był przekonany, że jego książka wzbudzi tak wielkie zainteresowanie, iż chętnych do wydania nie powinno brakować. To jemu będzie wkrótce brakować czasu, żeby produkować kolejne odcinki mrocznej serii.

Ale telefon milczał. Grzelak tracił cierpliwość. Tydzień to może nie za długo, jednak dla Grzelaka była to cała wieczność.

Papieros tlił się wolno, komendant stracił ochotę także na niego. Nagle naszała go myśl, że może warto wykrzesać z siebie choć trochę optymizmu. Czytał

gdzieś, że umysł człowieka potrafi działać naprawdę wiele i czasem samymi myślami można wywołać lawinę zdarzeń.

Ułożył więc starannie komórkę obok telefonu stacjonarnego, upewniając się, czy leży na tyle blisko, by obydwa aparaty objąć wzrokiem. Następnie zaciągnął się ponownie papierosem, wypuścił dym i zmrużył oczy.

– Zaaaadzwoń. Zaaaadzwoń – szeptał, wpatrując się hipnotyzującym wzrokiem w telefony. Było mu wszystko jedno, który z nich wyda z siebie dźwięk, ponieważ wysyłając książkę, podał obydwa numery. – Zaaadzwoń. Zaaaaadzwoń.

Monotonny głos Grzelaka jego samego zaskoczył. Komendant nagle poczuł moc sprawczą, poruszył się na krześle, nachylił ku telefonom i zapaliwszy kolejnego papierosa, żeby w magiczny sposób okadzić przestrzeń, zaciągnął się, po czym wypuścił z ust potężną chmurę dymu.

– Zaaaadzwoń... – szeptał z mocą, starając się nie mrugać, choć z powodu dymu było to bardzo trudne.

I wtedy telefon zadzwonił. Ten stacjonarny. Zaterkotał tak głośno, że Grzelak niemal podskoczył, papieros wypadł mu z ust i tlił się teraz na spodniach.

Komendant wstał, zrzucił niedopalek, przytrzasnął go butem i odchrząknął, sięgając po słuchawkę. Wyprężył dumnie pierś, nie mogąc się nadziwić małemu cudowi. Oto sam, siłą własnego umysłu, przywołał pierwszego wydawcę. Za chwilę zadzwoni drugi, potem trzeci i czwarty. Trzeba negocjować, nie przystawać na pierwsze warunki zaproponowane przez zdzierców.

– Posterunek w Polance – powiedział do słuchawki, starając się, aby jego głos nie zdradzał podekscytowania. – Komendant Grzelak przy telefonie. Słucham.

– Proszę natychmiast przyjechać pod adres Kwiatowa osiem. Zostałam napadnięta – powiedział kobiecy głos, po czym połączenie zostało przerwane.

Grzelak stał przez chwilę ze słuchawką przy uchu, usiłując przetrawić to, co właśnie usłyszał. Z całą pewnością nie był to wydawca, a głos, który wzywał pomocy, był mu znany. Kaja. Letniczka, która wynajmowała dom Polniaków. Tak, Kwiatowa osiem, wszystko się zgadza. Ale skoro została napadnięta, to dlaczego nie krzyczała? Może ukryła się w szafie i mówiła szeptem, czego on nie dostrzegł, nie zarejestrował... Kiedy człowiek spodziewa się czegoś innego, zmysły działają wolniej. A już szczególnie zmysły wytężone wcześniej ciężką pracą silnego umysłu.

Nie zastanawiając się dłużej, założył palto i wybiegł z budynku. Pierwsze od lat prawdziwe wezwanie. Kobieta została napadnięta w środku zimy, co może nie miałooby aż tak wielkiego znaczenia, jeśli Grzelak miałby do dyspozycji samochód. Tego dnia nie miał go jednak i dlatego teraz, napędzany ciekawością, przedzierał się przez śnieg rowerem.

Dotarł na miejsce po piętnastu minutach i to prawdopodobnie był najbardziej wydajny kwadrans w jego życiu. Nie dość, że wyczerpujący fizycznie, to

i umyślowo, bo Grzelak przez całą drogę myślał, jak tu pokonać intruza.

Dotknął kabury, upewniając się, że broń ma na miejscu, rzucił rower w śnieg i dopadł drzwi, planując je spektakularnie wyważyć kopnięciem.

– Policja! – krzyknął i zrobił wymach prawą nogą. Nie zdążył jednak kopnąć, ponieważ drzwi się otworzyły i Grzelak, nie znajdując oparcia dla stopy, runął w przód, rozkładając dolne kończyny w koślawym szpagacie. Minę miał nietęgą, tym bardziej że wcale nie był wygimnastykowany, a pozycja, którą niechcący uzyskał, nie pozwalała się podnieść.

– No wreszcie – jęknęła Kaja, patrząc na Grzelaka z góry pełnym politowania wzrokiem.

– Zapraszamy – wtrącił stojący tuż za nią Paweł Polniak i wyciągnął do komendanta dłoń.

– Gdzie intruz? – Grzelak przyjął pomoc i wstał, wciąż oszołomiony i zawstydzony niefortunnym upadkiem.

– Tu. – Polniak i Poznańska równocześnie wskazali na siebie.

– Ten człowiek wtargnął do mojego domu! – Kaja podniosła głos. Wzięła na rękę Daisy, która przybiegła z kuchni i zaczęła czekać na Grzelaka.

– Tak się składa, że jestem u siebie – powiedział spokojnie Paweł Polniak. – Ale o tym pan komendant dobrze wie. – Spojrzał na Grzelaka z uśmiechem.

– A ty nie w Hamburgu? – zainteresował się Grzelak.

– Wróciłem.

– Na stałe?

– Możliwe. Na razie chciałbym pozbyć się z domu tej osoby, która w nim koczuje.

– Pani dokumenty proszę. – Grzelak odwrócił się do Kai.

– Jakie dokumenty? Umowę najmu? – Kaja chrapliwie się roześmiała. – A nie mam. Państwo Polniakowie nie podpisali ze mną umowy, pieniądze pobierają na czarno. Proszę się tym zainteresować – poleciła.

– Pani dokumenty. Dowód osobisty.

– Tak się składa, że od kilku miesięcy pieniędzy nie pobierają, ponieważ ta pani nie płaci – dodał Paweł.

Kaja w tym czasie stała bez ruchu, z psem w rękach, zastanawiając się, czy biec na górę po torebkę i dokumenty, czy prowadzić dalszy atak. W końcu zdecydowała się na to drugie.

– Ten człowiek mnie napadł! – krzyknęła. – Po co panu moje dokumenty, skoro to ja zadzwoniłam po pomoc. To ja domagam się usunięcia napastnika! Mnie też pan zna, mieszkam tu od wakacji!

– A zresztą. – Grzelak machnął ręką, rozczarowany sytuacją, w jakiej przyszło mu się znaleźć. – Sprawa jest prosta. Dom należy do Zbyszka...

– Do Pawła – poprawił Paweł.

Grzelak spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Do Pawła, no tak! – krzyknął doznawszy olśnienia. – Ale ty dla nas zawsze będziesz Zbyszkiem, wszystkie chłopaki ze wsi tak cię nazywają. Ale fryzurę żeś zmienił, ściałeś się na krótko u tych Niemców – zauważył. – Już nie nosisz takich włosów jak Wodecki.

Paweł wzruszył ramionami.

– Już nie.

– A wiesz, że Zbyszkwowi się zmarło – ciągnął Grzelak. – I już nie ma Zbyszka.

– Wiem, matka przez telefon płakała. Była jego fanką.

– Takie to życie – mruknął Grzelak, nie zwracając uwagi na poirytowaną Kają. – Był człowiek i nie ma człowieka... Ale muzyka została. – Zamyślił się.

Po mnie też coś zostanie – pomyślał. Kryminały. Tego jednak nie mógł Pawłowi powiedzieć. Rozmarzył się na myśl o własnej śmierci. To dopiero zjadą się tłumy, Polanka jeszcze takich nie widziała.

– O czym my to... Aha. – Przybrał służbową minę i zwrócił się do Kai: – Dom, jak wspomniałem, należy do Pawła, i jeśli on nie życzy sobie, żeby pani w nim pomieszkiwała, to...

– Ale nie może sobie wchodzić ot tak... – podjęła Kaja.

– Jak wszedłeś? – spytał Grzelak Pawła.

– Normalnie, mam klucze.

– No widzi pani. Może wchodzić do swojego domu. Ja tu nie widzę znamion przestępstwa.

– Ale...

– Proszę się spakować i opuścić dom pana Polniaka – polecił Grzelak. – W przeciwnym razie zadzwonię po posiłki – dodał z poważną miną – i zabierzemy panią na komisariat. Tam spędzi pani noc, a kto wie, może koledzy coś na panią znajdą...

– Jacy koledzy? – zaciekała się Kaja.

– Moi. Nie chce ich pani poznać.

– Ale... – Kaja straciła bojowy wyraz twarzy. Przytuliła psa, nie bardzo wiedząc, co ma teraz zrobić. – Nie można kogoś wyrzucać na bruk tak bez uprzedzenia... – powiedziała, a głos jej się łamał.

– Sama pani wezwała policję – zauważył Paweł. – Ja chciałem po dobroci. Z uprzedzeniem. Ale skoro pani wołała inaczej... Masz ochotę na kawę? – zwrócił się do Grzelaka. – Albo coś mocniejszego? Jeszcze się nie rozpakowałem, ale whisky powinienem mieć na wierzchu.

– Na służbie jestem. – Grzelak spojrział na zegarek.

– W weekend też pracujesz do późna, komendancie?

– W weekend?

– Sobota jest.

– Sobota... – powtórzył Grzelak i nagle stało się dla niego jasne, dlaczego Danusia rano tak złorzeczyła, że znowu do tej roboty idzie, choć przecież na wsi nic się nie dzieje.

Zatracił się już dawno, dni mu się mieszały i zlewały w jeden. Odkąd pisał i odkąd zaczął czekać na odzew wydawców, wolał siedzieć na posterunku niż w domu. W domu nigdy nie miał spokoju, wzrok Danki zawsze sięgał tam, gdzie wzrok normalnych ludzi nie sięga. Danką chciała wiedzieć wszystko, tymczasem Eugeniusz Grzelak na razie nie chciał zdradzać żadnej ze swoich tajemnic.

– To jak? Nalać czegoś? – dopytywał Paweł, zadowolony, że Kaja, nie wchodząc w głębsze dyskusje, poszła na górę, prawdopodobnie się spakować.

– Nieee – Grzelak odmówił z żalem, bo wiedział, że kiedy wróci do domu i Danką wyczuje choć kroplę, nie da mu spokoju aż do wieczora. – Pojadę już. Rowerem jestem, trochę mi to zajmie, a Danusia z obiadem pewnie czeka.

Uśmiechnął się smętnie. Wciąż bolały go mięśnie nóg i potylica. Starając się mimo to nie kuśtykać, wyszedł z domu Polniaka i podniósł rower.

**

Kaja z zaciętą miną wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Nie miała zamiaru pakować się i wyjeżdżać. Wiedziała jednak, że metoda, którą obrała w walce z właścicielem domu, nie jest właściwa i trzeba pomyśleć nad inną strategią. Z rodzicami Polniaka nie miała dotychczas problemu, czasem tylko nieśmiało przebąkiwali, że zalega z opłatą za najem. Wystarczyło jednak ich uspokoić, że wkrótce zapłaci, i dawali spokój.

Nie płaciła, bo nie miała z czego. Pieniądze szybko topniały, a nowych nie przybywało. Obawiała się, że salon medycyny estetycznej, który prowadziła we Wrocławiu, pozostawiony bez nadzoru przestał zarabiać, a może nawet przestał istnieć. Aż bała się to sprawdzić. Już od dawna nie dzwoniła, nie odbierała też telefonów od Sabiny, która na czas nieobecności Kai przyjęła rolę jej zastępczyni.

Przeczesała ręką włosy. Mocno urosły od lata. Grzywka straciła dawny fason, nie mówiąc o kolorze. Ciemne odrosty bardziej szpeciły, niż dodawały uroku. Mimo to Kaja chwyciła za prostownicę i nie czekając, aż się nagrzej, przeczesała pasma, próbując nadać fryzurze formę zbliżoną do dawnej. Nie była zadowolona z efektu, ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, mało co byłoby ją w stanie zadowolić. Skrzywiła twarz i wydeła usta. Nałożyła fluid, skropiła się perfumami i pociągnęła wargi szminką. Potem włożyła czerwoną sukienkę i z tajnej skrytki w szafie wyjęła butelkę czerwonego wina utrzymaną na czarną godzinę.

Długo szukała odpowiednich butów. Czarne szpilki wydały się jej zbyt wyzywające, ale w końcu właśnie na nie się zdecydowała, dla dobra sprawy.

Zeszła na dół.

Paweł Polniak był w kuchni, pił herbatę. Kaja, stukając obcasami po terakotowej podłodze, zdecydowanym krokiem podeszła do niego z butelką.

– Na zgodę. – Postawiła wino na kuchennym stole.

Spojrzał na nią bez cienia uśmiechu.

– Na jaką zgodę? – spytał. – Nie pokłóciliśmy się. To pani zdecydowała, że woli sprawę załatwić przez policję.

– Kaja jestem. Nie chcę się wyprowadzać. Prawdę mówiąc, miałam właśnie zapłacić, przepraszam, to zwykłe nieporozumienie. W poniedziałek podjadę gdzieś do bankomatu...

– Nie chodzi o pieniądze. Oczywiście należałoby uiścić zaległość. Jednak bardziej niż na pieniądzech zależy mi na tym, żeby wyprowadziła się pani jak najszybciej.

– Rozumiem – przytaknęła. – Ale jak najszybciej to chyba nie znaczy natychmiast? – Uśmiechnęła się. – Może znajdziemy sposób, żeby każde z nas było zadowolone.

– Wiem, że potrzebuje pani czasu, żeby się spakować. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym większość rzeczy należała do Kai. – Niech będzie jutro. Mogę spędzić noc w domu rodziców, ale kiedy przyjdę tu rano, wolałbym, żeby pani nie było.

– Kaja jestem – powtórzyła z uśmiechem. – Nie musimy chyba rozmawiać aż tak oficjalnie. I nie musisz nigdzie wychodzić. To twój dom, a na górze są aż trzy sypialnie. Pomieścimy się – zażartowała. – Poza tym... Mam jeszcze przywiezione z Angel's przepyszne jedzenie. Mogę podgrzać. Wzięłam na wynos na kilka dni naprzód. Szkoda, żeby się zmarnowało, skoro jutro już mnie tu nie będzie. To jak, napijemy się na zgodę?

Paweł nie odpowiedział. Bez słowa ruszył w kierunku drzwi i zapewne by wyszedł, nie podejmując gry, którą zaczęła Kaja, ale w kieszeni odezwała się jego komórka. Znajomy dźwięk, melodia przypisana tylko do jednego numeru.

Drgnął.

Powinien dawno już ją wykasować.

Wyjął telefon i odrzucił połączenie. To jednak nie pomogło powstrzymać zalewającej go fali zimna. Sama myśl o Marioli była bolesna, a co dopiero, gdyby znów miał zamienić z nią chociaż słowo.

Domyślał się, dlaczego dzwoni. Prawdopodobnie dotarło do niej, że on naprawdę wyjechał, że naprawdę zostawił ją i naprawdę nie ma ochoty słuchać jej tłumaczeń. Zapewne chciała kolejny raz obrzucić go morzem pretensji, które zgodnie z jej logiką uzasadniały zdradę, jakiej się dopuściła. Albo odwrotnie, być może zadzwoniła po to, żeby go jeszcze dobić, żeby głosem pełnym satysfakcji i złości powiedzieć mu, że zostawił w domu jakieś rzeczy, że odeśle mu je pocztą

lub kurierem.

Nieważne. Teraz już to wszystko było nieważne. Nie odebrał, odrzucił. Nie zamierzał rozmawiać. Nie wykasował numeru tylko dlatego, żeby – kiedy ponownie zadzwoni – od razu ją zidentyfikować. Jednak szybko zmienił melodyjkę. Nie chciał, żeby piosenka, która niegdyś była ich wspólną, teraz powodowała mdłości.

Kaja obserwowała z zainteresowaniem zabiegi Pawła. Usłyszawszy charakterystyczną melodię, której do nikogo innego nie dałoby się dopisać w telefonie, jak tylko do ukochanej kobiety, zaobserwował subtelne drgnięcie jego mocno zarysowanej szczęki i wyraz twarzy, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że dzwoniąca jest mu zarazem bliską i odległą osobą, uśmiechnęła się w duchu. Jestem w domu – pomyślała, ponieważ już wiedziała, co robić.

Zanim Paweł włożył kurtkę, Kaja już stała przed nim z dwoma kieliszkami, w których kuszącą czerwienią mieniło się wino.

– Kaja – przedstawiła się tego wieczoru po raz trzeci.

– Paweł.

Kaja z zawadiackim uśmiechem wypiła duszkiem swoje wino. Paweł zrobił to samo, choć po jego twarzy nie przebiegł nawet cień uśmiechu.

– Słodkie. – Skrzywił się. – Niedobre. W samochodzie mam whisky.

**

Janina niespokojnie kręciła się przy oknie na piętrze, próbując dojrzeć, co dzieje się w domu Pawła. Zmierzchało już, dochodziła siedemnasta.

Kazimierz po obiedzie planował uciąć sobie drzemkę, jednak spokój zburzony wiadomością o odwołanym ślubie nie pozwolił mu spać.

– Mamy jakieś ciastka? – krzyknął do żony.

Janina zagryzła usta. Zeszła do salonu.

– Nic ci nie dam, nie możesz cukru.

– Chociaż jedno – powiedział błagalnym tonem.

– Herbaty z miodem ci zrobię.

– Wódka by się przydała – odrzekł kwaśno.

– Kazik, ty nie pogłębiaj mojego stresu. Meliski ci mogę zaparzyć...

– Wódki daj.

– No dobrze, to jedno ciasteczko. Która to godzina? – Spojrzała na zegarek.

– Po piątej już, do króli miałam iść, a nie mogę się zebrać. Co tam się dzieje?

– U króli? Nie martw się, nie zdechną.

– Nie u króli, u Pawła w domu. Dwie godziny temu był Grzelak, widocznie Paweł go wezwał. Ale wyszedł, odjechał na rowerze i nie wiem, czy coś działo. Potem Paweł wyszedł po coś do samochodu. Teraz cisza.

– Może się panna pakuje?

– Może... – Janina postawiła przed Kazimierzem talerzyk z kruchym ciasteczkiem ozdobionym w środku małą kroplą dżemu.

– Skoro była policja...

– A jaka tam policja! – krzyknęła Janina. – Jaka policja. Grzelak był.

– Janeczko, nie przesadzaj. Grzelak to dobry komendant, zasłużony. Na pewno dał pannie do wiwatu.

– Oby – westchnęła Jadwiga. – Ale coś mnie się zdaje, że będą kłopoty. Złe przeczucia mam.

– Jasiu...

– Mój Boże, Boże – zaczęła nagle zawodzić Janina – co ludziom powiemy? Jak ja jutro w kościele spojrzę w oczy Gawińskiej?

– Przecie to ona powinna się wstydzić, to jej córka zawinęła się z innym...

– O mój Boże, mój Boże! – Janina schowała twarz w dłoniach. – A jak ta letniczka się nie wyprowadzi? Jak go omota, tego naszego Pawełka? Co ludzie powiedzą, Kazik?

– Nie prorokuj, Jasia, nie prorokuj.

– Idę tam! – Janina energicznie się podniosła.

– Ale po co, lepiej poczekałmy, Paweł jest dorosły, da sobie radę.

– Nie wytrzymam! Muszę wiedzieć, co tam się dzieje!

– Polecisz i co? Powiesz, że sprawdzasz, jak sytuacja?

– Niby że obiad przyniosłam. Bitek przecie sporo zostało. Ziemniaki też.

Janina, nie czekając na reakcję męża, poszła dziarskim krokiem do kuchni. Zapakowała w plastikowy pojemnik mięso, a do słoika trochę ziemniaków. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie dorzucić surówki, jednak uznała, że szkoda czasu na szukanie kolejnego pojemnika, a Paweł i tak nie przepadał za warzywami.

Chwyciła reklamówkę i przeszła do sieni. Kazimierz coś tam za nią krzyknął, ale nie zwróciła na niego uwagi. Założyła zimowe buty, na plecy zarzuciła puchową kurtkę i wyszła.

Śnieg pod stopami mocno skrzypiał. Janina żałowała, że nie założyła czapki i rękawic. Do domu Pawła było wprawdzie niewiele ponad dwieście metrów, jednak w taki mróz droga wydawała się o wiele dłuższa.

Brama była otwarta na oścież. Paweł, wjeżdżając na posesję, jak zwykle nie zawracał sobie głowy jej zamykaniem. Od początku przekonywał, że powinna być automatyczna, jednak Kazimierz stanowczo zaprotestował, twierdząc, że co automatyczne, to szybko się psuje. A ponieważ to rodzice wyłożyli najwięcej pieniędzy na dom, Paweł machnął ręką na bramę i pogodził się z tym, że za każdym razem trzeba ją ręcznie otwierać i zamykać.

Janina stanęła przed drzwiami. Przez chwilę nasłuchiwała, ale z wewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki. Dopiero kiedy zapukała, rozległo się szczekanie psa, a po chwili w drzwiach ukazał się Paweł.

– Mama. – Bardziej stwierdził niż zapytał.

Janina od razu poczuła alkohol. Nie skomentowała tego jednak.

– Obiad przyniosłam, pewnieś głodny.

– Jedliśmy.

– Jedliście... – powtórzyła mimowolnie.

– No tak. Laska wam nie płaci, ale na żarcie z restauracji ma. Z Angel's przywiozła. Całkiem smaczne. – Prawą ręką opierał się o framugę, nie pozwalając Janinie wejść do środka.

– Ano właśnie... – Janina udała, że tego nie widzi. – Jak sytuacja? Dziewczyna się pakuje?

– Negocjujemy.

– Aha... – powiedziała Janina, nie bardzo wiedząc, jak zinterpretować słowa syna. – To nie chcesz tych bitek? – spytała po chwili.

Paweł sięgnął po reklamówkę.

– Chcę. Przydadzą się na jutro.

– Na dziewiątą wybieram się do kościoła, może mnie zawieziesz?

– Nie ma problemu.

Janina skinęła bezradnie głową, rozczarowana, że nie została zaproszona do środka. Skręcało ją z ciekawości, co tam się dzieje, ale jeszcze bardziej skręcało ją ze złości, że nie ma kontroli nad synem. Był pod wpływem alkoholu. Wyraźnie wyczuła whisky. Nie był pijany, jednak wieczór się przecież jeszcze nie skończył. Najchętniej wzięłaby go za fraki i zaciągnęła do siebie. Byleby jak najdalej od Kai.

– To diabeł wcielony, nie dziewczyna – utyskiwała, wracając. – Panie Boże!
– Wzniosła oczy do ciemnego nieba. – Daj mojemu synowi opamiętanie, żeby go ten demon w ludzkiej skórze nie zdołał opętać!



Rozdział 2



Wieżowiec przy ulicy Złotej 44 był jednym z najwyższych w Warszawie. Zaprojektowany przez Daniela Liberskinda, potocznie zwany Żaglem, charakterystyczny kształt zawdzięczał jednak nie żaglowcowi, lecz orłowi. Inspiracją dla architekta było skrzydło tego ptaka.

Marianna niczym urzeczona wpatrywała się w budynek osnuty poranną zimową mgłą. Pomyślała, że tam gdzieś wysoko, ponad chmurami, bliżej gwiazd i bliżej aniołów, można się poczuć jak w niebie. Daleko od przyziemnych spraw i całego tego miejskiego zgiełku. Nie lubiła Warszawy, była dla niej za głośna, za szybka, za dynamiczna. Ale gdzieś tu mieszkał Christián, i choć jeszcze nie dane im było się spotkać, to Marianna wiedziała, że właśnie ze względu na niego musi pożegnać się z Polanką i Wrocławiem. Wielokrotnie analizowała sytuację, próbując zrozumieć, dlaczego Torres wybrał właśnie Warszawę. Prawdopodobnie to ona, Marianna, podczas którejś z kolacji w Sewilli powiedziała, że właśnie tu planuje otworzyć cukiernię. Czy wspominała mu, że mieszka w Polance? Czy mówiła, że Wrocław jest bliski jej sercu? Tego nie pamiętała.

Spojrzała na zegarek. Agent z biura nieruchomości na pewno już czekał. Odetchnęła, wciągając mroźne powietrze do płuc, i jeszcze raz zadarła głowę, by spojrzeć na budynek. Prezentował się naprawdę zjawiskowo.

Po dopełnieniu niezbędnych formalności na recepcji wjechała na czterdzieste drugie piętro.

– Pani Olech? – Agent ukłonił się lekko i dyskretnie oszacował wartość ubrań, które miała na sobie Marianna.

– Dzień dobry. – Dziewczyna przywitała się, podając dłoń.

– Michał Wąsowski. Rozumiem, że jest pani zainteresowana kupnem?

– Najpierw chciałabym obejrzeć.

– Oczywiście. Zapraszam.

Mężczyzna wprowadził Mariannę do ogromnego pomieszczenia, którego główna ściana zrobiona była ze szkła. Gdyby nie mgła, zapewne rozciągałby się stąd widok na całą Warszawę.

– Salon. Osiemdziesiąt metrów. Po prawej stronie otwarta kuchnia, dwadzieścia metrów kwadratowych.

Marianna zaniemówiła. Już po zdjęciach oglądanych w internecie było

widać, że wykończenie wnętrza dopieszczone jest w najmniejszych szczegółach, jednak na żywo robiło to jeszcze większe wrażenie.

Agent mówił coś o projektancie, wymieniał marki mebli i dodatków, ale Marianna nie słuchała. Wolnym krokiem chodziła po salonie, muskając opuszkami palców oparcia designerskich foteli.

– Pięknie – przyznała.

– Przejdźmy może do sypialni. Jest też gabinet i dwie łazienki.

Marianna wiedziała, że w mieszkaniu nie ma wielu pomieszczeń, jest za to przestrzeń, której tak bardzo potrzebowała. Nie zadawała więc pytań, tylko ruszyła za agentem.

– Do dyspozycji mieszkańców jest basen na drugim piętrze, siłownia, garaż. Oczywiście jest też restauracja, salon spa... – wymieniał kolejne atrakcje niczym konferansjer znudzony swoją rolą.

Sypialnia była niemal tak duża jak salon. Tu także ściana była przeszklona, by z łóżka można było podziwiać Warszawę.

– Te drzwi prowadzą do łazienki? – spytała Marianna, wskazując brodą lustrzane przejście.

– Tak. Proszę czuć się swobodnie i zajrzeć w każdy kąt. A może ma pani ochotę zobaczyć także taras widokowy? Moglibyśmy tam za chwilę pójść.

– Nie ma takiej potrzeby. Jest za zimno.

Wąsowski skinął głową i gdy Marianna oglądała łazienkę i garderobę, wykonał kilka telefonów.

– To jak? – zagał, kiedy ponownie znaleźli się w salonie.

– Bardzo ładnie. Podoba mi się. Jaka cena? – spytała, mimo że doskonale pamiętała podaną na stronie agencji ofertę.

– Dwa miliony czterysta. Nie podlega negocjacom.

– Rozumiem.

– Ma pani ochotę jeszcze raz się przejść? Domyślam się, że potrzebuje pani czasu na podjęcie decyzji...

– Nie podejmę jej dzisiaj. Prawdę mówiąc, chciałabym tu najpierw zamieszkać przez kilka dni, sprawdzić, czy to mieszkanie będzie dla mnie odpowiednie.

– Niestety. – Wzruszył ramionami. – Nie ma takiej możliwości.

– Chciałabym wynająć ten apartament na dwa tygodnie – powtórzyła niezrażona odmową Marianna.

– Nie wynajmujemy apartamentów, są przeznaczone tylko i wyłącznie na sprzedaż. Jest wielu chętnych...

– Chyba nie aż tak wielu, skoro umówił się pan ze mną z dnia na dzień – zauważyła Marianna. – Nie narobię bałaganu. To tylko kilka dni. Cena wynajmu nie gra dla mnie roli. Dziesięć, dwadzieścia tysięcy? Plus koszty wymiany pościeli

na łóżku i sprzątania łazienki. Z kuchni nie będę korzystać.

Wąsowski zamyślił się przez chwilę, jakby analizował propozycję.

– Dziesięć dni. Dwadzieścia pięć tysięcy. Dwadzieścia na umowę, w której dokładnie określimy, z czego może pani w tym czasie korzystać. Pięć tysięcy dla mnie, bez umowy. Plus koszty ekipy sprzątajacej.

– Dobrze. – Marianna zgodziła się tonem wskazującym, że pieniądze naprawdę nie grają dla niej żadnej roli.

Wąsowski w duchu pożałował, że nie krzyknął więcej. Rzeczywiście, o klienta na taki apartament nie było wcale łatwo. Wiele mieszkań poszło na pniu, zostały te najdroższe, umiejscowione na najwyższych piętrach. Apartament na pięćdziesiątym kosztował niemal pięć milionów. Jeszcze nie było kupca.

Agencja nie przewidywała opcji wynajmu, ale przecież szefem był Kozerski, który potrafił liczyć pieniądze jak mało kto. Na pewno się zgodzi.

– Umowę prześlę mailem jeszcze dziś.

– Kiedy mogłabym się wprowadzić?

– Nie jestem decyzyjny. Jeśli mój przełożony zaakceptuje taki układ, to dam pani znać. Z pewnością będziemy musieli przeanalizować najpierw grafik spotkań. Jak wspomniałem, chętnych jest wielu... Możemy ewentualnie... myślę głośno – podkreślił – powiedzieć, że przez kilka dni trzymamy rezerwację...

Marianna skinęła głową. Było jej wszystko jedno, w jaki sposób rozwiążą tę sprawę. Zależało jej, żeby przed ostateczną decyzją pomieszkać w apartamencie i upewnić się, że to dobry wybór. Miała dość pieniędzy, ponieważ olbrzymie sumy otrzymała zarówno z ubezpieczenia po śmierci rodziców, jak i na mocy spadku, jednak kwota ponad dwóch milionów złotych nawet jej wydawała się abstrakcyjnie wysoka. Taką cenę byłaby skłonna zapłacić jedynie wtedy, kiedy miałyby gwarancję, że naprawdę znajduje się w niebie, bliżej aniołów i gwiazd.



Rozdział 3



Dzień był słoneczny. Kaja obudziła się w wyśmienitym humorze. Zerknęła na zegarek, wskazywał wpół do dziesiątej. Z dołu dobiegał ją zapach smażonego bekonu. Uśmiechnęła się na myśl o Pawle. Noc była naprawdę upojna i dzięki temu cel prawdopodobnie został osiągnięty.

Daisy cichutko skomlała, nie ważąc się głośniej domagać wyjścia na dwór.

– Cicho, mała, zaraz cię wypuszczę. – Kaja cmoknęła do suczki, tarmosząc ją po uszach.

Niechętnie odrzuciła kołdrę i wyszła z łóżka. Było chłodno. Mimo to zdecydowała się zejść na dół w samej koszulce i lekkich różowych klapkach. Wypuściła Daisy na dwór i weszła do kuchni.

– Mmmm, ale pachnie. – Z uśmiechem podeszła do Pawła. – Dla mnie też wystarczy?

– Sorry, nie pomyślałem o tobie. – Paweł zdjął z patelni skwierczący bekon i położył na talerzu obok trzech sadzonych jajek.

– Nie szkodzi – powiedziała niezmiészana. – Prawdę mówiąc, nie znoszę takich śniadań, są zbyt kaloryczne. W dodatku ten cholesterol...

Paweł nie skomentował. Usiadł do stołu i zaczął jeść. Kaja uruchomiła ekspres.

– Kawy? – spytała.

– Czarną.

– Zdaje się, że i tak nie ma mleka – zauważyła, zajrzawszy do lodówki. – Możesz pojechać do sklepu, bo brakuje też innych produktów.

– Dziś nie planuję zakupów. Jest niedziela, mam ciekawsze rzeczy do roboty. I to ja ocenię, czego brakuje, a czego nie. Ty, zdaje się, będziesz się dziś pakować...

– Och, Paweł – mruknęła Kaja i ostentacyjnie wywróciła oczami. – Przecież nigdzie mi się nie spieszy. Bez przesady, znów przybierasz pozę złego wilka? Wrrrr! – zawarczała prześmiewczo.

– Uważasz, że skoro przespaliśmy się ze sobą, to możesz tu mieszkać?

Kaja usiadła naprzeciwko, zakładając nogę na nogę. Koszulka nocna mocno się podwinęła, ukazując szczupłe uda.

– Szczerze? – spytała zmysłowym głosem. – Tak właśnie uważam. I ani mi

się śni dzisiaj pakować. Naprawdę, myślałam, że doszliśmy do porozumienia.

– Zgodziliśmy się co do tego, że obydwójce mamy ochotę na seks. Wino i whisky zrobiły swoje. Dziś jednak możemy wrócić do rozmowy. Chciałbym, żebyś się wyprowadziła.

– Mój drogi, przypominam, że rozmawialiśmy wczoraj i zgodziłeś się, żebym jeszcze trochę tu została.

– Chyba byłem pijany – parsknął Paweł.

– Ale słowo się rzekło. – Kaja mrugnęła okiem. – Przecież nie wygonisz biednej białogłowy na ostry mróz bez kurtki i butów. Siedzę tu od lata, nie mam zimowych ubrań.

– Masz samochód. Nagrzejesz w nim i dojedziesz do Wrocławia.

– Jesteś dziś naprawdę nieprzyjemny. A wczoraj byłeś taki miły. Zadziwiające, jak mężczyźni potrafią się zmieniać.

– Nie bardziej niż wy.

– Nie bądź złośliwy. Proszę cię o ledwie kilkanaście dni. Po świętach wyjadę. Myślisz, że ja tu siedzę z przyjemnością? To dla mnie też udręka, wolałabym teraz sączyć prosecco w milej wrocławskiej restauracji, niż zadrećcać się myślami, co zrobić z lasem.

– Prosecco o dziesiątej rano? Niezły masz styl życia – zadrwił Paweł. – Poza tym myśleć możesz w każdym innym miejscu, nie musisz być tu.

– Moja sprawa, gdzie myślę. Wczoraj coś ustaliliśmy. Jesteś aż tak niehonorowy?

Słowo o honorze musiało uderzyć w Pawła, ponieważ zagryzł wargi i odwrócił wzrok.

– Do świąt. Ani dnia dłużej. I wolałbym, żebyś nie wchodziła mi w drogę. Ani ten twój pies.

– To sunia – mruknęła Kaja i odruchowo wyjrzała za okno. – Daisy! – krzyknęła nagle. – Jak mogłeś zostawić otwartą bramę?! – Spojrzała na Pawła z wyrzutem. Ten tylko wzruszył ramionami.

Kaja poderwała się i łapiąc w przedpokoju kurtkę mężczyzny, wybiegła na zewnątrz.

– Daisy! – krzyczała, rozglądając się po podwórzu. – Daisy! Daisy!

Psina odnalazła się nieopodal, na drodze. Biegała wokół kilkuletniego chłopca, który bawił się z nią, rzucając jej patyk.

– Daisy! – Kaja podbiegła do nich i z ulgą podniosła psa na ręce. – Kochanie moje, jesteś. Nie można wybiegać za bramę, Kajunia się denerwowała. – Wyczałowała sunię. Daisy próbowała się wyrwać z objęć. Zabawa z chłopcem sprawiała jej wiele radości. Kaja dopiero teraz zwróciła uwagę na malca.

– A ty co? – warknęła. – Nie masz co robić? Oko mógłbyś jej wydłubać tym kijem. Wyrzuć to!

- My się tylko bawiliśmy... – wymamrotał chłopiec.
 - Też mi zabawa! Z kolegami się tak baw, a nie z bezbronną psiną. Piłeczkę można rzucać, a nie takiego kija.
 - Nie wiedziałem...
 - To teraz wiesz. I lepiej idź do domu. Gdzie mieszkasz?
 - Tam. – Chłopak ręką wskazał budynek, który stał na końcu ulicy, nieopodal kapliczki.
 - No to zmykaj.
 - Dziecko posłusznie skinęło głową i ruszyło w stronę swojego domu.
 - Czeka! – krzyknęła nagle Kaja.
 - Chłopiec zatrzymał się i spojrzał na Kaję przestraszony.
 - Słuchaj... – powiedziała już spokojniejszym tonem. – Ile masz lat?
 - Dziewięć.
 - Dziewięć... To chodzisz do szkoły?
 - Tak. Chce pani iść na skargę?
 - Nie, zapomnij o wszystkim. Niepotrzebnie się uniosłam. A Daisy chyba cię polubiła... Ona uwielbia zabawy i spacer... Ja teraz nie bardzo mam czas... Pomyślałam, że skoro mieszkasz tak blisko, to może mógłbyś wpadać czasem i wyprowadzać ją na spacer? Zapłaciłabym. Co powiesz na trzy złote?
 - Za jeden spacer?
 - Ale na smyczy. I o ustalonych porach. O której kończysz szkołę?
 - O czternastej. A jak cztery lekcje to o jedenastej.
 - Dobra. To po szkole. Może być?
 - No pewnie! Super! To do jutra, Dzejzi! – krzyknął do psa.
 - Daisy – poprawiła Kaja. – Stokrotka. Daisy. A ty jak masz na imię?
 - Karol.
 - Świetnie. Ja jestem Kaja, a to Daisy.
 - Tak, zapamiętałem już. Dzejzi, do jutra!
- **

Trzasnęły drzwi wejściowe. Kazimierz ocknął się z drzemki przed telewizorem.

- Jasia, to ty?! – krzyknął, ale nie uzyskał odpowiedzi.
- Ściszył głos w odbiorniku i obrócił wózek. Z trudem przemieścił się do kuchni.
- Jasia?
- Kobieta siedziała na kuchennym krześle w palcie i butach, chowając głowę w dłoniach.
- Jasia, wszystko w porządku? – zaniepokojony Kazimierz ponowił pytanie.
- Żona zaczęła szlochać.

- To nie na moje nerwy – powiedziała po chwili. – Nie na moje nerwy.
- Co się stało?
- Idiotkę musiałam z siebie robić. – Janina westchnęła głośno i otarła nos wierzchem dłoni. – Wyobraź sobie, że Zosia o niczym nie wie.
- Jak to nie wie? Niemożliwe, może udawała!
- A skąd! Nie można tak udawać. To ja udawałam, że jej nie widzę, mimo że siedziała w drugiej ławce, ja też zawsze tam siadam. Tym razem udałam, że mam sprawę do Krystyny i zasiadłam w pierwszej, wcale na Zosię nie patrząc. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że ona nie przyjdzie na dziewiątą. Byłam pewna, że też będzie chciała mnie unikać i pójdzie na mszę na dwunastą.
- No pewnie, to ona powinna się wstydić. Przecie to jej córka wystawiła naszego syna, a nie na odwrót.
- No tak, ale ona o niczym nie wie. Jestem przekonana, jak Bożę kocham, że ona jest nieświadoma, co się wydarzyło.
- Jak to tak? – nie dowierzał Kazimierz.
- Mnie pytasz?
- I co, rozmawiałyście?
- Ano, przydybała mnie przed kościołem. Zaaferowana cała, że musi ze mną porozmawiać, bo jakiś tam jej kuzyn czy pociotek w zespole gra, takim weselnym, no wiesz... No i ona z nim rozmawiała i termin mają wolny.
- Jaki termin?
- Na ślub.
- Ale ślubu przecie nie będzie!
- Ty nieprzytomny jesteś, Kazik? – Janina spojrzała podejrzliwie na męża. – Piłeś coś? No przecie, że ślubu nie będzie, ale gadam ci, że Zosia o tym nie wie. Jakby wiedziała, to nie mówiłaby o kuzynie, co gra na harmoszcze w zespole.
- Nic nie piłem. Oko mi się złapało. Mózg jeszcze się nie rozbudził. Ale co, mówiłaś, że ślub odwołany?
- Gdzie tam, Kazik! Ja heroldem złych wiadomości nie będę!
- Kim?
- Posłańcem. Mówi się tak. To ten, co go pierwszego ścinają.
- Kazimierz zamilkł, zafrasowany słowami żony. Głowa go rozbolała, ale wolał się nie uskarżać.
- Mariolka powinna rodziców poinformować, nie ja – ciągnęła Janina. – Ewentualnie Paweł mógłby pogadać z niedoszlą teściową. Ja nie miałam odwagi, to nie na moje nerwy.
- To co jej powiedziałaś?
- Ano nic. Ucieszyłam się, że termin wolny. Powiedziałam, że z młodymi trza to ustalić, to oni mieli wybierać orkiestrę.
- Ucieszyłaś się? Tak na zawołanie?

– A co miałam zrobić? Płakać do niej? Od razu by się domyśliła, że coś jest nie tak. Wolałam idiotkę z siebie zrobić, niż powiedzieć prawdę. To nie na moje nerwy, mówię ci, Kazik, ile mnie to udawanie zdrowia kosztowało, szczególnie żeśmy wracały z kościoła razem.

– Romka nie było?

– I całe szczęście. Ponoć przeziębził się czy coś. Jeszcze mi Romka brakowało, wiesz, jaki on jest. Z Zosią można dać sobie radę, bo cały czas gada, ale Romek. Nie daj Bóg, spytałby o coś i zacząłabym kręcić... Dobrze, że go nie było.

– Masz rację, to nie my powinniśmy powiadamiać ich o odwołanym ślubie. Pawła trza wysłać, żebyś następnym razem takich katuszy nie przeżywała.

– O wilku mowa! – krzyknęła Janina, zauważywszy przez okno syna zbliżającego się do domu.

Zanim wszedł do środka, zdążyła zdjąć palto i nastawić wodę na herbatę. Kazimierz przeczesał dłonią włosy i poprawił pozycję na wózku. Głowa bolała go coraz bardziej, ale nastrój miał bojowy. Widząc zasmuconą żonę, postanowił sam rozmówić się z synem.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, zanim Paweł zdążył się przywitać.

– Wiem, miałem zawieść mamę do kościoła. Zasnęłam. Przepraszam, pojedziemy na dwunastą.

– Już byłam – szepnęła Janina, krzątając się przy kuchence. Nie chciała, żeby syn zauważył jej zapłakane oczy.

– Była i widziała się z Zofią. Czy ty wiesz, że oni nic nie wiedzą o odwołanym ślubie?

– Nie wiedzą? – zdziwił się Paweł. Usiadł na krześle, na którym wcześniej siedziała Janina.

– Śniadanie jadłeś, synku? – zatroskała się kobieta.

– Jasia, to dorosły chłop jest – zauważył Kazimierz. – Ty tu nie skacz przy nim, i tak masz za dużo do roboty. Teraz trza pozłatwiać ważniejsze sprawy. Musisz rozmówić się z teściami – zwrócił się do syna. – Ty wiesz, co matka przeżywała w kościele? Nie może tak być.

– Naprawdę Gawińscy nic nie wiedzą?

– Jak Boga kocham. – Janina uderzyła dłonią w piersi. – Nic a nic. O orkiestrze na wesele mi dzisiaj Zosia gadała, a ja nie wiedziałam, jak się zachować.

– Dobrze, pojedę do nich.

Janina odetchnęła. Zaparzyła herbatę i postawiła na stole dzbanek.

– Tylko, synku, delikatnie, bo wiesz... – wtrąciła. – Zosia też nie z grubego drewna ciosana, wrażliwa jest... Po prawdzie to bardzo ją lubię...

– Wrażliwa nie wrażliwa, jak taką córkę wychowała – zauważył zgryźliwie Kazimierz.

– Już się Zosi o to nie czepiaj. – Janina obrzuciła męża nieprzyjemnym spojrzeniem. – Mariola dorosła jest. A w Hamburgu widocznie w głowie jej się przewracało, to nie wina Zosi.

Kazimierz zagryzł usta, żeby nie skomentować, choć cisnęło mu się jeszcze kilka słów. Nie chciał jednak zaogniać sytuacji, Janina i tak była od wczoraj kłębkim nerwów, podobnie jak on.

– A jak sprawa z letniczką? – zagaił syna, żeby nie rozmawiać już o Zosi i Marioli.

– Dobrze. Załatwiona. – Paweł podsunął bliżej filiżankę z herbatą i sięgnął po cukiernicę.

– Grzelaka widziałam, jak od was wychodzi – powiedziała Janina. – Domyślałam się, że nie było łatwo, skoro po niego zadzwoniłeś.

– Nie ja. Ona zadzwoniła. Nieważne zresztą. – Paweł wsypał do herbaty dwie kopiaste łyżeczki cukru. Mieszał zapamiętane.

– To kiedy się wyprowadza?

– Dałem jej czas do świąt.

– Do świąt? – Kazimierz niemal podskoczył na wózku. – To przecie jeszcze trzy tygodnie! – Skonsternowany spojrzał na Janinę. Zauważył, że i ona jest zdumiona.

– No tak, a coście myśleli? Że dam jej uciec? – Paweł spojrzał ojcu prosto w oczy. – Już dziś chciała się pakować i zwiewać, ale kategorycznie jej zabroniłem.

– Jak to? – Janina usiadła naprzeciwko Pawła i też naląła sobie herbaty.

– Przecież od kilku miesięcy nie płaci. Niech najpierw odrobi dług, a potem wyjeżdża. Jak nie spłaci zaległości, nie wypuszczę, choćby mnie na kolanach błagała.

– To ja myślałam, że... – podjęła niepewnie Janina. – Ale może masz rację, synku...

– Pewnie, że ma rację – przyznał po zastanowieniu Kazimierz. – Najpierw niech baba spłaci dług. Za darmo przecie nie mieszkała.

– Ale co ludzie powiedzą... – Janina wyraziła wątpliwości. – Mieszkać tak z obcą kobietą, pod jednym dachem? To nie uchodzi, synku... A jeszcze teraz, gdy po wsi gruchnie wiadomość, że ślub z Mariolką odwołany... Może niech ona tam sprząta, prasuje ci, odrabia dług, a ty do nas się przenieś.

– Nigdzie się nie będę przenosił. A ludźmi się nie przejmuj.

– No jak to, synku? A coś ty się wczoraj urodził? Nie wiesz, że dla ludzi cudze życie jest ciekawsze niż własne?

Paweł przemilczał uwagę. Dopił herbatę i wstał.

– Skoro nie jedziemy do kościoła, to na mnie już pora. Zajrzę do Gawińskich, będę miał to z głowy.

– No ale może nie dziś. Nie wypada, żeby niedzielę ludziom psuć. Jutro pojedź.

– Matka ma rację – podjął Kazimierz ostatkiem sił, bo głowa niemal mu już pękała.

– A na obiad nie zostaniesz? – zainteresowała się Janina.

– Bitki mam z wczoraj, te, co przyniosłaś.

– No tak, no tak... Ach, zapomniałabym. Renia przyjeżdża z dzieciakami, szóstego. Mikołajem będziesz? Ja prezenty już kupiłam.

Paweł skinął głową. Ucałował matkę i uniósł dłoń w geście pożegnania z ojcem. Wyszedł.

– Źle robi... – westchnęła Janina, patrząc przez okno za oddalającym się synem. – Powinien wygonić ją albo przenieść się do nas. Mówię ci, Kazik, jeszcze będą z tego wszystkiego kłopoty. Ja ci to mówię. Słuchasz mnie? – Spojrzała z wyrzutem na męża.

– Słucham, Jasiu, ale ledwie słyszę. Głowa mi pęka.



Rozdział 4



Winda bezszelestnie mknęła w górę. Dorota przybliżyła twarz do lustra, przyglądając się swojemu odbiciu.

– Kiepskie światło – zauważyła. – W takim budynku wszystko powinno być najwyższej jakości, nieprawda? – Zerknęła na Alicję.

– Nie zastanawiałam się akurat nad światłem – przyznała po chwili wahania Alicja.

– No widzisz, w swojej galerii zwracasz uwagę na każdy szczegół. A tu, moim zdaniem, światło jest kiepskie, uwypukla każdą zmarszczkę, nie powinno tak być.

– Daj spokój, nie masz przecież zmarszczek.

– W tym świetle mam. – Dorota skrzywiła usta, ponownie przybliżając twarz do lustra. – Tu, na czole, nie widzisz?

– Nic nie widzę. Nie oczekuj, że światło nagle cię odmłodzi.

– Wystarczy, jeśli nie będzie postarzać – odburknęła Dorota.

Winda stanęła i drzwi zaczęły się rozsuwać. Marianna już czekała.

Apartament okazał się piękniejszy, niż się tego spodziewały. Dorota aż piała z zachwytu, ciesząc się, że ma okazję w nim gościć.

Alicja w milczeniu przesuwiała wzrokiem po wnętrzu. Było oszałamiające.

To miał być kameralny babski wieczór. Tylko one trzy, trochę jedzenia i trochę wina. Alicja się zdziwiła, widząc Mariannę ubraną w wieczorową suknię i suto zastawiony stół. Spojrzała zaskoczona na koleżankę.

– No co, jak szaleć, to szaleć. – Marianna się uśmiechnęła.

– Ja tam nie mam nic przeciwko – ucieszyła się Dorota.

– Nie gotowałam sama, to catering, ale wygląda smacznie.

– Jest jakaś okazja? – spytała Alicja, rozglądając się oszołomiona po apartamencie. – Ktoś jeszcze przyjdzie?

– Tylko my – wyjaśniła z uśmiechem Marianna. – A okazja, owszem, jest. Przeprowadzam się do Warszawy.

– Nie mów, że kupiłaś to mieszkanie! – Alicja niemal krzyknęła.

– Jeszcze nie – uspokoiła ją Marianna. – I nie wiadomo, czy je kupię. Na razie, jak wam mówiłam, wynajęłam. Ale kto wie... – Uśmiechnęła się tajemniczo.

– W każdym razie decyzja o przeprowadzce została podjęta. Nie cieszysz się?

– Jasne, że się cieszę – powiedziała Alicja. – Bardzo się cieszę, przecież sama ci to proponowałam, tylko...

Dorota i Marianna spojrzały na Alicję pytającym wzrokiem.

– Tylko? – zagaiła Marianna wyczekująco.

– No... – zawahała się Alicja. – Po prostu... Działasz bardzo szybko. Dopiero co wróciłaś z Sewilli, od razu pojechałaś do Polanki, nawet nie chciałaś u mnie nocować. A nagle podejmujesz decyzję o przeprowadzce do Warszawy. I chcesz zamieszkać w tak obłędnie drogim apartamencie. Wszyscy wiedzą, jakie są ceny w tym budynku...

– Co ty się znowu czepiasz? – ofuknęła siostrę Dorota. – To sprawa Marianny, gdzie chce zamieszkać.

– Oczywiście, nie o to chodzi – podjęła szybko Alicja.

– Wiem. – Marianna kiwnęła głową. – Chodzi ci o to, że moje działania wydają się chaotyczne. Obawiasz się, że zbyt pochopnie podejmuję decyzje...

– No właśnie. – Alicja odetchnęła, ciesząc się, że została właściwie zrozumiana.

– Christián jest w Warszawie – wyjaśniła Marianna.

– Że co? – Alicja niemal podskoczyła. – Ten Christián? Nic nie mówiłaś!

– On nie wie, że ja już wiem, że on tu jest...

Dorota, słysząc słowa Marianny, parsknęła śmiechem.

– On tu jest, ale nie wie, że ty wiesz, że tu jest? To skąd wiesz, że przyjechał?

– Przeprowadził się do Warszawy. Prawdopodobnie myślał, że właśnie tu mieszkam. Dlatego ja też chcę się przeprowadzić. Skoro on mógł dla mnie przenieść się z Hiszpanii do Polski, to chyba nie powinnam robić problemu z przeprowadzką z Polanki do Warszawy.

– No ale dzwoniłaś do niego? Rozmawialiście? – dopytywała Alicja.

– Nie dzwoniłam. Numer został w moim hiszpańskim telefonie, przecież nie będę dobijać się do Teresy w tej sprawie.

– To skąd wiesz, że Christián tu jest.

– Bo same zaprowadziłyście mnie do hali Koszyki, a tam właśnie otwiera się Sobremesa.

Dorota z Alicją spojrzały na Mariannę, jakby zobaczyły ją po raz pierwszy.

– No tak... – podjęła ostrożnie Dorota. – Otwiera się... Ale skąd wiesz, że za tą restauracją stoi akurat Christián?

– Bo byłam tam. Restauracja wygląda obłędnie, lada moment nastąpi otwarcie. Zaczepiłam jakiegoś mężczyznę i spytałam o Christiána Torresa. Odpowiedział, że Christián wyszedł i że powinien wrócić za godzinę.

– Nie poczekałaś? – zainteresowała się Alicja.

– Po co? Chciałam tylko się upewnić, że Christián tu jest.

– A zostawiłaś chociaż numer telefonu do siebie? – spytała Dorota.

Marianna wzruszyła ramionami.

– Teraz to bez znaczenia. Odwiedzę go w odpowiednim czasie. Uznałam, że skoro on nie skontaktował się ze mną, to znaczy, że ma jakiś powód. Być może chce mi zrobić niespodziankę, nie będę jej psuła. Zresztą myślę, że on teraz ma milion innych rzeczy na głowie, nie chcę go w takim momencie rozpraszać.

– Racja – przyznała z zapalem Alicja. – Sama wiem, jak to jest. Gdybym spotkała się z Konradem w czasie, kiedy szykowałam galerię, raczej nie byłabym w stanie o niej myśleć. – Roześmiała się.

– No właśnie, może w końcu wtajemniczysz nas w swoje sprawy? – spytała Marianna. – Nie miałam śmiałości o to pytać, ale mamy babski wieczór... to chyba wypada?

– No cóż... – Alicja przygryzła wargę. – Wyjaśniliśmy sobie z Konradem to i owo...

– Ja wszystko wiem! – krzyknęła Dorota, sięgając po butelkę wina i korkociąg. – Alicja plus Konrad równa się wielka miłość. I nie ma co, dziewczynki, trzeba to opić. – Zwinnym ruchem odkorkowała wino i rozlała do kieliszków. – Za mężczyzn! – Wzniosła toast.

– Za naszych mężczyzn – dodała Alicja.

– No, no – zamruczała Marianna. – Kto by pomyślał, że wszystko się tak ułoży...

– Ty znalazłaś miłość – zgodziła się Dorota. – Alicja ją odzyskała. A ja... No cóż, ja codziennie ją w sobie rozpalam. – Parsknęła dźwięcznym śmiechem i upiła łyk wina. – Patryk jest świetny, najwspanialszy, najlepszy. Naprawdę się zaangażowałam – dodała poważniej. – Myślę, że jest tego wart.

– A zatem za miłość. – Alicja podniosła ponownie kieliszek. Upiła łyk i westchnęła, rozglądając się wokół. – Rany, jak tu jest wspaniale...

– Marianna, zgaś światło – zaproponowała Dorota i podeszła do szklanej szyby, za którą rozciągał się widok na Warszawę. Miasto oświetlone milionem światełek i tonące w śniegu z tej perspektywy wydawało się i odległe, i bliskie zarazem.

Marianna wyłączyła lampy i teraz w szybie odbijały się tylko świece płonące na stole. Powietrze za oknem było przejrzyste, a delikatne płatki śniegu wolno tańczyły unoszone leniwym wiatrem.

Dorota stanęła przy oknie, po chwili podeszły do niej Alicja i Marianna. Przez dłuższy moment w milczeniu kontemplowały widok.

– Nie lubię zimy, ale to jest piękne – przerwała ciszę Alicja.

– Masz rację, tutaj, teraz i w naszym stanie ducha nawet zima jest piękna – przyznała melancholijnym głosem Dorota.

– Cudowna zima – dodała Marianna, równie rozmarzonym tonem.

– Cudowna – zgodziła się Alicja.



Rozdział 5



Nie spał już, ale ciągle polegiwał w łóżku. Było wpół do siódmej, za oknem jeszcze ciemno, a ciepła pościel tak przyjemnie otulała. Danka krzątała się w kuchni, szykując śniadanie dla dzieciaków, mimo że do szkoły miały dopiero na ósmą. Ona nigdy sobie nie pośpi – pomyślał Grzelak. Zawsze wstaje o szóstej i do roboty. Ciągle coś robi, a to gotowanie, a to sprzątanie, prasowanie, pranie, a jak w domu oporządzone, to jedzie do rodziców, by pomóc przy gospodarstwie. Ciągle coś, jakby życie składało się z samych obowiązków. Psychopatka.

Przeciągnął się leniwie i odwrócił na drugi bok. Sięgnął po telefon, żeby się upewnić, że może jeszcze trochę pospać. Wprawdzie nie musiał się zrywać i lecieć do pracy, ale wiedział, że jeśli zostałby w domu, Danka zagoniłaby go do jakiejś roboty, ostatnio okropnie zrzędziła, że trzeba by umyć okna na święta. Okna! – Wzdrygnął się. – W takie zimno, oszalała, psychopatka.

Położył telefon obok siebie, na poduszce. Przymknął oczy, lecz zaraz zerwał się na dźwięk, który rozbrzmiał wprost do jego ucha. Nerwowo złapał za komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Posterunek.

Przekierowanie z telefonu stacjonarnego na komórkę ustawił już dawno, do tej pory jednak nie miał okazji go wypróbować. Któż może dobijać się o tej porze, czyżby znowu Kaja? Następna psychopatka.

Niezadowolony, odchrząknął, żeby głos nie zdradził rozespania, i odebrał.

– Komendant Grzelak. Polanka. Słucham.

– Jezus Maria! Nareszcie! – Męski głos po drugiej stronie był wyraźnie rozedrgany. – Już myślałem, że nigdy nie odbierzecie! Dzięki Bogu! Proszę natychmiast przyjechać nad jezioro!

– Kto mówi? – Grzelak poczuł delikatny przyptyk adrenaliny, ale zachował zimną krew. Jego głos był spokojny.

– Mirosław Borek. Proszę natychmiast przyjechać! Tu jest trup!

– Jaki trup?

– Z przerębla wystaje. Trup jak nic. W jeziorze.

– Co?! – Grzelak odsunął telefon i jeszcze raz spojrzał na wyświetlacz, jakby upewniając się, że rozmowa odbywa się naprawdę.

– Halo? Halo? – usłyszał nawoływanie.

– Jestem – odezwał się. – Proszę powtórzyć jeszcze raz.

– Z przerębla wystaje ciało. Trup jak nic. Nie rusza się, nieżywy, jak Boga kocham.

– Ale kto to jest?

– A skąd mam wiedzieć, przyjedźcie jak najszybciej!

– A pan kim jest? – Grzelak zadawał pytania, byle o coś pytać. W środku czuł wzbierającą złość.

– Mówiłem, Mirosław Borek. Jestem wędkarzem, sam ten przerębel wykroiłem, dziś przyszedłem na ryby...

– Już ja ci dam ryby! – krzyknął Grzelak, bo nagle tak w nim wezbrało, że nie chciał już bawić się w grzeczności. – Już ja ci dam trupa! Żartowniś się znalazł, nie ze mną takie numery! Wędkarz znad jeziora, tak?

– No tak... – Po drugiej stronie słuchawki głos jakby stracił rezon.

Grzelak zacisnął szczęki i mocniej ścisnął telefon. Przełknął ślinę.

– Halo? – zapytał cicho i nieśmiało głos po drugiej stronie. – Halo?

– Wal się!

Komendant z impetem wcisnął przycisk rozłączający rozmowę. Dyszał ciężko, przeklinając w myślach złodzieja, który wykradł jego książkę i teraz stroi sobie żarty. „Wędkarz znad jeziora”, trup w przeręblu, zima. Już mogli przynajmniej coś zmienić, może wtedy by się nie poznał.

– Ale jakim cudem? – mruknął do siebie ze złością. – Jakim cudem? – zastanawiał się głośno. W którym momencie mogło dojść do kradzieży? Książki nikomu nie pokazywał, wysyłał ją drogą elektroniczną, bezpośrednio do wydawców. Czyżby wydawca? Jakiś świr? Kolejny psychopata? A może jakiś gnojek ze wsi znalazł na śmietniku, przecież drukował nie raz, żeby spokojnie pousuwać błędy. Lepiej się czyta tekst na wydruku niż na ekranie. Zawsze jednak darł, zanim wyrzucił do śmieci. Chyba darł... Sam już nie pamiętał.

Odechciało mu się spać. Sięgnął po papierosy, ale zaraz je odłożył. Danka nie lubiła, kiedy kopał w domu, wołał się nie narażać.

Zapalił światło i otworzył szafę. Ubrał się szybciej niż zazwyczaj, bo jak najprędzej chciał wyjść z domu i zapalić.

Telefon znów zadzwonił. Znów wyświetlił się posterunek.

Grzelak przez chwilę wpatrywał się w aparat, obmyślając strategię rozmowy. Nie chciał dać złodziejom i żartownisiom satysfakcji. Nie chciał też dać po sobie poznać, że wytrącili go z równowagi. Odebrał.

– Grzelak, słucham.

– Halo? Policja? – Rozedrgany cichy głos należał bez wątpienia do tego samego mężczyzny co wcześniej.

– Wędkarz znad jeziora, jak mniemam? – spytał nonszalanckim tonem Grzelak.

– Tak, to ja. Przepraszam, że niepokoję, ale łączy mnie cały czas z panem.

Może zna pan jakiś inny numer na policję? Strasznie marznę.

– No i co jeszcze?

– Panie, błagam, pan se nie rób żartów, pomóż pan, znajdź mi numer na policję albo sam zadzwoń. Ja przy trupie cały dzień nie będę warował.

– Tak się składa, że dodzwoniłeś się pan na policję. I tak się składa, że wyświetlił mi się twój numer – zagrzmiał Grzelak, ciesząc się, że udało mu się sklecić kłamstwo. – Znajdę cię.

– O Jezu, dziękuję! – odetchnął rozmówca. – To czekam. – Połączenie zostało przerwane.

Komendant, oszołomiony, wpatrywał się w komórkę. Zgłupiał. Mężczyzna wydawał się naprawdę poruszony i naprawdę się zdawało, że ulżyło mu, kiedy Grzelak powiedział, że go znajdzie.

– Cholera jasna! – zaklął cicho. Spojrzał za okno, wciąż jeszcze nie widniało. Światło nagle rozbłysło, Danką z impetem weszła do sypialni.

– O, a ty już na nogach? Ubrany?

– Umarlaka byś obudziła. Do roboty lecę – odpowiedział zdawkowo.

– Daj se spokój, po co masz jechać na posterunek, we wsi nic się nie dzieje, okna byś lepiej pomył.

– Samochód biorę – poinformował, wymijając ją w drzwiach.

– Ogłupiałeś? Rowerem se jedź, jak już żeś się uparł. Samochodu nie dam, dzieciaki muszą zawieść do szkoły.

– Na piechotę pójda.

– W taki ziąb?

– To nie Syberia.

Danka chwyciła się pod boki, wyminęła męża i zagroziła mu drzwiami.

– Gienek? – Zmrużyła oczy. – Co ty kombinujesz?

– Wezwanie dostałem – warknął. – Kluczyki.

Kobieta, słysząc zdecydowany ton, posłusznie sięgnęła po torebkę.

– Tylko nie zgub – mruknęła, podając dokumenty i kluczyk.

**

Nie wiedział, z której strony powinien podjechać, dlatego zdecydował się okrążyć jezioro w nadziei, że człowiek, który dzwonił – o ile nie był to żart – wyjdzie mu naprzeciw. Okazało się, że nie musiał długo szukać, bo kiedy tylko minął Polankę, nieopodal brzegu jeziora zauważył zaparkowane obok siebie dwa samochody. Jeden z nich był uruchomiony, co dało się zauważyć po chmurze spalin wydobywającej się z rury wydechowej.

Grzelak stanął nieopodal i wyłączył silnik. Zanim wysiadł z auta, rozejrzał się wokół, usiłując dojrzeć, czy w jeziorze rzeczywiście jest przerębel i czy naprawdę wystaje z niej jakieś ciało. Niestety, z tej odległości i o tej porze dnia

niewiele było widać. Jednak w uruchomionym aucie bez wątpienia ktoś siedział, a zatem wezwanie mogło okazać się prawdziwe.

Nagle poczuł, jak puls mu przyspiesza. Wsiadł z samochodu. W tym samym czasie otworzyły się drzwi stojącego nieopodal auta. Mężczyzna, którego ujrzał Grzelak, był niski i chudy. Jego nieogolona blada twarz wydawała się zmęczona. Miał na sobie puchową kurtkę koloru khaki, brązowe spodnie i wysokie buty podobne do kaloszy. Naprawdę mógł być wędkarzem – przebiegło Grzelakowi przez myśl.

– Pan z policji? – spytał mężczyzna.

– Komendant Grzelak. To pan wzywał?

– Ja. Mirosław Borek. Z Makowa jestem, pewnie pan mnie nie kojarzy...

– A powinienem? – zainteresował się Grzelak.

– Ule mam. Pszczelarz.

Grzelak zmrużył oczy.

– Pszczelarz... – mruknął. – A mówił pan, że jest wędkarzem.

– To też. Ale wędkarzem amatorsko – wyjaśnił zmęczonym głosem mężczyzna. – A niech mnie licho z tym wędkowaniem – prychnął i splunął za siebie. – Teraz będzie mi się śnił po nocach ten nieboszczyk. Co mnie podkuśiło, żeby ten przerębel wydrążyć... Okonia mi się zachciało... Pszczoły to pszczoły, do ula nikt by ciała nie wsadził...

– Chodź pan – zarządził Grzelak. – Zobaczą. Może to wcale nie nieboszczyk.

– Żywy nie jest, jak babcię kocham. Trup.

– A może lalka i ktoś sobie żarty robi, chodź pan.

– Ja tam drugi raz nie pójdę – zaperzył się Borek.

Grzelak przełknął ślinę. Sam nie chciał iść. Odkąd został policjantem, nie dane mu było brać udziału w takiej akcji. Nie to, że się bał, ale nie czuł się pewnie.

– Chodź pan – ponowił rozkaz. – Przyświecisz latarką.

Szarzyzna taka, że niewiele widać. Masz pan latarkę?

– Mam. – Mężczyzna cofnął się do samochodu i wyjął z niego sporych rozmiarów reflektor.

– A ten drugi wóz? – spytał nagle Grzelak, wskazując na czarnego nissana.

– Nie wiem. Stał tu. Myślałem, że jakiś amator okoni też przyjechał, ale wychodzi na to, że auto należy do... wie pan. – Skinął brodą na jezioro.

– Uhm – mruknął komendant. – Może i tak... Wszystko się wyjaśni, idziemy.

– Ale...

– Idziemy – zakomenderował stanowczo policjant i ostrożnie zaczął schodzić w dół. W tym miejscu latem było łagodne zejście na plażę, ale zimą górka stawała się niebezpieczna. Grzelak przypomniał sobie, że właśnie tu jako dziecko zjeżdżał z kolegami na sankach, prosto na oblodzone jezioro. Teraz dzieciaki już się tak nie

bawią. Na szczęście – pomyślał.

– Gdzie ta dziura? – spytał, nie odwracając się do mężczyzny idącego za nim.

– Przerębel? Na lewo. Niedaleko pomostu.

Komendant skierował się we wskazaną stronę. Kiedy doszedł do oblodzonej tafli jeziora, przystanął. Po chwili niepewnie postawił prawą nogę na lodzie.

– Nie załamie się? – spytał.

– A gdzie tam. Od dwóch tygodni mróz trzyma, będzie z osiem centymetrów. Tam dalej to może cienie, ale tu? Śmiało!

– Może jednak pan przodem. Ma pan już wprawę.

– Tu można skakać. Bez obaw, wytrzyma.

– Wytrzyma – jęknął Grzelak i posuwistym krokiem, ostrożnie wszedł na lód.

Mirosław Borek zgasił latarkę, nie była już potrzebna, coraz szybciej dniało.

– Widzisz pan? – spytał komendanta.

Grzelak widział zarys sylwetki wystającej z lodu, ale była za daleko, by móc ocenić, czy to rzeczywiście człowiek. Nie odpowiedział, tylko szedł dalej.

– Ożeż kurrr.... – zmiął w ustach przekleństwo, kiedy wreszcie stanął na tyle blisko, by przyjrzeć się dokładnie.

– A nie mówiłem? Nie mówiłem?! – Niemal cieszył się Borek.

Grzelak zdjął czapkę, ale zaraz ją włożył. Przetarł czoło. Z wolna nachylił się nad ciałem wystającym z przerębla. Człowiek, który wyglądał, jakby próbował wyczołgać się z wody, niewątpliwie nie żył, o czym świadczyły nie tylko nieruchome martwe oczy, lecz także brak oddechu z uchylonych zamarzniętych ust. Był mężczyzną w wieku około trzydziestu lat. Kurtka, którą miał na sobie, i czapka leżąca nieopodal świadczyły o tym, że na pewno nie był typem morsa, który zapragnął zażyć orzeźwiającej lodowatej kąpieli.

Grzelak przemógł się i dotknął zeszywniałego nadgarstka, by sprawdzić puls. Zrobił to dla zasady, ale i z szacunku do nieboszczyka. Nie chciał, by ktokolwiek zarzucił mu zaniechanie. Wiedział, że już niebawem przyjedzie ekipa z Wrocławia. Znał procedury i choć nigdy nie musiał ich używać, to doskonale pamiętał, że w takim przypadku należy zabezpieczyć miejsce i powiadomić przełożonych.

**

Dzieciak się spóźniał i Kaja zlorzczyła pod nosem, co chwila patrząc na zegarek. Było już wpół do pierwszej, a chłopak mówił, że tego dnia ma tylko cztery lekcje i będzie koło południa. Czyżby odechciało mu się spacerów i łatwego zarobku? Przygotowane wcześniej trzy złote wrzuciła z powrotem do portfela. Jeszcze raz zerknęła na zegarek. Trudno, nie ma go, to nie ma. Kolejnej szansy nie

będzie – pomyślała, szykując się do codziennych ćwiczeń jogi. Kiedy usiadła na podłodze, rozległo się mocne pukanie do drzwi. Daisy zaczęła szczeekać.

– Super – syknęła Kaja, podnosząc się. – Idę! – krzyknęła.

Chłopiec przestępował z nogi na nogę, ciężko oddychał, nos miał czerwony i załzawione oczy.

– Płakałeś? – spytała Kaja odruchowo.

– Biegłem – powiedział zdyszany. – Zimno strasznie. Mogę do łazienki?

– Włącz. – Niechętnie wpuściła go do środka. – Na wprost. Chłopiec zdjął buty i w kurtce pobiegł do toalety.

– Słyszała pani o tym nieżywym człowieku? – zapytał po powrocie.

– Nie. O jakim nieżywym?

– Z jeziora wystawał. Z lodu.

– Człowiek z lodu? – parsknęła Kaja.

– No. Prawdziwy. Nieżywy.

– Dobra, dobra. Dlatego się spóźniłeś?

– No.

– Masz tu smycz. Za spóźnienie obcinam złotówkę.

– A mogę dzisiaj zamiast spaceru pobawić się z Dzejzi na podwórku? Biegłem strasznie, bo chciałem zobaczyć tego człowieka, a potem do pani. Nogi mnie boją.

– Akurat. I co, widziałeś coś?

– Już go wyjęli. Nic nie było widać.

– No pewnie. Bo go tam wcale nie było.

– Był.

– To pewnie był yeti, a nie człowiek z lodu.

– Co to yeti?

– Nieważne. Przymknij bramę, jak będziesz na podwórku, żeby mała nie uciekła.

– Mogę pouczyć ją sztuczek? Na przykład podaj łapę?

– A rób, co chcesz, byle pół godziny była na powietrzu.

Kiedy wyszli, Kaja odetchnęła. Nie lubiła dzieci. Wydumane rozmowy męczyły ją bardziej niż samotne rozmyślenia o problemie z lasem. Odechciało jej się ćwiczeń. Miała ochotę na rozgrzewającą herbatę z imbirami, bo otwierając dzieciakowi drzwi, sama zmarzła.

Zajrzała do lodówki. Pusto. Korzeń imbiru, którego kawałek jeszcze wczoraj leżał na górnej półce, dziś zniknął. Może Paweł wykorzystał go rano lub wyrzucił, myśląc, że to zeschnięta pietruszka. Na szczęście dostrzegła połówkę cytryny i to poprawiło jej humor.

Włączyła czajnik i sięgnęła do szafki po herbatę. Zadzwoił telefon. Zanim odebrała, rzuciła okiem na podwórko, upewniając się, że chłopiec zamknął bramę.

- Halo? – powiedziała do słuchawki.
- O! – zdziwiony głos po drugiej stronie nie wydusił z siebie nic więcej.
- Co „o”? – spytała zirytowana Kaja.
- Przepraszam. Z tej strony Magdalena Kot. Nie sądziłam, że pani odbierze.
- To po cholere dzwoniisz, skoro myślałaś, że nie odbiorę.
- Przepraszam... Tyle razy próbowałam się dodzwonić i nigdy pani...
- O co chodzi? – przerwała Kaja.
- No... Mhm...
- No mów! – Kaja pożałowała, że nie spojrziała na wyświetlacz.

Rzeczywiście od kilku ładnych tygodni nie odbierała telefonów z pracy, nie chciała się dodatkowo stresować. Odkąd mianowała Sabinę Grach swoją prawą ręką, uznała, że sama nie musi się angażować. Sprawa z lasem pochłaniała całą jej energię.

– Chciałam się dowiedzieć... Bo.... No... – jękała dziewczyna. – Odchodzę z pracy, mam już nową... I nie wiem, gdzie zostawić klucze...

Kaja zaklęła pod nosem. Jeszcze tego brakowało.

– Jak to gdzie zostawić klucze? Sabinie daj – odpowiedziała ostrym tonem, nie pytając Magdy o powody rezygnacji.

– Ale pani Sabiny przecież już od listopada tu nie ma... – wyszeptała dziewczyna. – Nikogo nie ma.

– Jak to?!

– Wszyscy odeszli. Ja też już mam dokąd pójść, więc również odchodzę.

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz! – Kaja usiadła na kuchennym stolku.

– Nie dostawali pensji, to odeszli. Nie wiem zresztą... Ja pensji nie dostawałam, sprawę do sądu pracy już...

– Czeka! Jeszcze raz! Gdzie jest Sabina? Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Jesteś tam?! – spytała wzburzona Kaja.

– Jestem. Pani Sabiny nie ma już od listopada. Podobno wysłała do pani wymówienie mailem. Dodzwonić się nie mogła.

– A SMS-y? Przecież jak się chce, to można złapać kontakt.

– Nie wiem. Jej niech pani spyta.

– A reszta ludzi? Kosmetyczki, dermatolog?

– Wykruszali się już od jakiegoś czasu. Wie pani, w salonie było coraz mniej klientów, ludzie gadali na mieście, że toniemy...

– Kuuuuurwa mać! – krzyknęła Kaja. Czuła, jak ciśnienie uderza jej do głowy. – Co wam wszystkim odbiło? Nienormalni jesteście? Przecież zawsze płaciłam, Sabina miała dostęp do konta, miała wszystkim się zająć na czas mojej nieobecności.

– Nie było klientów, to i pieniędzy na koncie nie było, wysyłała mailem zapytania do pani, wyciągi, próbowała się dodzwonić, przynajmniej tak nam

mówiła.

– I ludzie tak po prostu odeszli? – Kaja nie dowierzała.

– Księgowa ma wszystkie wymówienia, moje też. Ja chciałam tylko się dowiedzieć, komu mam dać klucze. Zawieźć do biura księgowego?

– Nie do wiary... – powiedziała Kaja bardziej do siebie niż do Magdaleny.

– Halo?

– Tak, zawieź do biura księgowego. Dziękuję, do widzenia.

Kaja, nie czekając na odpowiedź, przerwała połączenie. Odłożyła telefon i ukryła w dłoniach twarz. Tego było za wiele. Scenariusz, który brała pod uwagę tylko w najczarniejszych snach, właśnie zaczął się ziszczać. Tonęła. Zarówno finansowo, jak i wizerunkowo. Teraz śmiali się z niej we Wrocławiu zapewne nie tylko z powodu odwołanego nagle ślubu, ale i ucieczki oraz kłopotów finansowych. Salon piękności był jednym z najmodniejszych w mieście, przychodzili tam celebryci i ważne osoby. Dlaczego Sabina nie potrafiła tego wszystkiego utrzymać? Nie nadawała się? Spadła na nią zbyt wielka odpowiedzialność?

Kaja odkaszlnęła. Zaszło jej w gardle, ale nie miała siły sięgnąć po wodę. W głowie tłoczyły się myśli. Magda powiedziała, że wysyłali do niej sporo maili z informacjami o sytuacji w firmie. Kaja nie odbierała poczty z premedytacją. Podobnie jak telefonów z salonu. Bała się. Czuła się tak przeciążona problemami, że pragnęła od nich uciec, zamiast na bieżąco koordynować działalność firmy. Zawierzyła Sabinie, oddając w jej ręce wszystkie stery. Owszem, początkowo miało to trwać przez wakacje, nikt nie zakładał, że Kaja przedłuży nieobecność o kolejne miesiące. Ale żeby w tak krótkim czasie potracić klientów? Rzeczywiście, ktoś musiał rozpowszechnić w mieście jakąś plotkę o tonięciu firmy. Dawnej renomy w tej sytuacji nie da się już odzyskać.

Przygryzła wargi i podniosła głowę. Adrenalina buzowała we krwi. Kaja sięgnęła po telefon i wybrała numer Sabiny. Abonent niedostępny.

– Zabiję! – wycedziła. Wybrała numer salonu w nadziei, że odbierze Magda i poda nowy numer do Sabiny. Nikt jednak nie odebrał.

– Zabiję, pozabijam was wszystkich! Jeszcze mi za to zapłacicie! – powtarzała cicho Kaja, wpatrując się w komórkę. – Jeszcze za to zapłacicie!

W przyływie nowej energii podniosła się z zamiarem uchylenia okna. Było jej gorąco. Chwyciła za klamkę i zamarła.

– Ożeż ty! – krzyknęła, kiedy dotarło do niej to, co widzi. Puściła klamkę i rzuciła się do drzwi. Nie narzucając na siebie nic ciepłego, w sportowych spodniach, dresowej bluzie i klapkach wybiegła na podwórze. Chłopiec nie zdążył zareagować, kiedy zrzuciła mu z głowy czapkę i mocno wykręciła ucho.

– Wypieprzaj stąd! Gnoju jeden!

– Aua! Aua! – zaczęło krzyczeć dziecko.

– Spadaj stąd, bo cię rozszarpie!

- Aua! Za co? – Chłopiec zaczął płakać.
- Jeszcze się pytasz, gówniarzu? Biłeś Daisy po głowie, widziałam! – Kaja szarpnęła go za kurtkę i zdecydowanym ruchem prowadziła w kierunku furtki.
- Ale psze pani, ja nic nie zrobiłem, uczyłem ją tylko – jęczał płaczliwym głosem chłopak.
- Widziałam, wszystko widziałam! Biłeś ją, tłukłeś po główce! – mówiła zdenerwowana. Otworzyła furtkę i wypchnęła chłopca. – Żebyś tu więcej nie widziała! – krzyknęła za nim, kiedy zaczął biec w kierunku swojego domu. – Niech no tylko spotkam twoich rodziców, nogi ci z dupy wyrwą za to, co zrobiłeś!
- Wzburzona, oddychając ciężko, podniosła zdezorientowaną Daisy. Pies zaczął lizać ją po policzku.
- Już spokojnie, już dobrze – wyszeptała Kaja, zanosząc sunię do domu.

**

Technicy policyjni skończyli zabezpieczanie śladów, ciało martwego mężczyzny zostało zabrane przez odpowiednie służby. Na miejscu był też prokurator, który uważnie wysłuchiwał raportów. Przyjechał później niż inni i nie wyglądał na zadowolonego z powodu wycieczki do Polanki. Grzelak cierpliwie czekał na ewentualne rozkazy. Był głodny i skończyły mu się papierosy, ale nawet na chwilę nie przeszło mu przez myśl, by opuścić miejsce zdarzenia i pojechać do sklepu.

Tłum gapiów przy jeziorze gęstniał, choć ludzi nie było aż tylu, ilu można by się w takiej sytuacji spodziewać. Prawdopodobnie z powodu siarczystego mrozu przychodzili tylko ci najbardziej wytrzymali, głównie mężczyźni, by na własne oczy zobaczyć, co się stało. Karnie stali za specjalnie rozciągniętą taśmą i w niemal całkowitej ciszy obserwowali pracę policji.

Prokurator zapalił papierosa. Komendant spojrzał zazdrośnie, ale nie miał na tyle odwagi, by poprosić o poczęstowanie. Jednak wzrok mężczyzn się spotkał i prokurator trafnie odczytał tęsknotę za dymkiem ukrytą w spojrzeniu Grzelaka.

– Zimno, co? – spytał, podchodząc bliżej i wyciągając w kierunku przemarzniętego Grzelaka paczkę papierosów. Komendant przyjął papierosa bez wahania, mrucząc słowo podziękowania. Próbował zapalić, lecz w zgrabiających dłoniach trudno było mu utrzymać zapalniczkę.

– Przejdźmy do samochodu. Mam termos z kawą i pączki – zaproponował prokurator.

Kawa i pączki – jak w amerykańskich filmach, przemknęło przez myśl Grzelakowi i od razu wróciła mu energia.

– No i co tu się u was wydarzyło, he? – zagadnął prokurator, kiedy zjedli, a wewnątrz samochodu przyjemnie się nagrzało.

– Nie wiem. Pierwszy raz... takie coś... – wystękał Grzelak, bo wciąż

jeszcze czuł się zbyt przemarznięty, by sklecić logiczne wytłumaczenie.

– Wygląda na wypadek – ciągnął prokurator – choć na wyniki sekcji zwłok będziemy musieli poczekać. Wstępne analizy wykazują, że gość wysiadł z samochodu i poszedł na jezioro. Nie ma innych śladów. Jednak jeśli rzeczywiście nie było osób trzecich, to sprawa jest, delikatnie mówiąc, dziwna... Facet wysiadł z samochodu i wbiegł na jezioro, wpadając prosto do przerębli wydrążonej dzień wcześniej. A facet nie stąd.

– To już wiadomo? – Komendant upił kolejny łyk kawy i powoli odzyskiwał jasność umysłu.

– W kieszeni spodni miał portfel z dokumentami – prokurator spojrzął do notesu. – Ryszard Stępień. Lat dwadzieścia dziewięć, z Poznania. Chłopaki go sprawdzają, zaraz powinni dzwonić.

– A samochód?

– Kradziony. Właściciel mieszka w Śremie, zgłosił kradzież trzy dni temu.

– Hmm...

– Dochodzą jeszcze pieniądze, które znaleziono przy denacie. W kieszeni kurtki miał plik piętnastu tysięcy.

– Oj, to pewnie zamokły – wyrwało się Grzelakowi.

– Ilu was tu jest? – spytał prokurator, ignorując uwagę komendanta odnośnie do pieniędzy.

– Nas, czyli kogo? Mieszkańców?

– Was, czyli policji. Trzeba ruszyć śledztwo. Cokolwiek się zadziało, musimy ustalić, co tu robił i dlaczego tak, a nie inaczej skończył. Jak wspomniałem, na wyniki sekcji przyjdzie nam poczekać, a czas goni.

– Sam jestem – przyznał Grzelak. – Ale to żadna przeszkoda, dam sobie radę.

Prokurator spojrzął pełnym powątpiewania wzrokiem i dlatego Grzelak szybko dodał:

– Zresztą mam już pewien trop...

– Trop?

Grzelak odchrząknął. Nie wiedział, jak zacząć. Czuł jednak, że trop jest właściwy, a jeśli go zatai, może mieć w przyszłości z tego powodu kłopoty.

– Otóż... Napisałem książkę – przyznał się. – *Wędkarz nad jeziorem*. Nie będę streszczał fabuły, ale zdradzę, że schemat wydarzeń jest ten sam, co u mnie. Ktoś podrzuca zwłoki, żeby upozorować samobójstwo. Dziś oglądamy pierwszą scenę, pierwszy rozdział *Wędkarza*...

Prokurator uniósł brwi. Westchnął i odchylił się na siedzeniu. Po chwili wyjął paczkę papierosów, zapalił jednego i podał paczkę Grzelakowi.

– Jeszcze raz – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Jeszcze raz, bo to, co pan powiedział, trochę nam zmienia postać rzeczy... Mówi pan, że sytuacja,

jaka miała tu miejsce, mogła być celowa? I może mieć związek z... książką?

– Tak.

– Kiedy ta książka została wydana? W jakim nakładzie?

– No... jeszcze nie została wydana.

– Stop. Mówimy o książce, która nie ujrzała światła dziennego?

– Poniekąd. To znaczy, nie została wydana, ale napisałem ją i rozesłałem do wielu wydawców – szybko tłumaczył Grzelak. – Poza tym... Manuskrypt mógł zostać ukradziony... Możliwości jest wiele. Fakt jest taki, że to, co dziś przeżyłem, wyjęte jest z mojej książki! Odebrałem telefon, dzwonił wędkarz znad jeziora, że z przerębła wystaje trup...

– Nie do wiary... – przyznał prokurator. – I pan to wcześniej napisał?

– Tak.

– Dobrze. – Prokurator zmienił pozycję i odsunął fotel, żeby wyprostować nogi. – A zatem idąc tym tropem... Kto w pana książce podrzucił tego trupa?

– Sołtys – odpowiedział szybko Grzelak. – To znaczy nie – poprawił natychmiast. – Chyba tego pierwszego to jednak wędkarz...

– Pierwszego?

– No tak, bo... – Głos Grzelaka się załamał. Pożałował, że poruszył ten temat. Słyszając własne słowa, poczuł się jak wariat. Ale nie miał wyjścia, słowo już zostało powiedziane.

– Bo...? – naciskał prokurator.

– Bo ogólnie to jest seryjny morderca i właściwie...

– Czyli kto?

Moja żona – westchnął w duchu Grzelak, ale wiedział, że tego nie może wyjawiać.

– Jeszcze nie wymyśliłem, to dopiero w ostatniej części się wyjaśni.

– Ale chce pan powiedzieć... Przyjmując ten scenariusz... Że ciało może być więcej?

– No tak.

– O ja pierdołę – westchnął prokurator. Nie krzyczał, nie unosił się. Po prostu wyrzucił z siebie przekleństwo i załamał ręce. – A miało być tak pięknie... za chwilę święta. Żona już prezenty kupuje, sylwestra mamy opłaconego, w górach... Miało być tak pięknie...

– Przepraszam. – Grzelak nie wiedział, jak się zachować. Zdawał sobie sprawę, że jego wyznanie komplikuje sprawę i wolałby cofnąć czas o te kilkanaście minut. Przecież to naprawdę mógł być wypadek. Po cholere wspominał o książce.

– Okej. – Prokurator spojrział zmęczonym wzrokiem. – A czy istnieje taka możliwość... że to pan bawi się w kotka i myszkę? Jeśli książka zostanie wydana, miałby pan niezłą promocję.

Grzelak, słysząc te słowa, aż się zapowietrzył.

- Że niby ja podzucam trupy? Skąd w ogóle taki pomysł! Mówiłem już, że książka mogła zostać wykradziona. Absolutnie nie mam z tym nic wspólnego!
- Proszę się nie unosić. Taka myśl mnie naszła, musiałem zapytać.



Rozdział 6



Uwielbiała zapach kawy o poranku. A jeszcze bardziej uwielbiała poranne pocałunki. Odkąd wyjaśnili sobie z Konradem wszelkie niejasności i postanowili stworzyć związek od nowa, życie stało się naprawdę piękne. Alicja nie miała wątpliwości, że to była dobra decyzja. Przy Konradzie czuła się swobodnie, było jej z nim dobrze. I czuła się naprawdę kochana i pożądana. Matylda też szybko zaakceptowała nowy stan rzeczy. Po wakacjach w Polance obecność Konrada była dla niej naturalna, dlatego teraz, kiedy Alicja i Konrad oficjalnie zaczęli być parą, naprawdę się ucieszyła. Lubiła Konrada, ponieważ poświęcał jej sporo uwagi, a co najważniejsze, nie wymigiwał się od zabaw z jej kotem.

Alicja się uśmiechnęła, czując na ustach miękkie wargi Konrada. Nie otwierając jeszcze oczu, przeciągnęła się w łóżku, upajając aromatem kawy stojącej na nocnej szafce.

– Codziennie chcę być tak budzona – wyszeptała, gdy mężczyzna ponownie czule ją pocałował. – Która godzina?

– Wpół do dziesiątej. Jeśli chcesz zdążyć na jedenastą do galerii, chyba powinnaś już wstać.

– O Boże! – krzyknęła i natychmiast zerwała się z łóżka. – Zaspałam! Matysia ma na ósmą do szkoły, dlaczego mnie nie obudziłeś?!

– Spokojnie. – Konrad się uśmiechnął, usiadł na łóżku i przyciągnął do siebie Alicję. – Wszystko ogarnięte, dziecko w szkole, śniadanie przy łóżku. Relaksuj się przed długim dniem w pracy. I zajrzyj pod poduszkę. – Mrugnął.

– Matysia w szkole? – Alicja nie potrafiła ukryć zdumienia. Córka wstawiała niechętnie i nieraz toczyły wielkie boje, żeby wyjść z domu na czas i zdążyć na pierwszą lekcję.

– Wy tłumaczyła mi, jak mam jechać. Wysadziłem ją pod szkołą, upewniłem się, że weszła do budynku... No więc chyba jest w szkole – zawahał się. Nie miał doświadczenia z dziećmi.

– Nie o to chodzi. Jeśli ją zawiozłeś i weszła do budynku, to jest w szkole. Wielu rodziców wypuszcza dzieci pod bramą, zresztą Mati ma już osiem lat. Zdziwiłam się po prostu, jak udało ci się ją dobudzić. Nie słyszałam żadnych krzyków...

– Przypomniałem, że mają dzisiaj w szkole mikołajki.

– No tak! Mikołajki!

– Na wieczór zamówiłem dla Matyldy Mikołaja... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Och, wydaje mi się, że ona już nie wierzy.

– To uwierzy. Facet ma prawdziwą brodę, wybrałem najlepszego. Prezent też już mam. Nic wielkiego, gra planszowa, ale mam nadzieję, że się ucieszy.

– Na pewno się ucieszy. Konrad, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna. – Alicja nie kryła wzruszenia. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, galeria pochłania mnóstwo czasu i energii, nie miałam głowy do prezentów. Prawdę mówiąc, w ogóle zapomniałam, że dziś mikołajki.

– Nie myślałaś o tym, żeby kogoś jednak zatrudnić? Ta dziewczyna, którą masz teraz do pomocy, to za mało.

– Owszem, ale czekam, aż Janusz wydobrzeje. Basia zasugerowała, że ona mogłaby pracować ze mną, szybko się wdroży. Ale czekamy na Janusza, sam wiesz...

– No tak – zgodził się Konrad. – Ale obiecaj, że święta i sylwestra spędzisz ze mną, a nie w galerii.

Alicja westchnęła.

– Nie wiem, czy tak się uda...

– Aluś, skarbie. – Konrad spojrział groźnie, ale po chwili się uśmiechnął. – Kocham cię i cieszę się, że otworzyłaś galerię. Rozumiem, że to dopiero początek, że miejsce musi się rozkręcić. Ale my też dopiero zaczynamy. Wziąłem urlop, Marcin wszystkim się zajmuje, został uprzedzony, że wkrótce na stałe przenoszę się do Warszawy. Muszę jeszcze ogarnąć sprawy w Polance, choć po zmianach chłopaki świetnie sobie radzą w restauracji. Wywracam życie dla ciebie. Dla ciebie – podkreślił. – Więc chciałbym, mimo tego całego rejwachu z galerią, mieć jednak odrobinę ciebie. Postaraj się, proszę.

– Wiem, wszystko wiem. – Alicja zacisnęła wargi. – I uwierz, że doceniam. I bardzo, bardzo zależy mi na tobie. I wszystko jest takie cholernie głupie, że człowiek w nadmiarze szczęścia nie może być szczęśliwy, bo wciąż czegoś brakuje.

– Przecież niczego ci nie brakuje.

– Czasu, jak sam zauważyłaś. Czasu. Zależy mi na galerii, to było moje marzenie. Zależy mi na tobie, nawet nie wiesz, jak bardzo. Odkąd się rozstaliśmy w Polance, codziennie szukałam sposobu na to, by jednak odkręcić tamtą rozmowę i tamto rozstanie. Dziś wszystko układa się jak w bajce. Mam galerię i mam ciebie. A brakuje mi czasu. To okropne.

– Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, że jakoś naciskam... Rozumiem, że to początek i musisz się tam zaangażować na sto procent...

– Święta i sylwester będą tylko nasze. Obiecuję. Coś wymyślę, najwyżej

zamknę galerię na kilka dni, Basia na pewno się zgodzi.

– No widzisz – roześmiał się Konrad. – Z każdej trudnej sytuacji można znaleźć jakieś wyjście.

– Przysięgam ci, że nie chcę zostać pracoholiczką – zapewniła z uśmiechem Alicja i pocałowała Konrada w policzek. Wykorzystał to, że się zbliżyła, i położył ją na łóżku.

– To co, może mały relaks przed pracą?

– Nie dam rady – jęknęła. – Olga nie ma kluczy, nie chcę, żeby marzła pod drzwiami.

– To chociaż zajrzyj pod poduszkę – wyszeptał Konrad.

Alicja sięgnęła dłonią i wyjęła błękitne pudełeczko obwiązane ozdobną wstążką. Zaniemówiła.

– Otwórz – ponaglał Konrad. – Sam jestem ciekaw, co Mikołaj przyniósł.

– Ale ja nie mam nic dla ciebie – powiedziała, usiłując odwlec chwilę, kiedy ujrzy pierścionek. Nie była gotowa na zaręczyny. Bardzo ich chciała, ale nie dziś. Wolałaby, żeby nastąpiły w bardziej romantycznym miejscu niż niepościelone łóżko. Wolałaby też wyglądać w takim momencie ładniej. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przecież nie była jeszcze nawet w łazience, nie ma uczesanych włosów ani makijażu. Mimo to zauważyła, że Konrad patrzy na nią z miłością, jakby worki pod oczami nie istniały. Czekał w napięciu, aż odwiąże wstążkę.

– Ja swój prezent odbiorę wieczorem – roześmiał się. – Nie wywiniesz mi się – mruknął. – I możesz być ubrana tylko w ten prezent. O ile, oczywiście, będzie pasował, musimy to sprawdzić.

Alicja, drżąc z emocji, rozwiązała wstążkę. Uniosła wieczko.

– Piękny – wyszeptała na widok złotego łańcuszka z brylantową zawieszka w kształcie serca. Poczowała, jak zapiekły ją oczy. Nie spojrzała na Konrada w obawie, że wyczyta w jej wzroku rozczarowanie.

– Przymierzymy? – spytał, zadowolony z niespodzianki.

Rzeczywiście, łańcuszek i serce prezentowały się pięknie. Prezent był zarazem delikatny i wymowny. Jednak nie był pierścionkiem.

Alicja się odwróciła, żeby Konrad mógł zapiąć łańcuszek. Przez tych kilka sekund zaciskała mocno powieki, by powstrzymać niechciane łzy. Dziwiła się swojej reakcji. Przecież dopiero od kilku dni mieszkali razem, dopiero od niedawna postanowili zacząć od nowa – jak mogła spodziewać się oświadczyn. Zresztą wcale ich przecież dzisiaj nie chciała.

Ale emocje działały poza świadomością. Rozum i serce niezwykle rzadko potrafią iść ze sobą w parze.

**

Kilkoro zagranicznych turystów wyszło z galerii, zostawiając na posadzce

zabłocone ślady. Alicja uśmiechnęła się krzywo. Uświadomiła sobie, że to właśnie ona optowała za jasną podłogą, choć projektantka sugerowała kolor popielaty. Teraz przez całą zimę, a zapewne i połowę wiosny, trzeba będzie co chwila sprzątać. Na szczęście Olga, niedawno zatrudniona stażystka, także zauważyła naniesiony brud i zanim Alicja zdążyła cokolwiek powiedzieć, pobiegła na zaplecze po mopa.

Śnieg w Warszawie topniał, tworząc szaroburą breję, co zniechęcało ludzi do spacerowania. Mimo że witryna galerii rzucała się w oczy, to mało kto do niej zachodził. Alicja liczyła na turystów, ponieważ oni jako nieliczni rozglądali się na boki, spacerując. I rzeczywiście, kilka razy grupa przechodniów z zagranicy zainteresowała się ciekawą wystawą. Weszli do środka, podziwiali, komentowali. Ale nic nie kupili.

– Może powinnam podać ceny w euro – zastanawiała się Alicja głośno.

– To nic nie da. Przecież potrafią przeliczyć – zauważyła Olga. – Moim zdaniem to nie o ceny chodzi, bo te mamy przecież atrakcyjne.

– To o co?

– Mało kto zna te nazwiska. Ja na przykład, mimo że interesuję się malarstwem, to nie kojarzę żadnego z tych twórców.

– To młodzi artyści. Taki był plan od początku, żeby galeria promowała młodą polską sztukę.

– Wiem, pani Alicjo, ale w takim razie nie ma co się spodziewać, że ludzie rzucą się na nich niecałe dwa tygodnie po otwarciu. Tym bardziej turyści. Oni może by coś kupili, gdyby znali malarza.

Alicja skrzywiła usta. Nie podobało jej się to, co mówi Olga. Dziwiła się, że dziewczyna ledwie co przyjęta do pracy wygłasza tak krytyczne uwagi. Ale musiała przyznać jej rację. Rzeczywiście, format, który przyjęła, wymagał czasu. O wiele łatwiej jest sprzedać obraz uznanego twórcy, niż wypromować nowe nazwisko, nawet za pomocą atrakcyjnej ceny.

– No cóż... – przyznała po chwili – zgadzam się. Ale nie od razu Kraków zbudowano.

– No pewnie. Ja i tak panią podziwiam. To duża odwaga w naszych czasach inwestować w niszowych artystów.

– Nie są niszowi. Są na razie mało znani. I to nie ja w nich inwestuję, ja tylko pośredniczę. Zainwestują w nich ci, co kupią. A myślę, że za jakiś czas wartość tych obrazów mocno wzrośnie, sama zobaczysz. To tylko początki są trudne.

– Ja, gdybym miała swoją galerię, postawiłabym na gwiazdy – powiedziała Olga.

– Może kiedyś będziesz miała okazję – odpowiedziała Alicja, niezadowolona z kąśliwych uwag stażystki. Dziewczyna była pracowita i inteligentna, ale bywała

bezczelna. – Teraz jednak koncentrujemy się na artystach, których ja wybieram.

– I zrobimy z nich gwiazdy! – krzyknęła Olga. Alicja spojrzała na nią łaskawszym okiem.

– Tak jest, zrobimy z nich gwiazdy. O, proszę. – Uśmiechnęła się na widok powiadomienia z aplikacji w telefonie. – Mamy pierwsze zamówienie. Chodź, pokażę ci, jak to działa, tylko przy komputerze. Wolę duży ekran.

Przeszły na zaplecze, gdzie znajdował się niewielki gabinet. Alicja włączyła komputer i weszła w panel sklepu internetowego, który mieścił się na stronie galerii.

– Hmm... – zamyśliła się. – Ktoś zamówił Protasiuka...

– To źle? Nie mamy go czy jak? – dopytywała Olga, zaglądając przez ramię Alicji.

– Mamy, mamy... Ale to autor, którego trzeba sprzedawać w serii... Na serię składają się trzy obrazy, a zamówiony został tylko drugi.

– Jak to? – Olga nie bardzo rozumiała.

– Seria kosztuje trzy tysiące i obejmuje trzy obrazy. A informatyk wprowadził je oddzielnie, każdy po tysiąc. Cholera, nie zauważyłam tego błędu...

– Alicja poczuła, że robi jej się gorąco. Pierwszy internetowy klient i od razu wpadka.

– Oj tam, klient to klient. Pierwszy tysiąc w kieszeni. Może i na te dwa inne obrazy znajdzie się kupiec.

– Nie możemy go sprzedać. Autor zastrzegł sobie w umowie, że obrazy mogą być sprzedane tylko razem, w serii. Taka jest jego wizja, one się poniekąd łączą.

– No i co teraz?

– Nie wiem. Muszę się skontaktować z tym kupcem i wyjaśnić. Przepraszę go.

– Może dokupi te dwa kolejne.

– Może... – Alicja westchnęła.

Sięgnęła po komórkę i wprowadziła numer telefonu widoczny na zamówieniu. Chciała załatwić tę sprawę, zanim klient wpłaci zaliczkę.

Odezwał się ciepły męski głos. Alicja wyjaśniła, w czym rzecz, i zasugerowała, że jeśli miałby ochotę kupić obrazy w serii, to w ramach rekompensaty za niedopatrzenie udzieli mu rabatu. Mężczyzna prawdopodobnie o coś dopytywał, bo Alicja wyszła z telefonem z gabinetu i nerwowo chodziła po galerii, tłumacząc coś do słuchawki. Minę miała zatroskaną i Oldze zrobiło się żal szefowej. Zacisnęła palce w pięści i uniosła obie dłonie, pokazując Alicji, że mocno trzyma kciuki za transakcję.

– I co? – spytała, kiedy Alicja wreszcie odłożyła telefon.

– Wycofał się.

– Tak po prostu?

– Na szczęście bardzo grzecznie. Wykazał się zrozumieniem, ale nie chciał kupić serii. Powiedział, że skoro nie może wziąć tego konkretnego, to poszuka czegoś gdzieś indziej. Cholera – dodała ze smutkiem. – Właśnie straciliśmy pierwszego klienta.

– Nie straciliśmy.

Alicja spojrzała na stażystkę, nie rozumiejąc.

– Nie straciliśmy – powtórzyła Olga. – To nie był nasz klient. Przecież gdyby obrazy w sklepie internetowym wystawione były razem, to nie złożyłby zamówienia.

– No, racja. – Alicja musiała przyznać, że pracownica była naprawdę bystra.

– A ten sklep? Pokaże mi pani, jak on działa?

– Pewnie. – Alicja ucieszyła się, że Olga sama przypomina o nauce.

Usiadły przy biurku, lecz zanim zdążyły cokolwiek zrobić, odezwał się dyskretny dzwoneczek u drzwi, charakterystyczny dla wejścia klienta.

– Oho. – Alicja poderwała się z nadzieją, że może wreszcie ktoś coś kupi. Olga ruszyła w ślad za nią.

– Dzień dobry! – Melodyjny głos przywitał się w progu.

– Marianna. – Alicja się uśmiechnęła, ale ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że czuje się rozczarowana.

– Przeszkadzam? – Marianna się zawahała, przystając pośrodku galerii.

– Nie, skąd. Cieszę się, że wpadłaś. Przepraszam. Taki dzień dzisiaj. Dopiero co dostałyśmy zamówienie, które zostało anulowane... Miałam nadzieję, że może to jakiś klient i passa się odwróci.

– Mogę coś kupić. – Marianna nonszalancko wzruszyła ramionami. – Nie ma problemu.

– Daj spokój. Nie o to chodzi, żeby bogate koleżanki kupowały obrazy z mojej galerii – roześmiała się Alicja.

– Dlaczego? Przecież mogłabym zostać mecenasem sztuki, czy jak to się tam zwie.

– Możesz, pewnie, że możesz. – Alicja serdecznie uścisnęła koleżankę. – Ale może jednak nie dziś. Chodź, zaparzę kawę.

– To może ja zaparzę? – zaoferowała Olga.

– Damy sobie radę. A, właśnie. Marianna, poznaj Olę. – Alicja skinęła w kierunku pracownicy. – Młoda, zdolna, a co najważniejsze, interesuje się sztuką.

– Cześć. – Marianna podała dłoń.

– Dzień dobry. – Olga uśmiechnęła się lekko, a jej wzrok pobiegł ku broszce Marianny przypiętej do płaszcza. – Wspaniała biżuteria – pochwaliła spontanicznie. – Czyja?

– Moja. – Marianna się roześmiała.

– Ach, pytałam o projektanta – wyjaśniła Olga. – Widać, że to ręczna robota, niezwykle misterne wykonanie. Cudowna broszka, cudowna.

– Dziękuję. Nie wiem, kto ją zaprojektował i wykonał. To stara broszka, przywieziona z Hiszpanii.

– Stara... A wygląda modernistycznie. Taki motyl...

– Tak, to motyl – zgodziła się Marianna.

Alicja, skonfundowana natrętnym zachowaniem Olgi, delikatnie wzięła Mariannę pod rękę.

– Idziemy do mojego gabinetu – zdecydowała. – Olga – zwróciła się do pracownicy – chyba znów trzeba przetrzeć podłogę.

– Ojej, to ja naniiosłam – zmartwiła się Marianna.

– Nic nie szkodzi. Taka nasza praca. – Alicja mrugnęła.

– Oczywiście, już lecę po mopa. – Olga szybko zrozumiała, że ma wracać do obowiązków. Jeszcze raz wzrokiem pełnym uwagi spojrzała na broszkę Marianny.

– Pani Alicjo! – krzyknęła nagle. – A może by tak włączyć do naszej oferty biżuterię? To byłoby coś! Jestem przekonana, że galerii przybyłoby klientów. A już szczególnie kobiet. Teraz mnóstwo jest takich, które lubują się w oryginalnej, artystycznej biżuterii. Takie cacka to tylko w galeriach...

– Taaa – jęknęła Alicja. – Może jeszcze zaczniemy sprzedawać zegarki i wieczne pióra...

– A dlaczego nie? – Olga ekscytowała się pomysłem. – Wszystko, co nosi znamiona sztuki, mogłoby się nadać.

– To jednak moja galeria – przypomniała stanowczym tonem Alicja. – A ja sprzedaję obrazy.

Olga skrzywiła usta i nic już nie odpowiedziała. Westchnęła jednak głośno i ostentacyjnie, żeby zademonstrować niezadowolenie. Chyba nie lubiła, kiedy jej pomysły były odrzucane.

– Nie wytrzymam z tą dziewczyną – zwierzyła się Alicja Mariannie, kiedy już były same na zapleczu. – Ciągłe się wtrąca. Pracuje tu od kilku dni, a już usłyszałam pięćset uwag na temat tego, co powinnam poprawić, dasz wiarę? Gdyby nie to, że o pracowników tak trudno, a już szczególnie w tej branży, to nie wiem, czy nie kazałabym jej sobie iść gdzie pieprz rośnie. Naprawdę, niełatwo z nią wytrzymać.

– Młoda jest, energia ją rozpiera, to naturalne, że ma mnóstwo pomysłów – zauważyła Marianna.

– Owszem. Ja też przecież nie jestem stara i też pomysłów mi nie brakuje. Ale gdybym pracowała u kogoś, to jednak powstrzymałabym się z takimi bezpardonowymi uwagami, chociażby do czasu, aż dostanę stałą umowę. Ona jest na razie na próbę.

– Ale wiesz co... z tą biżuterią to wcale nie jest zły pomysł. Mogłabyś

powstawiać szklane witryny i eksponować w nich wybrane, wyjątkowo piękne artystyczne wyroby. Pasowałoby do galerii, a przy okazji ją trochę urozmaiciło. Ja na pewno coś bym kupiła, lubię błyskotki.

– Ty też we mnie nie wierzysz? – zjeżyła się Alicja. – O, błagam, przecież galeria funkcjonuje od zaledwie dwóch tygodni! Przecież to dopiero początek, ludzie muszą ją poznać. Ja nie oczekuję, że nagle przyjdzie klient i wykupi wszystkie obrazy. Wiem, że to musi potrwać.

– Oczywiście. – Marianna nachyliła się do Alicji i chwyciła jej dłoń. – Przepraszam, nie miałam na myśli nic złego. Bardzo mocno w ciebie wierzę, ba!, jestem przekonana, że ci się powiedzie. Tylko wyraziłam swoje zdanie na temat pomysłu Olgi...

– Okej, przepraszam. – Alicja ze świsem wypuściła powietrze z płuc. – Zbyt nerwowo reaguję. To dlatego, że mimo wszystko czuję stres. Czuję się odpowiedzialna za to miejsce. Teraz, kiedy Janusz jest wyłączony z życia, a Basia pomaga mu do tego życia wrócić, czuję się podwójnie odpowiedzialna, bo przecież to oni wyłożyli pieniądze.

– Będzie dobrze. – Marianna pogładziła Alicję po ramieniu. – Podczas otwarcia przecież kilka obrazów zostało kupionych. To dobry znak.

– No pewnie! Mnie wiary w sukces nie brakuje. Wiem, że potrzeba czasu. I tyle.

– Pyszna kawa – pochwaliła Marianna, zmieniając temat. – To moja pierwsza dziś. Mam umowę, że nie mogę korzystać z kuchni w tym wynajmowanym apartamencie. Z ekspresu niestety też.

– Jak ci się tam mieszka?

– Dobrze. Tylko pusto...

– Pusto? Meble przecież są. I to wspaniałe.

– Ale jest pusto. Nie wiem, jak to określić. Takie mieszkanie bez duszy, bez historii. Pustka i tyle.

– Za to widok piękny.

– Głównie nocą, kiedy nie ma chmur zwisających nisko. Za dnia widok nie jest już tak oszałamiający. Prawdę mówiąc, nawet trochę mnie przytłacza.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Alicja. – Przytłacza? Widok z tak wysoka pozwala raczej poczuć przestrzeń.

– Może. Mnie jednak przytłacza. Kiedy patrzę z mojego mieszkania na ulicę, po której ludzie poruszają się niczym mrówki, to zaczynam wątpić w sens istnienia.

– Eeee? – Alicja nie była w stanie wydusić konkretnego pytania.

– No, chodzi o to – podjęła szybko Marianna – że z tej perspektywy nabierasz ogromnego dystansu do tego, co na ziemi. Zbyt dużego dystansu. Czasem miałabym ochotę wziąć szczotkę i zmiotkę i zamieść te ludzkie mróweczki, żeby ulice były czyste.

– Co ty gadasz?

– Jak wariatka, prawda? No właśnie, coś takiego mi się porobiło, odkąd tam mieszkam. Ludzie z wysoka tracą swój indywidualny rys, są tylko jednolitą anonimową masą. I wtedy myślę sobie, że przecież ja też jestem taką mróweczką. Takim małym niczym, na co ktoś patrzy z góry i nie dostrzega, że to ja, Marianna Olech, cukierniczka, brunetka lubująca się w cukierkowych, pastelowych sukienkach i opaskach na włosy...

– Hmm... – Alicja usiłowała pojąć słowa koleżanki, lecz przychodziło jej to z trudem. – Wygląda na to, że mam szczęście, mieszkając na drugim piętrze... Kiedyś, z rodzicami, mieszkałam na dwunastym. I nie miałam takich przemyśleń jak ty.

– Dwunaste a czterdzieste drugie to jednak różnica. Z dwunastego człowiek jest człowiekiem, a nie mrówką.

– Ale z czterdziestego drugiego bliżej do gwiazd. I do aniołów. Sama tak mówiłaś.

– Owszem. Tylko dotarło do mnie, że nieba stamtąd i tak nie dotknę, a anioły... No cóż... Na razie żaden nie przelatywał obok moich okien...

– Bo anioły, moja droga, chodzą po ziemi.

– No właśnie. Chyba musiałam to zrozumieć.

– Czyli co? Nie kupujesz tego mieszkania?

– Chyba jednak szkoda mi na nie pieniędzy. Lokalizacja jest super, sam apartament też. Nie mogę powiedzieć nic złego. Ale po tym, jak mieszkałam w mieszkaniu Eleny, brakuje mi tego czegoś, co tak trudno zdefiniować. Zapachu, chłodu grubych murów, dźwięków wydawanych przez starą podłogę. Chyba jednak wolałabym zamieszkać w kamienicy. Dalej od gwiazd, ale za to bliżej ludzi.



Rozdział 7



Janina Polniak moczyła stopy w misce z ciepłą wodą. Ten przyjemny rytuał zazwyczaj wykonywała wieczorem, tuż przed zaśnięciem. Dziś jednak wiedziała, że szybko nie zaśnie. Kiedy przyjeżdżała córka, potrafiły przegadać pół nocy. A obolałym stopom szybki prysznic nie wystarczy, trzeba je porządnie wymoczyć, wyszorować pumeksem i nakremować mazidłem z rumianku, w które zaopatrywała się u miejscowej zielarki, Józefiny.

Paweł wszedł do domu, robiąc przy tym hałas. Otrzeptał w sieni buty i coś krzyknął. Janina zerknęła na męża drzemiącego przed telewizorem. Pochrapywał cicho i najwyraźniej nie przeszkadzały mu głośniejsze niż zazwyczaj dźwięki.

– Wszystko, co miałem zrobić, zrobiłem – powiedział zadowolony z siebie Paweł. – Teraz potrzebuję ciepłej herbaty na rozgrzanie i biegnę dalej.

Miał twarz zaczerwienioną od mrozu i ze zmęczenia. Dawno nie pracował w gospodarstwie. Janina spojrzała na syna z czułością.

– Dziękuję. A kurom posypałeś? – upewniła się.

– Wszystko zrobione. Herbaty!

– Nie krzycz, ojciec ledwo co oko zamknął. A herbatę sam sobie zrób, dopiero co nogi zaczęłam moczyć. Umiesz przecie wstawić czajnik.

Paweł, starając się nie hałasować zbyt, obsłużył się w kuchni i po chwili wniósł do pokoju dwie szklanki z herbatą.

– Tobie też zrobiłem.

– Dziękuję. Postaw na stole, niech ostygnie. A tam na krześle leży strój, przyniosłam ze strychu.

– Jaki strój?

– Mikołaja. Nie zapomniałeś chyba?

– Mamo. – Westchnął. – Nie dam dzisiaj rady bawić się w Mikołaja. Spotkanie mamy w ośrodku.

– Wczoraj miałeś mieć – przypomniała Janina.

– No miałem, ale przełożyliśmy. Nad jeziorem mnóstwo policji, karetka, chłopaki woleli stać i się gapić. A zresztą dojazd i tak był przez to wszystko utrudniony. Na dzisiaj się umówiliśmy.

– A co się stało nad jeziorem? – Janina wybałuszyła oczy. Na wsi od dawna nie działo się nic niezwykłego.

– Nie wiem, ktoś się chyba utopił.
– O Matko Boska! Kto?
– Przyjezdny jakiś. Obcy. Nie wiem.
– Jezusie, Maryjo! Ale jak to się utopił? – Janina aż zawrzała z emocji. Nie lubiła takich okropności.
– Nie wiem, mamó. Może pijak. W każdym razie akcja była i dlatego przenieśliśmy spotkanie. Przykro mi, nie dam rady.
– To co zrobimy? Ojciec przecie za Mikołaja nie pójdzie. Na wózku jest, od razu go dzieciaki poznają.
– To duże dzieci, pewnie i tak już nie wierzą w Mikołaja.
– Jakie duże? Kubuś dopiero cztery latka w marcu skończy. Mikołaj musi być! – zagrzmiała, nie zważając na męża drzemiącego obok.
Paweł odwrócił wzrok i upił kilka łyków herbaty.
– Coś wymyślę – powiedział po dłuższej chwili.
– Mikołaj musi być – powtórzyła stanowczym tonem Janina. – Weźmiesz strój, a tam pod stołem leży torba z prezentami. Już podpisane. I różgi przygotowałam, trochę ich najpierw postraszysz – poinstruowała.
– Dobra, biorę i uciekam. – Paweł chwycił za reklamówki. – O której przyjeżdżają?
– Wieczorem. Jak o szóstej przyjdzie Mikołaj, to będzie akurat.
– To na razie.
– A właśnie! – krzyknęła za synem Janina. – Zosia dzwoniła. Twoja teściowa.
– Niedoszła teściowa.
– Biedna kobita, przeżywa jeszcze bardziej niż ja.
– Wiem, była w szoku, kiedy pojechałem do nich z tą wiadomością.
– No właśnie. Przemyślała sprawę i zadzwoniła dzisiaj, żeby mnie zapewnić, że ślub się odbędzie.
Paweł przystanął w progu.
– Że co?
– Odbędzie się ślub, nie martw się, synku. Mariolka przyjdzie na kolanach i będzie cię błagać o przebaczenie. Już Zosia o to zadba.
– Nie musi o nic dbać. Wszystko już jest zakończone.
– Nie, nie, mój drogi. Nie znasz Zośki. Powiedziała, że suce nie przepuści.
Paweł oparł się o framugę drzwi. Jego niedoszła teściowa, ta przemiła, zawsze uśmiechnięta, usłużna kobieta użyła takich słów?
– Tak powiedziała? – upewnił się, patrząc z niedowierzaniem na matkę.
– Tak właśnie. Dlatego jestem pewna, że dopnie swego.
Paweł wyszedł z domu i głęboko odetchnął mroźnym powietrzem. Jeśli teściowa pokazała taki charakter, to co dopiero mogłaby w przyszłości pokazać

Mariolka. Miał już preludium w postaci zdrady, jeszcze brakowało mu, żeby ujawniła kolejne czarcie rogi wystające z kręconych włosów.

Włożył reklamówkę ze strojem Mikołaja pod pachę, worek z prezentami przewiesił przez ramię i upchnął ręce do kieszeni. Rękawiczki zostawił w sieni, ale nie chciał się wracać w obawie, że matka wróci do tematu niedoszłego ślubu.

Kiedy wszedł do swojego domu, Kaja czyściła kominek z popiołu. Przynajmniej coś robi – przebiegło mu przez myśl.

– Trzymaj! – krzyknął, rzucając w jej stronę torebkę ze strojem. – Będziesz dziś robić za Mikołaja.

– Bardzo śmieszne – parsknęła, odrzucając zawiniątko stopą na środek salonu.

– Mówię poważnie. Przebierzesz się w strój i pójdziesz do dzieci. Moja siostra przyjeżdża, a ja nie mogę. Nie ma dyskusji.

– Chyba żartujesz? – Wstała i spojrzała na niego ze złością.

– Albo będziesz dziś Mikołajem, albo wystawię twoje walizki za drzwi.

– Posrało cię! – krzyknęła. – Nie znoszę dzieci, nigdzie nie pójde. Poza tym nie mam ciepłych ubrań ani butów.

– Kurtkę ci jakąś znajdę. A z butami też nie ma problemu. Założysz kilka par skarpet i moje kalosze. Nie zamarzniesz.

– Nigdzie nie pójde – oświadczyła kategorycznie.

– W takim razie wyprowadzaj się jeszcze dziś. Umawialiśmy się, że będziesz tu mieszkać do świąt pod warunkiem, że coś od siebie dasz.

– Sprzątam przecież!

– Też mi sprzątanie. Bałaganisz, to sprzątasz. Po sobie. Ja nie bałaganię.

Musiała przyznać mu rację. Był typem perfekcjonisty, który nawet koszule wkłada do szafki ułożone kolorami. Zawsze opuszczał po sobie klapę w łazience, nigdy nie zostawiał brudnych ubrań ani skarpetek walających się po podłodze, a naczynia po śniadaniu natychmiast wkładał do zmywarki.

– Ile tych dzieci? – spytała w końcu, widząc, że Paweł nie żartuje.

– Dwoje. Pójdziesz na osiemnastą.

Wywróciła oczami, ale podniosła reklamówkę z podłogi.

– Tu jest worek z prezentami. Już podpisane. Najpierw postraszysz ich trochę różgami – poinstruował.

**

W za dużej puchowej kurtce i o kilka numerów za dużych kaloszach wyglądała jak napompowany strach na wróble. Dopiero kiedy na to wszystko włożyła czerwony strój i doczepiła sztuczną brodę, przypominała jako tako postać Świętego Mikołaja. Dobrze, że Paweł już pojechał i nie widział jej w tym przebraniu. Złapała się na tym, że z dwojga złego wolałaby udawać Śnieżynkę albo

jakaś inną zgrabną pomocnicę Mikołaja. Nawet Daisy na jej widok warknęła i wysunęła groźnie małe kły.

– Daj spokój, Stokrotko – jęknęła Kaja. – To tylko ja – powiedziała uspokajająco.

Zrobiła kilka kroków, ale stopy nie przylegały dość mocno i trudno było jej chodzić. Po chwili zastanowienia upchnęła w kaloszach dwie pary skarpetek. Pomogło.

Wyszła z domu, lecz zanim opuściła podwórko, upewniła się, że nikt nie idzie drogą. Nie chciała, żeby ktokolwiek ją widział.

U Polniaków było gwarnie. Janina na jej widok zaniemówiła, ale szybko odzyskała rezon.

– Dzieci! – krzyknęła w głąb domu. – Zobaczcie, kto nas odwiedził! Zapraszamy, zapraszamy, panie Mikołaju! – Nie patrząc na Kaję, skierowała ją do salonu, gdzie przy zastawionym stole siedzieli Kazimierz, młoda kobieta o wesołym spojrzeniu i dwójka dzieci w wieku około czterech i ośmiu lat. Chłopiec i dziewczynka.

Kaja przez chwilę przyglądała się towarzystwu, nie bardzo wiedząc, co ma mówić. Nie znosiła dzieci. Nienawidziła dzieci. Najchętniej rzuciłaby worek z prezentami i wycofała się rakiem.

– Oooo! – Młoda kobieta, siostra Pawła Polniaka, Malwina, klasnęła w dłonie. – Dobry wieczór, Mikołaju.

Kaja odchrząknęła.

– Hoł, hoł, hoł! – powiedziała niskim głosem, którego przybranie przyszło jej nadspodziewanie łatwo. – Czy są tu jakieś dzieci?

– A co, nie widać? – spytała dziewczynka, obdarzając Kaję pogardliwym spojrzeniem. – Mamo – zwróciła się do kobiety – to przecież nie jest prawdziwy Mikołaj.

– Ależ jest! – Siostra Pawła uśmiechnęła się do córki.

– Jesteś prawdziwym Mikołajem? – spytał chłopiec.

– Jestem – mruknęła Kaja. Chciała stamtąd uciec.

– A po cym to wiadomo?

– Bo mam prezenty.

– To może powiecie jakiś wierszyk Mikołajowi? – zaproponował zdezorientowany Kazimierz. On także rozpoznał Kaję. I także pragnął, żeby wizyta trwała jak najkrócej. Nie chciał jednak psuć zabawy wnukom. A raczej wnukowi, bo mała Wiki patrzyła na Kaję bez entuzjazmu i co najmniej wrogo.

– Ja nie znam żadnego wielszyka – powiedział Kubuś.

– A byłeś grzeczny?

Malec spojrział na matkę, która skinęła głową potwierdzająco.

– Byłem.

Kaja usiadła na podstawionym przez Janinę krześle i sięgnęła do worka. Najpierw wyczuła umieszczoną tam różgę, ale szybko zdecydowała, że nie będzie jej wyjmować. I tak miała już dość tego cyrku. Włożyła rękę głębiej i wyciągnęła sporych rozmiarów pudełko. Podała je chłopcu, a ten natychmiast rozerwał ozdobny papier.

– Lego! – krzyknął z zachwytem.

Kaja wyjęła drugi prezent i podała go Wiktorii. Dziewczynka bez zapału rozwiązała wstążkę i otworzyła pakunek. Nie uśmiechnęła się na widok lalki Barbie.

– Piękna! – zachwyciła się natychmiast Janina. – O takiej chyba marzyłaś?

– No tak... – westchnęła Wiki i odłożyła lalkę na bok.

– Przepraszam, mam, zmęczona jest – wytłumaczyła córkę Malwina.

Kaja wstała.

– Hoł, hoł, hoł – powiedziała. – Na mnie już czas. Do widzenia.

– Do widzenia, dziękujemy. – Janina uśmiechnęła się nieznacznie.

– Mikołaju! – Kubuś nagle się poderwał i podbiegł do Kai. – A das mi swój autograf?

– Autograf? – Kaja niechętnie odezwała się własnym głosem.

– To baba jest, wiedziałam! – krzyknęła z satysfakcją Wiki.

– Nie baba, tylko kobieta, jeśli już – poprawiła Malwina. – A to nie jest kobieta, tylko prawdziwy Mikołaj, który potrafi mówić wszystkimi głosami świata. – Zgromiła córkę wzrokiem, dając jej na migi znać, żeby nie wyprowadzała małego braciszka z błędu. On cieszył się z wizyty Mikołaja.

– To das mi? – dopytywał niezrażony Kuba.

– Nie mam długopisu... – Kaja znów przybrała niski ton. Janina szybko przyniosła z szuflady kartkę i czarny flamaster. Kaja maznęła podpis. Mazak wrzuciła odruchowo do torby z różgą.

– Proszę bardzo. – Podała chłopcu kartkę.

– Ale supel, dziękuję!

Janina pogłaskała wnuka i odprowadziła Kaję do drzwi. Wcisnęła jej w dłoń dwadzieścia złotych.

– Dziękujemy bardzo. – Zamknęła za dziewczyną drzwi i stała przez chwilę w sieni, próbując opanować zdenerwowanie. Nie z powodu tego, że Mikołajem okazała się Kaja, ale dlatego, że prawdopodobnie kupiła nie tę Barbie, którą miała kupić. Wszystkie te lalki są tak do siebie podobne – westchnęła w myślach.

Kaja po drugiej stronie drzwi również musiała uspokoić oddech. Była spięta podczas całej wizyty, szczególnie kiedy słyszała opryskliwy głos tej małej. Nagle pożałowała, że wyjęła prezent zamiast różgi. To dopiero dziewczucha by się zdziwiła, gdyby zamiast lalki dostała pęk suchych badyli.

Podeszła do furtki i ze złością cisnęła worek w hałdę śniegu. Szybko go

jednak podniosła w obawie, że mógłby zostać znaleziony przez Janinę, a ta z pewnością poskarżyłaby się synowi.

– Co za cholerny świat – syknęła Kaja i wolnym krokiem wyszła na drogę. Rozejrzała się, czy aby nikt nie idzie. Nagle jej wzrok padł na dom, który stał nieopodal kapliczki. Nawet z tej odległości dało się zauważyć piękne świąteczne ozdoby. Wzdłuż płotu migotały lampki, a przy wejściu dumnie prężyły się dwa świetlne renifery sporych rozmiarów.

Kaja zmrużyła oczy. Wiedziała, do kogo należy ten dom. Paskudny Karolek, sadysta.

Uśmiechnęła się do siebie i nie zważając na niewygodne kalosze, dziarskim krokiem ruszyła w tamtą stronę.

Księżyc świecił mocno, a jasna kapliczka odświeżona latem przez Alicję odbijała księżycowe światło. Kaja przystanęła i wyjęła różgę obwiązaną czerwoną wstążką. Flamastrem, który niechcący zabrała z domu Polniaków, napisała drukowanymi literami: DLA KAROLA. OD ŚW. MIKOŁAJA. Zachichotała złowieszczo, wyobrażając sobie minę dzieciaka, który ten napis przeczyta.

Furtka była uchylona, co ułatwiło sprawę. Inaczej musiałyby zamachnąć się dość mocno, by przerzucić różgę przez ogrodzenie jak najbliżej wejścia do domu. Ciesząc się z niedopatrzania gospodarzy, Kaja skradła się aż pod same drzwi. Nie spodziewała się jednak, że tym samym uruchomi automatyczny reflektor reagujący na ruch, zawieszony nad wejściem. Zaskoczona, w obawie, że za chwilę drzwi się otworzą, rzuciła różgę na wycieraczkę i czmychnęła w bok. Z bijącym sercem przesuwiała się wzdłuż ściany budynku, aż na jego tyły, od strony ogrodu. Tam dopiero przystanęła i nasłuchiwała. Nic się nie działo. Już miała odejść, gdy nagle usłyszała stłumiony męski krzyk:

– Kurwa! No, ileż można tłumaczyć, debilu!

Kaja zamarła. Zorientowała się, że odgłosy, których była świadkiem, dochodzą z wnętrza domu. Przesunęła się odrobinę w bok i dyskretnie zajrzała przez okno. Dostrzegła młodą kobietę, która siedziała na podłodze z dwiema około trzyletnimi dziewczynkami i pomagała im tworzyć z papieru łańcuch na choinkę. Po prawej stronie był stół, przy którym siedział Karol. Prawdopodobnie odrabiał lekcje, ponieważ pisał coś w zeszycie, a obok leżała książka, przypominająca z daleka podręcznik. Nad chłopcem stał rosły, dużo starszy od kobiety mężczyzna, który pochylał się nad Karolem i na przemian walił dłonią w stół albo uderzał chłopca w głowę.

– Zetrzyj to i popraw, baranie! – krzyczał. Kobieta nie reagowała. Dziewczynki z uśmiechami na twarzach kleiły oczka łańcucha. – Nie tak! – denerwował się mężczyzna. – Tutaj ma być dziewiątka, rozumiesz? – Palcem wskazywał konkretne miejsce w zeszycie ćwiczeń.

Karol posłusznie zmazywał i pisał od nowa. Próbował uchylać się przed

razami. Nie płakał, co najbardziej zdziwiło Kaję.

– O w mordę – jęknęła i odsunęła się od okna. Obrazek niespodziewanie mocno nią wstrząsnął. Co innego, z własnej perspektywy, pociągnąć chłopaka w złości za karę za ucho, a co innego się przyglądać, jak ktoś inny maltretuje dziecko. Pierwszy raz od dawna, a może nawet pierwszy raz w życiu, poczuła coś na kształt współczucia. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna jakoś zareagować, zastukać w okno, pokazać się, zaafiszować, że widziała. Po szybkiej analizie sytuacji zrezygnowała z tego pomysłu. Strój, który miała na sobie, mógł dezorientować rodzinę Karola i zamiast pełnego dezaprobaty wzroku Kai zauważyliby zapewne po prostu przebierańca, który zagląda do okien.

– W dupie, nie moja sprawa – powiedziała do siebie na głos, by upewnić się w powziętej decyzji. – W dupie to mam, w dupie – powtarzała, kierując się do wyjścia z posesji.

Kiedy była przy furtce, jeszcze raz spojrzała za siebie.

Po jaką cholere w ogóle tu przyłaziłam? – przebiegło jej przez myśl.

Ale oszołomiony umysł nie potrafił sobie przypomnieć.



Rozdział 8



Gdyby unieść się wysoko, wysoko i spojrzeć na Polankę z góry, można by odnieść wrażenie, że ta mała wieś przykryta została ciepłą puchową kołdrą. Mróz odpuścił, ale za to ponownie zaczął padać śnieg w ilościach, które z powodzeniem starczyłyby na całą Polskę.

Poza dziećmi, które mogły lepić olbrzymie bałwany, ścigać się na sankach i obrzucać lepki śnieżkami, mieszkańcy utyskiwali na pogodę. Nieodśnieżane drogi utrudniały funkcjonowanie, a sołtys tylko obiecywał, że za chwilę przyjadą dodatkowe pługi i wszystko wróci do normy. Ci, którzy mieli traktory, sami się organizowali, by jako tako doprowadzić drogi do użytku. Gospodarze zaś codziennie rano wielkimi szuflami odgarniali śnieg ze swoich podwórek i własnych dróg dojazdowych do gospodarstw, często nieuczęszczanych przez nikogo poza nimi samymi.

Mimo że zatopiony w białym puchu świat wyglądał bajecznie, to mieszkańcy modlili się o zmianę pogody. I choć najstarsi podśmiewali się w duchu, wspominając potężną zimę stulecia, której byli świadkami, to też smuciło ich, że w tym roku zima przyszła tak wcześnie. To mogło znaczyć, że śnieg nie dotrwa do świąt, już nieraz tak bywało, że stopniał w połowie grudnia i potem spadł dopiero w marcu.

Kaja Poznańska też narzekała na śnieg. Denerwowały ją hałdy leżące pod domem. Mimo że nie musiała odśnieżać, bo robił to Paweł, to i tak zalegający pod domem śnieg wyprowadzał ją z równowagi. Nie miała butów. Żeby wyjść z Daisy, korzystała z kaloszy Pawła. Gorzej, jeśli musiała pojechać do sklepu. Trampki szybko przemakały, a nogi marzły. W jedynym sklepie w Polance, który oferował obuwie, nie było odpowiedniego rozmiaru kozaków, a do miasta nie miała ochoty jechać. Nie w tym stanie. Trudno jej było zaakceptować nowy wizerunek. Zawsze zadbana, niemal wymuskana od stóp do głów, po kilku miesiącach w Polance przestała przypominać siebie. Kilkucentymetrowe odrosty może nie wyglądały niechlujnie, ale Kaja przyzwyczajona do perfekcyjnej fryzury nie mogła na nie patrzeć. Podobnie jak grzywka – niegdyś idealnie prosta, równiutko przycięta, teraz musiała być podpięta spinką, żeby włosy nie wpadały na oczy. Paznokcie, z których już w lipcu zaczęła złuszczać się hybryda, trzeba było obciąć, a z powodu braku kosmetyczki, która zadbałaby o odpowiedni kształt, Kaja obcinała je już

teraz regularnie. Nie mówiąc o tym, że w miejscowym sklepie nawet nie słyszeli o jej ulubionych lakierach, a te, które były dostępne, odpryskiwały już na drugi dzień po nałożeniu.

Nie była zadowolona ze swojego wyglądu, nie była zadowolona ze swojego obecnego życia, a największym źródłem frustracji był brak pomysłów co do lasu. Milion złotych, który wydała na zakup tej ziemi, był niczym samozaciskająca się pętla. Kiedyś mówiła Alicji, że to były jej oszczędności, zgrywała poszkodowaną bogaczkę. Prawda jednak była taka, że oszczędności miała, ale nie w aż takiej ilości, a żeby zdobyć pieniądze na zakup lasu, musiała wziąć kredyt pod zastaw mieszkania i salonu oraz kilka mniejszych pożyczek. Początkowo jakoś sobie radziła ze spłatą, ale odkąd salon przestał przynosić oczekiwane dochody, zrobiła się olbrzymia dziura w budżecie skutkująca utratą płynności finansowej. Myśl o salonie niedziałającym już teraz w ogóle powodowała mdłości. Nie potrafiła o tym zapomnieć, dręczyły ją koszmary, nie mogła spać. Miała żal do Sabiny, ale jeszcze bardziej do siebie. Sprawy wymknęły się spod kontroli już dawno. Do tego doszedł ten cholerny las.

Próbowała rozmawiać na ten temat z Pawłem, sugerując, że może właściciele ośrodka odkupiliby las. Polniak, jako jeden z udziałowców, mógłby przekonać resztę do tej inwestycji, ale on wyśmiał ten pomysł.

– Chyba oszalałaś – parsknął. – Nie dość, że czeka nas teraz mnóstwo wydatków związanych z reorganizacją i odświeżeniem ośrodka na sezon, to jeszcze mielibyśmy kupować las za tak absurdalnie wysoką cenę? Zaproponuj normalną kwotę, to wtedy porozmawiamy.

– Ale to jest normalna kwota. Za tyle kupiłam – tłumaczyła Kaja. – W dodatku wydałam dodatkowe dwieście tysięcy na ogrodzenie. Tego już nie podliczam.

– A po cholere nam ogrodzony las? I tak musielibyśmy to zdemontować. Powiedziałem, zaproponuj normalną cenę, to wrócimy do rozmowy.

– Nie mogę – jęknęła płaczliwym głosem Kaja. – Kupiłam za milion, wzięłam kredyt, muszę go spłacić. Nie mogę obniżyć ceny, naprawdę... Błagam, pogadaj z resztą wspólników, może coś wymyślą.

– Co mają niby wymyślić. Nie rozumiem zresztą, po co był ci ten las.

– Do niczego – przyznała. – Zostałam oszukana, a teraz usiłuję znaleźć wyjście z tej sytuacji.

– No pięknie... Właściwie ile masz lat?

– Dwadzieścia sześć.

– Coś mi tu śmierdzi – przyznał po zastanowieniu.

– Że co? Wyglądam młodziej? – ożywiła się.

– Skąd miałaś takie pieniądze w tym wieku? Zazwyczaj ludzie dopiero wtedy zaczynają się dorabiać. A i tak rzadko w życiu udaje im się ten milion

zdobyć. Ja jestem po trzydziestce, wiele lat robiłem w Niemczech, a mimo to, sorry, nie mogę się pochwalić milionem na koncie.

– Nie miałam aż tyle na koncie, musiałam wziąć kredyt i kilka pożyczek.

– Okej, ale na to też trzeba mieć zabezpieczenia, banki ot tak nie udzielają pożyczek i kredytów.

– Owszem. Czterdzieści tysięcy miałam odłożone, a resztę wzięłam pod zabezpieczenie domu i salonu. No i dwie pożyczki po pięć tysięcy jeszcze, bo musiałam zapłacić podatek, a już z kredytów nie starczyło. Potem utrzymywałam się z pieniędzy, które zarabiał salon, ale teraz...

– Fiu, fiu – gwizdnął. – Mieszkanie, salon. To i tak imponujący wynik jak na dwudziestosześcioletkę. Chyba pracowałaś na to od dziecka.

– Dostałam w prezencie od mamy. Wcześniej to ona prowadziła salon kosmetyczny, jest dermatologiem. Oddała mi firmę. I mieszkanie też mi kupiła.

– Zazdroszczę.

Kaja się skrzywiła. Nie lubiła przyznawać, że to nie ona sama zapracowała na swój majątek. Teraz tym bardziej było jej wstyd, że może go stracić przez oszusta.

– Nie wszyscy mają tyle szczęścia – ciągnął Paweł. – A zamiast docenić to i trzymać, dałaś się wrobić w las, który wart jest może sto tysięcy, nie więcej.

– Nawet mi nie mów. Poza tym przyganiał kocioł garnkowi. Tobie rodzice wybudowali dom, też sam na niego nie zapracowałeś.

– I tu się mylisz. Rodzice, owszem, dali mi ziemię i postawili dom, ale w stanie surowym, za całą resztę zapłaciłem sam. Siostra w spadku dostanie gospodarstwo.

– Ja bym dostała w spadku salon. Na jedno wychodzi, czy dostałam teraz, czy dostałabym za kilkadziesiąt lat.

– Tak czy inaczej lasu od ciebie nie kupimy. Chyba że obniżysz cenę.

– Nie obniżę.

Kaja była uparta, bo nie miała wyjścia. Najchętniej oddałaby ten las za darmo i wróciła do Wrocławia. Obawiała się jednak, że tam nie czeka na nią nic dobrego. Jediną nadzieją na poprawę sytuacji było odzyskanie pieniędzy z ziemi. Z milionem w dłoni mogłaby naprawić to, co popsuka. Już samo spłacenie długów byłoby sporym ułatwieniem i pozwoliłoby złapać oddech, a co dopiero powrót do starego stylu życia, który tak uwielbiała. Teraz nie było na to szans. Znajomi wiedzieli, że coś jest nie tak, nie chciała narażać się na śmieszność. Zawsze lansowała się na kobietę sukcesu, tak była widziana i tak chciała, żeby ją widziano. Porażka nie wchodziła w grę.

Daisy skomlała przy drzwiach, dając znać, że to już najwyższa pora na wyjście. Odkąd brama z powodu zalegających zwałów śniegu przestała się domykać, Kaja nie wypuszczała psa samego na dwór.

– Chwileczkę – szepnęła w kierunku suni znad laptopa rozłożonego na kuchennym stole. Od dwóch dni intensywnie poszukiwała ogłoszeń, mając nadzieję, że trafi na kogoś, kto będzie chciał odkupić od niej las. Nie miała już pomysłu na biznes w tym miejscu, dlatego najrozsądniejszą opcją wydała jej się sprzedaż. Kupców niestety nie było.

– Już idę – powiedziała, gramoląc się zza stołu.

Założyła kalosze i puchową kurtkę pożyczoną od Pawła i wyszła.

Daisy, nie czekając, aż Kaja przypnie jej smycz, natychmiast ruszyła przed siebie. Od razu zauważyła otwartą bramę i pobiegła właśnie w tym kierunku.

– Daisy! – Kaja usiłowała powstrzymać psa, ale bez skutku. Daisy, będąc już poza posesją, ochoczo wbiegła na ośnieżone pole. Kaja przystanęła pod bramą, przyglądając się, jak pociecha pręży się, by zrobić kupkę.

– Dobrze, że na wsi nie każą za tobą sprzątać – mruknęła Kaja bardziej do siebie niż do psa. I tak nie chciałoby jej się biegać z torebkami. Z podwórka Polniaków sprzątała na bieżąco, z uwagi na to, że sama nie chciała wdepnąć w prezencik pozostawiony przez Daisy. We Wrocławiu jednak nie zawsze o to dbała, narażając się na krytykę ze strony innych psiarzy.

– Już? Idziemy do domu? – krzyknęła do Daisy, ale piesek ani myślał wracać. Zadowolona sunia tarzała się w śniegu. Nagle podniosła pysk i znieruchomiała. Po chwili merdając wesoło ogonem, pobiegła wzdłuż drogi. Kaja się odwróciła. W oddali zauważyła Karola wracającego ze szkoły. Szedł wolno, ciągnąc za sobą sanki.

Kaja westchnęła. Obraz sprzed dwóch dni wrócił do niej jak bumerang. Mimo że starała się odrzucić myśli o Karolu i jego ojcu, wmawiając sobie, że to, co widziała, to nie jest jej sprawa i nie powinna się mieszać w życie cudzej rodziny, zdarzenie to wryło się w jej pamięci i tkwiło tam niczym drzazga. Nie umiała jej wyjąć.

Karol, do którego podbiegła Daisy, zatrzymał się i przestraszony spojrzał na Kają.

– Nie bój się! – krzyknęła. – Chodź, nic ci nie zrobię.

Nieśmiało podszedł bliżej, ale nie był pewien, czy może pogłaskać Daisy, która wciąż skakała przy jego nogach.

– Cieszy się, że cię widzi – powiedziała Kaja, zdobywając się na uśmiech. – Chcesz się z nią pobawić?

– A mogę? – zapytał cicho.

– No pewnie. Sorry, że ostatnio tak cię potraktowałam. No, ale wiesz... nie można bić zwierząt.

– Tak, wiem.

– I nie tylko zwierząt – ciągnęła Kaja. – Ludzi też, rozumiesz?

– Rozumiem. Nikogo nie biję. To co, mogę ją pogłaskać? – Spojrzał na

dziewczynę niepewnym wzrokiem.

– Oczywiście, tylko na to czeka.

Karol ukucnął i podrapał Daisy za uchem. Sunia z radością zaczęła ocierać się o jego dłoń.

– Nikogo nie można bić – powtórzyła Kaja z naciskiem. – Nikt nikogo nie może bić. Widzisz, taki piesek to nawet nie mógłby się poskarżyć, bo nie umie mówić. Człowiek to co innego. Gdyby ktoś cię uderzył, na przykład kolega, to mógłbyś poskarżyć się nauczycielce, prawda? – Kaja nachyliła się nad Karolem i spojrzała mu wymownie w oczy.

– Moi koledzy mnie nie biją – zapewnił, głaszcząc Daisy.

– To dobrze. Ale ogólnie mówię, że gdyby ktoś cię uderzył, to w przeciwieństwie do psa mógłbyś się poskarżyć nauczycielce. Ktokolwiek, koledzy albo na przykład tata, jak byłby na ciebie zły. Wiesz przecież, że nie wolno bić dzieci?

Karol podniósł wzrok na Kaję.

– Tata nigdy by mnie nie uderzył – powiedział stanowczo. – Mój tata jest najlepszy na świecie. I kocha mnie najbardziej na świecie.

– No tak... – Kaja westchnęła. Nie miała ochoty dyskutować na ten temat ani przyznawać się do tego, co widziała przez okno w mikołajki. Uznała, że ta krótka rozmowa, w której uświadomiła Karola, że w razie potrzeby może się poskarżyć nauczycielce, jest wystarczająca. Skoro chłopak zapalczywie broni ojca, to już jego problem, a nie jej.

– A pani tata jest fajny? – spytał nagle.

– Mój tata?

– Tak. Fajny jest?

Kaja zamilkła. Nie знаła swojego ojca i nigdy nie zastanawiała się nad tym, kim był i jaki był. A może raczej kim jest i jaki jest. Matka niechętnie o nim mówiła, wszelkie pytania zbywając machnięciem ręki i słowami, że nie ma o czym mówić. Podobno był marynarzem, którego poznała na wakacjach. Podobno.

– Fajny. – Wzruszyła ramionami. Chłopiec się uśmiechnął. – Zimno mi – powiedziała, żeby nie ciągnął tematu. – Idę do domu. Jeśli chcesz, możesz się przez chwilę pobawić z Daisy. Tylko nie odchodź za daleko.

– Ale teraz? – zdziwił się.

– Teraz, a kiedy? Zapłacę zgodnie z umową.

– Super, bardzo bym chciał. Ale teraz nie mogę. Muszę odsnieżyć, posprzątać pokój, pouczyć się...

– Co ty gadasz? Zawsze miałeś czas, żeby się bawić z Daisy, nagle ci się odwiedziało? Przecież już wyjaśniliśmy sobie, przeprosiłam.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Chłopiec zbliżył się do Kai i spojrzał jej prosto w oczy.

– Bo... – zaczął cichym głosem – tylko niech pani nikomu nie mówi...
Obiecujecie pani?

Kaja zacisnęła oczy. Wcale nie chciała wysłuchiwać tajemnicy. Bała się, że chłopak wyzna jej, że jest bity i że to ojciec zmusza go nie tylko do nauki, ale też innych obowiązków.

– Nikomu nie powiem – wydusiła z siebie niechętnie po dłuższej chwili.

– Bo Mikołaj istnieje. I teraz muszę być grzeczny.

– Że co? Jaki Mikołaj?

– Święty. Przyniósł mi różgę.

– O rany! – wyrwało się Kai. Zapomniała już o niechlubnym prezencie, który położyła pod drzwiami domu Karola. – Ale to może nie Mikołaj, coś ty, może ktoś żart sobie taki zrobił. – Roześmiała się nerwowo.

– Na pewno nie. Różga była podpisana. Dla mnie. Akurat poszedłem wynieść śmieci i ją znalazłem pod drzwiami.

– Pokazałeś rodzicom?

– A skąd, od razu schowałem. Oni nie wierzą w Mikołaja. Prezenty dają z rana, wkładają nam do butów.

– Słuchaj, to jakaś pomyłka, nie przejmuj się tą różgą.

– Ale ja się nie przejmuję. To najlepszy prezent, jaki dostałem – powiedział uradowany.

– Dlaczego?

– Bo mam dowód, że Mikołaj istnieje. Dał mi różgę. To znak, że byłem niegrzeczny i muszę się poprawić. I wtedy na pewno da mi to, o co prosiłem w liście.

– Wysłałeś do Mikołaja list?

– Oczywiście. Pani nie wysyła?

– A o co prosiłeś?

– Nie wiem, czy mogę zdradzić – zawahał się.

– Dobra, to nie mów. I tak się domyślam. Pewnie lego albo jakaś gra komputerowa.

– O spotkanie z tatą – wyszeptał podekscytowany.

Kaja uniosła brwi. Dziwny dzieciak.

– Widzisz się z nim codziennie i musisz prosić o audiencję? – spytała.

– O co?

– No, o spotkanie. Powiedziałaś, że chcesz się spotkać z tatą.

– Bo chcę. Dawno go nie widziałem.

– Mieszkasz z nim przecież.

– Ja? Nie mieszkam z nim.

– To z kim mieszkasz? – zaciekawiała się.

- Z mamą. I z siostrami. I jeszcze z mężem mamy.
- A mąż mamy to nie jest twój tata?
- Nie mój. Moich siostr. Mój tata jest żołnierzem i walczy na wojnie. Ale może Mikołaj sprawi, że się spotkamy, jak pani myśli?

Kaja była oszołomiona. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wydęła wargi, próbując sklecić jakieś sensowne zdanie, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Walczy na wojnie? – spytała w końcu. – Ale gdzie? W Afganistanie? W Iraku?

- No. Tak. – Chłopak kiwnął głową. – Jest bohaterem.
- Daisy! – Kaja dopiero teraz zauważyła, że suczka, tarzając się w śniegu, oddaliła się kilkanaście metrów dalej, ledwo było ją widać. – Wracaj natychmiast!
- Jutro mógłbym się z nią pobawić – zaproponował Karol.
- Okej. – Kaja zgodziła się natychmiast.

Chciała już wracać do domu, rozmowa za bardzo ją zmęczyła. Skomplikowana sytuacja chłopca niewiele ją obchodziła, a marzenie o spotkaniu z tatą mogło być przecież nierealne. Nie miała ochoty z nim dłużej o tym rozmawiać i pozbawiać go złudzeń. Kolejny raz pożałowała, że podrzuciła różgę pod drzwi. Gdyby nie to, nie musiałyby teraz słuchać o Świętym Mikołaju. Dzieci są jednak głupie i naiwne – przebiegło jej przez myśl. Nie znosiła dzieci.

**

Zeszyt w kratkę, który komendantowi Grzelakowi służył za notes, zapisany był już w połowie. Śledztwo w sprawie utonięcia trwało, a policjant skrupulatnie notował wszystkie zeznania. Ustalił z prokuratorem, że do czasu wyników sekcji zwłok będzie działał sam. Dopiero jeśli się okaże, że utonięcie mężczyzny nie było wypadkiem ani samobójstwem, lecz brały w nim udział osoby trzecie, do Grzelaka dołączą śledczy z Wrocławia.

Komendant prowadził śledztwo dwutorowo. Po pierwsze, starał się dowiedzieć, co tamten człowiek robił w Polance, a po drugie, usiłował ustalić, kto ukradł pomysł na to morderstwo. Bo że było to morderstwo, Grzelak nie miał wątpliwości. Ludzie sami z siebie nie opuszczają samochodów i nie idą się topić. Nawet samobójcy mają przecież wcześniej plan i zazwyczaj piszą listy będące ostatnim pożegnaniem, wyjaśnieniem dramatycznego kroku. Przy tym mężczyźnie znaleziono plik pieniędzy, lecz listu żadnego nie było. To, że morderca nie wziął forsy, można było łatwo wytłumaczyć. Nie przeszukał ofiary i nie wiedział, że w kieszeni znajduje się kasa. Najwyraźniej nie zależało mu na pieniądzach. Miał inny motyw, a mianowicie postępować zgodnie z fabułą książki Grzelaka. Tak właśnie robią psychopaci. Ich popaprane umysły nie funkcjonują normalnie. Grzelak był tego pewien. I dlatego tak starannie przepytывał każdego, kogo odwiedził. Szedł sprawdzonym już tropem, pukając do każdego domu. Nie chciał

przegapić nic, co mogłoby wyjaśnić tę sprawę. Zaczął od sołtysa. Tu jednak szybko się okazało, że trop nie jest właściwy, bo nie dość, że sołtys nie miał nic konkretnego do powiedzenia, to jeszcze dysponował niepodważalnym alibi. Nie było go w tym czasie w Polance, a o zdarzeniu dowiedział się dopiero po powrocie, od żony.

Grzelak na wszelki wypadek nie wierzył nikomu. To oczywiste, że morderca będzie się wypierał znajomości z ofiarą oraz samego aktu zbrodni. Trzeba być czujnym i nie dać się zwieść – powtarzał sobie na głos za każdym razem, kiedy podchodził do kolejnej furki, wchodził do kolejnego domu, rozmawiał z kolejnym potencjalnym świadkiem lub potencjalnym podejrzanym. O dziwo, nie frustrowało go, że nikt nic nie widział i nikt nic nie wie. Miał silne przeczucie, że lada chwila uderzy w odpowiedni stół, a wtedy nożyce same się odezwią.

**

Kaja przygotowała kolację. W sklepie u Wojtaszków udało jej się kupić mrożone krewetki. Wojtaszek przywiózł je z hurtowni specjalnie dla niej, licząc, że dziewczyna wreszcie przestanie utyskiwać na mizerne zaopatrzenie wiejskiego sklepu. Była zadowolona, że mężczyzna nie zapomniał także o twardym serze. Wprawdzie nie był to parmezan, ale grana padano, do makaronu jednak jak znalazł. Miała nadzieję, że własnoręcznie przyrządzony przez nią posiłek przypadnie Pawłowi Polniakowi do gustu i wróci do rozmowy o kupnie lasu przez ośrodek. Liczyła też na to, że Paweł spojrzy na nią bardziej przychylnym okiem. Od czasu pierwszego ich spotkania i jedynej wspólnej nocy w łóżku zdawał się jej nie dostrzegać. Mimo stosowania kobiecych sztuczek, za których pomocą usiłowała zdobyć jego zainteresowanie, Paweł pozostawał niewzruszony. Nie ekscytował się, kiedy chodziła półnaga po domu, nie przyjmował zaproszeń na wspólny wieczór przy filmie i lampce wina, ignorował próby flirtowania. Czasem udało im się spotkać w kuchni i zamienić kilka słów, jednak nie były to przyjacielskie rozmowy, które chciałyby się toczyć z uśmiechem na ustach.

Kolacja przyrządzona przez Kaję miała za zadanie przerwać impas. Przez żołądek do serca. Mężczyzna powinien docenić wysiłki. Bo przecież nie dla każdej kobiety ugotowanie posiłku jest proste. Dla Kai było to wielkie poświęcenie.

– Zapraszam, zrobiłam kolację! – krzyknęła w kierunku salonu. Paweł od godziny pracował przy laptopie. Na stole leżały płachty papieru z jakimiś wykresami.

– Nie jestem głodny! – odkrzyknął bez wahania.

– Chodź, nie marudź! Chwila przerwy dobrze ci zrobi. Chodź, póki ciepłe, sama ugotowałam – zaznaczyła, przechodząc do salonu. – Może tu zjemy? Przynieść?

Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem. Chyba rzeczywiście był mocno

zapracowany.

– Przyniosę – zdecydowała, nie czekając na odpowiedź. Makaron prezentował się świetnie. Kaja dołożyła starań, żeby odpowiednio go podać. Obok talerzy ustawiła kieliszki, do których naląła białego wina. Miała nadzieję, że Paweł nie zauważy, że alkohol podebrała z jego barku.

Paweł niechętnie podniósł się z za stolika, przy którym pracował, i usiadł przy stole. Bez słowa wziął widelec i zaczął jeść.

– Niezłe... – powiedział po chwili.

Kaja uśmiechnęła się, zadowolona z komplementu. Rzadko gotowała, ale ten makaron naprawdę się udał.

– Dziękuję. Twoje zdrowie. – Podniosła kieliszek.

– Jest jakaś okazja?

– Wreszcie jemy razem kolację i nawet mnie chwalisz.

– No tak – przyznał z przekąsem. – Trzeba to opić.

– A co tam w pracy? – zagadnęła. Wzruszył ramionami.

– Nie uda nam się ruszyć z ośrodkiem w wakacje, za dużo tam pracy, trzeba go przygotować na następny sezon.

– Dlaczego? – Szczerze się zmartwiła. Jeśli nie otworzą teraz ośrodka, to i lasu nie będą potrzebowali, przebiegło jej przez myśl.

– Trzeba go przebudować, właśnie poprawiam plany. Nie zdążymy.

– Jak przebudować? Przecież mieliście go tylko odremontować, odświeżyć. Co tam więcej jest do roboty?

– No cóż... Pojawił się inny pomysł. Zamiast ośrodka będziemy robić hotel trzygwiazdkowy, a żeby uzyskać gwiazdki, trzeba spełniać pewne normy. Nie chce mi się tego tłumaczyć...

– Ale po co? Hotel to duże wyzwanie. Na takiej wsi, kiedy i tak będzie działał tylko latem, chyba nie ma sensu otwierać hotelu. Ośrodek to co innego.

Paweł wzruszył ramionami. Pochłaniał makaron w tempie błyskawicznym. Kaja pomyślała, że kłamał, mówiąc, że nie był głodny. Na szczęście pił też wino, co szybko rozwiązywało mu język. Doląła.

– Owszem, taki był początkowy plan – zgodził się. – Ale jest szansa rozbudować cały ośrodek, teren na to pozwala. Powstał pomysł, żeby dobudować basen oraz strefę odnowy biologicznej, dzięki czemu hotel będzie mógł przyjmować gości także poza sezonem.

– To chyba duża inwestycja... – zauważyła, a w głowie znów zatliła się nadzieja, że skoro tyle inwestują, to może stać ich będzie także na las.

– Nie wiadomo, czy dojdzie do skutku. Za dwa dni ma przyjechać potencjalny inwestor. Jeśli wejdzie w ten biznes z nami, to będzie już z górki.

– Jakiś nowy inwestor? Kto?

– A czy to ważne?

– Z ciekawości pytam...

– Grzegorz Wiech. Deweloper z Wrocławia. Od jakiegoś czasu inwestuje także w hotele.

– Hmm... – Kaja westchnęła. Zapisała w pamięci nazwisko, żeby sprawdzić, kim jest ów Wiech, nie słyszała o nim. – A myślisz, że przydałby mu się mój las?

– Daj już spokój z tym lasem!

– Nie unos się – powiedziała spokojnie. – Tak tylko napomknęłam...

– Dziewczyno, weź się ogarnij. To są poważni ludzie, nie jakieś durne blondynki, które dają się omamić byle łachudrze i wydają cały majątek na kawałek bezwartościowej ziemi. Już nie mogę słuchać o tym twoim lesie! Chcesz wiedzieć, co myślę? Otóż myślę, że jesteś głupia. Głupia jak but. Durna gęś, która ma siano w głowie zamiast mózgu. Przecież gdybym ja miał takie pieniądze, ile ty miałaś, nieważne skąd, pięćset razy zastanowiłbym się, na co je wydać. Z pewnością nie kupowałbym lasu. Po jaką cholere był ci ten las? Naprawdę myślałaś, że będziesz królową trufli? Są w Polsce w ogóle trufle?

– Nie obrażaj mnie – wycodziła.

– Nie obrażaj, nie obrażaj... – przedrzeźnił. – To spójrz na to obiektywnie. Siedzisz mi na głowie, w moim domu, cały czas pieprząc o lesie i o tym, jaką masz trudną sytuację z tego powodu. Ale zamiast ratować, co się da, i zadbać o firmę, którą porzuciłaś, żeby zająć się cholernym lasem, tracisz całe dni na nie wiadomo co!

– Szukam kupca! – Kaja podniosła głos, nie wytrzymała. – Nie mogę wrócić do Wrocławia z niczym, rozumiesz?

– Sorry, ale nie rozumiem.

– No właśnie, i nigdy nie zrozumiesz. Nie jesteś w mojej skórze, nie prowadziłeś mojego życia. Nie wiesz, jak to jest!

– Ogarnij się! Bo właśnie teraz tracisz kolejne dni swojego życia, chwytając się jakiejś ułudy! Zrozum wreszcie, że nikt tego lasu nie kupi i nie odzyskasz tych pieniędzy.

– Odzyskam – stanowczo powiedziała Kaja. Odwróciła wzrok od Pawła i nawinęła makaron na widelec. – Odzyskam, zobaczysz. Tylko umów mnie z tym inwestorem.

– Jeszcze czego. – Paweł odchylił się na krześle, odsunął od siebie pusty talerz i wypił do końca wino.

Kaja posprzątała ze stołu. Nie wracała już do tematu, nie chciała drażnić Pawła. Polniak podziękował za kolację i wrócił do swojej pracy. Resztę wieczoru spędzili oddzielnie.

**

Małgosia Wojtaszek przysypiała za sklepową ladą. Ojciec pojechał po towar, a matka, wymęczona gripą, odpoczywała w domu. Było południe. Słońce przebijało przez chmury, a jego promienie odbijały się na ścianach, tworząc asymetryczne wzory. Małgosia wpatrywała się w nie leniwie, obserwując grę światła i cienia. Właściwie nic ciekawego, ale z nudów można zainteresować się byle czym i odnajdywać w tym sens. Albo dostrzegać znaki. Tak jak ten, który pojawił się na suficie. I choć Małgosia początkowo nie dowierzała, to po zmrużeniu oczu nie miała już wątpliwości, że kształt przypomina skrzydła. Prawdziwe anielskie skrzydła. To z pewnością znak, że trzeba w tym roku jednak zostać kołędnikiem. Od kilku lat, nieprzerwanie, Małgosia opierała się temu wyzwaniu, choć ksiądz nieraz prosił, żeby młodzi mieszkańcy Polanki kontynuowali tradycję. Starsi nie mieli już sił, by chodzić po domach, a ich przygarbione sylwetki i zmęczone twarze wywoływały co najwyżej politowanie. Potrzeba było zmiany. Potrzeba było młodych. Potrzeba było Małgosi.

Małgosia rozbudziła się natychmiast. Wstąpiła w nią nowa energia. W głowie tworzyła listę potencjalnie chętnych koleżanek. Do tej pory żadna nie wrywała się do takiej aktywności, ale Małgosia wiedziała, jak je przekonać. Ona, podobnie jak koleżanki, wciąż narzekała na brak pieniędzy. Wciąż nie starczało na wszystkie buty, o jakich marzyła. Wciąż brakowało na nowe dzinsy, na modne bluzki i te obłędnie wyglądające migoczące bransoletki. Potrzebowała znaku, jak można by to wszystko zdobyć. I oto pojawił się znak. Wystarczy przebrać się za kołędnika, nauczyć kilku kołęd, a ludzie sami zaczną wrzucać do kiesy. Jeśli im się spodoba kołędowanie, to w nagrodę, a jeśli im się nie spodoba, to pewnie też wrzucą, żeby jak najszybciej sobie poszły. Małgosia już nie mogła się doczekać. Wreszcie dobra niedostępne wcześniej mogły znaleźć się w jej zasięgu. Białe wymarzone kozaczki tylko czekały, kiedy po nie przyjedzie.

Podeksytowana pomysłem, wykręciła numer Kaśki.

– Będiesz diabłem – oświadczyła, kiedy tylko koleżanka odebrała.

– Kim? – Kaśka mimo południa chyba dopiero wstała.

– Diabłem. Będziemy kołędować w święta.

– Porypało cię? Nigdzie nie będę kołędować.

– Ludzie dają kasę kołędnikom, właśnie mnie oświeciło – powiedziała niezrażona odmową Małgosia.

– Aaaa... chyba że tak... – zgodziła się Kasia. – A ile?

– Skąd mam wiedzieć? Ale na pewno dużo. W święta ludzie są hojni.

W końcu święta, no nie?

– To mam być diabłem? Ale dlaczego ja?

– Możesz sobie wybrać Heroda. Albo śmierć.

– A anioł?

– Już zajęty. Pierwsza byłam. Ale nie martw się, diabeł też może być ładny,

dlaczego nie – pocieszyła.

– To kto jeszcze z nami będzie chodził?

– Dopiero obdzwaniam. Muszę kończyć, jakiś samochód podjechał, klient chyba. Że też nie mają co robić, tylko po sklepach łązić.

– Dobra, to ja też pomyślę, kogo by wziąć do tego interesu.

– Pomyśl, pomyśl kochana, zadzwonimy się później, pa. – Małgosia cmoknęła do słuchawki.

Odłożyła telefon i niechętnie spojrzała w kierunku otwierających się drzwi. Do sklepu weszła Kaja.

Tylko nie to – jęknęła w duchu Małgosia. Doskonały humor, w jaki ją wprowadziła myśl o kolędowaniu, zaraz miał zostać popsuty. Kaja była najgorszym złem, koszmarem każdej sklepowej. Domagała się produktów, których zazwyczaj nie było, utyskiwała na jakość, narzekała nawet na zapach unoszący się w powietrzu, choć oprócz niej nikt nic nadzwyczajnego nie wyczuwał.

Małgosia odruchowo spięła się i wygładziła fartuch. Kaja bez słowa rozglądała się po półkach. Nigdy nie mówiła zwyczajowego „dzień dobry”, nawet nie kiwała głową w geście powitania. Zdaniem Wojtaszków wchodziła jak do obory, psuła im humory i wychodziła niczym święta krowa.

– Coś podać? – spytała przez zaciśniętą szczękę Małgosia, zdobywając się na niemrawy uśmiech.

– Mmmmm – wymruczała Kaja, nie obdarzając dziewczyny spojrzeniem. Wydymała usta, kręciła nosem, błędziła wzrokiem po półkach. – Mmmmm... No nie wiem... Szynka parmeńska jest?

Małgosia tym razem uśmiechnęła się szerzej.

– Pakowana. Jest – powiedziała z satysfakcją. – Ojciec specjalnie przywiózł.

– Aha... Super... – Kaja nie wykazała entuzjazmu. – No to poproszę. Albo nie... jednak nie mam ochoty na mięso... Może macie tofu?

– Co?

– Nic. – Kaja wywróciła oczami. – Mielonkę wezmę.

– Co? – Małgosia była pewna, że to żart.

– Naszła mnie ochota na mielonkę. – Kaja spojrzała na Małgosię znudzonym wzrokiem. Nie chciała dać po sobie poznać, że zmiana nawyków żywieniowych związana jest ściśle ze zmianą sytuacji finansowej. Zapasy topniały w mgnieniu oka, a portfel, niegdyś pękaty, teraz świecił pustkami. Najgorzej, że na konto bankowe przestały wpływać środki, i choć Kaja wiedziała, że w razie czego ma jeszcze możliwość zrobienia debetu, to zdawała sobie sprawę, że debet trzeba będzie spłacić, a już nie miałyby z czego.

– Mielonkę? – Małgosia nie ukrywała zdziwienia. – Taką zwykłą? Z puszki?

– Słyszałaś. I szprotki w pomidorach wezmę. Awokado jest?

– Nie ma.

Kaja miną zaafiszowała niezadowolenie. Nagle jej wzrok padł na palto wiszące przy wejściu na zaplecze. Zmierzyła Małgosię wzrokiem. Dziewczyna była podobnej co ona postury. Kaja odchrząknęła i nachyliła się nad ladą.

– Słuchaj – szepnęła, patrząc Małgosi prosto w oczy. – Mam taki problem... Pojutrze czeka mnie ważne spotkanie biznesowe, a jestem ostatnio tak zapracowana, że nie miałam kiedy podjechać do Wrocławia po zimowe ubrania, nie mówiąc już o zakupach. Na nic nie mam czasu – westchnęła. – Czy mogłabyś pożyczyć mi swój płaszcz na to spotkanie?

Małgosia spojrzała tak, że Kaja dodała natychmiast:

– Co się tak patrzysz, nie pożyczłaś nigdy ubrań koleżankom?

– Koleżankom tak. Ale nie obcym. I nie zimowego palta.

– Przecież nie jestem obca. Kobiety powinny sobie pomagać. Nie dam rady pojechać po swoje ubrania, a coś muszę na siebie założyć, nie pójdę w starej kurtce Polniaka ... Nie mam tu koleżanek, jesteś jedyną...

– Jesteśmy koleżankami?

Kaja uśmiechnęła się przymilnie.

– Tak mi się wydawało. W końcu znamy się nie od dziś.

– Nawet nie mówimy sobie po imieniu – zauważyła Wojtaszkówna.

– Ojej, myślałam, że już dawno przeszliśmy na ty – skłamała gładko Kaja. – Kaja jestem. – Podała Małgosi dłoń.

Małgosia podała swoją.

– Gosia.

– To jak? Pomożesz mi? Mogłabym pożyczyć palto? Na pewno masz w domu jakąś zapasową kurtkę. To tylko jeden dzień. Dziś możesz wziąć moją. To znaczy Pawła, on mi dał, jest trochę za duża, ale za to ciepła.

Małgosia zmrugała oczy.

– Dobra – powiedziała po chwili. – Pożyczę ci palto, ale w zamian ty załatwisz mi coś innego.

Tym razem Kaja podniosła brwi. Nie spodziewała się, że cicha dotychczas sklepowa potrafi przybrać aż tak zdecydowany ton. – Mieszkasz u Polniaków, prawda? – bardziej stwierdziła, niż spytała Małgosia.

– No tak.

– A stary Polniak miał wypadek latem, połamał się, no nie?

– No... tak.

– Załatwisz mi od niego strój anioła. On w tym roku kolędować na pewno nie będzie.

**

Nie było witryny ani żadnych oznaczeń, że akurat w tym domu mieści się zakład fryzjerski. Dopiero przy drzwiach znajdowała się mała tabliczka kierująca

potencjalnych klientów do przybudówki z tyłu. Kaja, przyodziana w palto pożyczone od Małgosi, poszła w tamtym kierunku. Nie miała pewności, czy dobrze zrobiła, przyjeżdżając właśnie tu, ale Małgosia zapewniała, że z dwóch fryzjerek w okolicy Patrycja jest tą najlepszą.

Wystrój salonu U Pati nie oszałamiał. Pstrokate, pomarańczowo-żółte ściany malowane metodą modnej przed laty przecierki wprowadzały estetyczny chaos. Kaja zatrzymała się w progu, usiłując przyzwyczaić wzrok do nie ulubianej mieszaniny kolorów.

– Pani do mnie? – spytała rudowłosa młoda dziewczyna, obsługująca klientkę siedzącą przy jednym z dwóch stanowisk.

– Do Patrycji – powiedziała Kaja.

– Czyli do mnie. Zapisana?

– Nie.

– A co będzie robione? Strzyżenie, farba?

– I to, i to.

– Na kiedy chciałaby się pani zapisać?

– Na już. Zależy mi na czasie.

Patrycja otaksowała wzrokiem fryzurę Kai.

– Za jakieś pół godzinki, czterdzieści minut niech pani przyjdzie.

– Zaczekam – zdecydowała Kaja, zdjawszy palto. Usiadła na brązowej kanapie. – Można prosić o kawę? Najchętniej latte.

Patrycja znieruchomiała z pędzlem w ręku. Klientka podniosła głowę znad gazety i spojrzała w lustro, szukając wzrokiem Kai.

– To nie kawiarnia – poinformowała oschle Pati.

– Wiem – odpowiedziała niezrażona Kaja. – Ale kawę chyba klientkom podajecie?

– Życzy sobie pani do kawy ciasteczko? – Patrycja uśmiechnęła się sztucznie.

– Dziękuję. Żadnych słodczy.

– Kawy nie podajemy. Co najwyżej woda. Może się pani sama obsłużyć. Tam stoi dystrybutor. – Fryzjerka wskazała brodą dwudziestopięciolitrowy baniak na stojaku, przy którym zawieszane były plastikowe kubeczki. Kaja nie skorzystała.

Przez chwilę w salonie panowała cisza. Patrycja farbowała włosy klientce, Kaja włączyła w telefonie dane komórkowe i przeglądała artykuły na jednym z plotkarskich portali. Klientka czytała gazetę, co jakiś czas zerkając w lustro i przyglądając się Kai. Nagle drzwi salonu się otworzyły i do środka wszedł z impetem komendant Grzelak.

– Dzień dobry! – krzyknął, omiatając wzrokiem wnętrze.

– Dzień dobry – mruknęła zajęta pracą Patrycja.

Klientka skinęła nieznacznie głową. Kaja w ogóle nie odpowiedziała.

– Możemy porozmawiać? – spytał Grzelak Patrycję.

– A o czym? Rodziców jeszcze nie ma, wyjechali do babci, mama robi jej porządki na święta – wyjaśniła Patrycja. – Jeśli chciał pan kupić od ojca miód, to zapraszam, gdy wrócą, ale zdaje się, że już wyprzedany.

– Ja nie do ojca. Do ciebie.

Patrycja spojrzała na Grzelaka bez większego zainteresowania.

– A o co chodzi?

– Poznajesz tego człowieka? – Komendant pokazał jej zdjęcie mężczyzny znalezione w jeziorze.

– Nie znam gnoja. – Patrycja wycedziła zdecydowanym głosem.

– Aha... – westchnął Grzelak. – A jego samochód poznajesz? – Pokazał drugie zdjęcie.

– A o co chodzi? – Fryzjerka odstawiała pędzel do miseczki z farbą i stanęła naprzeciwko Grzelaka, podpierając się rękoma pod boki. Rude loki zakołysały się niespokojnie.

– Ten mężczyzna nie żyje, został znaleziony martwy kilka dni temu. Utonął w jeziorze.

– Słucham? – Patrycja zbladła. Klientka z mocą popchnęła krzesło, żeby odwrócić je w stronę rozmawiających. Była równie zaciekawiona jak Kaja, która oderwała wzrok od telefonu i wpatrywała się teraz w policjanta i fryzjerkę.

– Nie wiesz nic o tym? – bardziej stwierdził, niż zapytał Grzelak. – Przecież cała wieś huczy.

– My też dzisiaj rozmawialiśmy – wtrąciła klientka. – Mąż mi mówił o tym trupie, ale to jakiś obcy...

– Obcy – potwierdził Grzelak. – Ale nie dla wszystkich. Patrycja chyba coś o nim wie. Prawda, Patrycio? – Wpatrywał się z natężeniem w dziewczynę.

– Nie żyje? – upewniała się fryzjerka. Była prawdziwie poruszona informacją.

– Nie żyje. I co mi powiesz na ten temat?

– Ja? – Patrycja bladła coraz bardziej, teraz nawet usta były koloru twarzy.

– Sąsiedzi zeznali, że ten samochód – ponownie podniósł kartkę ze zdjęciem – stał u ciebie pod domem.

– Ale... – jęknęła Patrycja. – Słabo mi. – Chwiejącym się krokiem podeszła do sofy, na której siedziała Kaja. Opadła ciężko. – Słabo mi – powtórzyła ledwie słyszalnym głosem. Kaja dopiero teraz podźwignęła się i podała fryzjerce kubek z wodą. Patrycja opróżniła go jednym haustem.

– Musimy porozmawiać – domagał się Grzelak, nieporuszony stanem fryzjerki. – Może przejdziemy do domu.

– Tak... Tak... – Patrycja wstała i błędnym wzrokiem patrzyła na

komendanta. – Tędy. – Powłócząc nogami, poprowadziła go przez drewniane wewnętrzne drzwi, którymi przybudówka połączona była z resztą domu.

**

Nie zdjął butów, ale ostatnie, o czym myślał, to resztki śniegu osadzone na włóchatym dywanie. Bardziej interesowała go reakcja Patrycji, która żeby w ogóle zacząć rozmawiać, musiała nalać sobie kieliszek koniaku. Była młoda, nie pasował do niej taki trunek, ale Grzelak nie komentował. Czekał, aż dziewczyna się uspokoi i zacznie mówić.

Patrycja siedziała w głębokim fotelu i patrzyła na złocisty płyn. Ogrzewała szklanekę w dłoni i co chwila podnosiła ją do ust, żeby wziąć mały łyżeczek. Jej twarz powoli nabierała zdrowego koloru.

– To Rysiek Stępień. Mój chłopak... – wydusiła wreszcie, nie patrząc na Grzelaka. – Narzeczony... Były narzeczony. Nie wiem...

– Co tu robił? Pokłóciliście się? Zerwaliście? Wiesz, co to za człowiek?

– Oczywiście. Znam go od trzech lat. Poznaliśmy się na portalu.

– Gdzie?

– W internecie. Na portalu randkowym, dużo pisaliśmy. Zakochałam się, on też. To było nasze pierwsze spotkanie.

– Czyli przyjechał do ciebie na randkę?

– Niezupełnie. – Patrycja zamilkła.

Odstawiła pusty kieliszek na stolik i ukryła twarz w dłoniach. Nie płakała, ale dało się usłyszeć ciężki oddech.

– Znaliście się od trzech lat... – Grzelak zapisywał w notesie. – Ale tylko wirtualnie... – odpowiedział, zadowolony, że przypomniało mu się określenie używane przez młodzież. Sam nie miał wielkiego doświadczenia w surfowaniu po internecie, nie znał portali, o których mówiła Patrycja.

– Rysiek jest mechanikiem samochodowym, ma warsztat, dużo pracy. Nie mógł do mnie wcześniej przyjechać – wyjaśniła Patrycja. – Ja kilka razy się wybierałam, ale to daleko. On mieszka... mieszkał... aż... no, na górze mapy.

– W Poznaniu – uściślił Grzelak.

– Nie w Poznaniu, gdzieś nad morzem.

– W Poznaniu. I nie był mechanikiem. To nie warsztat, to dziupla.

– Co? – Patrycja podniosła wzrok.

– Kradli auta i rozbierali je na części. A w wolnych chwilach był hieną cmentarną ten... twój chłopak. Okradał groby zmarłych – prychnął z niechęcią w głosie Grzelak.

– To nie mój chłopak – zaprzeczyła energicznie Patrycja.

– Sama tak go nazwałaś.

– To nie mój chłopak. To gnój, okradł mnie! – zaczęła płakać.

Grzelak przysiadł na poręczu drugiego fotela. Zajrzał do wcześniejszych notatek.

– Co to znaczy, że okradł? – spytał, choć domyślał się odpowiedzi. Wreszcie się wyjaśniło, skąd denat miał przy sobie plik pieniędzy.

– Bo... – zaczęła Patrycja, szlochając. – Bo... Ja chciałam mieć dziecko! – wybuchła potężnym płaczem.

Grzelak chwycił stojak z papierowymi serwetkami i podał fryzjerce.

– Wytrzyj nos – zaordynował. Nie lubił szlochających kobiet, nie brało go to. – Uspokój się. W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Patrycja posłusznie wysmarkała nos i rękawem wytarła oczy. Tusz rozmazał się po twarzy.

– Policzki wytrzyj jeszcze – polecił Grzelak. Wytarła. – O co chodzi z tym dzieckiem? Jesteś w ciąży?

– Nie wiem – jęknęła.

– Nie wiesz... – Grzelak westchnął. Nie ma to jak rozmawiać z babami, przebiegło mu przez myśl.

– Chciałam mieć dziecko – kontynuowała Patrycja. – Bardzo. Nie wie pan, jak to jest, kiedy wszystkie koleżanki wokół chodzą już z wózkami, a ty nawet nie masz męża.

– No racja, nie wiem, jak to jest – zgodził się Grzelak. – Do rzeczy. Jesteś w ciąży z tym mężczyzną?

– Rozmawiałam z wieloma – ciągnęła Patrycja, nie odnosząc się do pytania. – Ale jednak Ryśka znałam najdłużej. Ufałam mu. Zaproponowałam, żeby zrobił mi dziecko. Zgodził się.

– Nie byliście parą, a mimo to postanowiliście mieć razem dziecko?

– Nie razem – wyjaśniła szybko Patrycja. – On miał je tylko zrobić. Za pieniądze.

– O Boże – westchnął Grzelak i przysiadł na fotelu naprzeciwko fryzjerki. – Zapłaciłaś mu aż piętnaście tysięcy? – spytał, sprawdzwszy w notatkach, jaką kwotę znaleziono przy denacie.

– Umówieni byliśmy na dwa tysiące. Ale się pochwaliłam, że mam odłożonych więcej pieniędzy, więc jeśli za pierwszym razem się nie uda, to będziemy próbować do skutku. To znaczy: dopóki starczy mi kasy. Chciał zobaczyć te pieniądze, nie wierzył mi. Pokazałam. Przyuważył, skąd je wyjmuję.

Co za idiotka – przemknęło Grzelakowi przez myśl, ale nie skomentował głośno.

– Dlaczego ci nie ufał? Wspomniałaś, że dość długo się znaliście.

– Nie wiem... – jęknęła płaczącym głosem Patrycja. – On od razu przyjechał zły, robiłam wszystko, żeby go załagodzić, poprawić mu humor.

– Przyjechał zły... – powtórzył mimowolnie komendant, notując.

– No tak, bo się nie spodziewał, że na tej nowej drodze do Wrocławia nie ma stacji benzynowych. Potem, po zjeździe w kierunku Polanki, też o nie trudno. Ledwo tu dojechał, nie miał już benzyny, martwił się, jak wróci. – Patrycja mówiła szybko, przypominając sobie szczegóły tamtego wieczoru. Wspomnienie sprawiało jej ból, wyglądało na to, że rzeczywiście zaufała mężczyźnie, którego zaprosiła do domu w celu zapłodnienia. – Powiedziałam, że nie ma się czym martwić, że po drugiej stronie jeziora jest stacja, więc można kogoś poprosić, żeby przywiózł benzynę w kanistrze. Co to za problem? Rysiek był wściekły, nawet nie pochwalił jedzenia, które specjalnie dla niego ugotowałam – poskarżyła się.

– Zrobił ci krzywdę? Obezwładnił? Ukradł pieniądze i wyszedł?

– No nie... – Patrycja pierwszy raz od dłuższego czasu podniosła wzrok. – Gdy pokazałam mu pieniądze, to trochę mu się polepszyło. Napiliśmy się. Dużo piliśmy. No a potem... – Spuściła oczy. – Potem się kochaliśmy i ja zasnęłam. Więc chyba wtedy wziął pieniądze i pojechał. Dzwoniłam do niego na drugi dzień, próbowałam skontaktować się przez Messengera, Skype'a, ale...

– Nie odbierał – dopowiedział Grzelak. – Okej. Podsumujmy. – Przewertował kartki w notesie.

**

Bateria w telefonie padła i Kaja zaczęła się nudzić. Klientka siedząca przed lustrem czytała kolorowy magazyn. W salonie panowała cisza.

– Przepraszam – zagadnęła Kaja. – Czy mogłaby mi pani podać jedną z gazet? Leżą na parapecie.

Kobieta nie zareagowała.

– Przepraszam – ponowiła prośbę Kaja. – Na parapecie leżą gazety, czy mogłaby pani...

– Nie mogłabym.

– Słucham? – Kaja uniosła brwi. – Leżą obok pani.

– Wiem. Ale nie podam. – Kobieta wypowiedziała te słowa bez emocji, nie patrząc na Kają. Na pewno zdawała sobie sprawę z tego, że aby zdjąć z parapetu gazety, Kaja musiałaby przesunąć najpierw jej fotel, inaczej by się tam nie dostała.

– Nie podam, bo nie? – prychnęła Kaja. Ciśnienie zaczęło jej się podnosić.

– Bo nie mam ochoty. Ani czegokolwiek pani podawać, ani z panią rozmawiać.

– Okeeej... – Kaja pokiwała głową i wstała. – Nie to nie. W takim razie przesunij się, babo – pchnęła fotel, na którym siedziała klientka – bo chcę sobie wziąć gazety.

Kobieta zapałała się nogą, uniemożliwiając przejście.

– Nienormalna jesteś czy co?! – krzyknęła Kaja.

– U siebie jestem. Robię to, na co mam ochotę.

– Twój salon?
– Nie przechodziłyśmy na ty.
– Co za idiotka – warknęła Kaja, lecz na tyle głośno, że kobieta doskonale usłyszała.

– Skoro się pani ludzie w Polance nie podobają i wyzywa ich pani od idiotów, to proszę wracać tam, skąd pani przyszła.

– O co ci chodzi, kobieto? – Kaja stanęła naprzeciw fotela, na którym siedziała klientka. Spojrzała na nią z góry. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Dopiero teraz Kaja rozpoznała tę twarz. Matka Karola.

– O nic mi nie chodzi – spokojnie odpowiedziała klientka. – Po prostu robię to, na co mam ochotę. Nie baczę na innych. Dokładnie jak pani. Przecież wiem, kim pani jest.

– Niby kim?

– Właścicielką lasu.

– Co to ma do rzeczy?

– A to, że ogrodziła pani las, nie zważając na to, że obok stoi piękny ośrodek wczasowy. Ludzie mieliby może ochotę się przespacerować, pooddychać świeżym powietrzem. To nie ma wejścia, bo siatka.

– Nie pani interes.

– A właśnie, że mój. Tak się składa, że mój mąż jest jednym z udziałowców ośrodka. I to nam, mieszkańcom, którzy chcą coś dobrego zrobić, zainwestowali swój czas i pieniądze, pani usiłuje przeszkodzić. Nasi goście nie będą szczęśliwi, mając pod nosem siatkę odgradzającą las od reszty terenu. A przecież doskonale musiała pani wiedzieć, że ośrodek będzie reaktywowany. Mimo to ogrodziła pani las. Jak tak można? – Kobieta wycodziła ostatnie słowa, patrząc na Kaję z niesmakiem.

Kaja parsknęła głośnym nerwowym śmiechem.

– Jak tak można? I kto to mówi? Ty będziesz mnie pouczać, co można, a czego nie?

– Nie przechodziłyśmy na ty – przypomniała kobieta.

– Otóż, wyobraź sobie, że ja też wiem, kim ty jesteś – odparła niezrażona Kaja.

– Ja?

– Tak, ty. Jesteś matką dziecka, które jest maltretowane i bite, a ty nie reagujesz, a nawet na to przyzwalasz. Co z ciebie za matka!

– Oooo, wypraszam sobie. – Kobieta zniżyła głos. – Takie insynuacje podchodzą pod paragraf, mogę panią oskarżyć o pomówienia.

– Dobre sobie! – Kaja prychnęła. – Tak się składa, że w mikołajki zapodział mi się pies. – Spojrzała kobiecie prosto w oczy. – Odnalazł się pod waszym domem. A konkretnie zaplątał się w jakiś krzak rosnący pod waszym oknem

balkonowym – skłamała. Nie miała ochoty przyznawać się do prawdziwego powodu, dla którego znalazła się przy tarasie. – Wszystko widziałam! Wszystko! Pani szanowny małżonek bił dzieciaka po głowie, aż żal było patrzeć.

– To nieprawda!

– Bla, bla, bla. – Kaja złożyła usta w półuśmiechu i pomachała kobiecie przed oczyma wyładowanym telefonem. – Ja dowód mam. Na szczęście nie rozstaję się z komórką i udało mi się wszystko nagrać – zablefowała. – Panią też widać. Podane jak na tacy.

– To nie tak. – Kobiecie zadrżał głos.

– A to już sąd ustali – uśmiechnęła się Kaja. – Miałam iść na policję z tym nagraniem, ale wciąż brakowało mi czasu. A tu, proszę, dziś trafia się okazja, bo policja sama przyszła. – Kiwnęła brodą w kierunku drzwi łączących salon fryzjerski z domem. – Komendant pewnie się zdziwi, jaka patologia we wsi się szerzy. Kto by pomyślał, prawda? – Uśmiechnęła się. – Jak tak w ogóle można? – powtórzyła z zacięciem słowa klientki.

– To nie tak! – Kobieta była blada, nieznacznie zadrżała jej broda. – Mąż jest trochę nerwowy. Każdy przy Karolu straciłby panowanie, proszę mi wierzyć.

– To jeszcze dziecko. Co widziałam, to widziałam. Dzieciak nic nie robił, a pani mąż walił go po głowie.

– Mąż jest dyrektorem szkoły – wyjaśniła cicho kobieta. – Uczy matematyki. Karol nie łapie najprostszych rzeczy, jest najgorszy w klasie. Jak to wygląda? Syn dyrektora, matematyka, a taka noga z matmy? Pani też by nie wytrzymała, kiedy za dziesiątym razem musiałaby pani tłumaczyć to samo.

– Sugeruje pani, że to nic takiego, a jedynie metoda wychowawcza, tak?

– Czasem nie ma wyjścia, kiedy ręce już opadają i nic innego nie skutkuje.

– Jak wspomniałam, to już sąd oceni, nie ja. I myślę, że rozmowę skończyłyśmy. Poproszę o gazety.

Klientka tym razem posłusznie odwróciła się i sięgnęła po kolorowe magazyny leżące na parapecie. Podała je Kai.

– Niech pani nie robi afery i nie pokazuje filmu Grzelakowi, nie chcę kłopotów – powiedziała, patrząc Kai poważnie w oczy.

Kaja przez chwilę milczała. Upajała się nagłą zmianą frontu. Kobieta wyglądała na naprawdę wystraszoną perspektywą ujawnienia jej domowych tajemnic.

– Dobrze, zrobimy tak – powiedziała w końcu Kaja. – Ja wstrzymam się ze zgłoszeniem, ty natomiast powiesz swojemu mężowi, że się poznałyśmy. I że jestem urocza, miła i wspaniała. Poprosisz go, żeby umówił mnie z inwestorem, który ma przyjechać pojutrze do ośrodka.

– Ale co mój mąż może? Nic nie może, on nie jest decyzyjny...

– Ja jeszcze porozmawiam z Polniakiem. Jeśli obydwaj poproszą w moim

imieniu o takie spotkanie, to reszta z pewnością nie będzie stawiać oporu. Chodzi o las, więc jeśli się uda, to wszyscy na tym skorzystamy.

– Aha...

– A co do filmu... – Kaja uniosła komórkę. – To jeszcze go nie wykasuję. Nie lubię dzieci, ale akurat bicie kogokolwiek stoi w sprzeczności z moimi zasadami. Lepiej niech pani uważa.

Rozmowę przerwało nadejście Grzelaka i Patrycji. Dziewczyna miała zaczerwienione oczy, a komendant był mocno zamyślony.

– Czyli mówisz, że nie słyszałaś o mojej książce – upewnił się, wychodząc.

– Nie – powiedziała stanowczo Patrycja. – Nic o niej nie wiem.

– O jakiej książce? – spytała zdziwiona Kaja, kiedy za Grzelakiem zamknęły się drzwi. Patrycja wzruszyła ramionami.

– To co, płuczemy farbę, pani Ewelinko? – smutnym głosem spytała klientkę.



Rozdział 9



Poranek pachniał kawą, świeżymi grzankami i Konradem. Alicja upajała się tym zapachem. Nie było dnia, żeby nie myślała o tym, jak bardzo jest szczęśliwa. Bo choć niedawno otwarta galeria nie przynosiła jeszcze kokosów, to wszystko układało się dobrze. Wymarzona praca, wymarzony mężczyzna. Zasypiała i budziła się w ramionach Konrada, który zdobył serca nie tylko jej i Matyldy, lecz także rodziców. Mama była zachwycona i bez ogródek podczas prośzonej kolacji spytała o przyszłe plany. Konrad się nie zmieszał, ale wręcz przeciwnie – mówił z uśmiechem i dużo, nie szczędząc rodzicom Alicji konkretów. Opowiedział o swojej pracy we Wrocławiu, którą musi przeorganizować, by przenieść się do Warszawy, powiedział o tym, że rozgląda się za mieszkaniem, ponieważ dwupokojowe, w którym mieszka Alicja, dla ich trójki będzie teraz niewystarczające. O ślubie nie wspomniał, ale dla wszystkich było jasne, że prędzej czy później i na to przyjdzie czas.

Alicja wiedziała, że na małżeństwo jeszcze jest za wcześnie, że najpierw muszą się poznać i pomieszkać razem. Ona także nie była jeszcze gotowa na taki krok. Mimo to marzyła o tym, że na jej palcu wkrótce zabłyśnie pierścionek. Po latach związku z Bartkiem, nigdy niesformalizowanego, była głodna romantycznych wrażeń i chciała afiszować się mężczyzną i uczuciami.

– Jeszcze kawy? – Konrad chwycił pusty kubek stojący na szafce nocnej obok Alicji.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się błogo. – Chyba jesteś dla mnie za dobry...

– Za dobry? – parsknął. – Nie wiem, co masz na myśli.

– Odwozisz rano Matysię do szkoły, dajesz mi się wyspać, a kiedy otwieram oczy, czeka na mnie kawa, nie mówiąc o pocałunkach... A potem odbierasz Matysię, dajesz jej obiad, pomagasz w lekcjach.

– Nadawałbym się na gosposię – zażartował.

– Nadawałbyś się na ojca.

– Rozumiem... – mruknął Konrad. – Sugerujesz, że... – Odstawił kubek i rzucił się na łóżko.

– Nie, nie! – krzyknęła rozbawiona Alicja i wyrwała się z objęć mężczyzny.

– Nic nie sugeruję. Chociaż... – Mrugnęła okiem. Było jeszcze wcześnie, mogła

pozwolić sobie na odrobinę przyjemności przed pójściem do galerii. Konradowi nie trzeba było większej zachęty.

– Kocham cię – szepnął, wgrzyzając się delikatnie w jej szyję. Uwielbiała to.

Konrad był inny niż Bartek. I choć starała się nie dokonywać porównań, to musiała przyznać, że dopiero teraz naprawdę odkrywa przyjemność z seksu. Bartkowi brakowało wyobraźni, bywał monotony, a kiedy Alicja próbowała przejąć inicjatywę, stawał się spięty, jakby wszelkie pomysły były dla niego zbyt odważne. Nie to co Konrad, który potrafił być w łóżku naprawdę kreatywny. Czasem delikatny, innym razem dominujący. Obserwował Alicję i doskonale potrafił wyczuć, na co w danym momencie miałyby ochotę. A kiedy nie miała ochoty na nic, nie odwracał się obrażony, ale przytulał ją do siebie, chowając w ramionach.

– Może zjemy dzisiaj razem lunch? – zaproponował, kiedy leżeli wpatrzeni w siebie po udanym seksie.

– Chętnie – zgodziła się Alicja. Było jej dobrze. Mogłaby leżeć tak i patrzeć Konradowi w oczy przez cały dzień. Przez całe życie. Przez wieczność.

– Trzynasta? Wpadłbym do galerii, wyjdziemy gdzieś. O piętnastej odbieram Matyldę.

– Trzynasta może być. – Alicja mówiła cicho, niemal szeptała. Uśmiechała się lekko. – Nie! – krzyknęła nagle. – Trzynasta odpada, cholera! Zapomniałabym o spotkaniu!

– Ktoś przyjeżdża? Jakiś artysta?

– Ja wychodzę. Mam spotkanie w wydawnictwie. Zaproponowano mi, żebym zrobiła ilustracje do książek.

– Co? – roześmiał się Konrad.

– Zapomniałaś już, że właśnie tym zajmowałam się przez ostatnie lata?

– A ty zapomniałaś, że teraz masz inną pracę? – odparł z uśmiechem.

– Dlaczego cię to śmieszy? – zachnęła się.

– Bo widać, że trudno ci się przestawić na nowy tryb życia.

– Nie o to chodzi. Przystawiałam się bardzo dobrze, ale nie chcę rezygnować z tych zleceń. Zanim galeria zacznie zarabiać, muszę z czegoś żyć. Nie mówiąc o tym, że nie chcę wypaść z obiegu. Jeśli, odpukać, galeria nie wypali, to przecież powinnam mieć plan B.

Konrad milczał, analizując argumenty Alicji. Przestało mu być do śmiechu.

– Okej, rozumiem – powiedział po chwili. – Oczywiście, masz rację, ale jeśli weźmiesz to zlecenie, będziesz miała jeszcze mniej czasu dla mnie. Dla nas.

– Potrzebuję pieniędzy.

– Ja je mam. Przecież możemy się umówić, że...

– O nie! – stanowczo przerwała Alicja. – Nie mam zamiaru brać od ciebie pieniędzy.

– Na tym polega związek.

– Ale my dopiero zaczynamy. Zrozum mnie, zawsze byłam samowystarczalna, nie mogę nagle uwiesić się na czyimś ramieniu. A jeśli nam nie wyjdzie? Jeśli galeria nie wypali? Co wtedy? Zostanę z ręką w nocniku. Muszę o siebie zadbać zawczasu.

– Alicja...

– W galerii niewiele się dzieje, Olga jest zdolna, szybko się wdraża. Niebawem będę miała więcej wolnego. Zresztą mogę robić ilustracje właśnie w galerii, nie odczujesz.

Konrad westchnął. Wiedział, że na razie nie ma szans wygrać z przyzwyczajeniami Alicji. Rozumiał, że obydwójce muszą się nauczyć funkcjonować razem, zbyt długo byli sami.

**

Wszędzie stały pudła. Sekretarka instruowała kuriera, gdzie ma je ustawiać. Alicja cierpliwie czekała, aż dziewczyna skończy.

– Przepraszam. – Kobieta wreszcie zauważyła Alicję. – Przywieźli egzemplarze promocyjne, nawet nie mam gdzie pani posadzić. Bo pani była umówiona, zdaje się, dopiero na trzynastą?

– Tak. Nie sądziłam, że uda mi się dotrzeć wcześniej, ale jak widać i Warszawa potrafi robić niespodzianki. Nie było żadnych korków.

– Super. – W głosie sekretarki nie czuć było entuzjazmu. Zaczęła nerwowo cmokać, rozglądając się po pomieszczeniu. – Pani Lisiecka ma teraz spotkanie.

– Nie szkodzi, poczekam.

– No tak... – Dziewczyna jeszcze raz rzuciła okiem na pudła. – Wiem. – Uśmiechnęła się szeroko. – W pokoju redakcyjnym jest wygodny fotel. Zapraszam.

Poprowadziła Alicję wąskim korytarzem, aż do sporej wielkości pomieszczenia, w którym przy biurkach pracowało troje redaktorów. Książki poustawiane na regałach sugerowały, że nie jest to dział literatury dziecięcej. Alicja przywitała się i usiadła na wskazanym fotelu. Rzuciła okiem na tytuły książek. Niewiele z nich знаła. Na co dzień czytywała literaturę faktu – reportaże, biografie. Tu z półek powitały ją okładki romansów, kryminałów i thrillerów.

– Napije się pani kawy? Pani Lisiecka będzie wolna za jakieś dwadzieścia minut – poinformowała sekretarka.

– Chętnie. Poproszę czarną, bez cukru.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła. Alicja sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę. Horror. Przejrzała kilka stron i – niezainteresowana krwawą rzezią w leśnej chacie – odłożyła powieść na miejsce. Wzięła drugą. Tym razem trafiła na obyczajówkę. Zaczęła czytać, ale i ta książka jej nie wciągnęła. Sekretarka przyniosła kawę i kruche ciasteczka. Ustawiła wszystko na maleńkim stoliku obok

fotela.

– Gdyby czegoś pani potrzebowała, to jestem u siebie – powiedziała. – Proszę śmiało przeglądać, może coś się pani spodoba – dodała, zauważywszy powieść trzymaną przez Alicję.

Alicja odpowiedziała uśmiechem i upiwszy łyk doskonałej kawy, wzięła kolejną książkę w nadziei, że szybka lektura skróci czas oczekiwania na spotkanie z redaktorką naczelną wydawnictwa.

– No nie mogę! Co za gość! – Usłyszała nagle głos dochodzący zza jednego z biurk. Kobieta tam siedząca zaczęła dławić się ze śmiechu.

– Co czytasz? – zainteresował się mężczyzna z biurka naprzeciwko, poważny, skupiony na pracy okularnik.

– Myślałam, że kryminał, bo tak został opisany przez autora. Ale to raczej komedia. Tragikomedia. Komitragedia – zaśmiewała się.

Trzecia osoba, młoda dziewczyna siedząca tyłem do Alicji, wyprostowała się i podniosła ręce, robiąc energiczne wymachy. Prawdopodobnie w ten sposób rozluźniała mięśnie zastałe podczas stukania w klawiaturę.

– Komedie kryminalne mają teraz wzięcie – powiedziała melodyjnym głosem. – Dobrze to w ogóle?

– Milenko, cóż mam ci powiedzieć... – roześmiała się starsza redaktorka. – Kryminał słaby, ale autor ma taką wyobraźnię, że naprawdę boki zrywać. A najlepsze jest to, że styl pisania raczej poważny, więc w kontekście treści efekt jest jeszcze bardziej komiczny.

– Rzuć jakiś fragment, też się pośmiejemy – zaproponował okularnik.

Redaktorka wywróciła oczami, ale nachyliła się nad ekranem i zaczęła czytać:

Sołtys miał uszy czerwone. Nie z natury, lecz wtedy, gdy próbował kłamać. Komisarz jednak, oprócz tego, że był doskonałym śledczym, był także dobrym psychologiem i obserwatorem. Czerwone uszy sołtysa nie umknęły jego uwadze.

– *Wiem, że pan kłamie – powiedział ostro. – A mnie nie da się oszukać, panie sołtysie.*

Nie... ja nie kłamię – powiedział sołtys, ale odwrócił wzrok. To była kolejna wskazówka dla policjanta, że sołtys prawdy nie mówi.

Redaktorka modulowała głos, usiłując zachować powagę podczas czytania. Słabo jej to wychodziło, ponieważ dało się słyszeć, że momentami dusi śmiech. Mimo to dzielnie czytała dalej:

– *Kłamie pan i obydwaj o tym wiemy. Zastanawia mnie tylko, kto panu pomaga?*

– *Pomaga? Nikt! Jak Bożę kocham! Działam sam, proszę mi tu nie imputować, że ktoś mi pomaga. Pan wie, jaka to ciężka robota kogoś ukatrupić? Sam to robię, sam! Bom chłop silny i żadnej pomocy nie potrzebuję.* – Sołtys,

mówiąc to, prawie się opluł, taki był wzburzony. Nie zauważył, że w nerwach przyznał się do winy.

– Dziękuję bardzo. Zapraszam do więzienia. – Komisarz błyskawicznie obezwładnił sołtysa i skuł go kajdankami. Żona sołtysa zaczęła lamentować. Choć sama była psychopatką i niejedno miała za uszami, to perspektywa samotnego spędzania wieczorów była dla niej nie do wytrzymania. Bała się ciemności, bo nieraz wtedy przychodziły do niej różne strzygi. Gdyby nie małżonek, umarłaby ze strachu. A teraz mąż miał trafić za kratki.

– Za jakie grzechy, panie komendancie? – spytała ze łzami w oczach.

– Za zabijanie.

– Co to tam za zabijanie. Przecie to ino dwa nieboszczyki. A wszyscy we wsi wiedzą, jakie to pataluchy były – powiedziała przymilnie.

– Jakie dwa? Trzy naliczyłem – powiedział komisarz.

– Jakie trzy! Tylko dwa są moje! – krzyknął sołtys, a uszy tym razem miał blade. Nie kłamał.

Okularnik, dotychczas poważny, parsknął śmiechem.

– Uszy blade! – wycedził rozbawiony.

– Dawaj dalej – jęknęła Milena, ocierając łzy. – Co z tym trzecim trupem?

– A widzisz! – krzyknęła redaktorka. – Zaciekawilo cię! Totalna abstrakcja, idiotyczne dialogi, a tak wciąga, że...

– Kto to napisał? – zainteresowała się Milena. – Jakiś znany?

– Skąd. Debiutant. A żeby było śmieszniej, przedstawił się w mailu jako prawdziwy policjant. Komendant z jakiejś wsi.

– Grzelak! – wyrwało się Alicji.

Redaktorzy spojrzeli na nią zdziwieni. Pochłonięci własnymi obowiązkami, zupełnie zapomnieli o tym, że ktoś jeszcze jest w pokoju.

Redaktorka zwinęła tekst do paska i zajrzała do maila.

– Grzelak – potwierdziła. – Pani go zna?

– Znam. Trochę. – Alicja się zmieszała. – Nie bardzo. Z widzenia właściwie, z kilku rozmów.

– Naprawdę jest policjantem?

– Naprawdę.

– Czyli normalny, bo już myślałam, że jakiś wariat – mruknęła redaktorka.

Alicja przytaknęła głową. Nie chciała wyprowadzać kobiety z błędu.

– Pomógł mi nawet w jednej sprawie, był skuteczny – powiedziała.

– No proszę... – zadumała się Milena. – Prawdziwy policjant. Jeszcze się nam chyba taki nie trafił, co Renatko?

– Chyba nie – przyznała redaktorka.

– Wydadzą państwo tę książkę? – zainteresowała się Alicja.

Renata wzruszyła ramionami. Na jej twarzy wciąż pozostawał ślad

uśmiechu.

– Trzeba doczytać do końca – powiedziała. – Nie mam pojęcia. Na razie jest po prostu śmiesznie, rozrywka gwarantowana, ale decyzję i tak nie my podejmujemy. Ja prowadzę tylko wstępną selekcję.

– Rozumiem. – Alicja kiwnęła głową.

Mimo wszystko trzymała kciuki za Grzelaka.



Rozdział 10



Kaja zauważyła, że furtka prowadząca do domu Józefiny nie jest zamknięta. Pchnęła ją energicznie, odsuwając tym samym grudkę zbitego śniegu. Pewnym krokiem podeszła do drzwi. Zastukała.

– Kto tam? – Głos Józefiny był stary. Kaja przełknęła ślinę. Przemknęło jej przez myśl, że nigdy nie chciałyby mieć takiego głosu. W ogóle nigdy nie chciałyby się zestarzeć. Starość kojarzyła jej się z jedną wielką nicością. Z zanikaniem. Z umieraniem.

– Kaj... – Kaja odchrząknęła. – Kaja Poznańska – powtórzyła głośniej.

Józefina otworzyła drzwi. Spojrzała na Kają nieufnie.

– Ale Alicji nie ma. Ona tylko w wakacje tu mieszkała. Teraz jest w Warszawie, z Konradem.

– Wiem. Złe wieści szybko się rozchodzą.

– Złe?

– No cóż, każdy ma swoją perspektywę. Moja jest właśnie taka.

– Rozumiem. – Józefina najwyraźniej nie miała ochoty drążyć tematu. – Jak wspominałam, Alicja już tu nie mieszka.

– Ja nie do Alicji. Do pani.

– Aha... – Józefina się zasępiła. Wizyta Kai nie wróżyła nic dobrego.

– Wiem, że jest pani zielarką. Ja właśnie w tej sprawie. Potrzebuję eliksiru.

– Pomyłka, młoda damo. Trafiałaś pod zły adres. Nie zajmuję się tym. Do widzenia. – Józefina chciała zamknąć drzwi, ale Kaja zareagowała, wkładając stopę między framugę a skrzydło.

– Pani Józiu – powiedziała Kaja, nie wiedząc, że Józefina nie lubi tego zdrobnienia. – Proszę mi pomóc. Błagam! – Spojrzała na nią wzrokiem pełnym determinacji i uporu.

– Dziecko... – Józefina odsunęła się, wpuszczając dziewczynę do środka. – Choćbym i chciała, to nie pomogę. Nic nie mam.

– Nieprawda. – Kaja nie odpuszczała. – Na pewno coś pani ma, tylko udaje. A ja przecież wiem, że robi pani eliksiry, nie musi pani przede mną kłamać. Bardzo proszę. To dla mnie ważne.

– Co może być takie ważne?

Kaja westchnęła. Usiadła na stołku stojącym w sieni. Opuściła głowę

i ramiona.

– Nie mam już siły – powiedziała cicho. – Nie mam już siły...

Józefina milczała.

– Pani jest moją ostatnią deską ratunku – ciągnęła Kaja, podnosząc wzrok. – Jutro mam spotkanie z inwestorem. On musi kupić mój las – powiedziała zdeterminowanym tonem. – Niech mi pani pomoże – jęknęła. Niespodziewanie dla samej siebie poczuła, że może być z Józefiną szczerą. – Wszystko mi się sypie... Wszystko.

– To nie tobie się sypie, ale ty jesteś w rozsypce – zauważyła Józefina. Przyglądając się Kai, dostrzegła, że w tej zimnej blondynce ukryta jest przestraszona dziewczynka, której lęk przebija przez pozornie pewne siebie oczy.

– Chodź, dziecko. – Józefina podźwignęła Kaję i poprowadziła do salonu. – Zrobię ci ciepłej herbaty.

– Nie chcę herbaty, chcę eliksir.

– Nie mam. Jest zima, wszystko mi zeszło jesienią.

– Musi mieć pani jakieś zapasy, nie wierzę.

– Nic nie mam, przykro mi.

– To nie pomoże mi pani?

– Pomogę. Widzę przecież, że potrzebujesz pomocy jak nikt, jesteś zagubiona i nieszczęśliwa, i tylko udajesz silną. Zrobię herbaty, porozmawiamy. Coś się uradzi na twoje zmartwienia.

– Nic się nie uradzi! – wybuchła Kaja, zdumiona, że Józefina patrzy na nią z troską. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył. Nie chciała, żeby tak na nią patrzono. – Muszę już iść – zdecydowała, pragnąc jak najszybciej uciec spod wzroku Józefiny pełnego ciepła i empatii.

Kiedy wyszła, musiała kilka razy odetchnąć głęboko, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie tak miało być. Planowała, że wyłudzi od staruszki kilka kropel magicznych ziół, które wspomogą jej naturalny dar przekonywania podczas spotkania biznesowego. Tymczasem zamiast eliksiru dostała nieoczekiwaną dawkę życzliwości, po której Kai, nieprzyzwyczajonej do okazywania prawdziwych emocji i uczuć, trudno się było otrząsnąć.

Wróciwszy do domu,omal nie potknęła się o puszkę z farbą postawioną przy drzwiach. Niebieska. Kaja domyśliła się, że to sugestia Pawła, iż powinna przed wyprawą odmalować pokój, który zajmowała. Ściany nie były tam brudne, ale rzeczywiście, kiedy wykonywała swoje ćwiczenia i stawała na głowie, opierając się nogami o ścianę, pozostawały na niej brzydkie ślady. Można je było dostrzec dopiero z bliska, dlatego Kaja wydedukowała, że Paweł dość wnikliwie sprawdzał stan sypialni. Poczowała złość. Ale i smutek. Czy naprawdę była aż tak nielubiana, że zwykły drobiazg, jak ledwie widoczne ślady stóp odcisnięte na ścianie, zwrócił uwagę Pawła? Do cholery, nie będzie malowała, jeśli facet chce, to niech sam

odświeża.

Wciąż jeszcze była pod wrażeniem słów Józefiny. Owszem, udawała silną, ale dlatego, że naprawdę chciała taka być. Nie znosiła słabych, kruchych ludzi, którzy załamują się byle czym i poddają się w obliczu większych wyzwań czy kłopotów. Kaja widziała się inaczej. Fałszowała rzeczywistość, jak tylko mogła. Swoją strach przed problemami czekającymi we Wrocławiu spychała na najgłębszy poziom świadomości, dzięki czemu pozornie go nie było. Koncentrowała się na sprawie lasu i tym właśnie żyła. Reszta problemów odsunięta została na dalszy plan, na później. Na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Otworzyła laptop i uruchomiła wyszukiwarkę. Skoro nie udało się zdobyć eliksiru, trzeba radzić sobie tradycyjnymi metodami – pomyślała. A pierwsza i najważniejsza rzecz to poznać przeciwnika. Wygooglowała Grzegorza Wiecha, znanego we Wrocławiu dewelopera i inwestora. Informacji o jego życiu prywatnym było niewiele. Ot, miał sześćdziesiąt cztery lata, dwukrotnie rozwiedziony, dwoje dzieci. O trzeciej żonie żaden z serwisów nie wspominał. Być może mężczyzna był wolny, co Kaja wzięła za dobrą monetę. Tym bardziej zależało jej na sprawieniu jak najlepszego wrażenia.

Wiech nie był przystojny, należał raczej do tych o krępej budowie ciała i wczesnie łysiejących. Miał jednak w oczach, co zauważyła na zdjęciach, pewnego rodzaju magnetyzm, spokój. To wystarczyło, by wyobraziła sobie go jako empatycznego, przyjaznego światu biznesmena. Tacy jak on uginają się pod prośbami pięknych kobiet.

Kaja uśmiechnęła się do siebie. Trafiony, zatopiony.

**

Muzyka w samochodzie grała tak głośno, że przeciętny człowiek dawno już by ogłuchł. Ale nie Mariola. Dla niej taneczne rytmy wpadające w ucho były niczym najlepsza terapia. Pozwalały zresetować umysł, a nierzadko także ciało. W samochodzie wprawdzie nie dało się tańczyć, ale można było śpiewać. Głośno. Bardzo głośno. Drzeć się tak, żeby zagłuszyć myśli.

Ahmed, kiedy powiadomiła go o wyprawdzie Pawła i z radością w oczach powiedziała, że teraz już mogą oficjalnie być razem, popukał się w czoło. Okazało się, że lubił być kochankiem, ale partnerem czy mężem już nie bardzo. Mariola nie była jedyną kobietą, z którą się spotykał. Śniada karnacja i rozkochany wzrok przyciągały dziewczyny niczym najmocniejszy magnes. Mariola była przekonana, że jest tą jedyną. Tak samo myślała Sara, Karin, Martina i zapewne jeszcze dziesięć innych. Mariola, zakochana po uszy i niewyobrażająca już sobie życia bez uroczego Ahmeda, gotowa była walczyć o niego, nawet kiedy tłumaczył, że to śmieszny pomysł, on nie nadaje się na męża, życie jest krótkie i ma zamiar z niego korzystać, a romans owszem, tak, ale już związek absolutnie nie wchodzi

w rachubę. I dopiero telefon od matki, z Polski, trochę ten Mariolkowy ogień w sercu ugasił. Matka nie przebierała w słowach. Dobitnie wyraziła swoje oburzenie postawą córki, wyzwała ją od najgorszych i oświadczyła, że ją wydziedziczy, jeśli Mariola nie przeprosi Pawła i nie ubłaga go, żeby przyjął ją z powrotem.

– Ślub ma się odbyć zgodnie z planem – oświadczyła kategorycznie. – Inaczej możesz zapomnieć o rodzinie. Wstydu się tylko przez ciebie najadłam.

Mariolka nie odczuwała wstydu, raczej żal, że nie wszystko poszło po jej myśli. Ahmed miał być księciem, Paweł miał być wspomnieniem. Reakcji rodziców w ogóle nie brała pod uwagę. Mieszkając w Hamburgu, poczuła się tak wolna i niezależna, że więzy krwi przestały być istotne. Aż do telefonu od matki, kiedy to, usłyszawszy stek wyzwisk na swój temat, Mariolka stężała. Ale decyzję o powrocie do Pawła podjęła dopiero wówczas, gdy matka zagroziła wydziedziczeniem.

Teraz, po kilku godzinach podróży, podczas której niewiele myślała, za to nastrajała się odpowiednią muzyką, nie odczuwała zmęczenia. Była gotowa na spotkanie z narzeczonym. Pierścionek wciąż lśnił na palcu. Lubiła go i nie zdejmowała nawet podczas spotkań z Ahmedem.

Nie uprzedziła Pawła o przyjeździe. Pewnie i tak nie odebrałby telefonu. Woląła działać z zaskoczenia. Wyliczyła, że dotrze do Polanki wieczorem i zanim pojedzie do rodziców, odwiedzi Pawła. Przeprosi go, wyciągnie, ukaja się. Wytłumaczy, że zrozumiała swój błąd i że Ahmed nic dla niej nie znaczył. Uroni kilka łez, może nawet wybuchnie szlochem. Znała Pawła, nie był z kamienia. Wybaczy.

Muzyka dudniła tak, że niemal trzęsły się szyby. Mariola krzyczała razem z wokalistą słowa piosenki. Przed wjazdem do Polanki zatrzymała się na leśnym parkingu i poprawiła makijaż. Chciała wyglądać świeżo. Z torebki wyjęła też perfumy. W samochodzie zapachniało lady million marki Paco Rabanne. Ulubiony zapach przywołał wspomnienia. Ahmed. To właśnie on podarował jej ten flakonik. Ach, Ahmed – rozplynęła się w myślach nad kochankiem, zapominając, że przecież od Pawła raz po raz dostawała jakieś prezenty.

Pod dom Polniaka podjechała w ciszy. Teraz nie chciała rozpraszać myśli muzyką. Im bliżej spotkania, tym bardziej odczuwała podenerwowanie. Od czego powinna zacząć? Najpierw przeprosić czy od razu rzucić się w ramiona? Brama stała otwarta, ale na podwórku było ciemno. Polniakowie, wykańczając dom, nie zadbali o oświetlenie podjazdu. Zaparkowała tuż pod drzwiami, nie rozglądając się wokół. W sypialni na piętrze świeciło się światło. Mariola zerknęła jeszcze raz w lustro samochodowe, upewniając się, że wygląda dobrze. Wysiadła.

Zapukała kilka razy, ale nie czekała, aż Paweł otworzy, tylko nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się otwarte.

– Hop, hop! – krzyknęła melodyjnym głosem. – Niespodzianka!

Zapaliła światło w przedpokoju i podeszła do schodów.

– Halo! Paweł! – krzyknęła. Nagle usłyszała szczekanie, a po chwili na szczycie schodów ukazał się mały pies. – O kurczę! – krzyknęła radośnie Mariola.
– Cóż za słodziak!

Wydedukowała szybko, że Paweł po rozstaniu potrzebował pociechy, więc kupił sobie psa.

– Chodź do mamusi – powiedziała przymilnie, nie przejmując się, że zwierzę reaguje nerwowo. – Gdzie tatuś, słodzinko?

Pies nie odpowiedział, dlatego Mariola jeszcze raz krzyknęła:

– Paweł! Halo! Jesteś tam?

– Daisy! – Usłyszała nagle damski głos i już po chwili ujrzała młodą kobietę. Cofnęła się.

– Jest Paweł? – spytała tym razem poważnym tonem. Nie spodziewała się w domu nikogo poza nim.

– Nie ma. Coś przekazać?

– A pani to kto? – spytała Mariola, unosząc brwi.

– Kaja. Mieszkam tu. A pani?

– Mieszkasz tu? – Głos Marioli stał się zdecydowany. Obserwowała, jak Kaja z psem na rękach schodzi po schodach. Wyglądała dobrze. Zbyt dobrze, by można było to zignorować. Blondynka z modną fryzurą, szczupła, zadbana. Ładna.

– Mieszkam, a co? A ty? – Kaja również zwróciła się do Marioli bezpośrednio. – Wchodzisz jak do siebie? Nie słyszałam dzwonka.

– Bo jestem u siebie! – krzyknęła Mariola. – To dom mojego narzeczonego. Nie bardzo rozumiem, co...

– Och, to wiele wyjaśnia. – Kaja się uśmiechnęła, jednak jej uśmiech miał w sobie coś sztucznego. Coś, co nie spodobało się Marioli. – Mimo wszystko mogłaś zadzwonić. Nieładnie tak wchodzić z buta. O ile wiem – Kaja znów uśmiechnęła się nieszczercze – to nie jesteście już narzeczonymi. – Postawiła Daisy na podłodze i przeszła do kuchni. Czują się jak u siebie, co nie umknęło uwadze Marioli.

– To nasze sprawy. Chyba że... – Mariola zmrużyła oczy. – Mieszkasz tu?... Sypiasz z moim facetem?

– Co to za pytanie? – parsknęła śmiechem Kaja.

– Sypiasz? – Mariola w napięciu wyczekiwała odpowiedzi.

– Oj tam. Zaraz sypiam. – Kaja wywróciła oczami.

– Tak czy nie?

– Daj spokój z tymi pytaniami. Nie sędzę, żeby Paweł musiał ci się z czegokolwiek tłumaczyć. Tym bardziej ja. Sorry, ale teraz ja tu z nim mieszkam i nie życzę sobie takich wizyt.

– Spałaś z nim? – Mariola nie odpuszczała.
– Może tak, a może nie.
– Spałaś, dziwko! – Mariola nie miała już wątpliwości. Podbiegła do Kai i ją pchnęła.
– Przestań, idiotko! – krzyknęła Kaja, uderzając ramieniem o ścianę.
– Spałaś z moim facetem, dziwko! – Mariola wpadła w szał i rzuciła się na Kaję, objijając ją pięściami.
– Sama jesteś dziwką! – krzyczała Kaja, oddając ciosy. – Co nieco o tobie słyszałam.

– Suka! Zabiję cię!
– A spróbuj! – Kaja szarpnęła Mariolę za włosy, wyrywając okazały pukiel. Daisy zaczęła szczeekać i próbowała ugryźć Mariolę w nogę. Mariola krzyczała, a w jej oczach pojawiła się furia, jakiej Kaja u nikogo dotąd nie widziała. Obawiając się, że dziewczyna może być zdolna do wszystkiego, Kaja skorzystała z sekundy spokoju i wybiegła z domu. Daisy za nią.

– I bardzo dobrze! – krzyknęła rozzwierającym głosem Mariola. – Wychrzaniaj, gdzie pieprz rośnie, to jest mój dom! – Zamknęła drzwi na klucz.

Kaja, stojąc na zewnątrz w kapciach i lekkiej dresowej bluzie, patrzyła na dom. Nie wiedziała, co robić. Kluczyki od samochodu zostały w środku, tak jak telefon i wszystkie inne rzeczy. Przez moment się zastanawiała, czy nie przebiec tych kilkuset metrów w kapciach do domu rodziców Polniaka, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. Paweł lada moment powinien być, niech na własne oczy zobaczy, jak została potraktowana przez jego eksnarzeczoną furiatkę. Prawdopodobnie będzie wściekły na Mariolę. O ile Kaja zdążyła się zorientować, dziewczyna mocno go zraniła i upokorzyła, wikłając się w romans ze sprzedawcą kebabów. Niech więc rozwściekli go jeszcze bardziej. Kaja postanowiła, że kiedy tylko na podjeździe pojawi się samochód Pawła, zacznie płakać, udając roztrzęsioną i przestraszoną. Zdjęła kapcie, żeby bosa stopy wyglądały na śniegu bardziej dramatycznie. Zaraz je jednak włożyła, uznawszy, że zdąży je zdjąć i ukryć pod schodami, teraz nie ma co narażać się na zapalenie płuc.

Uśmiechnęła się, gratulując sobie w duchu doskonałej strategii. Teraz Paweł nie będzie miał wyjścia, ulituje się nad nią, zacznie przeproszać za Mariolę, a w akcie zadośćuczynienia zrobi wszystko, żeby jutrzejsze spotkanie było owocne także w kontekście lasu.

– Dobra robota, idiotko! – krzyknęła zadowolona Kaja w stronę domu. Teraz już świeciły się wewnątrz wszystkie światła, dzięki czemu i na podwórku zrobiło się jaśniej. Daisy usiadła na wycieracze pod drzwiami.

Nagle jedno z okien na piętrze się otworzyło. Kaja spojrzała do góry. Okno należało do pokoju, który zajmowała.

– Oho... – mruknęła, czekając aż wyjrzy z niego Mariola i coś zacznie

krzyczeć.

Mariola jednak nie wyrzała. Zamiast tego z okna zaczęły wypadać ubrania i buty Kai.

– No ładnie – wyszeptala z uśmiechem. Nie mogła się doczekać, aż przyjedzie Paweł i to zobaczy. – Nie żałuj sobie! – krzyknęła roześmiana do Marioli niewidocznej z dołu.

Przez chwilę był spokój, po czym z okna wychyliły się ręce trzymające wiaderko. Kaja zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć, co to jest, lecz zanim się zorientowała, na leżące pod oknem ubrania polala się niebieska farba.

– Ty wariatko! – Kaja przestała się śmiać. Podbiegła do drzwi i zaczęła w nie walić pięściami. – Otwieraj!

Mariola nie reagowała. Wkrótce tuż za farbą przez okno wyleciała torebka, spadając wprost do niebieskiej kałuży.

– Niiieeeee!!! – Głos Kai przybrał piskliwą nutę. Podbiegła do torebki, lecz widząc, jak bardzo jest ubrudzona farbą, nie zdecydowała się jej podnieść! – To Louis Vuitton! – krzyknęła rozdzierająco. – Suko! Nie daruję!!!

Z góry dobiegł ją śmiech.

– Cudzego faceta ci się zachciało? – Mariolka, śmiejąc się nerwowo, wychyliła głowę. – To masz! – Zrzuciła kolejną torebkę. Gucci.

W Kaję wstąpiła nowa energia. Wściekłość rozpierała ją teraz do tego stopnia, że jedyną myślą, która pojawiła się w jej umyśle, była zemsta. Milcząco, pokazała Marioli środkowy palec i podeszła do bramy. Wyjęła z niej metalowy pręt, który Paweł umocował, opierając o ziemię, by zablokować skrzydło. Nie lubił otwierać i zamykać ręcznie bramy, dlatego mimo niezadowolenia Kai zawsze zostawiał ją otwartą, blokując prętem, by podczas silnego wiatru skrzydła się nie zamykały.

Zaskrzypiało, kiedy pręt, kierowany zdecydowanym ruchem dłoni Kai, otarł o karoserię samochodu Marioli. Rysa była piękna. Nawet w tak kiepskim świetle było ją doskonale widać. Po chwili pojawiły się kolejne rysy.

Mariola przez chwilę przyglądała się procederowi. Z tej odległości i przy tak słabym oświetleniu na zewnątrz mogła jedynie orientacyjnie oszacować szkody. Na podstawie dźwięku domyślała się, że rysy są głębokie i nie wystarczy ich zamalować lakierem do paznokci.

– To za Vuittona! – krzyknęła Kaja. – A to za Gucciego! – dodała, uderzając prętem w szyby.

– Dobra – szepnęła bezgłośnie Mariola, zauważywszy zaparkowany nieopodal garażu biały samochód, który z pewnością nie należał do Pawła. – Dobra – powtórzyła na wydechu, czując, że skronie mocno jej pulsują. Zeszła na parter. Drzwi prowadzące na taras się zacięły, dlatego musiała użyć siły, żeby je otworzyć. Tak jak się spodziewała, w ogródku znalazła siekierkę wbitą w pień. Paweł

rzadko rąbał drewno do kominka, ale jego rodzice przed zimą zawsze dbali o zapasy. Chwyciła za siekiere i przeszła wzdłuż wschodniej ściany. Rozświetlony dom rzucał z tej strony na tyle dużo światła, że widziała wszystko wyraźnie.

Najpierw uderzała w karoserię tępą stroną trzonka siekiery. Nie rozglądała się na boki, nie szukała wzrokiem Kai. Była rozjuszona i wściekła. Poważne wgniecenia dawały jej satysfakcję. Włączył się alarm. Głośny klakson jeszcze bardziej ją rozsierdził. Weszła na maskę i obróciła siekiere. Chwyciła ją dwiema rękami i wzięła zamach. Ostrze wbiło się w dach citroëna. Mariola jęknęła, szarpiąc za trzonek.

Kaja w tym czasie otworzyła drzwiczki forda i weszła do środka. Prętem uderzała gdzie popadło, niszcząc radio i wewnętrzne lustro. Alarm citroëna ucichł i nie wiedziała dlaczego. Cisza była chyba jeszcze gorsza niż wcześniejszy hałas.

Nagle pojawiło się – jakby znikąd – światło. Dopiero po chwili do umysłu Kai dotarło, że na podwórko wjechał samochód.

– Paweł! – krzyknęła do siebie, a krzyk spowodował, że częściowo otrzeźwiała. Przypomniała sobie plan, który miała zrealizować, i nie zwracając uwagi na szkody, które poczyniła, wysiadła z samochodu, stanęła obok, ściągnęła kaptur, które przesunęła nogą pod forda, i przybrała przerażoną minę.

– Paweł – jęknęła, kiedy oszołomiony widokiem mężczyzna wysiadł z samochodu. – Jak dobrze, że jesteś.

Mariola, zauważywszy Polniaka, zastygła w bezruchu, wciąż stojąc na masce i szarpiąc za trzonek siekiery wbitej w dach. Jej mózg zareagował podobnie jak mózg Kai. Plan. Strategia. To, co miała obmyślane w szczegółach.

– Paweł! – krzyknęła, przesuwając dłonią przyklejone do czoła włosy. – Niespodzianka! – Jej myśli pędziły bardzo szybko, w umyśle szukała zaplanowanych wcześniej słów. – Zrozumiałam swój błąd!

**

Daisy wtuliła się w koc leżący na kanapie i zasnęła. Kaja głaskała ją monotonicznie po grzbiecie, czekając, aż Paweł upora się z rozhisteryzowaną Mariolą. Z podwórka dochodziły przytłumione głosy, ale Kaja bała się podejść do okna, żeby podsłuchiwać. Siedziała jak na szpilkach, zastanawiając się, jak dalej prowadzić tę rozgrywkę. Zauważyła, że potrafi na zawołanie wycisnąć łzy. Wystarczyło, że pomyślała o zniszczonych torebkach. Teraz jednak nie płakała, oszczędzając łzy na później.

Wyprostowała się, usłyszawszy, że drzwi się otworzyły i do domu wszedł Paweł.

– Louis Vuitton, Gucci – szepnęła do siebie, przywołując obraz torebek upakowanych farbą. Oczy natychmiast się zaszklily, a broda zaczęła naturalnie drżeć.

Kaja zbolalym wzrokiem spojrzala na Pawla. Chyba nie odwzajemnil jej smutku, poniewaz na jego twarzy zamiast wspolczucia rysowala sie zlosc.

– Uważam, że powinnaś się wyprowadzić. Już. Jak najszybciej. Nie ma co czekać do świąt – powiedział stanowczo.

– Ale Paweł! To ona zaczęła! – Kaja szybko zmieniła front, przystępując do ataku. – To wariatka, nienormalna jakaś. Widziałeś, co zrobiła z moimi ubraniami, torebkami? Widziałeś, co zrobiła z moim samochodem? Jeszcze chwila, a ja dostałabym siekierą! Gdybym nie schowała się w jej aucie, już dawno roztrzaskałaby mi głowę. Jest niepoczytalna!

– Trzeba było nie prowokować. Gdyby cię tu nie było, nie byłoby problemu.

– Nie prowokowałam! Tłumaczyłam jej grzecznie, że tylko wynajmuję tu pokój, że absolutnie między nami nic nie ma, ale nie chciała słuchać, od razu rzuciła się na mnie z pięściami! Jak możesz w ogóle sugerować, że to moja wina! – załkała. – To ja zostałam poszkodowana, wyrzuciła mnie z domu bez butów. Na mróz! Ganiała po podwórku z siekierą! Wyobrażasz sobie, co przeżyłam? – zaczęła szlochać, ukryła twarz w dłoniach.

Paweł pozostał niewzruszony.

– Obydwie jesteście nienormalne – powiedział po chwili. – Nie obchodzi mnie to, która zaczęła. Po prostu chcę, żebyś się wyniosła, i tyle. Mam już ciebie po prostu dość, a to, co się dzisiaj wydarzyło...

– Mówię ci, że to ona zaczęła – weszła mu w słowo Kaja.

– Nieważne! Nawet jeśli ona, to trzeba było iść do moich rodziców, a nie wdawać się w bójkę i szaleć na podjeździe. Ty wiesz, co jutro będzie gadane na wsi?

– Przecież nikt nic nie widział.

– Nie, pewnie że nie. I nie słyszał. Autoalarm aż po jezioro niósł. Nie mówiąc o waszych krzykach. Wystarczy, że jeden z sąsiadów zobaczył, co się dzieje, a jutro będą już wszyscy gadać.

– Ludźmi się przejmujesz? Może jednak mną byś się przejął!

– Chcę, żebyś się wyniosła – powtórzył z naciskiem.

– Paweł...

– Nie mam więcej nic do dodania. – Polniak odwrócił się i skierował na schody.

– W takim razie pomóż mi z tym lasem! – krzyknęła za nim Kaja. – Jutro przyjadę na spotkanie, ale uprzedź, błagam, tego inwestora, że będę! Wszyscy na tym skorzystamy!

Paweł cofnął się i spojrzął na Kają pełnym politowania wzrokiem.

– Myślisz, że nie mam co robić, tylko dbać o twoje sprawy?

– Sama o nie zadbam. Ty tylko uprzedź, że będę. Przedstaw mnie jako bizneswoman z Wrocławia. Dyrektor szkoły cię poprze.

- Co? – Paweł uniósł brwi.
 - Przyjaźnię się z jego żoną, ona bardzo mnie lubi, obiecała, że porozmawia z mężem. Jemu też zależy, żebym pozbyła się tego lasu. Wszystkim zależy. Ośrodek na tym zyska, wiesz przecież.
 - Przyjaźnisz się z żoną dyrektora szkoły?
 - Tak.
 - Nie do wiary. – Paweł pokręcił głową. – Nie do wiary.
- **

Kaja była roztrzęsiona, chciało jej się płakać. Na szczęście w szafie zostały ubrania, których Mariola nie zdążyła wyrzucić przez okno, szpilki także były nienaruszone. Znalazła też torebkę, której najwyraźniej nie zauważyła rozszałała eksnarzeczona Pawła. Niestety, samochód był w opłakanym stanie. Dopiero za dnia widać było prawdziwą skalę zniszczeń. Dało się go uruchomić, ale co z tego? Poobijany z każdej strony, z siekierą, która utkwiała w dachu, przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Czymś takim nie można pojechać na biznesowe spotkanie. Paweł, mimo że Kaja go prosiła, błagała, niemal przed nim uklękła, nie zgodził się, żeby pojechali razem. Obiecał wprowadzić, że napomknie inwestorowi o spodziewanej wizycie bizneswoman z Wrocławia, ale na tym jego pomoc się kończyła.

Dochodziła dwunasta. Spotkanie miało zacząć się o drugiej. Kaja planowała przyjechać pół godziny później. Marzyła o tym, żeby zrobić wielkie wejście. Wiedziała, że tylko w ten sposób zwróci na siebie uwagę Grzegorza Wiecha.

Kolejne minuty mijały, a pomysłów brakowało. Kaja nie przyjaźniła się z nikim we wsi, nie miała od kogo pożyczyć auta. Poza tym zależało jej, żeby był to w miarę reprezentacyjny samochód, a nie kilkunastoletni złom, a głównie takie widziała na uliczkach Polanki.

– Sołtys! – krzyknęła do siebie, przypomniawszy sobie, że mężczyzna, u którego była latem, dopytując o świnie, jeździł całkiem nową toyotą avensis. Podobno wziął kredyt, bo małżonka zażyczyła sobie właśnie ten samochód. Kaja nie była przekonana co do tego, że sołtys będzie chciał go pożyczyć, ale nie szkodziło spróbować.

Odpaliła zmasakrowanego citroëna i pełna nadziei ruszyła do domu sołtysa.

Niestety, nie zastała nikogo, co tylko ją rozdrażniło, a kolejne uciekające minuty wprowadziły chaos w myślach. Kto teraz? Kto teraz?

Jechała wolno, rozglądając się wokół. Jak na złość na podwórkach pod domami mieszkańców Polanki było pusto albo samochody, które tam stały, nie wyglądały dobrze.

– Cholera jasna, cholera jasna. – Kaja klęła i zagryzała wargi.

Nagle, kiedy przejeżdżała obok Angel's i spojrzała przez szybę, przy jednym

ze stolików mignął jej Konrad. Nacisnęła hamulec. Wprawdzie nie zauważyła zaparkowanego samochodu, ale wiedziała, że Konrad czasem stawia go na tyłach budynku, gdzie mieściło się też wejście do mieszkania na piętrze. Pewnie przyjechał z Warszawy w nocy i od razu tam zaparkował – pomyślała.

Drzwi restauracji były zamknięte. Kaja zapukała. Najpierw delikatnie, ale ponieważ nikt nie otworzył, zaczęła uderzać mocniej. Przybliżyła nos do szyby. W lokalu było pusto.

– Hej! – krzyknęła donośnie i ponownie zaczęła uderzać, tym razem pięścią. Wreszcie z kuchni wyszedł Maciej.

– Rany – jęknął, wpuszczając Kają do środka. – Szybę chcesz wybić?

– Przepraszam. Ja do Konrada. – Kaja rozejrzała się po wnętrzu.

– Dzień dobry. – Z kuchni wyjrzał Dariusz. – Po obiadek?

Coś wymyślę.

– Nie, ja do Konrada – powtórzyła Kaja.

– Nie ma go – powiedział Maciek.

– Jak to nie ma? Dopiero co go widziałam przy stoliku. Chowa się przede mną? – Kai nie było do śmiechu.

– A gdzie się chowa! – parsknął kelner. – Nie ma go.

W Warszawie siedzi, z Alicją – podkreślił.

Kaja westchnęła.

– Nie musisz mnie dobijać. Wiem, że są razem. I wiem, że wrócił, widziałam go przez szybę, siedział przy stoliku.

– Sami jesteśmy – zapewnił kucharz. – Jak widzisz, nawet dziś nie otwieraliśmy, przyjęcie na wieczór szykujemy. Śledzika dla miejscowych notabli.

Dla notabli – prychnęła Kaja w myślach – ciekawe dla kogo.

– Dobra, bez żartów, widziałam Konrada. Ktoś tu na pewno był, inaczej w ogóle bym nie stanęła.

– Hmm... – Maciek się uśmiechnął. – Może anioły wracają...

– Co? – Kaja nieprzytomnym wzrokiem dalej się rozglądała, nie wierząc, że Konrada naprawdę tu nie ma. – Co? – zapytała. – Jakie znowu anioły?

– Miejscowi wierzą, że na kościelnej dzwonnicy siadają anioły – wyjaśnił Maciek. – A Victor Legrand uważał, że kiedy otworzy klub z jazzem, anioły przeniosą się z dzwonnicy tutaj. Wszystkich o tym przekonywał. Dlatego nazwał klub Angel's.

– I naprawdę przylatywały do nas anioły – zapewnił Dariusz.

– Ja pierdzielę. – Kaja pokręciła głową z dezaprobatą. – Co za bzdury.

– Poważnie. Zapytaj kogokolwiek z Polanki, to ci powie.

– Dobra, darujcie sobie. Ludzie chyba się nudzą...

– A sama jednego przed chwilą widziałas! – Maciej nachylił się nad Kają.

– Nie mam czasu na głupoty. Potrzebuję samochodu. Na kilka godzin. Macie

jakiś?

– Dostawczy.

– Cholera, odpada. Ja pierdziele. – Kaja przeczesła ręką włosy, czas leciał nieubłaganie, było już wpół do pierwszej.

– Może kawki? – zaproponował Darek, zauważywszy rozbiegany wzrok dziewczyny i jej podenerwowanie.

– Samochodu potrzebuję! – Kaja jęknęła rozdierająco i jeszcze chciała coś powiedzieć, ale zamilkła, zauważywszy, że pod restauracją parkuje właśnie lśniące czarne bmw. Znieruchomiała, wpatrując się w auto jak zaczarowana. Po chwili z samochodu wysiadł młody ciemnowłosy mężczyzna w drogim, jak na oko Kai, wełnianym płaszczu i modnych okularach. Rozmawiając przez telefon, wszedł do restauracji.

– No, pomyliłem godziny, daj spokój – mówił zdecydowanym niskim głosem. – Poczekam, nie ma problemu, wypiję kawę, zjem coś... Zatrzymałem się w... – Rozejrzał się, a zauważywszy nazwę lokalu, powiedział: – Angel's Jazz Club. Poważnie – roześmiał się – na tej wsi jest coś takiego.

– Powiem mu, że zamknięte. – Maciej wyszedł zza baru.

– Stój! – wyszeptła zdecydowanym tonem Kaja.

– Imprezę szykujemy, przecież Darek nie będzie teraz nic innego gotował.

– Ani się waż. Obsłużycie faceta najlepiej, jak potraficie. I jak najdłużej go tu przytrzymacie – poleciała, kątem oka obserwując mężczyznę siadającego przy jednym ze stolików.

– Co ty gadasz? – obruszył się kucharz.

– Ja? To wy przed chwilą gadaliście o wyimaginowanych aniołach – wycodziła Kaja. – To teraz ja wam mówię, że oto pojawił się mój. Prawdziwy, a nie jakiś wydumany. I ani się ważcie go stąd przeganiać.

Maciej zaniemówił i spojrzał na Dariusza. Kaja, nie czekając na ich reakcję, wyprostowała się, wysunęła piersi i brodę do przodu, zerknęła w wielkie lustro zawieszona na przeciwległej ścianie, poprawiła włosy i przybrała najpiękniejszy uśmiech, na jaki było ją w tej chwili stać. Kołysząc biodrami podeszła do mężczyzny.

– Dzień dobry. Kaja Poznańska – przywitała się. – Z nieba mi pan spada. – Zatrzepotała rzęsami.

– Aż tak? – spytał rozbawiony. Najwyraźniej lubił takie gierki. – Cieszę się. Robert Wilczyński.

Wstał i podał jej dłoń.

– Mam nadzieję, że bardzo się panu nie spieszy, bo mamy tu obłędnie pyszne jedzenie. – Podała mu kartę.

– Czekam na znajomego, trochę to potrwa, z pewnością zdążę coś zjeść. – Uśmiechał się, co było dla Kai dobrym znakiem.

– Wspaniale. Bo widzi pan, mam przeogromną prośbę.

– Tak?

Kaja ponownie zatrzepotała rzęsami i spojrzała Robertowi prosto w oczy. Okulary marki Gucci – zarejestrowała natychmiast. Bardzo ładne.

– Bo widzi pan... – zaczęła, przybierając płaczliwy ton głosu. – Ugrzęzłam na tej przeokropnej wsi i nie mam samochodu. A moja biedaczka ciocia właśnie potrzebuje dostać się do szpitala...

– Chciałaby pani, żebym ją zawiózł? Z przyjemnością, ale dopiero wieczorem, teraz nie dam rady, jestem umówiony – zaczął szybko tłumaczyć, co Kaja znów odebrała jako sygnał przyzwalający na dalsze prośby.

– Och, nie – zaprzeczyła szybko. – Nie śmiałabym o to prosić. Zresztą ciocia do wieczora nie wytrzyma, musimy jechać już, a taksówka ugrzęzła gdzieś w śniegu. To nic wielkiego, oczywiście, życiu cioci nie zagraża niebezpieczeństwo, ale jeśli nie stawi się na badania, to przepadną... Nie mogę wezwać karetki, bo to nie aż taki przypadek...

– Jak wobec tego mógłbym pomóc?

– Chciałabym od pana pożyczyć samochód. Na dwie godzinki, potem go tu przywiozę.

– Ale...

– To bardzo ważne, naprawdę, nie mam kogo poprosić. Wszyscy mnie tu znają – zapewniła. – Nie ukradnę auta.

– Nie o to chodzi... – wtrącił mężczyzna, ale Kaja nie dała mu dojść do głosu.

– To tylko dwie godziny – ciągnęła. – Czymże są dwie godziny w stosunku do miesięcy, podczas których biedna staruszka musiałaby czekać na badania. A może nie doczeka? – Kaja zawiesiła głos. – Bardzo pana proszę. Na niczym mi tak nie zależy, jak na zdrowiu cioci.

Mężczyzna patrzył to na Kaję, to na Macieja i Darka oszołomionych jej brawurą.

– Wiem, że się nie znamy – kontynuowała Kaja – ale naprawdę, uważam, że spadł mi pan z nieba, bo nikt na tej wsi nie ma samochodu – jęknęła. – Nikt a nikt.

– Naprawdę? – spytał zdziwiony.

– Dwie godziny i samochód oddaję w stanie nienaruszonym. – Kaja zbliżyła się i chwyciła mężczyznę za dłoń. Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem i uśmiechnęła się ciepło. – Oczywiście zwrócę za benzynę – dodała.

– Nie trzeba... – Robert Wilczyński sięgnął do kieszeni, skąd wyjął kluczyki i dowód. – Może pani oddać za trzy godziny. Mam coś do załatwienia, ale kolega będzie samochodem, więc nie ma problemu. W razie gdyby mnie tu nie było, proszę zostawić na barze.

– Dziękuję! – Kaja podskoczyła i ucałowała mężczyznę w policzek. – Jest

pan prawdziwym aniołem! – dodała radośnie. – Prawdziwym aniołem!

W obawie, żeby mężczyzna nie zmienił zdania, szybko wyszła z restauracji, wsiadła do jego samochodu i odjechała.

Paweł właśnie wychodził z domu, kiedy zauważył bmw wjeżdżające na jego podwórko. Zatrzymał się na schodach i spojrzał na kierowcę.

– Kaja?

Kaja zatrzymała auto i wysiadła z niego z dumnie podniesioną głową.

– Skąd masz samochód? – zainteresował się Paweł.

– Od przyjaciela – wyjaśniła bez wchodzenia w szczegóły. – Posłuchaj, zrobimy tak. Spotkanie zaczyna się za godzinę. Ja przyjadę pół godziny później. Zdązysz ich uprzedzić o moim przyjeździe. Jak widzisz, zadbałam o to, żeby nie było się czego wstydzić – zaznaczyła z satysfakcją. – Teraz wystarczy, że odpowiednio mnie przedstawiś. Dodasz, że propozycja, którą dla was mam, jest bardzo atrakcyjna. I oczywiście podkreślisz, że tą sprzedażą idę wam na rękę.

– Nic nie będę gadał.

– Posłuchaj – zjeżyła się Kaja. – Im szybciej sprzedam las, tym szybciej się mnie pozbędziesz. Też nie mam ochoty tu kwitnąć do świąt.

**

Maciej przekrzywił głowę i zmarszczył brwi, kiedy pod restaurację podjechał granatowy bentley.

– Widzisz to samo, co ja? – spytał Dariusza. – Co się dzieje? To chyba nie ci notable, co mają przyjechać wieczorem?

– Skąd. Tych tutaj nie znam.

– Hmm... – zamyślił się Maciek. – Szkoda, że Kaja tak szybko uciekła. Myślę, że nie pogardziłaby bentleyem.

– No – zgodził się Dariusz. – To dopiero byłby dla niej anioł. I to konkretny – zauważył, patrząc na wysiadającego kierowcę. Był korpulentny, choć nie otyły. Łysiejący, ale nie zupełnie łysy. W wieku, który sugerował, że pieniądze zdobył własną pracą, a nie dzikim fartem.

Mężczyzna wszedł do Angel's i od razu podszedł do stolika, przy którym siedział Robert Wilczyński. Nie witając się, usiadł.

– Po cholere kazałeś mi tu przyjeżdżać – powiedział z pretensją w głosie. – Mogliśmy spotkać się na miejscu.

– Nie mam samochodu – przyznał brunet w okularach. Maciej podszedł z kartą do stolika, ale został odprawiony.

– Dla mnie rachunek! – krzyknął za nim Wilczyński.

– To czym przyjechałeś? – zainteresował się nowo przybyły.

– Samochodem, ale go pożyczyłem.

– Komu?

– Dziewczynie.
– Przecież ty nie masz dziewczyny.
– Nie swojej. Obcej.
– Czyli czyjej?
– Nie wiem. Mam nadzieję, że niczyjej. – Robert wzruszył ramionami. – Obcej, znaczy, że nieznajomej – wyjaśnił.
– Żart?
– Nie. Naprawdę pożyczyłem jej auto.
– Nieznajomej? Dokumenty też jej dałeś?
– No tak.
– Żart.
– Nie. Chyba się zakochałem...
Ostatnie zdanie powiedział na tyle cicho, że usłyszał je tylko rozmówca.
Kelner przyniósł rachunek. Wilczyński nie żałował grosza na napiwek.
– Co powiedziałeś? – spytał starszy mężczyzna, kiedy kelner się oddalił.
– Zakochałem się – powtórzył Robert, tym razem głośniej. – Jest niesamowita. Muszę tu być za trzy godziny.
– Żartujesz sobie. – Szpakowaty nachylił się nad stolikiem. – Nie dość, że mylisz godziny, terminy, to jeszcze pożyczasz auto obcej kobiecie? I ty jesteś moim prawnikiem?
– Potrzebuję urlopu.
– W psychiatryku chyba. – Szpakowaty miną wyraził swoją dezaprobatę. – Jedziemy – zakomenderował.
Wilczyński wstał i założył płaszcz. Nie widać było po nim, żeby się przejął słowami pracodawcy.
– Jak ona ma na imię? – spytał Macieja, wychodząc.
– Kaja.
– Kaja... – powtórzył cicho Robert.
– A to co?! – zainteresował się nagle kierowca bentleya, zauważywszy stojącego kawałek dalej citroëna z wystającą z dachu siekierą.
– Lepiej chyba nie wiedzieć – odparł Wilczyński z przekonaniem.
Bentley sunął płynnie, jakby unosił się nad ziemią. Robert rzadko miał okazję nim jechać. Teraz jednak, zamiast podziwiać przyjemny pomruk silnika, myślał o czekającym go za trzy godziny spotkaniu z nieznajomą. Kaja. Ładne imię – przemknęło mu przez myśl. Ładne imię, ładna dziewczyna, a w dodatku rodzinna i dbająca o innych. Tyle poświęcenia, żeby zawieść chorą ciotkę do szpitala. To przecież wymagało od niej nie lada odwagi, by podejść do obcego mężczyzny i prosić o pomoc. Niesamowita. Wrażliwa. Empatyczna. Piękna. Kaja.
– Słyszałeś, co do ciebie mówię? – Głos szefa wytrącił Roberta z rozmyślań.
– Jeszcze raz.

- Oprzytomnij.
 - Naprawdę potrzebuję urlopu. Albo powinieneś zatrudnić jeszcze co najmniej trzech radców prawnych.
 - Dotychczas nie narzekałeś, że zarabiasz za czterech.
 - I nie narzekam. Ale marzę o odpoczynku. Wczoraj pół nocy siedziałem nad papierami.
 - No właśnie. Wszystkie te uwagi przejrzałem, porozmawiamy o tym. A raczej poinformujemy ich o zmianach. Nie ma co bawić się w negocjacje. Ośrodek mi się podoba i jest perspektywiczny, ale jeśli mam w to wejść, to muszę mieć gwarancję, że projekt będzie prowadzony zgodnie z moimi wytycznymi. Krótko mówiąc, muszę mieć większość.
 - Jasne.
- **

Uśmiech nie schodził Kai z ust, kiedy jadąc eleganckim samochodem, myślała o milionie, który niebawem wpłynie na jej konto. Innej opcji nie brała pod uwagę. Ten dzień był tak niesamowity, że sama uwierzyła w istnienie aniołów i w to, że jakaś wielka siła nad nią czuwa. Już samo zdobycie takiego samochodu na tej zatęchłej wsi, jaką była Polanka, graniczyło z cudem, a co dopiero pożyczanie go od całkowicie obcego faceta.

– Co za frajer – roześmiała się Kaja w głos na wspomnienie Roberta Wilczyńskiego. Był przystojny, dobrze ubrany i zdecydowanie pachniał pieniędzmi. Ale był też naiwniakiem, który na byle uśmiech i byle bajeczkę o chorej ciotce wyciąga kluczyki i kładzie je na stół razem z dokumentami.

– Szkoda, że nie poprosiłam go o portfel – powiedziała do siebie rozbawiona.

Kiedy zbliżała się do parkingu na terenie ośrodka, wyhamowała. Pragnęła podjechać wolno i majestatycznie. Wiedziała, że okna sali, na której odbywa się spotkanie, wychodzą właśnie na parking. Miała nadzieję, że przyjazd czarnego bmw nie ujdzie uwadze inwestora.

I nie uszedł...

Grzegorz Wiech patrzył znudzonym wzrokiem przez okno. W pokoju toczyła się dyskusja, ale z jego ramienia uczestniczył w niej radca prawny, Robert Wilczyński.

– To przypadkiem nie twój samochód? – spytał szeptem Wiech, trącając łokciem Wilczyńskiego.

Prawnik podniósł wzrok. Rzeczywiście, na parking wjechał właśnie jego samochód, nie miał co do tego wątpliwości. Zmrużył oczy, by wyostrzyć wzrok. Za kierownicą mignęła blondynka.

– Podobny – odpowiedział, udając brak zainteresowania. Reszta mężczyzn

podążyła za wzrokiem inwestora i także dostrzegła bmw.

– O, właśnie – powiedział Paweł. – O wilku mowa. Wspominałem panom o problemie, z jakim się borykamy. Chodzi o ten las, którego ogrodzenie kluje w oczy. Przyjechała właścicielka, zgodziła się z nami negocjować.

– Właścicielka lasu? – upewnił się Wilczyński.

– Kaja Poznańska. Na co dzień prowadzi interesy we Wrocławiu.

– Chce sprzedać teren? – spytał Wiech.

– Tak – potwierdził Mieczysław Zdrojek, dyrektor miejscowej szkoły. – To ponoć bardzo miła osoba, jest gotowa pójść nam na rękę.

Kaja wolno wysiadła z samochodu. Palto, które pożyczyła od Małgosi, leżało na siedzeniu pasażera. Zdecydowała, że nie będzie go zakładać. Do stroju, który wybrała na spotkanie, nie bardzo pasowało. Uznała, że tych kilka kroków z samochodu do budynku może pokonać w żakiecie.

Szpilki niemal rozjechały się po śliskiej nawierzchni, kiedy ruszyła, ale udało jej się utrzymać równowagę. Dzierżąc pod pachą skórzaną torebkę marki Prada, weszła do środka.

– Dzień dobry panom – przywitała się z uśmiechem. Wszyscy wstali. Wyglądała elegancko i pięknie. Zauważyła to w ich oczach, nie ukrywali zachwyty. Większości z nich nie kojarzyła, ale nie przeszkadzało jej to. Przyjechała tu poznawać się przecież nie z płótkami, lecz z grubą rybą. Z rekinem.

Rozejrzała się dyskretnie, próbując namierzyć Grzegorza Wiecha, i wtedy jej wzrok padł na Roberta Wilczyńskiego.

Kaja zbladła. Mimochodem przelknęła ślinę, zrobiło jej się słabo. Korzystając z chwilowego zamieszania, kiedy mężczyźni z powrotem siadali, sięgnęła po jedną ze stojących na stole butelek z wodą mineralną. Upiła kilka łyków, dopiero wtedy usiadła. Udając, że wyjmuje dokumenty, zerknęła na prawnika. Patrzył na nią bez cienia uśmiechu. Nie dał jednak po sobie poznać, że się już widzieli.

– Pani Poznańska przyjechała do nas z propozycją – podjął Paweł Polniak. – Zależało jej na spotkaniu z panami, bo być może projekt, o którym teraz rozmawiamy, dałoby się rozszerzyć o kolejny teren, należący do pani Kai.

– Pani też z Wrocławia? – zainteresował się Wiech. – Cóż ta Polanka ma w sobie, że tak do niej Igniemy? – spytał życzliwie. Wydawał się przyjaźnie usposobiony, choć Kaja odebrała wrażenie, że pyta raczej z grzeczności niż prawdziwego zainteresowania.

– Piękne miejsce – odparła. Czowała się potwornie w obecności Wilczyńskiego. Wszystko poszło nie tak. Zupełnie nie tak, jak to sobie obmyśliła i wyobrażała. Miała zachwalać las i rozciągać przed inwestorem wizję korzyści, jakie osiągnie, kupując ten teren, ale w obecności Wilczyńskiego straciła pewność siebie, a w jej głowie zapanował chaos. Nie umiała zebrać myśli.

– Rodzinne strony? – dopytywał jak na złość Wiech. – Pamięta pani ten ośrodek, kiedy działał? Ponoć zjeżdżał tu cały Wrocław.

– Nie, pani Poznańska nie ma tu rodziny – wszedł w słowo Paweł Polniak, nieświadom, że Kaja właśnie chciała powiedzieć o wymagowanej ciotce, żeby zachować resztki twarzy. Teraz czuła, jak krew jej buzuje i policzki płoną. – Nie pamięta ośrodka, ale jak widać nie przeszkadzało jej to kupić lasu. To tylko świadczy o tym, jak atrakcyjny jest to teren – ciągnął zadowolony. – Inwestorzy do nas pchają się drzwiami i oknami.

– Dlaczego chce pani sprzedać las? – spytał nagle Wilczyński, patrząc na Kaję z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Kaja uśmiechnęła się słabo, zanim udzieliła odpowiedzi. Musiała dać sobie czas na uspokojenie. Nogi jej drżały, ale starała się, żeby nie było słychać w jej głosie zdenerwowania.

– Nie jest mi potrzebny, a panom może się przydać – powiedziała.

– Ogrodzenie jest nowe – zauważył prawnik. – Planowała tu pani coś?

Kaja odchrząknęła.

– Kupiłam ten teren pod pewną inwestycję, ale... – zamilkła, szukając odpowiednich słów.

– Ale okazało się, że ośrodek należy do nas – wszedł w słowo Polniak, zauważywszy, że Kaja ma problem z uzasadnieniem. – A pani Poznańska planowała w przyszłości dokupić także i ośrodek. Ale się spóźniła i została z samym lasem.

– No tak – zgodziła się Kaja. Było jej już wszystko jedno, byle to spotkanie szybko się skończyło.

– Dziś mamy sytuację taką, że ośrodek i przyległy do niego teren od strony zachodniej, a także część plaży z dostępem do jeziora należą do nas, a część od strony wschodniej i spory kawałek plaży przy lesie jest we władaniu pani Poznańskiej.

Grzegorz Wiech podrapał się po czole.

– Jak duży jest to teren? – spytał.

– Sześć hektarów – odpowiedziała Kaja.

– Cena?

– Milion.

Wiech zaczął kasłać. Zakrztusił się wodą, której upił właśnie kilka łyków.

– Ile? – ponowił pytanie, kiedy udało mu się opanować kaszel.

– Milion.

– Fiuuuu! – Inwestor zagwizdał. – To co jest za tym ogrodzeniem, fabryka złota?

– Drzewa – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem Kaja.

– Drzeewa – powtórzył przeciągle Wiech. – I za te drzewa chce pani

milion? Przecież ja wiem, ile tu kosztuje ziemia.

– Składam propozycję, a od was zależy, co z nią zrobicie. Zostawię panom wizytówkę. – To mówiąc, położyła przed Grzegorzem Wiechem biały kartonik. Na Wilczyńskiego starała się nie patrzeć.

Kiedy wstała od stołu, uśmiechnęła się i skinęła głową na pożegnanie. Mężczyźni znów podnieśli się ze swoich miejsc; jeden z nich zaproponował, że ją odprowadzi, ale odmówiła. Na trzęsących się nogach dotarła do bmw.

– Kuuuuurwa mać – jęknęła, czując, że do oczu napływają jej łzy. Odjeżdżając, czuła na sobie wzrok Wilczyńskiego.



Rozdział 11



Śnieg topniał, a dzieciaki to wykorzystywały, lepiąc olbrzymie bałwany. Grzelak niechętnie pomagał młodszemu synowi toczyć wielką kulę. Danka poprosiła, żeby choć od czasu do czasu w coś się zaangażował, a skoro uciekał przed myciem okien i świątecznymi porządkami, to przynajmniej mógł pobawić się z dziećmi.

Kiedyś lubił te zabawy. Kiedy dzieciaki były małe, czerpał ze spędzanego z nimi czasu wiele radości. Teraz jednak, im starsi się robili i bardziej pyskaci, bywało, że tracił do nich cierpliwość i wybuchały pokoleniowe kłótnie. Danka tego nie znosiła. On też tego nie znosił, dlatego zamiast rozmawiać z nastoletnimi synami, wołał unikać kontaktu, żeby nie dochodziło do spięć.

Lepienie bałwana, o dziwo, przebiegało w spokojnej atmosferze. Do czasu, kiedy Grzelak nie zapytał syna, czy ten odrobił już lekcje. Po krótkiej, acz treściwej wymianie zdań naburmuszony chłopak wrócił do domu, a komendant – chcąc nie chcąc – sam lepił bałwana. Minę miał nietęgą, żałował, że znowu wszedł w konflikt z latoroślą. Niepotrzebnie w ogóle poruszał temat lekcji. Niedługo święta, przerwa, odpoczynek, a śnieg topnieje i być może wkrótce w ogóle nie będzie zabawy. Zły na siebie, stanął obok kuli i zapalił papierosa.

– Dobry wieczór. – rozległ się gdzieś z tyłu cichy głosik. Grzelak się obrócił, omal nie potykając się o niedokończony bałwana.

– Dobry wieczór – odpowiedział, zauważywszy Patrycję.

– Panie komendancie, chciałam o coś zapytać...

Grzelak okrążył bałwana i otworzył furtkę.

– Nie, nie, nie będę wchodzić – zastrzegła Patrycja. – Ja tylko na chwilę. Chciałam zapytać, czy te pieniądze... Te, które ukradł mi Rysiek, są do odzyskania?

– Zamokły – spontanicznie odpowiedział policjant, wyrzucając niedopałek.

– Wysuszę – podjęła szybko Patrycja. – To nie problem. Tylko czy w ogóle dostanę je z powrotem. To wszystkie moje oszczędności – dodała szeptem.

– Prawdopodobnie tak, ale dopiero po zamknięciu sprawy. Nie wiem, ile to potrwa. Musisz się uzbroić w cierpliwość.

Patrycja wydała z siebie dość głośne westchnienie ulgi.

– To dobrze – powiedziała. – Nieważne, ile to potrwa, mogę poczekać, teraz

to już mi tak niepotrzebne.

– No. Żeby ci już więcej do głowy nie wpadały takie głupie pomysły! – Grzelak ostentacyjnie pogroził palcem. – Młoda jesteś. Jeszcze se dziecko zrobisz niejedno, nie musisz za to płacić byle oprychowi.

– No właśnie... Bo, panie komendancie... jeszcze jedna sprawa...

– Jaka? Coś jeszcze ci zwinął?

– Nie. Na szczęście tylko te pieniądze. Ale chodzi mi o to... Czy jest możliwość, żeby moi rodzice się o niczym nie dowiedzieli? Niedługo wracają, wolałabym, żeby...

– O tym topielcu cała Polanka przecież gada.

– Wiem, ale nikt nie wie, że go znałam. No i w jakim celu przyjechał... Nikt nie wie. Oprócz pana...

– Bez obaw, gadatliwy nie jestem, raport kończę pisać, u mnie już sprawa zamknięta. Chyba że policja z Wrocławia będzie miała jakieś dodatkowe pytania, na to już nie mam wpływu. Może się okazać, że przyjadą. Albo wezwą cię. Rodzice mogą dopytywać.

– A dałoby się tak zrobić, żeby już nikt nie pytał? Wstyd mi, nie chcę, żeby ktokolwiek roztrząsał ten temat.

– Ręki sobie nie dam uciąć, że będzie już spokój.

– Bardzo pana proszę, przecież jest pan komendantem, na pewno może pan coś zrobić.

Grzelak westchnął. W innej sytuacji zaimponowałaby mu naiwna wiara dziewczyny w to, że jako komendant ma wpływ na śledczych z Wrocławia, teraz jednak, po kłótni z synem, nie był skory do dopieszczania własnego ego.

– Patrycjjo... – powiedział, kręcąc głową.

– Bardzo pana proszę. W zamian powiem, że przeczytałam pana książkę.

Komendant stężał.

– Że co?

– Pytał się mnie pan o nią kilka razy, więc chyba panu zależy, żeby ktoś ją przeczytał. To ja powiem, że czytałam. Albo że Rysiek czytał i mi o niej opowiadał. To znaczy... wymyślę jakiegoś innego narzeczonego albo koleżankę. Tak, powiem, że koleżanka mi poleciła. Jeśli przeczytanie pana książki jest dla pana takie ważne, to ja będę wszystkim o niej mówiła. I oczywiście sama przeczytam, jutro pobiegnę do księgarni. Przepraszam, nie wiedziałam, że pan komendant pisze. Przeczytam wszystkie pana książki, tylko niech pan tak zrobi, żeby moi rodzice nie dowiedzieli się, że znałam Ryszarda.

– Nie ma jej w księgarni. Jeszcze jej w ogóle nie ma. – Grzelak wyjaśnił naprędce. – Nic nie musisz nikomu mówić. Chociaż... – zamyślił się. Może to nie byłby taki zły pomysł. Topielec i tak już nic nie powie i nie da się zweryfikować, czy cokolwiek czytał. Grzelakowi zależało na rozgłosie, ale... rozgłos bez książki

nie miał sensu. Żaden wydawca nie dał jeszcze odpowiedzi. Jeśli okazałoby się, że książka nie zostanie wydana, a w eter pójdzie, że Grzelak pisze, zostałby pośmiewiskiem dla całej wsi. Nie mógł do tego dopuścić.

– Nic, zupełnie nic o książce nie mów – powiedział, przeanalizowawszy sytuację. – Nie ma żadnej książki i nie było, źle coś usłyszałaś. To nie o moją książkę chodziło, to znaczy o moją, ale nie przeze mnie napisaną – tłumaczył, klecąc byle jakie zdania. – Moją w sensie własności, no wiesz. Czy przeczytałaś książkę, którą zostawiłem dwa miesiące temu. Kiedy mnie strzygłaś.

Patrycja skinęła głową. Nic a nic nie rozumiała, ale komendant mówił z takim zacięciem, że wołała udawać, że rozumie.

– To mam mówić, że przeczytałam czy nie?

– Nic lepiej nie mów. – Grzelak z rezygnacją pokręcił głową. – Lepiej idź do domu, ciemno już.

– No właśnie... – Patrycja spuściła głowę. – Odprowadzi mnie pan?

– A co ty, dziecko jesteś? Dopiero co grubą kasę chciałaś płacić oprychowi za zapłodnienie, a boisz się do domu sama wracać? – Spojrzał na zegarek. – Po północy bym cię odprowadził, ale jeszcze szóstej nie ma. Zmykaj.

– Boję się. Chociaż do rynku. Potem już jakoś przebiegnę.

– A co ty taka strachliwa?

– Nie strachliwa, ale mówią we wsi, że jakiś szaleniec, zabójca jakiś grasuje.

– Dziecko! – krzyknął Grzelak. – Ty nie słuchaj, co ludzie gadają! Wszystko im się pokićkało. Widzieli policję, wiedzą, że prowadzę śledztwo w sprawie tego topielca z jeziora. Myślą, że może kto go ukatrupił, nie znają przecież prawdziwej wersji wydarzeń.

– Nie, to nie o nim mówią. O drwalu.

– Co?

– Maciejowa przysłała dziś do mnie na farbę, cała roztrzęsiona. Mówiła, że pod Angel's samochód stoi, cały pokiereszowany, z wielką siekierą wbitą w dach. Gdy chciała zajrzeć do środka, czy nie ma tam trupa, to poczuła taki podmuch, jakby oddech na plecach, i nie zajrzała, uciekła. Mówi, że to ten drwal ją gonął. A młody Krawczak to ponoć w lesie go widział.

– Młody Krawczak to ciągle nabąblowany chodzi, jakbyś go nie znała.

– Ale Maciejowa trzeźwa.

– Co to był za samochód?

– Nie wiem. Nie mówiła. A ja wołałam tamtędy nie chodzić. Ale przecież ten drwal w ciemności może zaatakować i tutaj. Odprowadzi mnie pan?

– Mówisz prawdę? – Grzelak zmrużył oczy. W brzuchu poczuł przyjemne mrowienie. Nieoczekiwana sensacja, nagły zwrot akcji, nawet on tego by nie wymyślił. Czymże jest wędkarz znad jeziora wobec drwala, którego oddech gonął Maciejową.

– Prawdę, panie komendancie. Pan ludzi popyta, to może powiedzą, ja tam wolę nie dopytywać, bo i tak miałam w nocy koszmary. Odprowadzi pan?

– Odprowadzę – poddał się Grzelak.

**

Czuła się paskudnie. Wczoraj, kiedy przyjechała do Angel's, żeby oddać samochód Wilczyńskiego, chłopaki dziwili się, że jeszcze trzy godziny wcześniej tryskała humorem, a teraz oklapła.

– Za słaba bryka? – usiłował żartować Dariusz. – Gdybyś wtedy jeszcze chwilę została, trafiłby się bentley.

Kaja nie skomentowała. Było jej niedobrze na samo wspomnienie pożyczenia auta.

– Zostawiam kluczyki i dowód. Facet pewnie niebawem przyjedzie, to mu oddajcie.

– Coś przekazać? – Dariusz schował dokumenty i klucze pod barem.

– Nic.

– Nic? Przynajmniej mogłabyś poudawać miłą – zauważył Maciek z niesmakiem. – Obcy gość pożycza drogie auto, a nawet nie pomyślałaś, żeby napisać karteczkę z podziękowaniem. Moim zdaniem najładniej by było, gdybyś na niego poczekała i oddała kluczyki osobiście.

– Nie będę na nikogo czekać. Zwróćcie mu to po prostu. Dzięki. Cześć.

Nie chciała już o tym myśleć. Po powrocie do domu od razu zaszyła się w swoim pokoju i poszła spać. Nie czekała nawet na Polniaka. Nie spodziewała się, że przywiezie jakiegokolwiek wiadomości w sprawie lasu.

Rano też udało jej się uniknąć rozmowy. Słyszała, jak Paweł krząta się w kuchni, robi sobie śniadanie, zaparza kawę, ale nie zeszła. Daisy na szczęście nie ponaglała. Kaja odczekała, aż Polniak wyjedzie, i dopiero wtedy opuściła swój pokój.

Zastanawiała się, jak dostać się do sklepu, żeby oddać Małgorzacie palto. Nie chciała jeździć po wsi swoim zmasakrowanym samochodem, ale z powodu braku kozaków nie miała wyjścia.

Kiedy weszła do sklepu U Wojtaszków, Małgosia z wypiekami na policzkach wyglądała przez szybę, analizując szczegóły zniszczonego auta.

– O Boże! – krzyknęła podekscytowana. – Ciebie też zaatakował drwal? Uciekłaś?

Kaja spojrzała na sklepową bez większego zainteresowania.

– Oddaję palto. Dziękuję.

– Wszyscy już gadają, że po okolicy grasuje morderca z siekierą. Podobno rzuca się na kierowców. O matko, jak dobrze, że nie mam własnego auta! – Wzniosła oczy do nieba. – To musiało być okropne, widziałaś go?

- Taaa. – Kai nie chciało się tłumaczyć, że to żaden drwal. Nie miała w ogóle ochoty na rozmowę.
- Jeny, ale numer. – Ekscytowała się wciąż Małgosia. – Kto by pomyślał, że u nas takie coś. No kto by pomyślał. To musi być prawdziwy świr. A może i zboczeniec... – zastanowiła się.
- Taaa... – westchnęła Kaja. – To ja już lecę.
- Czeka! – Małgosia szybko wróciła na swoje tory. – A mój strój?
- Położyłam na ladzie.
- Nie mówię o palcie. Strój anioła. Miałaś mi załatwić od pana Polniaka. Kaja przyklapła jeszcze bardziej.
- Zapomniałam – wyznała. – Sorry.
- Nie ma sorry, umowa to umowa. Masz mi przynieść strój, inaczej wszyscy się dowiedzą, że na ważnym spotkaniu miałaś moją kurtkę.
- Tak się składa, że jednak jej nie założyłam.
- To nic. I tak się dowiedzą.

**

Janinę bolały korzonki. Musiało ją przewiać, kiedy oporządzała zwierzęta. Owinęła się szalikiem w pasie, lecz zamiast wygrzać się porządnie w łóżku, chodziła po domu, sprzątajac.

– Zostaw już, poleż chwilę – prosił Kazimierz. – Nie mogę słuchać, jak jęczysz.

– Samo się nie zrobi! A jęków mi nie wypominaj, bo sam jęczysz, jak cię boli!

– No właśnie nie chcę, żeby cię bolało. Połóż się, odpocznij, obejrzymy telewizję. Nie musi być idealnie czysto, ważne, że my jesteśmy.

– Że my jesteśmy czysti? – Janina nie zrozumiała.

– Że jesteśmy. Tak w ogóle. Że razem, no wiesz – próbował wytłumaczyć swoją myśl Kazimierz.

– Cieszyłabym się bardziej, gdybyśmy byli zdrowi. A tymczasem mnie przewiało, ciebie połamało. Nie wiadomo, jakie jeszcze licho się przypaleta.

– Wypluj! Odpukaj.

Janina udała, że pluje. Przez lewe ramię, jak Kazik dawno temu uczył. Był bardziej przesądny niż ona i pilnował, żeby złego licha nigdy nie obudzić.

– Oszukujesz – napomniął. – Nie słyszałem, żebyś odpukała.

Nagle rozległo się pukanie.

– No dobrze, może być – uspokoił się. – Nie musisz tak walić.

– To nie ja pukałam. – Janina pokręciła głową. Kazimierz, gdy chciał, był przygłuchy, a kiedy chciał coś usłyszeć, to słyszał aż nadto.

Odłożyła wilgotną ściereczkę do usuwania kurzu i poszła do drzwi.

Ożeż, jednak trzeba było mocniej pluć – przebiegło jej przez myśl, kiedy ujrzała Kaję – sama przywołałam licha.

– Słucham panią? – spytała oschle.

– Dobry wieczór. – Kaja wyglądała wyjątkowo niekorzystnie. W starej znoszonej kurtce Pawła, z kapturem naciągniętym na czoło, z podkrążonymi oczami, blada.

– Mój Boże, stało się coś? – przestraszyła się Janina.

– Nic się nie stało. Ja do pana Kazimierza. Jest?

– Jest, jest, oczywiście. – Janina wciąż była oszołomiona poważnym i zmęczonym głosem dziewczyny, dotychczas wygadanej i pewnej siebie. – A gdzież miałby pojechać wózkiem przez śniegi? Proszę, zapraszam. – Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła Kaję do środka. Razem z dziewczyną wbiegł do sieni piesek. Dopiero teraz Janina zauważyła, że Kaja ma na nogach trampki.

– A to nie zimno w nogi? – spytała.

Kaja nie odpowiedziała. Zdjęła buty i weszła za Janiną do salonu, gdzie już wyglądał jej Kazimierz, który ściszył telewizor, nasłuchując, kogóż to licha przyniosło.

– Dobry wieczór – przywitała się Kaja. – Sprawę mam.

– Do mnie? – zdziwił się nie mniej niż wcześniej Janina.

– W imieniu Małgosi Wojtaszek przychodzę. Pan ponoć ma jakiś strój anioła. Chciała od pana pożyczyć.

– Kolędować będzie? – ucieszył się.

– Chyba tak...

– Wspaniale! Już od dawna prosimy, żeby młodzi do roboty się wzięli. U nas, starych, nogi już nie te. A u mnie to już w ogóle! – Roześmiał się, uspokojony, że tylko o taką sprawę chodziło.

– To co, pożycz pan strój?

– A pewnie, pożyczę! Matka! – zwrócił się do Janiny. – Przynieś no ze strychu, damy pani. Co ma się strój marnować, niech Małgosia pokolęduje, może jej się spodoba zajęcie.

Janina uśmiechnęła się, przytakując. Też jej ulżyło, że Kaja tylko po przebranie przyszła. Nie bacząc na bolące plecy, zerwała się żwawo w stronę schodów.

Kazimierz podczas nieobecności Janiny próbował zagadywać Kaję, ale dziewczyna nie była chętna do rozmowy. Kiwała głową i patrzyła na niego, jednak nie wykazywała zainteresowania tematem kolędników. Wreszcie pojawiła się Janina, dźwigając ciężkie skrzydła.

– O kurcze ... – Kaja uniosła brwi. – Nie sądziłam, że to takie wielkie...

– A jak! Porządne skrzydła, nie ma to tamto! – pochwalił Kazimierz.

– Jeszcze torba z szatą – dodała zmachana Janina. – Już przynoszę, nie udało

mi się na raz. Za ciężkie.

– Małgosia to na sobie udźwignie? – zaniepokoiła się Kaja. Nie to, żeby martwiła się o zdrowie sklepowej, była po prostu ciekawa.

– A co ma nie udźwignąć – parsknął Polniak. – Jak się na plecy włoży, to wagi w ogóle nie czuć.

Polniakowa zniosła torbę z białą anielską suknią i podała Kai. Dziewczyna podziękowała i chciała wziąć obydwie rzeczy, ale skrzydła okazały się za duże.

– Nie dam rady – zauważyła.

– To na dwa razy – zaproponował Kazimierz. – Daleko pani nie ma, ino dwieście metrów.

Kaja westchnęła. Nie uśmiechało jej się dwa razy obracać tam i z powrotem. Szczególnie w trampkach.

– Może samochodem podjadę – zastanawiała się głośno.

– Gdzie tam benzynę marnować. – Janina pokręciła głową. – Ja pani pomogę. Skrzydła założymy na plecy, a torbę weźmie pani w ręce.

– Na plecach to ciężaru nie czuć – przypomniał Kazimierz.

Nie było wygodnie, bo ramiona od skrzydeł wciśnięte na puchową kurtkę trochę uwierały. Same skrzydła były ogromne, zakrywały Kai niemal całe plecy, sięgając aż do kolan. Jednak ich ciężar, tak jak mówił Kazimierz, rzeczywiście nie był bardzo odczuwalny.

Kaja podziękowała Janinie za pomoc, torbę z szatą objęła obiema rękami na brzuchu i ruszyła w drogę. Był już wieczór, ale księżyc świecił dość jasno, dzięki czemu Kaja nie musiała używać zabranej ze sobą latarki. Szła wolno, powłócząc nogami. Nie z powodu skrzydeł, lecz dlatego, że nie spieszyło jej się do domu. Paweł prawdopodobnie już był. Zapewne czekała ich rozmowa. Święta zbliżały się wielkimi krokami, a Kaja nie wykazywała ochoty do spakowania się. Nie miała też już argumentów, które pozwoliłyby jej zostać choć kilka dni dłużej. Inwestor, mimo że dostał wizytówkę, nie zadzwonił. Wprawdzie minęły dopiero dwa dni od spotkania, jednak gdyby byli zainteresowani, z pewnością już by o tym wiedziała.

Było jej smutno. Gdzieś w głębi duszy musiała przyznać się do porażki. Nie chciała o tym myśleć, ale tak już jest, że te chowane myśli im bardziej są niechciane, tym bardziej wypływają na wierzch.

Było jej smutno, bo uświadomiła sobie, że nie ma przyjaciół. Nie ma właściwie nikogo bliskiego, do kogo mogłaby zadzwonić, komu się pożalić, wypłakać lub chociażby kogo poprosić o radę. Do niej też nikt nie dzwonił. Oprócz kilku telefonów z pracy – których nie odebrała, co się później zemściło – w ciągu ostatnich tygodni nie zadzwoniła żadna z koleżanek. Nawet Roksana, która dała pieniądze na ogrodzenie lasu, przestała się całą sprawą interesować. Nie dzwonił nikt. Nikt nie pytał, jak się ma, jak się czuje. Czy w ogóle żyje.

Pociągnęła nosem. Łzy nie leciały, ale oczy wyraźnie ją piekły. Zamrugła.

– A w dupie mam was wszystkich – wyszeptała półgłosem. – Tylko ty mnie kochasz, Daisy. – Spojrzała na biegnącą przy nogach sunię. – Tylko ty.

**

Karol wiedział, że jest już spóźniony i mama będzie zła. Biegł, ile sił w nogach, ciągnąc za sobą sanki. Na górcie było świetnie, koledzy jeszcze się bawili. On obiecał, że wróci wcześniej i siądzie do lekcji. Odkąd uwierzył w Świętego Mikołaja, wołał nie ryzykować złości mamy i ojczyma. Chciał być grzeczny. Ale zabawa na sankach była przednia i czas leciał tak szybko, że dopiero babcia Michała, która przysłała zawołać wnuka na kolację, uświadomiła Karolowi, która jest godzina.

Górka znajdowała się niedaleko szkoły, jakieś dwadzieścia minut piechotą od domu. Biegiem to nawet piętnaście minut, nawet jeśli ciągnie się sanki. Karol widział już prawie kapliczkę, ale przystanął, zdyszany, bo zdał sobie sprawę, że dłużej już nie wytrzyma. Bardzo chciało mu się siusiu.

Rozejrzał się zawstydzony, ale choć na drodze nikogo nie było, zdecydował się pójść za kępkę krzaków. Nie miały liści, ale przynajmniej dawały wrażenie intymności i odosobnienia. Karol zaciągnął sanki i zaczął rozpinąć kombinezon. Drżał z emocji, bo nie dość, że cisnął go pęcherz, to bał się, że zmarznie, a może i zamrznie, zdejmując z siebie ubranie. Nie było jednak wyjścia, bo kombinezon był tak uszyty, że aby dostać się do majtek, trzeba go było całkiem rozpiąć.

Wreszcie mu ulżyło. Przymknął oczy, ciesząc się, że jednak zdobył się na odwagę sikania zimą na świeżym powietrzu. Nie zamarzał, a przynajmniej nie czuł, żeby cokolwiek mu się odmroziło. Kiedy otworzył oczy, czuł się szczęśliwy. Jakby pozbył się wielkiego, ciężkiego balastu.

Miał już wyjść zza krzaków, kiedy zauważył na drodze jakiś ruch. Było ciemno, więc nie potrafił ocenić, czy to idzie człowiek, czy może po drodze snują się duchy. Przykucnął, a serce mu drżało. Nasłuchał się w domu tylu opowieści, że czasem bał się nawet najzwyczajszego cienia.

Postać powoli zbliżała się do miejsca, przy którym ukrył się Karol. Wstrzymał oddech i zacisnął oczy, bojąc się spojrzeć, kiedy go mijała. Był dumny, że mimo strachu nie wydobył z siebie nawet małego jęku. W snach zazwyczaj krzyczał, ale w prawdziwym życiu często udawało mu się zaciskać zęby i nie wydawać z siebie żadnego głosu czy płaczu.

Odliczył do pięciu i otworzył oczy. Spojrzał w prawo. Teraz, kiedy księżyc znów wyszedł zza chmur, widać już było wyraźniej. Karol z niedowierzaniem wpatrywał się w wielkie białe skrzydła.

– O raaany... – szepnął, oczarowany widokiem. Tym bardziej że przy aniele biegł piesek, którego dobrze znał. A sam anioł, choć widoczny tylko z tyłu, poruszał się krokiem charakterystycznym dla pani Kai. Mało tego! Miał na sobie

jej buty.

Karol zastygł. Nie był w stanie się ruszyć. Nagle przestał przejmować się spóźnieniem, krzykiem rodziców, a nawet złością ojczyma z powodu nieodrobionych lekcji. Wszystko to okazało się nieważne. Stał w krzakach, oniemiały z zachwyty i radości. Anioł, zgodnie z oczekiwaniami Karola, wszedł do domu Pawła Polniaka.

**

Kaja nie mogła się dobudzić. Dochodziło południe, kiedy wreszcie zwlekła się z łóżka. Spałaby dłużej, ale Daisy popiskiwała coraz głośniejsze, domagając się wyjścia. Kaja niechętnie ubrała się i zeszła na dół, żeby wypuścić psa. Pawła nie było, wiedziała, że o tej porze chodzi do rodziców, żeby pomóc matce w gospodarstwie. Zrobiła sobie kawę i przeszła do salonu. W pokoju unosił się zaduch. Na stole stały butelki po alkoholu. Na szafce zauważyła kilka pełnych.

Poprzedniego wieczoru, kiedy wróciła do domu, Pawła jeszcze nie było. Zjawił się późno, razem z kilkoma znajomymi i urządzili sobie imprezkę. Najwyraźniej mieli co świętować. Prawdopodobnie doszli do porozumienia z Wiechem i jego adwokatem. O lesie żadnych wieści, co Kai nie zdziwiło. Była pewna, że jeśli Paweł cokolwiek by wiedział, przyszedłby z tą informacją do niej nawet późnym wieczorem. Ale nie przyszedł. Nie zaprosił jej też na dół na celebrowanie sukcesu współników ośrodka.

Znów poczuła smutek. Odruchowo posprzątała butelki i starła ze stołu. Poprawiła poduszki na kanapie i uchyliła okno. Potem poszła do kuchni, żeby zrobić sobie śniadanie, ale kiedy otworzyła lodówkę, dotarło do niej, że nie ma na nic apetytu. Dopiła więc kawę i wypuściła Daisy, nie przejmując się otwartą bramą. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie uciąć sobie drzemki, bo mimo długiego snu i wypitej kawy wciąż nie czuła się wypoczęta. Przypomniała sobie jednak o Małgosi i danej jej obietnicy, że do południa przywiezie ten strój od Polniaka, a było już po południu.

Z trudem załadowała skrzydła do samochodu. Zmieściły się z tyłu. Torbę z szatą wrzuciła na siedzenie obok.

– Takie wielkie? – zdziwiła się Małgosia, kiedy Kaja wniosła do sklepu skrzydła.

– Takie mi dał. A co ty, nie wiedziałaś? Myślałam, że widziałaś, jak Polniak w nich chodził.

– A skąd! Kto by tam zwracał uwagę? Pierwszy i tak zawsze straszył widłami diabeł, anioł to zawsze gdzieś z tyłu. Na biało. Nie patrzyłam, jak duże ma skrzydła.

Kaja wzruszyła ramionami. To już nie był jej problem.

– Jeszcze torba z szatą. Jest w samochodzie.

– Ja tego nie założę. – Małgosia nie kryła rozczarowania. Dotykała skrzydeł i mierzyła łokciem ich długość. – Całą mnie zasłonią, będą sięgały do ziemi. Nie podobają mi się – kręciła nosem.

– A jakie byś chciała?

– Mniejsze.

– To utnij.

– Coś ty, dopiero dostałabym od Polniaka. Ty wiesz, że on sam wszystkie stroje wykonał?

– Nie wiedziałam.

– Ksiądz mówił.

– Nic ci nie poradzę. Idę po torbę z sukienką.

– Może przynajmniej sukienka będzie bardziej twarzowa.

– Wcześniej nosił ją facet – zauważyła Kaja.

– No tak. Cholera. Beznadziejny ten strój, muszę wymyślić coś innego.

Kaja nie skomentowała. Myśl o tym, że bez sensu dźwigała przebranie i przywoziła je do sklepu, nie napawała radością. Z samochodu przyniosła torbę i postawiła ją na ladzie.

– Przykro mi. Jeśli ci się nie podoba, to sama go oddaj. Ja się wywiązałam z umowy.

– Okej. – Sklepową wywróciła oczami. – Wyniosę na zaplecze. Ojciec zawiezie, kiedy wyzdrowieje. Matka go grypą zaraziła.

– To cześć. – Kaja się odwróciła, ale zanim wyszła, przebiegła wzrokiem po półkach. Nie była głodna, ale wiedziała, że musi coś zjeść, a w domu nie było nic na obiad.

– Coś podać? – spytała Małgosia.

– Sama nie wiem... Może pierś z kurczaka... – Kaja wyjątkowo nie dopytywała o świeżość produktu. – Tylko że zapomniałam portfela.

– Nie szkodzi, zapiszę na zeszyt. – Wojtaszkówna weszła za ladę i wyjęła dość gruby brulion. – Jedną pierś?

– Podwójną.

– A, i tak muszę najpierw zważyć – przypomniała sobie. – Dzień dobry! – krzyknęła nagle w kierunku otwierających się drzwi. – Pan komendant! Mam dla pana odłożony schabik. Żona dzwoniła.

– Wiem. – Policjant rozejrzał się po sklepie. – To pani samochód. – Bardziej stwierdził, niż zapytał, zauważywszy Kają.

– Mój. A co?

– No właśnie! – zapaliła się Małgosia. – Widział pan, jaki pokiereszowany? To ten drwal, zboczeniec! Ja to się wieczorem boję ze sklepu wychodzić, chyba zacznę tu nocować. A może ten świr atakuje też za dnia? Boże, ja tu sama, samiuteńka – jęknęła.

– Spokojnie – powiedział Grzelak, choć sam czuł podekscytowanie. Rzeczywiście, samochód wyglądał spektakularnie. Aż sam poczuł na twarzy zimny oddech drwala.

– Możesz to zważyć? – ponagliła Kaja. – Spieszę się.

Małgosia bez słowa położyła pierś kury na wagę i zapisała cenę w zeszycie.

– Możemy porozmawiać? – spytał Grzelak, próbując zatrzymać wychodzącą Kają.

– Przepraszam, nie mam czasu. – Wyminęła go. Poszedł za nią.

– Kto to pani zrobił? – spytał, udając zatroskanie. Tak naprawdę był zachwycony, że udało mu się namierzyć samochód, o którym tak gorączkowo rozprawiali ludzie ze wsi.

– Drwal – bąknęła Kaja, wyjmując z kieszeni kurtki kluczyki.

Grzelak aż się zatrząsł ze szczęścia. To dopiero tajemnicza sprawa.

– Drwal – powtórzył z atencją. – Widziała go pani?

– Tak.

– I?

– I nic. Przepraszam, muszę już jechać.

– O nie, droga pani. Najpierw coś sobie wyjaśnimy – powiedział stanowczo.

– Ja tu jestem od tego, żeby zadbać o bezpieczeństwo wsi. Pani, jako mieszkaniec, mimo że tymczasowy, to ma obowiązek udzielić mi informacji, o które proszę.

– Chyba że odmówię zeznań. Nie mam ochoty zeznawać. Zmęczona jestem, przepraszam.

– Została pani zaatakowana i nie zależy pani na wyjaśnieniu sprawy? Nie zależy pani na dorwaniu sprawcy?

– Gdyby mi zależało, to sama bym do pana przyszła.

Co racja, to racja – musiał przyznać Grzelak, ale nie powiedział tego głośno.

– Dobrze. – Kaja niechętnie spojrzała na komendanta. – Powiem panu i miejmy to już za sobą. Drwal jest brunetką i ma na imię Mariola.

– Jeszcze raz.

– Nie ma żadnego drwala. To Mariola wbiła mi siekiere w dach i zniszczyła samochód.

– Jaka Mariola?

– Nie znam nazwiska. Była narzeczona Pawła Polniaka. Przyjechała do nas, wpadła w szal i zniszczyła mi samochód. Tyle. Mogę już jechać?

Grzelak milczał. Znów sprawa wyjaśniła się nie tak, jak on by tego chciał. Znów marzenia o sensacji przysły.

– Niemadrwala? – spytał pochwili. – Jest panipewna? Miałem kilka donosów, ludzie we wsi wyraźnie o nim mówili...

– Nie wiem, kto rozpuszcza te plotki, ale samochód zniszczyła mi Mariola, niech pan zapyta Pawła Polniaka, jest świadkiem. Zwykła rodzinna awantura.

– Chce pani złożyć skargę? Możemy podjechać na komisariat, złożę pani zeznania. – Grzelak szybko doszedł do siebie i jego umysł wkroczył na profesjonalne tory.

– Nie.

– Dlaczego?

Kaja wzruszyła ramionami. Przez chwilę patrzyła na komendanta obojętnym wzrokiem.

– Bo po prostu nic mi się już nie chce.



Rozdział 12



Warszawa wyglądała pięknie. Mieniła się kolorowymi światłami, rozbrzmiewała świąteczną muzyką, pachniała świerkami, piernikami i imbirem. Ludzie też wyglądali jakoś piękniej. Zbliżające się święta i ich podniosła atmosfera sprawiały, że mijane twarze wydawały się radosne i szczęśliwe.

Marianna niemal tanecznym krokiem szła przez Nowy Świat, podziwiając iluminacje. Nie spieszyła się. Koncert w filharmonii rozpoczynał się o dziewiętnastej, a zatem miała jeszcze godzinę. Kierując się mapą w telefonie, skręciła w Warecką. Kiedy dotarła na Sienkiewicza, okazało się, że pod filharmonią zebrał się już spory tłumek melomanów. Mimo zimna stali na zewnątrz i rozmawiali. Marianna wyminęła gości i weszła do środka. W szatni zauważyła, że nie wszyscy ubrani są elegancko. Kilku mężczyzn było w dżinsach i zwyczajnych swetrach, nie wyglądało to najlepiej. Dopiero później się zorientowała, że ubrana nieadekwatnie do okazji grupka to byli turyści, prawdopodobnie nie wzięli ze sobą odpowiednich strojów.

Bilet kupiła w ostatniej chwili i początkowo cieszyła się, że dostała miejsce w pierwszym rzędzie. Potem jednak, kiedy usiadła i koncert się wreszcie rozpoczął, zrozumiała, dlaczego bilety na miejsca z przodu nie były rozchwytywane. Wciąż musiała zadzierać głowę, ponieważ na wysokości oczu miała podest dla muzyków. Na szczęście, żeby odczuwać muzykę, nie jest potrzebny wzrok. Dlatego zamknęła oczy i chłonęła dźwięki, nie patrząc na scenę.

Po koncercie, którego utwory wciąż brzmiały jej w uszach, udała się do pobliskiej restauracji na kolację. Zamówiła sałatkę z burakiem i czekając na nią, rozglądała się po wnętrzu. Przy stolikach siedziały głównie pary. Marianna westchnęła. Dotychczas nie myślała o tym, ale im bliżej było do świąt, tym bardziej doskwierała jej samotność. Patrzyła z zazdrością na ludzi, którzy szeptali do siebie, śmiali się, patrzyli sobie w oczy. Może gdyby nie pobyt w Sewilli i gdyby nie poznała Christiána, widok ten nie robiłby na niej wrażenia. Teraz jednak tęskniła za uczuciami, których dane jej było doświadczać. Tym bardziej że Christián tu był. Gdzieś między tymi ludźmi, między migoczącymi światłami, wśród tej wszechobecnej świątecznej muzyki. Był w Warszawie i wystarczyłoby, żeby do niego poszła. Ale nie miała tej odwagi. Może nawet nie tyle odwagi, ile determinacji, by zawracać mu głowę w czasie, kiedy koncentrował się na czymś

zupełnie innym. Nie chciała go rozpraszać swoją obecnością. Starła się o nim nie myśleć i też skupić się na własnym życiu. Pragnęła nauczyć się czerpać z niego przyjemność, szczególnie że miała zarówno czas, jak i pieniądze, wystarczyło więc zdobyć się na odwagę i zacząć z nich wreszcie korzystać.

Nie robiła zakupów, nie chciała zagrazać mieszkania, które niebawem opuści. Nie żałowała sobie jednak wyjść do restauracji, kin, teatrów, na wystawy czy tak jak dziś do filharmonii. Miała jeszcze w planach operę i balet. Wystawiano właśnie jej ukochane *Jezioro łabędzie*, na którym ostatnio była jakieś dziesięć lat temu, z rodzicami.

Teraz, patrząc na zakochane pary, zapragnęła kupić dwa bilety i pójść na ten balet z Christiánem.

– Bardzo proszę. – Z zamyślenia wyrwał ją miękki głos kelnera. Marianna spojrzała na niego zamyślonym wzrokiem. Sałatka, którą przed nią postawił, wyglądała pysznie. Okazało się, że równie dobrze smakuje.

– Podać coś jeszcze? – spytał, kiedy zauważył, że zjadła.

– Dziękuję. Rachunek poproszę.

Zapłaciła i wyszła. Wsiadła po pierwszej taksówki, którą zauważyła, i poprosiła o kurs na Złotą 44. W połowie drogi zmieniła jednak zdanie.

**

Śnieg zaczął prószyć dosłownie chwilę przed tym, jak Marianna wysiadła z taksówki. Nie miała czapki ani parasola, drobne srebrzyste płatki osiadły na jej włosach, iskrząc się w świetle ulicznych latarni. Przez kilka minut stała przed bramą prowadzącą do hali Koszyki, wahając się, czy wejść. Ze środka wychodzili rozbawieni ludzie, mimo późnej pory w budynku toczyło się życie. Sobremesa już działała, chyba z sukcesem, co Marianna wydedukowała z liczby przebywających tam ludzi. Nie dostrzegła Christiána, ale też nie dałoby się kogokolwiek rozpoznać z tej odległości. Zastanawiała się, dlaczego, jeśli rzeczywiście tu jest, nie zadzwonił do niej. Nagle oblał ją strach, że może to pomyłka, że może to, co było między nimi w Sewilli, to zwyczajne złudzenie, a mężczyzna przyjechał do Polski wcale nie dla niej. Nie знаła go przecież dobrze, mogło być zupełnie inaczej, niż dotychczas myślała. Wszystko opierała na swoich wyobrażeniach. Fakty były takie, że odkąd rozstali się w Sewilli, nie miała kontaktu z Christiánem.

Pchana ciekawością przeszła jednak przez bramę i stanęła kilka metrów od szyby, za którą znajdowała się restauracja. Latem pewnie będzie tu ogródek – przeszło jej przez myśl. Teraz obszar był pusty, pokryty cienką warstwą świeżego śniegu, oświetlony złotym ciepłym światłem umiejscowionych gdzieś lampek.

Wpatrywała się zachłannie we wnętrze, próbując wyobrazić sobie, co by było, gdyby weszła do środka i spotkała Christiána. Czy odwróciłby się, udając, że

jej nie widzi? A może przeciwnie, powitałby ją z otwartymi ramionami. A jeśli jest z kimś? Marianna wzdrygnęła się na tę myśl, ale nie mogła jej odrzucić. Wiedziała o nim tylko tyle, ile jej sam powiedział, i tyle, ile wiedziała od jego wuja z Sierra Nevada. Właściwie ogólniki, o rodzinie, o trudnych relacjach z bratem. Nic więcej, żadnych szczegółów dotyczących chociażby jego wcześniejszego życia w Barcelonie. Nie, raczej nie ma nikogo – pomyślała, przeanalizowawszy sytuację. Przecież nie przyjeżdżałby do Polski, zostawiając dziewczynę w Hiszpanii. To raczej niemożliwe. Jednak możliwe byłoby, gdyby już tu, po przyjeździe, nawiązał jakąś relację. Był przystojny, czarujący, miał doskonałe poczucie humoru, nie brakowało mu pieniędzy. Raczej nie narzekał na zainteresowanie kobiet. Może właśnie dlatego się nie odezwał. Może plan był inny, ale kiedy Christián w kimś się zakochał, jego plan został zweryfikowany i Marianna stała się tylko przyjemnym wspomnieniem.

Nie chciała o tym myśleć. Tak często wyobrażała sobie ich spotkanie w Warszawie, że myśli, które teraz zaczęły ją nachodzić, były zbyt brutalne i nieprzyjemne. Cofnęła się o krok. Lepiej może nie wchodzić do środka, nie próbować, nie sprawdzać. Może lepiej zachować tylko wspomnienia. Trudno wyrokować, co może przynieść rzeczywistość.

Patrzyła w szybę niewidzącym wzrokiem, pochłonięta myślami. Nie zauważyła, że po drugiej stronie stanął on. Marianna ocknęła się dopiero, kiedy otworzyły się boczne drzwi i Christián przez nie wyszedł. Ich wzrok teraz się spotkał. Milczeli. Christián podchodził wolno, jakby nie dowierzając, że ją widzi. Nie przeszkadzało mu, że jest w samej koszuli, a śnieg pada coraz mocniej.

– To ty czy sen? – wyszeptał po hiszpańsku, stanąwszy naprzeciwko Marianny.

– Sen chyba. – Dziewczyna nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Słowa ugrzęzły jej w gardle.

– W tym mieście mieszkają ponoć dwa miliony ludzi... – Patrzył Mariannie prosto w oczy, ujął w rękę jej dłonie.

– I dlatego miałaś nadzieję, że mnie tu nie spotkasz... – powiedziała zdławionym głosem, próbując żartować.

– Marianna...

Nie dokończył. Wpił się ustami w jej usta, puścił dłonie, lecz jej nie puścił, natychmiast chowając w ramionach.

– Marianna – szeptał w krótkich przerwach między pocałunkami.

– Christián. Dlaczego nie zadzwoniłeś? – spytała w końcu. – Dlaczego nie poinformowałeś mnie, że tu jesteś?

– Kochanie – szepnął. – Wszystko działo się tak szybko. Mówiłaś, że masz swoje sprawy, nie chciałem ci przeszkadzać.

– Przeszkadzać? – Roześmiała się przez łzy.

– Woląłem zakotwiczyć się tu i powoli zdobywać twoje serce. Wiedziałem, że wkrótce cię tu znajdę i wtedy... kiedy zobaczysz, że nie jestem tu tylko przejazdem...

– Ale ja nie mieszkam w Warszawie. – Wciąż się uśmiechała.

– Nie? – Odsunął twarz, zdziwiony. – Byłem pewny. Tak zrozumiałem...

– W Polance, pod Wrocławiem.

– Wrocław... To daleko?

– Nieważne. Zostaniemy w Warszawie – powiedziała cicho. – Tu jest dobrze. Tu jest bardzo dobrze.

Wtuliła się w mężczyznę, nie mogąc nacieszyć się jego obecnością. Spotkanie nie wyglądało tak, jak to sobie wcześniej wyobrażała. Wyglądało lepiej. Miała tysiąc pytań, ale wszystkie przestały być ważne. Teraz ważne było tylko to, że Christián jest tu. I to, że jest tutaj dla niej.

– Chodź – powiedział nagle, chwytając ją za rękę. – Nie marznijmy, wejdźmy do środka, wszystko ci pokażę, poznasz moje współpracownicy.

– Masz współpracownicy? – zdziwiła się.

– Bardzo miłe, zobaczysz. Jesteś głodna? Może spróbujesz mojego wina? Prosto z Hiszpanii – zachwalał.

Wyglądał na naprawdę szczęśliwego. Oczy błyszczały mu niczym czarne diamenty, a uśmiech – ten uśmiech, który Marianna tak uwielbiała – nie schodził mu teraz z ust.

– Christián – powstrzymała go stanowczo. – Wszystko chcę zobaczyć, każdego z twoich znajomych chcę poznać. Ale nie dziś. Dziś jestem spragniona tylko ciebie.

Spojrzał na nią z miłością.

– Masz rację – powiedział. – Daj mi kilka sekund. Wezmę rzeczy. I wezmę urlop od wszystkiego. Teraz będziemy tylko my.

– Tylko my – powtórzyła z uśmiechem.



Rozdział 13



Danuta Grzelak kręciła nosem na choinkę. Jej zdaniem była zbyt mała okazała. Miała za cienkie gałęzie i była za niska. Eugeniusz zacisnął usta. Wybierał to cholerne drzewko przez niemal dwie godziny, postępując zgodnie z instrukcjami żony. Chciała świerk, był świerk. Chciała rozłożysty, był rozłożysty. A że gałęzie cienkie? Nie mówiła, że mają być określonej grubości.

– A bo tobie to wszystko trzeba tłumaczyć jak krowie na miedzy – obruszyła się Danka. – Jak sama czegoś nie załatwię, to ty nie potrafisz.

– To trzeba było samej po drzewko jechać – odciął się, obrażony.

– A trzeba było! Teraz to żałuję!

– Choinka to choinka, ma być świeża i pachnąca. Igiel grubych nagle się zachciało!

– Bo łysa jest, nie widzisz?

– Jaka łysa, kobieto! Świerk jak ta lala! Przecież trzeba go przystroić. Wtedy nie będzie łysy.

– Chciałam inną choinkę. Mówiłam ci, że ma być taka, jak na filmach. Wiesia na święta przyjeżdża, chcę zrobić wrażenie.

– Choinką? – parsknął. – Lepiej nagotuj czegoś dobrego, ubierz się elegancko, ale tak, żeby jej szczeka opadła, a nie choinką będziesz wrażenie robić.

– A niby zawsze to źle gotuję? Brzydko się ubieram w święta?! – spytała rozeźlona.

– Jaka ma być ta choinka? – Poddał się. Był gotów pojechać po następną. Miał nadzieję, że żona uspokoi się i jednak go powstrzyma.

– Wielka! Wielka ma być! Do sufitu. I rozłożysta na dwa metry. I gęsta. – Danka nie odpuszczała. – Najlepiej zdjęcie zrób, zanim kupisz. I wyślij telefonem, ocenię.

– A ze mną nie chcesz jechać?

– Jeszcze mnie tam brakowało! No jedź już, szkoda czasu. A gdy wrócisz, to tę się wstawi do gościnnego, tam, gdzie Wieškę położymy. Niech widzi, że u nas choinek w święta nie brakuje! – ucieszyła się z własnego pomysłu.

– To może jeszcze ze trzy takie kupię – mruknął Grzelak, ubierając się. Danka na szczęście nie słyszała.

– I lampek dokup – zarządziła. – Tylko z tych tańszych, wiesz, byle migalo.

Wieśka się nie pozna. U Wojtaszków widziałam takie za dychę, wystarczy. No ale bombki to już weź droższe, z brokatem.

– Mamy przecież lampki i bombki.

– Na dwie choinki nie starczy. – Spojrzała na niego w taki sposób, że wołał już o nic nie pytać.

Pojechał na rynek, gdzie pod marketem rozłożono stoisko z drzewkami. Tym razem wybrał najszerze, najgrubsze, najwyższe. Takie, którego nikt nie chciał i była na nie promocja. Zrobił zdjęcie i wysłał Dance MMS-em.

„Może być” – odpisała.

Z pomocą sprzedawcy ulokował choinkę na dachu samochodu i ruszył do Wojtaszków. Rzeczywiście, mieli lampki po dziesięć złotych i obsypane brokatem bombki, w tej samej cenie za komplet. Grzelak, niepewny reakcji żony, zastanawiał się, czy nie za tanio, choć według niego cena i tak jak na bombki była zbyt wysoka. Wreszcie po zastanowieniu pstryknął zdjęcie i wysłał do żony.

„Może być” – odpowiedziała.

Odetchnął. Czuł się zmęczony tym bieganiem za choinkami i ozdobami, a wiedział, że to dopiero początek. Wkrótce dostanie listę zakupów i nie wystarczy już pojechać do Wojtaszka czy do marketu na rynek. Trzeba będzie wybrać się do miasta i przez pół dnia przemierzać zatłoczone alejki hipermarketów w poszukiwaniu produktów wypisanych przez Danusię. Nie znosił tego, ale co roku bez szemrania wypełniał ten obowiązek. Z dwojga złego wołał zakupy niż sprzątanie.

Danusia pokiwała głową, oglądając z każdej strony choinkę. Nie było to kiwanie pełne zachwytu.

– Na zdjęciu wyglądała inaczej – stwierdziła, a Grzelak poczuł, jak puls zaczyna mu przyspieszać. – Z braku laku musi być. Ale na przyszły rok trzeba będzie wcześniej się zakręcić koło choinek, teraz to już pewnie przebrane...

– W przyszłym roku sama sobie z lasu wytniesz – bąknął Grzelak. Danka zignorowała jego uwagę.

– A tę – pokazała na wcześniejszą choinkę – zanieś do góry, do gościnnego.

Komendant wiedział, że nie ma co zwlekać. Danka przed świętami była niczym żandarm, który rozdziela zadania i wymaga ich natychmiastowej wykonalności. Wniósł więc choinkę po schodach, co przyszło mu z niemałym trudem, i wstawił do pokoju. A raczej próbował wstawić, bo okazało się, że nijak się tam nie mieściła.

– Nie wejdzie! – krzyknął do żony.

– Co nie wejdzie?

– Choinka! Zapomnieliśmy, że tu są skosy. Nie da rady.

– Cholera – jęknęła z zawodem Danusia, wchodząc na poddasze. – Faktycznie. I co teraz?

– Obetnę.

– Ani się waż! Jak będzie wyglądała taka ucięta choinka? Już lepiej wcale jej nie dawać.

– To co mam z nią zrobić. Wyrzucać szkoda. Ładne drzewko.

– Zawieź do szkoły. – Wpadła na pomysł Grzelakowa. – Zaraz kiermasz świąteczny, mikołaj dla dzieci, potem jeszcze koncerty jakies szykują. Sołtys się bardzo postarał. O prawa miejskie chce walczyć, pospraszal ludzi, choinka się przyda.

– To nie ma choinki?

– Jeszcze nie ma. Ksiądz z ambony ostatnio wzywał, że kto chętny, to może zasponsorować. No to ty zawieziesz, niech widzą, że komendant hojny! Kto wie, jak wreszcie Polanka dostanie te prawa miejskie, to może i komisariat się rozrośnie, a ty awansujesz. Trzeba się pokazywać.

Grzelak zazgrzytał zębami. Uwagi o awansie mocno go raniły. Marzył o nim już od dawna i już od dawna miał nadzieję, że za chwilę trafi się jakaś spektakularna sprawa i zwierzchnicy będą pod takim wrażeniem, że przeniosą Grzelaka do Wrocławia. I nie tylko awans, ale i uznanie będą go czekać w nowym życiu. Nowe życie jednak nie nadchodziło.

– Czyli co, do szkoły zawieźć? – spytał, nie ukrywając niezadowolenia. Na samą myśl o tym, że znów będzie musiał znosić choinkę i gdzieś ją wieźć, dostawał gęziej skórki. Tym bardziej że kiedy kupował drzewko, było ono owinięte siatką. Teraz, po rozłożeniu, umocowanie choinki na dachu samochodu było nie lada wyzwaniem.

– Dasz radę – powiedziała beztrąsko Danka i wróciła do kuchni.

Dał. Kosztowało go to jednak tyle nerwów i siły fizycznej, że do szkoły dojechał nie dość, że spocony, to jeszcze głodny i zły. Ledwo żywy przytargał choinkę do sali gimnastycznej, gdzie trwały właśnie przygotowania do świątecznego kiermaszu. Rozwieszano girlandy, ustawiano stoły i scenę, na której miał pojawić się sołtys, by przemawiać do gości.

Komendant postawił choinkę pod oknem i skinął głową na przywitanie ludziom obecnym na sali. Chciał już wyjść, a raczej uciec, kiedy zatrzymał go dyrektor szkoły.

– Czy to dar dla naszej społeczności od szanownego pana komendanta? – spytał z szerokim uśmiechem.

Grzelak spojrzal na niego niechętnie. Nie przepadał za tym facetem, wydawał mu się nieszczerzy. Niby miły, niby przyjazny, ale miał w sobie coś odpychającego. Może te oczy fałszywe – pomyślał Grzelak.

– Witam szanownego pana dyrektora – powiedział głośno, nie potrafiąc się opanować, żeby nie przedrzeźnić mężczyzny. – Moje uszanowanie. Zgadł pan szanowny, że choinka jest w darze ode mnie i od mojej małżonki w odpowiedzi na

prośbę szanownego naszego księdza proboszcza.

– Jak miło! – Dyrektor nie odczytał sarkazmu bijącego z głosu Grzelaka. – Widzi pan, właśnie miałem sam jechać po drzewko, a tu taka niespodzianka.

– Wspaniale – powiedział bez entuzjazmu Grzelak. Dyrektor chciał jeszcze coś dodać, ale na szczęście w szkole rozległ się dzwonek i już po sekundzie na korytarz wybiegły dzieci, robiąc hałas tak wielki, że nawet w sali gimnastycznej trudno było swobodnie rozmawiać. Twarz dyrektora stężała, prawdopodobnie też nie lubił zgiełku.

Grzelak, korzystając z okazji, ukłonił się i wyszedł.

Kiedy dotarł do samochodu, poczuł, że opada z sił. Pora obiadu dawno już minęła, a przez zamieszanie z choinkami nie było czasu nawet na jabłko, którym od czasu do czasu oszukiwał głód, starając się trzymać dietę.

Włączył silnik i podkręcił ogrzewanie, bo było mu zimno. Miał już ruszyć, kiedy zadzwoniła komórka. Zdjął rękę ze skrzyni biegów i sięgnął po telefon. Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

Raz, dwa, trzy... – policzył w myślach, żeby nie wybuchnąć, zanim odbierze. Jeśli Danka znalazła miejsce w domu na drugą choinkę i znów każe mu ją przywozić, to nie ręczy za siebie. Był gotów zakatrupić żonę, a potem poprowadzić śledztwo, uczciwie się zaaresztować i wtrącić do lochu.

– Słucham – powiedział do słuchawki zmęczonym głosem.

– Dzień dobry. – Po drugiej stronie odezwała się kobieta i z pewnością nie była to Danka. – Z tej strony Beata Pusz z Wydawnictwa Story. Czy mam przyjemność z panem Eugeniuszem Grzelakiem?

Grzelak otworzył oczy i aż podskoczył na fotelu.

– Tak. Komendant Grzelak. We własnej osobie. Przy telefonie.

– Bardzo mi miło. Panie Eugeniuszu, przeczytaliśmy pana książkę i jesteśmy zainteresowani jej wydaniem. Czy pana propozycja jest nadal aktualna?

Grzelak przełknął ślinę.

– Tak, oczywiście – odparł wolno, cedząc słowa. W głowie przelatywały mu myśli. Może jednak powiedzieć, że dostał już kilka ofert, wtedy podniosą stawkę, przebiegło mu przez myśl. – Jest aktualna, jak najbardziej – dodał. – Bo jeszcze nie podjąłem decyzji. Dostałem kilka ofert, ale nie wszystkie mnie satysfakcjonują...

– Rozumiem. – Kobieta westchnęła. – To w takim razie nie będę zawracać panu głowy.

Grzelak nie mógł wiedzieć, że Beata Pusz miała na biurku dziesięć takich książek i wykonywała telefony właśnie po to, żeby z rozmowy wyczuć, czy debiutant jest sensownym człowiekiem, czy może typem gwiazdy, która będzie robiła problemy na każdym kroku procesu wydawniczego.

– A pani z jakiego wydawnictwa telefonuje? – spytał Grzelak oszołomiony zachowaniem kobiety. Nie podjęła negocjacji, nie namawiała go. Nie tak to miało

wyglądać. Przestraszył się, że odłoży słuchawkę, i propozycja wydania więcej się już nie powtórzy.

– Story. Z Warszawy.

– Ach, Stooory! – krzyknął, udając euforię. – Trzeba tak było od razu! No właśnie, widzi pani, czekałem na ten telefon. Uwielbiam wasze książki. Marzyłem o tym, żeby właśnie u was wydać swoją! Oczywiście, jestem zainteresowany, jak najbardziej.

Kobieta połknęła haczyk. Uwierzyła, co było słychać w jej głosie.

– Cieszę się – powiedziała dźwięcznie. – To co, wyślę panu mailem warunki i wzór umowy. Jeśli nie będzie miał pan pytań, proszę odesłać pocztą na nasz adres dwa podpisane egzemplarze. Jeśli będzie miał pan jakieś pytania, to proszę pisać lub dzwonić.

– To nie muszę przyjeżdżać do Warszawy?

– Nie ma takiej potrzeby.

– A kiedy książka byłaby wydana?

– Prawdopodobnie późną wiosną. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to może uda się na Święta Wielkanocne.

– Wspaniale. Proszę zatem przesłać umowę, zaraz ją przeczytam.

Grzelak odłożył telefon i uchylił okno. Ogrzewanie wciąż chodziło włączone na full, przez co teraz zrobiło mu się gorąco. Ciągle nie mógł uwierzyć, że wreszcie odezwał się jakiś wydawca.

– *Yes!* – krzyknął podekscytowany, łapiąc za kierownicę, by wytracić trochę energii. – *Yes! Yes! Yes!*

Właśnie zaczęło ziszczać się jedno z jego wielkich marzeń. Wreszcie został przez kogoś doceniony! I choć nie było to docenienie wysiłków wkładanych w pracę policjanta, to okazało się, że ma też inne talenty. Dance opadnie szczęka.

Na razie postanowił nic jej nie mówić. Niech sama przetrze oczy ze zdumienia, gdy wejdzie wiosną do księgarni. Chociaż nie – zamyślił się – Danusia w księgarniach nie bywa. Jedyłą książką, którą przeczytała, była książka kucharska, a i tę wrywkowo, w zależności od tego, który przepis w danej chwili ją interesował. Danusia kupuje w kioskach kolorowe gazety, czasem kieszonkowe wydanie jakiegoś romansu. Do księgarni w ogóle nie zagląda. Nie podobała jej się też Biblioteka, w której tak często przesiadywał Grzelak. Kiedy raz tam weszła, by zobaczyć, co też mieszkańcy urządzili za lokal w opuszczonym domu, złapała się za głowę, dziwiąc się, że komuś się chciało znosić w jedno miejsce aż tyle makulatury.

– Sam cię do tej księgarni siłą doprowadzę – wysyczał Grzelak do siebie. – Za włosy przytargam, żebyś zobaczyła, że mąż do czegoś się nadaje.

Poczuł satysfakcję, choć proces wydawniczy jeszcze się nie zaczął. Trudno mu było sobie wyobrazić, co będzie czuł, kiedy marzenie wreszcie się ziści.

**

Kominek przygasał i Kaja dorzuciła do niego kilka drewna. Wciąż było jej zimno, czuła się niewyspana i bolała ją głowa. Po domu chodziła w szlafroku i mocno już znoszonych kapciach. Ostatnio dużo spała, właściwie przesypiała większość czasu w dzień, w nocy zaś miała problemy z zaśnięciem. Mało jadła, niewiele wychodziła z domu. Najgorszy był jednak ten ból głowy, łapał ją niczym w obręcz i trzymał w mocnym uścisku. Z Pawłem właściwie się mijała. Nie rozmawiali. Przestał nawet jej przypominać, że powinna się już wyprowadzić. Czasem, kiedy go nie było, oglądała telewizję. Nic konkretnego, zazwyczaj bezmyślnie wgapiła się w ekran. Czuła się tak, jakby życie płynęło gdzieś obok. Nawet wtedy, kiedy życie próbowało dostać się do domu. Nie reagowała na pukanie do drzwi, choć się domyślała, że to nie wróg, lecz Karol, który zwyczajowo po szkole stawiał się, by wyjść z psem. O dziwo, nie zniechęcały go zamknięte drzwi, przychodził codziennie, wystukując pukaniem coraz to inną melodię.

Dziś także zapukał. Kaja jęknęła. Nie chciało jej się podchodzić do drzwi, ale Daisy, która razem z nią była w salonie, też usłyszała pukanie i od razu podbiegła do wyjścia, wesoło szczerkając. Kaja już nie mogła udawać, że jej nie ma, dlatego zamknęła drzwiczki od kominka, podniosła się z klęczek i szurając kapciami po drewnianej podłodze, poszła otworzyć.

Karol na jej widok uśmiechnął się od ucha do ucha.

– I co się tak szczerzysz? – spytała. Głowa bolała ją coraz mocniej.

– Nic – odpowiedział, robiąc tajemniczą minę.

– Chcesz iść z Daisy na spacer?

– No tak.

– To idź. – Kaja podała smycz wiszącą na wieszaku.

Chłopiec, ciągle się uśmiechając, w podskokach pobiegł z Daisy na drogę.

Kaja poszła do kuchni. Z szuflady wyjęła ostatnie dwie tabletki apapu i połknęła, popijając je wodą z kranu. Potem włączyła telewizor. Leciąły jakieś powtórki. Musiała na chwilę przysnąć, ponieważ kiedy się obudziła, na zegarze wybijała już piętnasta. Do drzwi znów pukał Karol, tym razem by oddać Daisy. Kaja przetarła dłonią czoło. Ból głowy nie ustał do końca, wciąż ćmił. Poszła otworzyć.

– Proszę, twoja zapłata – powiedziała, podając chłopcu trzy złote.

– Nie trzeba.

– Umowa to umowa.

– Nie chcę pieniędzy.

– Nie to nie. – Włożyła monety do portfela. – Słuchaj, mam prośbę.

– Tak? – Karol uśmiechnął się szeroko. Zaczął ją irytować ten jego radosny

uśmiech.

– Leć do domu i poproś mamę, żeby pożyczyła mi jakieś tabletki od bólu głowy.

– Rodziców nie ma w domu. Mama z dziewczynami pojechały do szkoły, będą ubierać choinkę. Pan komendant przywiózł.

– Super – powiedziała bez euforii. – A ty nie chciałeś im pomóc?

– Nie mogę, muszę się uczyć.

– No tak. A kiedy rodzice wrócą?

– Nie wiem.

– Ale macie w domu jakąś apteczkę?

– Mamy. W łazience, za lustrem.

– To leć i przynieś mi coś, jakiś ibuprofen albo apap, cokolwiek.

– Już pędzę! – Przyłożył dwa palce do czoła, udając, że saltuje.

Pobiegł, ile sił w nogach, szczęśliwy, że może zrobić coś dla pani Kai. W domu nie zdjął nawet butów, nie otrzepał ich ze śniegu, tylko od razu pobiegł do łazienki. Nie znał się na lekach, nie pamiętał nazw, które podała Kaja, dlatego nie chcąc jej rozczarować, zapakował do foliowej torebki wszystkie opakowania, które tylko znalazł. Pod drzwiami Kai był po niespełna dziesięciu minutach.

– Szybki jesteś – pochwaliła, a jemu ze szczęścia rozbłyły oczy.

– Coś jeszcze mogę dla pani zrobić? – spytał pełen nadziei.

– Dziękuję. To mi wystarczy. – Kaja odebrała torbę, nie zaglądając do środka.

Karol wciąż stał pod drzwiami, wpatrując się w dziewczynę wzrokiem pełnym radości i szczęścia.

– Co ty taki zadowolony? Zęby ci zmarzną od tego szczerzenia się. Wracaj do domu.

Odszedł posłusznie, ale zanim dotarł do bramy, odwrócił się i pełnym entuzjazmu tonem powiedział:

– Ja wiem, kim pani jest!

Twarz Kai stężała. Co za bezczelny gnojek. Gada to samo, co jego matka, pewnie się nasłuchał w domu – przeszło jej przez myśl.

– Kim? No powiedz, kim? – warknęła ze złością. Niech no tylko wyzwie ją od samolubnych i egoistycznych właścioelek lasu, to mu pokaże, gdzie raki zimują.

– Aniołem! – krzyknął zadowolony. Kaja oniemiała.

– Kim? – spytała, unosząc brwi i wyginając usta w zdziwieniu.

– Aniołem – powtórzył, wpatrując się w nią z atencją.

– Co ty gadasz?

Roześmiał się i przytknął palec do ust.

– Nikomu nie powiem, obiecuję! – zapewnił i pobiegł w podskokach

w stronę domu.

**

Lustro zaparowało po kąpieli. Kaja przetarła je ręcznikiem. Przyjrzała się swojej twarzy. Podkrążone oczy sugerowały niewyspanie, a przecież wstała późno, potem ucięła sobie drzemkę, a teraz, mimo że nie było jeszcze szesnastej, znowu zachciało jej się spać.

Ziewnęła i pomasowała skronie. Głowa już nie bolała, ale sprawiała wrażenie ciężkiej. Kaja spuściła wodę z wanny i sięgnęła po suszarkę do włosów. Zazwyczaj nie brała kąpieli w ciągu dnia, ale teraz, kiedy tak wcześnie robiło się ciemno, było jej wszystko jedno, którą godzinę wskazuje zegar. Dla niej był już wieczór. Przez cały dzień niewiele zjadła, ledwie kanapkę z serem i suchego kabanosa. Odczuwała wprawdzie głód, ale nie miała na nic apetytu. Daisy zadowolona się karmą z puszki, zapobiegawczo kupioną przez Kaję już dawno i trzymaną w szafce.

Założyła szlafrok i zeszła na dół. Daisy spała nieopodal kominka. W domu panowała cisza. Kaja usiadła na kanapie i chciała włączyć telewizor, ale pilot gdzieś się zapodział, więc zrezygnowała. Wzięła do ręki komórkę, by sprawdzić godzinę. W tym momencie wyciszony telefon zawibrował, a na wyświetlaczu pojawił się niezidentyfikowany numer.

Wiech! – przebiegło Kai przez myśl, choć podświadomie czuła, że nadzieja ta jest niczym brzytwa, której jako tonąca pragnęła się chwycić. Kiedy odebrała, okazało się, że to nie Wiech, lecz bank, w którym zaciągnęła pożyczkę na zakupienie lasu. Kaja cierpliwie wysłuchiwała standardowej formułki, potwierdziła swoje dane, a następnie w milczeniu przyjęła to, co miała jej do powiedzenia osoba z działu bankowej windykacji.

– Halo? – spytała kobieta, skończywszy.

– Jestem – potwierdziła Kaja. – Wiem, że od trzech miesięcy nie płacę. Mam przejściowe problemy.

– Kiedy zatem możemy spodziewać się zaległych rat?

– Nie wiem – przyznała szczerze Kaja.

– Jeśli pieniądze nie wpłyną do końca tygodnia, przekażemy sprawę do...

– Okej, rozumiem, że macie procedury – weszła w słowo Kaja. – Ale przecież jestem klientką waszego banku nie od dziś. Chyba możemy się umówić na jakiś lepszy termin? Proszę o czas do końca roku.

– To aż dwa tygodnie.

– To tylko dwa tygodnie – podkreśliła Kaja. – Proszę mi dać ten czas.

– Dobrze – zgodziła się windykatorka. – Potwierdza pani zatem, że do trzydziestego pierwszego grudnia wszelkie zaległości zostaną uregulowane?

– Tak.

– Przypominam, że jeśli nie uda się spłacić...

– Wiem. Dziękuję za informację. Do widzenia. – Kaja nie siliła się już na uprzejmości. Chociaż kobieta po drugiej stronie w końcu zgodziła się wydłużyć termin, to też nie miała uprzejmego tonu. Rozłączyły się w tym samym czasie.

Kaja wstała z kanapy i podeszła do okna. Telefon z banku skutecznie ją rozbudził. Nie można już było dalej udawać, że nie ma problemu. Salon padł, na koncie brakowało pieniędzy, zaczęła odzywać się windykacja. Za chwilę zabiorą jej mieszkanie, którego hipotekę zastawiła, i odetną telefon, bo i tu miała zaległości, choć na szczęście abonament nie był wysoki.

Odsunęła firankę i dotknęła czołem chłodnej szyby. Na zewnątrz rozszalała się wichura. Drzewa w ogrodzie Polniaka uginały się pod ciężarem wiatru, a śnieg, który wcześniej leżał na ziemi, unosił się teraz, jakby pchany nieokiełznaną potężną siłą. Kają wstrząsnął dreszcz. Czuła się przerażona i rozedrgana wewnątrz. Było jej niedobrze.

Przez chwilę wpatrywała się w krajobraz rozszalały wiatrem, a potem podeszła do barku i wyjęła z niego napoczętą butelkę koniaku należącą do Pawła. Nie szukała szklanki odpowiedniej do trunku. Z kuchni przyniosła kubek i nalała do niego sporą dawkę alkoholu. Wypiła jednym haustem. Nalała znowu. Życie nie stało się piękniejsze, ale w głowie zaczęło szumieć i zagłuszać męczące myśli. Teraz skoncentrowała się na odgłosach zza okna. Wydawało się, że drzewa jęczą, a gałęzie sosny drapiące w okno próbują dostać się do domu. Kaja nalała sobie jeszcze. Koniak przyjemnie rozgrzewał od środka. Jej wzrok padł na telefon i odczuła pilną potrzebę skomunikowania się ze światem. Zapragnęła natychmiast powiedzieć byłym koleżankom, co tak naprawdę o nich myśli. Żadna z nich od tyłu miesiący nie zadzwoniła. A Sabina, której powierzyła cały salon, doprowadziła go do ruiny i nie poniosła żadnych konsekwencji.

SMS-y, których treść nie należała do przyjemnych, nie chciały się jednak wysłać. Kaja wybrała więc pierwszy lepszy numer.

– Kuuurrrwa, odcięli mi wychodzące – jęknęła przeciągle. – Co za chuje! – Rzuciła telefon w kąt. Nalała resztkę koniaku. Butelkę schowała do szafki. Nagle poczuła się głodna. Lekko chwiejnym krokiem poszła do kuchni i wyjęła z lodówki wędlinę, którą kupił Polniak. Zjadła kilka plasterków. Wypity alkohol coraz mocniej uderzał do głowy, ale o dziwo nie zwymiotowała. Wręcz przeciwnie, wcześniejsze mdłości ustąpiły, za to znów zaczęła ją boleć głowa. Przypominała sobie, że torebka z lekami przyniesiona przez Karola jest w sypialni. Nie chciało jej się tam iść. Zaczęła przetrząsać kuchenne szafki w poszukiwaniu jakichś proszków. Nic nie było. W szale otworzyła także lodówkę, a potem zamrażarkę. Leków oczywiście nie było, lecz znalazła półlitrową butelkę wódki.

– Może być – szepnęła, nie do końca świadoma tego, co robi. Odkręciła butelkę i przechyliła, by nalać wódki do kubka. Nie chciała płynąć. Co jest? Kaja

zaczęła nią potrząsać, dziwiąc się, że ledwie kapie. Nie myśląc wiele, sięgnęła do szuflady po tłuczek do mięsa i uderzyła nim w szyjkę butelki podstawionej pod kuchenną ścianę. Poszło. Kilka kawałków szkła opadło na blat, ale wódka była w nienaruszonym stanie. Kaja przejechała palcem po krawędzi. Ostre – uznała – nie da się pić z gwinta. Przyglądając się, czy aby na pewno nie ma już żadnego szkła, ponownie nalała do kubka po koniaku. Wypiła.

– Aaaaaaa! – krzyknęła rozdzierająco, czując, jak alkohol pali ją w przełyku.

Rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu napoju do popicia, ale nic nie znalazła. Ostatnio piła wodę z kranu, kawę lub herbatę, nie kupowała soków czy gazowanych napojów. Paweł też nic takiego nie kupował. Nie znalazłszy nic odpowiedniego, nalała sobie wody, do której wsypała garść kostek lodu. Nie popiła jednak wódki. Nagle przestała ją palić, a zaczęła smakować. Kaja krzyknęła jeszcze raz. Tym razem nie z powodu alkoholu, lecz dlatego, że miała na to chęć. Zauważyła, że krzyk ją oczyszcza, działa odprężająco. Daisy, zdziwiona zachowaniem pani, podbiegła do niej, kręcąc się pod nogami.

– Sssesz wyjść? – spytała Kaja. – To se idź, ale wracaj zaraz. – Otworzyła drzwi.

Daisy, wystraszona wichurą, nie wyściubiła jednak nosa.

– Nie ssscesz? To nie wylaż. – Kaja musiała podtrzymać się ściany, żeby utrzymać równowagę. Z trudem zamknęła drzwi opierające się wiatrowi. – Idziemy na górę – zarządziła. – Łeb mi pęka.

Wróciła do kuchni po wódkę i kubek, zjadła do końca plasterki szynki leżące na stole i nie zabierając przygotowanej wcześniej wody z lodem, weszła na schody. Daisy pobiegła pierwsza.

Kai ledwie udało się wejść. Schody wydawały się dłuższe niż zazwyczaj, a ich stopnie o wiele wyższe.

– Kto to, do cholery, tak zbudował? – utyskiwała, stawiając ciężkie kroki i przytrzymując się poręczy.

W sypialni uśmiechnęła się na widok torby z lekami. Wreszcie udało się do niej dotrzeć. Wysypała zawartość na łóżko. Okazało się, że Karol przyniósł nie tylko napoczęte opakowanie apapu, ale też witaminę C, A+E, no-spę, voltaren w kapsułkach i wiele innych leków, których nazwy nic jej nie mówiły. Sięgnęła po apap. Dwie tabletki popiła wódką. Daisy zaczęła skomleć.

– Cio, piesiečku, mój ty kochany? – Kaja wzięła sunię na ręce i zaczęła całować. – Skarbeniek mój, stokrotka moja, serducho najpiękniejsze, cudowna psinunia. Cio byś chciała? Pobawić się ssscesz? – Odstawiła psa i zaczęła biegać po pokoju, udając zabawę w berka. Daisy pobiegła za nią. – Fajnie? Jesssce? To zaraz ty będziesz gonić, tylko paniunia musi się napić, bo w gardle wyschło. – Wypiła potężny łyk, po czym otarła usta wierzchem dłoni. – I plosecka wziąć, bo główka paniuńcię boli. – Zapomniawszy, że dopiero co brała, odszukała apap

i połknęła kolejne dwie pigułki. Popiła wódkę. Zadowolona, że Daisy merda wesoło ogonem i chce się bawić, weszła pod łóżko. – Szukaj! – krzyknęła. Przymknęła oczy, w głowie wirowało. Ocknęła się, czując na policzku szorstki wilgotny jęczyzek. Wyszła spod łóżka i przytuliła psa.

– Tylko ty mnie kochasz, tylko ty... – Pociągnęła nosem. Nagle z jej piersi wydobył się rozdzierający szloch. Daisy, przestraszona, wyrwała się z objęć i lebkim próbowała wtulić się pod pachę Kai. Kaja, siedząc na podłodze, oparła głowę o łóżko i zaczęła głośno płakać. Pies skomlał, nie rozumiejąc, co się dzieje. Wichura za oknem przybrała na sile, przemycając przez nieszczelne okna przeraźliwe jęki wiatru. Gałęzie coraz mocniej uderzały w szyby. Płacz Kai także się wzmagał. Znów sięgnęła po wódkę, ale tym razem upiła niewiele, nie miała siły, żeby pić. Ręka z kubkiem opadła bezwładnie na podłogę. Kaja dostała czkawki. Głowa jej pulsowała. Drugą ręką sięgnęła po leki. Nie patrzyła już na opakowania.

**

Zgasło światło. Janina szybko rozstawiła świece.

– To przez wicherę – powiedziała ni to do siebie, ni to do męża i syna.

Paweł siedział z opuszczoną głową w fotelu w salonie, naprzeciwko ojca. Od godziny wysłuchiwał tyrady rodziców na temat swojego związku z Mariolą. Przyjechał do nich prosto z ośrodka, bo matka zadzwoniła, że koniecznie muszą porozmawiać. Tego dnia widziała się z Zofią, która kolejny raz przepraszała za córkę i kolejny raz zapewniała, że Mariola żałuje, potrzebowała się przed ślubem wyszaleć, bardzo jej wstyd i bardzo chce odzyskać Pawła.

– Nic nie powiesz? – dopytywał Kazimierz, patrząc na twarz syna oświetloną blaskiem chudej wysokiej świecy.

– A co mam powiedzieć? Nie przekonacie mnie.

– Synku! – Janina załamała ręce. – To przecie lepiej, że ona teraz poszła w tango z innym, niż miałyby po ślubie cię zdradzić.

– Zrobiła, co zrobiła, żałuje, temat trzeba zamknąć, wybaczyć – zgodził się Kazimierz.

– Nie wybaczę. – Paweł zacisnął wargi. – Nie wybaczę. Upokorzyła mnie.

– We wsi nikt przecie nie wie, co się stało – powiedziała Janina. – Kłótnie to wszyscy młodzi mają. Pogodzicie się i będzie po sprawie.

– Wiedzą, nie wiedzą. Ja wiem. – Do Pawła nie trafiały żadne argumenty.

– Każdemu w tym wieku odbija, ty przecie zanim zacząłeś być z Mariolą, uderzałeś do Kaśki, pamiętasz? A jaki był dramat, jak się Kaśka dowiedziała, że spotykasz się z Manią.

– To nie to samo – prychnął Paweł. – Nie byliśmy z Kaśką zaręczeni.

– A teraz ślubu nie było – powiedziała zdenerwowana uporem syna Janina.

– Mamo, nie chcę już o tym słyszeć.

– Przecie Mariolka przyjechała, przeprosiła cię, błagała o wybaczenie – przypomniała Janina.

– A przy okazji zdemolowała samochód Kai i mnóstwo jej rzeczy – zauważył Paweł.

– Kai to akurat nie szkoda – wyrwało się Kazimierzowi.

– Tato! Mariola biegała po podwórku z siekierą! To cud, że nie napatoczył się żaden sąsiad. Dopiero miałby używanie.

– Ale nikogo nie zabiła, już nie przesadzaj.

– Zniszczone auto to przesada?

– Oj tam, da się wyklepać.

Paweł westchnął. Rodzice byli niereformowalni.

– Dobra, wystarczy tych gadek. Idę do domu. – Energicznie podniósł się z fotela.

– A gdzie tam! – zaprotestowała Janina. – Nigdzie cię nie wypuszczę w taki wiatr.

– Samochodem jestem, podjadę, nic mi nie będzie – uspokoił zwyczajowo, zawsze na to czekała.

– Jedzenie masz tam u siebie?

– Jadłem z chłopakami.

– Ale czy na kolację coś masz? – dopytywała matka, zawsze ją to interesowało.

– Mam, wędlinę wczoraj kupiłem, kanapki sobie zrobię.

– Nie potrzeba ci czego? – upewniała się Janina.

– Dajesz spokój! – zgromił żonę Kazimierz. – Z głodu przecie nie umrze, a jak zrobi się słaby, to może zachce mu się żony, coby mu gotowała.

– Racja! – Janina pokiwała głową. – To nic ci już nie będę dawać – zwróciła się do syna. – Za dobrze z nami masz. Niepotrzebnie ostatnio te gołąbki dawałam. Zjadłeś?

– Zjadłem.

– Jak nie zjadłeś, to do zamrażalnika włóż.

– Zjadłem – powtórzył Paweł i poszedł do sieni.

– A ta Kaja to coś ci w ogóle gotuje? – krzyknął za nim ojciec.

– Rzadko! Właściwie nie gotuje wcale! – odkrzyknął Paweł i wyszedł.

– To przynajmniej dobre, że go tamta baba nie rozpieszcza – szepnęła Janina do męża.

– Może rozpieszcza go inaczej...

Janina stężała.

– A bój się Boga! Kazik! – krzyknęła oburzona. – Co ty opowiadasz, nasz syn taki nie jest!

– To po co ją tak długo trzyma, nie zastanowiło cię to? I taki uparty, do Marioli nie chce wracać...

– Trzyma ją, bo się tak umówił, dobrze żeśmy syna wychowali, honorowy jest. Miała odpracować zaległość, to odpracowuje. Przed świętami ma się wynieść.

– Odpracowuje... – wymamrotał Kazimierz. – Akurat. Przecie mu nie gotuje.

– Ale ponoć sprząta.

– Taa...

Janina przestawiła na stole świecę, żeby lepiej widzieć twarz męża.

– Co sugerujesz? – spytała.

– A nic, nic. – Wzruszył ramionami i przekręcił głowę w lewo.

Wiedziała, co ma na myśli.

– Kazik! Ty mnie nie denerwuj! Przez to twoje głupie gadanie tylko serce mnie zaczęło boleć.

– Ale Jasieńko, kochanie – zmienił ton. – Ja cię, broń Boże, nie chcę denerwować. Ale sama pomyśl... – Westchnął głośno. – Wierzymy mu, a nie sprawdzamy. Pochłaniamy, co nam mówi, jak jakieś jamochłony! – podniósł głos. – A nie wiadomo, jaka jest prawda. Może nam tylko tak gada, a po kryjomu z tamtą panną planuje ślub.

Janina się przeżegnała.

– O Matko Boska! Przestań tak gadać, zawału przez ciebie dostanę!

Kazimierz zamilkł. Przez chwilę wpatrywali się w siebie oczami błyszczącymi od światła świec.

– Pochłaniamy... jak jakieś... co? – spytała nagle Janina.

– Jak jamochłony.

**

Zaparkował pod domem, ale jeszcze nie wchodził. Przyglądał się nadłamanej gałęzi starej gruszy rozbijanej przez wiatr. Drzewa widzą więcej, niż nam się wydaje. Ta abstrakcyjna myśl sprawiła, że zanurzył się we wspomnieniach. Kiedyś nie było tu domu, lecz stodoła, w której bawił się z kolegami, skacząc na siano. W stodole urządził sobie kryjówkę przed rodzicami i siostrą, tu też przyprowadzał swoje pierwsze nastoletnie miłości. Tu doświadczył pierwszego pocałunku. Z Wiolą. Do tej pory pamiętał wilgotny smak jej ust. Nie podobało mu się to wtedy, nie wiedział, co robić z językiem. Potem było lepiej, kolejne dziewczyny piszczały, kiedy rzucał je na siano i łaskotał ostrymi źdźbłami. Marioli tu nie przyprowadził. Kiedy ją poznał, stodoła dawno już była zburzona, a na jej miejsce wylano fundamenty pod dom dla niego. Z Mariolą w tym miejscu nie łączyły go żadne wspomnienia, zamieszkali ze sobą dopiero w Hamburgu, dokąd wyjechał za pracą. Marioli grusza nie znała. Nie miała chyba czego żałować – pomyślał gorzko.

Wszedł do domu i po omacku przeszedł do salonu. Tam już było jaśniej. Przez niezastłonięte okna wpadał do domu blask księżyca, a dodatkowe źródło światła dawał przygasający kominek.

Paweł położył się na kanapie, oparłszy nogi na zwiniętym kocu. Była dopiero siódma wieczór, nie chciało mu się spać. Wyjął komórkę i uśmiechnął się, zauważywszy, że bateria ma jeszcze ponad siedemdziesiąt procent, a dane komórkowe mimo zawieruchy świetnie działają. Zalogował się na popularnym portalu randkowym. Założył tam profil kilka dni temu, po pamiętnej wizycie rozwścieczonej Marioli. Chciał szybko kogoś poznać, żeby zająć serce i nie myśleć już więcej o eksdziewczynie. Poza tym chciał narzeczonej pokazać, że dobrze radzi sobie bez niej, że nie cierpi, nie płacze, nie rozpacza. I że takich jak Mariola może mieć na pęczki. A nawet ładniejszych.

Zakładając profil, dodał zdjęcie zrobione rok temu w Hamburgu. Wyglądał na nim dość dobrze, eksponując twarz w półuśmiechu, z zawadiackim błyskiem w oku. Opis skonstruował dość lakoniczny: „Brunet, niebieskie oczy, szczupły, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, niepalący. Inżynier. Z charakteru normalny. Czekam tylko na poważne oferty”.

Mimo że anons był skąpy, to odkąd go umieścił, codziennie spływały kolejne propozycje. Najbardziej spodobała mu się Nina. Jej porcelanowa twarz miała w sobie coś dostojnego. Napisała, że zwrócił jej uwagę tym normalnym charakterem i że ona też uważa się za normalną. Kiedy wszedł w jej profil, przeczytał, że ma dwadzieścia siedem lat, jest modelką (zauważył, że większość na tym portalu nimi była), lubi podróże i dobre jedzenie, a jej największą pasją są sporty wodne, uwielbia uprawiać windsurfing.

Fiu, fiu – gwizdnął Paweł. Wysportowana, ładna, zapewne też inteligentna. Będzie pasowała do świetnego hotelu nad jeziorem. Kiedy pokaże się na wsi z deską pod pachą, wszystkim opadnie szczęka. Co tam wszystkim, wystarczy, że szczęka opadnie Marioli. Uśmiechnął się do siebie i napisał:

„Cześć, dziękuję za list, to naprawdę fascynujące, bo lubimy podobne rzeczy. Też uwielbiam podróże i dobre jedzenie. Wprawdzie nie pływam na desce, ale wszystko przede mną, mieszkam nieopodal jeziora”. Zastanawiał się, co jeszcze dodać, ale niechcący wcisnął przycisk wysyłania i wiadomość poszła.

„Chętnie cię nauczę” – Nina była online. Odpowiedziała natychmiast.

„Super. Napisz, gdzie mieszkasz, może byśmy się spotkali? Nie mam wprawy w prowadzeniu korespondencji, uważam, że najlepiej poznać się w cztery oczy”. Wyślij.

Prąd wrócił i rozbłysło światło. Paweł odruchowo przykrył dłonią oczy. Podniósł się, żeby wyłączyć część oświetlenia. Nie rozumiał, dlaczego Kaja naciska zawsze wszystkie włączniki, przecież żeby oświetlić salon, wystarczyłaby połowa.

Z góry doszło go skomlenie Daisy. Zignorował je. Nina przysłała wiadomość.

„Jestem z Krakowa. A ty?”

„Wrocław, ale to dla mnie nie problem, chętnie wpadnę w odwiedziny do smoka”.

Daisy skomlała coraz głośniej, zaburzając Pawłowi romantyczne myślenie.

– Kaja! – krzyknął w kierunku schodów. – Nie słyszysz, jak twój pies szaleje, cholera jasna! Ucisz ją!

Ale Daisy nie została uciszona, a Kaja nie odpowiedziała. Znowu zasnęła – przebiegło Pawłowi przez myśl. Zaklął pod nosem, usłyszawszy, że skomlenie Daisy przybiera na sile, teraz też zaczęła drapać w drzwi od sypialni.

– Cholera! Kaja! – krzyknął głośniej. – Ten cholerny pies zniszczy mi drzwi, będziesz odkupywać! Wypuść ją!

Daisy, doskonale słysząc krzyki Pawła, drapała w drzwi coraz mocniej.

Paweł, zaciskając szczękę, wszedł na schody. Delikatny dźwięk nadchodzącej wiadomości sprawił, że zatrzymał się na pierwszym stopniu.

„Wspaniale!” – cieszyła się Nina. „To kiedy?”

Paweł odpisał, że może przyjechać nawet jutro. Poczekał na odpowiedź. Przyszła natychmiast, jednak nie mógł jej otworzyć, ponieważ wyświetlił się komunikat:

„Drogi Użytkowniku, żeby odczytać tę wiadomość, wykup wersję premium. Szczegóły pod linkiem...”

– *Shit!* – warknął Paweł. Daisy za drzwiami szalała. – Cholera jasna by to wzięła! – krzyknął i energicznie wszedł na górę.

Zapukał dość mocno, a właściwie uderzył w drzwi kilkoma palcami.

– Kaja! Do jasnej cholery, wstawaj i zajmij się tym cholernym kundlem! Słyszysz?!

Brak odpowiedzi. Paweł z impetem zaczął walić w drzwi.

– Słyszysz mnie? Otwieraj!

Nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły. Daisy wybiegła, ale zaraz wróciła, kręcąc się nerwowo po pokoju. Już nie skomlała, teraz zaczęła cicho szczekać.

Paweł przez chwilę stał oniemiały, wpatrując się w obraz, jaki zastał. Kaja leżała na podłodze, obok niej nadkruszona butelka po wódce.

– Ja pierdzielę – syknął. – Co za idiotka... Kaja! Obudź się, pijaczko, nie będę niańczyć twojego psa, masz natychmiast... – Urwał, bo zauważył rozrzucone na łóżku opakowania po lekach. – Cholera!

Rzucił się do Kai i zaczął klepać ją po policzku. Nie reagowała. Chwytał za nadgarstek, usiłując wyczuć puls.

– Cholera jasna! – wymamrotał zdławionym głosem.



Rozdział 14



Alicja siedziała w biurze galerii, wpatrując się w ekran laptopa. Przy uchu trzymała słuchawkę.

– Panie komendancie, uważam, że to są naprawdę dobre warunki – powiedziała.

– Przeczytała pani dokładnie? – upewnił się Grzelak. – Moim zdaniem to zdzierstwo w biały dzień. To przecież wychodzi, że dostanę półtora złotego w porywach do dwóch za sprzedany egzemplarz.

– No, tyle się płaci...

– Nie ze mną te numery. Poświęciłem kilka miesięcy życia, żeby napisać tę książkę, a oni teraz dadzą mi ochłap? Dwa złote, a dla nich zostanie trzydzieści? O nie!

– To nie tak, panie Eugeniuszu. Wszystko przecież kosztuje. Redakcja, korekta, skład, grafika, druk. Sam koszt dystrybucji to czasem ponad połowa ceny książki. Wydawca nie ma z tego kokosów, proszę mi wierzyć. No, chyba że będzie bestseller, czego panu życzę.

– To pani aż tak się zna? Nie oszukuje pani?

– A po co bym miała? – Alicja się roześmiała. – Tak to wygląda, po prostu. Na pocieszenie panu powiem, że my, ilustratorzy, mamy podobne stawki co autorzy. Wiem, z czym to się je.

– Czyli co, uważa pani, że warto podpisać?

– A trafi się panu lepsza oferta?

– Na razie nikt inny się do mnie nie odezwał...

I pewnie się nie odezwie – pomyślała Alicja. Wydawnictwo Story było właśnie tym, dla którego i ona pracowała. Wiedziała, czym urzekła ich książka Grzelaka. Śmiali się przy niej do łez. Inni wydawcy niekoniecznie zauważą ten właśnie potencjał w propozycji nadesłanej jako „mroczny kryminał napisany przez prawdziwego policjanta”.

– Może pan poczekać, dać sobie czas do świąt na przykład, ale z tego, co pan mówił, zależy im na wydaniu na wiosnę.

– To długo.

– Szybko. Może ktoś wypadł im z planu wydawniczego i chcą pana na jego miejsce. Ja bym jednak nie przeciągała sprawy.

– Rozumiem... – Grzelak odchrząknął. – A ten paragraf o podziale wpływów z sublicencji? Jak go rozumieć?

– On ma zastosowanie wtedy, kiedy na przykład wydawca sprzeda prawa do książki wydawcy zagranicznemu albo producentowi filmowemu...

Zagraniczne wydania, film, najlepiej hollywoodzki! Grzelakowi zaświeciły się oczy.

– Rozumiem... – powiedział, starając się, by w jego głosie nie było słycać euforii.

– Panie Eugeniuszu, trzymam kciuki, żeby był światowy bestseller, i do tego zekranizowany!

A pewnie, że będzie – przemknęło przez myśl Grzelakowi.

– Och, o tym to nawet nie marzę – powiedział skromnie.

– A to błąd. Marzenia trzeba mieć wielkie, a dochodzić do nich małymi krokami.

**

Marianna wyjaśniła pośrednikowi, dlaczego nie decyduje się na zakup. Mieszkanie było wspaniałe, ale nie dla niej. Zbyt wysoko, zbyt daleko od świata. Mężczyzna nie przyjmował tych argumentów, próbował namówić ją do transakcji, wyczuł, że pieniędzy ma wystarczająco.

– Niebawem w ogóle już nie będzie tych apartamentów, rozchodzą się jak ciepłe bułeczki, taka okazja może się więcej nie trafić.

– Wiem, ale pomieszkałam tu i przekonałam się, że jednak wolę coś bardziej kameralnego. Coś z duszą.

– Och! – Roześmiał się rubasznie. – Wystrój to przecież nie problem, wszystko można zmienić, mamy wspaniałego projektanta, który z pewnością doda lokalowi klimatu, zgodnie z pani życzeniem.

– Mimo wszystko dziękuję. I jeszcze raz dziękuję za umożliwienie mi tego wynajmu, bardzo jest pan miły.

– Polecam się na przyszłość. Gdyby się jednak pani zdecydowała...

– To mam pana wizytówkę, oczywiście.

Marianna uściśnęła dłoń mężczyźnie i się pożegnała. Rzeczy zabrała już wcześniej, Christian pomógł je spakować i przewieźć do siebie. On także, mimo że zachwycony widokiem z apartamentowca, przyznał dziewczynie rację.

– W ścisłym centrum nie ma dobrego powietrza – uznał. – No i nie ma gdzie chodzić na spacer z dzieckiem...

– Jakim dzieckiem? – Marianna nie zrozumiała.

– Naszym. Przyszłym. Bo chyba będziemy mieli dziecko? – Mrugnął.

– Nie myślałam jeszcze o tym – skłamała. – Na razie potrzebuję mieszkania. Nie wiem, czy chcę zamieszkać z tobą... – zaczęła się droczyć.

– Dlaczego nie?
– Słabo się jeszcze znamy.
– A jak inaczej chcesz mnie lepiej poznać?
– Podczas randek. – Roześmiała się, całując go w policzek.
– Randki też będą. Nawet codziennie – obiecał. – Ale chcę zasypiać i budzić się przy tobie. To już postanowione.

– Nie wiesz, na co się piszesz. Nigdy z nikim nie mieszkałam, jestem przyzwyczajona do zajmowania całego łóżka. W dodatku okropnie chrapię. – Wydęła usta w udawanej powadze.

– Jakoś nie słyszałem ostatnio, żebyś chrapała.
– Bo zagłuszałeś mnie swoim chrapaniem! – zażartowała.
– Chyba że tak. – Roześmiał się i chwycił Mariannę w pól. – W takim razie kupimy dom z dwiema sypialniami, żebyśmy mogli się w nocy wychrapać do woli, bez zagłuszania się nawzajem. Bo widzę, że jesteś trochę zazdrosna, że nie było cię słychać.

– I kupimy sobie chrapiącego psa!
– I chrapiącego kota!
– I może nawet zrobimy sobie pochrapujące dziecko. – Zabawnie wytrzeszczyła oczy i zęby.

– Co tylko chcesz! – Christián chwycił ją za talię i unióś kilka centymetrów nad ziemię, robiąc półobrót.

– To kupimy jeszcze mikrofony i wieceelkie kolumny, żeby wszyscy sąsiedzi słyszeli, jak pięknie chrapimy!

– Będą szczęśliwi!
– Tak!

Marianna się uśmiechała, gdy Christián postawił ją na ziemi. Spoważniał. Spojrzał jej prosto w oczy i ujął w dłonie jej twarz.

– Kocham cię.
– Ja chyba też cię kocham... Podniósł kąciki ust w półuśmiechu.
– Jutro będziesz kochała mnie już na pewno.

Zamieszkali razem tydzień przed świętami w mieszkaniu Christiána, które wynajmował w kamienicy przy ulicy Lwowskiej. Mieszkanie było dość spore, a wysokie sufity dodawały wnętrzu przestrzeni. Droczyli się o to, dokąd pojedą na święta. Marianna została zaproszona przez wujka, ale wiedziała, że zrobił to bardziej z obowiązku i grzeczności niż z potrzeby serca. Christián chciał spędzić święta w górskim domku w Sierra Nevada. Obydwoje natomiast otrzymali zaproszenie od Alicji i Konrada, zarówno na święta, jak i sylwestra w Angel's. Na uroczystej wigilijnej kolacji mieli być obecni rodzice Alicji, mama Konrada z mężem, ciotka Józefina i oczywiście Dorota z Patrykiem, Matylda oraz przyrodnie rodzeństwo Konrada.

– To będzie rodzinna Wigilia... – Marianna miała wątpliwości.
– Należycie przecież do rodziny – zapewniła Alicja. – Mam nadzieję, że myślisz podobnie.

– Byłoby wspaniale, gdybyśmy spędzili z wami święta i Nowy Rok.

– W takim razie nie ma co się zastanawiać, do Hiszpanii na święta pojedziecie za rok.

– To wtedy wy pojedziecie z nami – zaproponowała Marianna.

– Umowa stoi! Bardzo się cieszę! Słuchaj, mam przy okazji prośbę. Czy przenocowałybyś u siebie w Polance Dorotę i Patryka? Obawiam się, że u ciotki Józefiny i w mieszkaniu Konrada nad Angel's nie starczy dla nas wszystkich miejsca.

– Oczywiście. Kiedy się wybieracie?

– Dorota w Wigilię, będzie wyjeżdżać rano. Ja chciałabym pojechać wcześniej, dopilnować wszystkiego. Pewnie wyjadę razem z rodzicami.

Christián zgodził się bez oporów na spędzenie świąt w Polance. Bardzo się ucieszył, że zobaczy rodzinny dom Marianny i pozna jej przyjaciół. Dopytywał, czym się interesują, koniecznie chciał każdemu sprawić jakiś prezent pod choinkę. Marianna przychyliła się do tego pomysłu, żeby jednak nie wprowadzić w innych w zakłopotanie, ustaliła z Christiánem, że będą to symboliczne drobiazgi.

– Matyldzie możemy kupić coś większego, bo to dziecko – zaproponowała. – I dla pani Józefiny także. Opiekuje się grobami moich bliskich, kiedy nie ma mnie w Polance, więc chciałabym ją uhonorować prezentem. To nie może być nic bardzo drogiego, bo znając ją, oburzy się tylko. To musi być rzecz, która jej się przyda i będzie miała dla niej szczególne znaczenie.

Christián z uśmiechem wysłuchiwał pomysłów Marianny. Sam doskonale wiedział, co zamierza jej dać.



Rozdział 15



Cukier się rozsypał, kiedy Janina drżącą ręką próbowała posłodzić herbatę. Krawędzią dłoni zmiotła maleńkie kryształki z blatu i wyrzuciła do zlewu. Od dwóch dni chodziła podenerwowana, nie mogła spać. Odkąd wydarzyło się to nieszczęście, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, ciągle była rozedrgana. Nie pomagała ani melisa, ani waleriana.

– Mamo – powiedział zaniepokojony stanem matki Paweł. – Lepiej idź do siebie, zdrzemnij się, wyglądasz jak sto nieszczęść, a za chwilę święta.

– A jak mam wyglądać w obliczu takiej tragedii? Dziecko, ty mnie nie pouczaj, nigdzie nie pójde, ojciec tych kilka godzin beze mnie przeżyje. Mój Boże... – zaszlochała. – Mój Boże! Wciąż nie mogę uwierzyć. Jak mogliśmy do tego dopuścić?

– To nie nasza wina, mamo.

– Jak nie nasza? Naciskaliśmy na dziewczynę, kazaliśmy jej wynosić się z domu. Nikt z nas się nie zainteresował, czy ma dokąd iść, czy ma za co żyć...

– Sama mówiła, że ma mieszkanie we Wrocławiu. Miała dobry samochód, kupiła las za milion. Komu przyszłoby do głowy, żeby o coś jeszcze pytać. Nie możemy się zadrećcać.

– Mogliśmy zapytać, jak się ma, jak się czuje.

– Każdego o to pytasz codziennie? – obruszył się Paweł. Sam był zdruzgotany, ale usiłował uspokoić matkę. – Naprawdę, nic nie wskazywało na to, że coś jest nie tak.

– Mój Boże – jęknęła cicho Janina. – Co z nas za ludzie, żeśmy do tego dopuścili...

– Nie nasza wina, mamo, nie nasza.

Rozległo się pukanie do drzwi. Daisy, która siedziała z Janiną w kuchni, nastroszyła uszy i zaczęła szczeakać. Pobieгла za Pawłem do przedpokoju. Po chwili do kuchni weszła zdyszana Józefina Koperska.

– Dzień dobry, Jasiu – przywitała się, przytulając mocno Janinę. – Przybiegłam, gdy tylko się dowiedziałam, że już wrócili ze szpitala. Co z nią?

– Śpi teraz – powiedział Paweł.

– Okropnie się czuję – wyznała Józefina. – Dziewczyna była u mnie jakiś czas temu, zauważyłam, że potrzebuje pomocy, nawet proponowałam, żeby do

mnie przyszła, kiedy będzie chciała się wygadać, ale nie przyszła.

– A myśmy nic nie zauważyli, nic! – zawodziła Janina. – Boję się, że to przez nas targnęła się na życie.

– Mamo, nie mów tak – zgromił matkę Paweł.

– Jak sobie pomyślę, co by było, gdyby nie pies... – ciągnęła Janina. – A my, durne, nic nie zauważyli! Jeszcześmy z Kazikiem narzekali na nią, że Pawłowi nie gotuje, skoro z nim mieszka. A jak miała gotować, jak jej już pewnie co innego po głowie chodziło.

– Nie obwiniaj się, Jasiu. – Józefina przytuliła kobietę.

– Jak się nie obwiniać? W moim domu mieszkała, pod moim nosem to się stało.

– W moim, mamó. Jeśli już, to ja powinienem się obwiniać.

– Nie można tak mówić – powiedziała Józefina. – Cieszymy się, że dobry Bóg dziewczynę odratował. To nie jej czas. Widocznie ma jeszcze coś na tym świecie do zrobienia.

– Nie Bóg. Lekarze, pani Józefino. – Paweł spojrzał na staruszkę zmęczonym wzrokiem.

– Lekarze też, ale gdyby nie pies... to lekarze nie mieliby już co pomagać – zauważyła Józefina.

– Dobra psina. – Janina schyliła się i pogłaskała Daisy leżącą u jej stóp. – Dobrze, że przyszłaś, Józiu – zwróciła się do Józefiny. – Od razu lepiej, jak człowiek nie jest sam.

– Przecież ja jestem – zauważył Paweł.

– No tak, ale co kobieta, to kobieta, inaczej rozumie. Ty ciągle się denerwujesz, że ja się denerwuję.

Paweł westchnął.

– Ale trzeba przyznać – zwróciła się do Józefiny – że Paweł dobrze się dziewczyną zajął. Cały czas był przy niej, w szpitalu, nie odstępował na krok. Dobrze żem syna wychowała. – Pokiwała głową z uznaniem.

– Ktoś z jej rodziny przyjechał? – zainteresowała się Józefina.

– Waśnie czekamy na matkę – powiedziała Polniakowa.

– Dopiero teraz? W szpitalu nie była?

– Dopiero ją powiadomiliśmy – poinformował Paweł. – Nie miałem wcześniej numeru, nie mogłem znaleźć telefonu Kai. Dzwoniłem na niego, ale okazało się, że jest wyciszony. Dziś dopiero mama znalazła go pod zasłonką w salonie. Wyszukałem w kontaktach numer matki Kai.

– Kaja celowo schowała telefon? – zdziwiła się Józefina.

– Nie wiem. – Paweł wzruszył ramionami.

– A rozmawiałeś z nią podczas drogi ze szpitala do domu?

– Nie chciała rozmawiać.

– Mój Boże! – Janina znów zaczęła zawodzić. – Takie nieszczęście! Co ta biedna dziewczyna musi przeżywać! Co w jej głowie siedzi takiego?

– Dobrze, że udało się matkę powiadomić. – Józefina pogłaskała koleżankę po plecach. – Wiadomo, o której przyjedzie?

– Spod Wrocławia jedzie, powinna niebawem być – powiedział Paweł.

– Aż się boję – przyznała Janina.

– Czego? – Paweł spojrzał na matkę.

– Bo co ja mam tej kobiecie powiedzieć? Jak jej w oczy spojrzeć?

– Mamo, Kaja jest dorosła. Nie mogłaś... Nie mogliśmy – poprawił się – przewidzieć tego, co się stanie. Jej matka nie może mieć do nas pretensji.

– Ale matka to matka. – Janina nie była przekonana. – A co mówiła przez telefon?

– Niewiele. Chyba była w szoku. Podziękowała za informację, spytała o adres i powiedziała, że będzie u nas jeszcze dziś.

**

Słoń w składzie porcelany – przebiegło Małgosi Wojtaszek przez myśl, kiedy jej ojciec świeżo po chorobie wrócił do sklepu i nie patrząc pod nogi, wszedł akurat w skrzyneczki z bombkami poustawiane na zapleczu. Na szczęście były dobrze zabezpieczone i nic się nie potłukło, ale niewiele brakowało. Usłyszała, jak ojciec zaklął i przestawił bombki gdzieś indziej. Jeszcze kaszłał takim brzydkim charczącym kaszlem, który bardzo Małgosię irytował.

– Mama dziś przyjdzie? – spytała z nadzieją.

– Nie gadałyście rano? Mówiła przecież, że bigos będzie gotować, ktoś musi te święta zrobić, ty się nie garniesz.

– Jeszcze czego! Od dwóch tygodni jestem sama przez cały dzień w sklepie – przypomniła. – Sama, samiuteńka. W dodatku narażona na atak dzikiego drwala z boczeńca!

– Głupoty opowiadasz – prychnął i zaczął kasłać.

– Wcale nie głupoty. Widziałam samochód Kai. Może ten wariat cały czas za nią ganiał i nie wytrzymała tego psychicznie. Woląca popełnić samobójstwo.

– Nie popełniła na szczęście.

– Ale chciała. Musiała być jakaś tego przyczyna. Myślę, że bała się tego świra i postanowiła wcześniej sama ze sobą skończyć, zanim on ją dorwie.

– Gocha! – krzyknął Wojtaszek. – Co ty tam możesz wiedzieć! Nie znamy jej, nie mamy pojęcia, co się w jej życiu działo. A coś musiało się dziać, czego nie widać było na zewnątrz. A może po prostu jest chora. Uspokój się z tym wariatem, co gania za ludźmi, bo już cię słuchać nie mogę.

– A ja nie mogę przeżyć, że Kaja zrobiła coś takiego! Dopiero żeśmy gadały, była u mnie ze skrzydłami od Polniaka, to moja koleżanka, palto jej przecież

pożyczyłam. Nawet słowem nie pisnęła, że zamierza się zabić!

– A co? Miała po całej wsi rozpowiadać? Kiedy człowieka ciemność od środka zżera, to prędzej się nią zadławi, niż komuś coś powie.

– Może i tak – zamyśliła się Małgosia, choć nie miała co do tego przekonania. Ona, gdy jej było źle, zaraz dzwoniła do koleżanek, wyżałała się, płakała, klęła, ale na duszy od razu robiło się lepiej. – Może i tak – dodała zdecydowanym tonem. – Ale jak człowiek silny psychicznie, to nic go nie złamie. Ja na przykład mimo problemów jakoś żyję.

– A jakie ty masz problemy? – prychnął Wojtaszek.

– A butów se na przykład nie mogę kupić tych, które bym chciała, bo za mało mi płacicie. Chłopaka nie mam. Paznokcieć mi się dzisiaj ukruszył, a zapuszczałam już tydzień... – wymieniała z zaangażowaniem.

– Puknij się w głowę! – przerwał jej ojciec. – Problemy! Problemy! To są twoje problemy?

– Każdy ma jakieś. – Małgosia wzruszyła ramionami. – Większe albo mniejsze, ale są. I jakoś trzeba z nimi żyć.

– Mikulskim się dziecko chore urodziło, bez nóg. Po lekarzach jeżdżą, protezy będą załatwiać. A ty pierdolisz o paznokciach? – Wojtaszek się uniósł. Ze zdenerwowania znów zaczął kasłać.

– Nie wiedziałam... – Małgosia się zawstydyła. – Mikulskim? Tym, co mieszkają po drugiej stronie jeziora?

– Tym właśnie. Spotkałem go wczoraj w hurtowni. Drugą robotę podłapał, żeby na te protezy zarobić.

– O Boże... – Małgosia była przerażona, nie lubiła słuchać takich historii.

– A Pytlak? Pamiętasz Pytlaka? Tego, co miał dom pod lasem? Pamiętasz, jak wiosną piorun strzelił i dom stanął w ogniu? Wszystko spalone, dom nieubezpieczony... – Urwał, bo do sklepu wszedł właśnie klient.

Małgosia z radością obsłużyła sąsiada, skacząc przy nim jak fryga, byle jak najwięcej czasu spędził w sklepie. Miała nadzieję, że w tym czasie ojciec odpuści temat. I rzeczywiście, Wojtaszek, zajęty porządkowaniem towaru na zapleczu, zapomniał, że nie dokończył myśli.

– A to co za pióra? – spytał nagle.

– To te skrzydła anielskie, co mi Kaja przyniosła od starego Polniaka.

– Na cholerę ci to, tylko miejsce zajmuje.

– Nie wiedziałam, że będą takie wielkie. Poprosiłam o nie, bo w tym roku będę kołędować.

– Ty? – parsknął śmiechem Wojtaszek.

– A co? – zaperzyła się Małgosia. – Uważa tatuś, że się nie nadaję na anioła? Mężczyzna nie skomentował.

– Ale nie pasują mi te skrzydła – ciągnęła. – Nie będę ich dźwigać na

plecach, jeszcze na głowę nie upadłam. Mniejsze sobie jakieś skołuję.

– Z chłopami będziesz po kolędzie chodzić? Na miejsce Polniaka wskoczyłaś?

– A gdzie tam z chłopami. Z dziewczynami moimi. Chłopy stare już na emeryturę przechodzą od kolędowania, ksiądz mówił – wyjaśniła. – A ojciec to nie kupiłby mi jakich skrzydeł w mieście?

– Jeszcze czego!

– I tak ojciec jeździ po towar, to przecież co to za problem wstąpić do jakiejś galerii, na pewno będą, takie malutkie, zgrabniutkie. Dużo to chyba nie kosztuje.

– Nie mam czasu na głupoty. A ty byś lepiej poszła do domu matce pomóc.

Małgosia wywróciła oczami. Nic, tylko wciąż pomagać i pomagać. Zaraz jednak w pomocy wyczuła interes.

– Dobra! – zgodziła się. – To lecę. Ale jak już wszystko zrobię, to zgodzicie się, żebym pojechała do Wrocławia na sylwestra?

– Już o tym rozmawialiśmy. Matka umarłaby ze strachu, że coś ci się stanie. Nigdzie nie pojedziesz.

– To gdzie mam sobie znaleźć męża?! – krzyknęła ze łzami w oczach. – Nigdzie mnie nie puszczacie! W żadnym klubie w mieście jeszcze nie byłam! Zobaczysz, zostanę starą panną i żadnych wnuków się nie doczekasz!

Wojtaszek wyszedł z zaplecza i spojrzał na córkę. W głowie błysnęła mu myśl.

– Słuchaj – powiedział konspiracyjnym szeptem. – A może ty byś się za Polniaka wzięła? Chodzą słuchy, że z narzeczoną się rozstał, wolny jest.

Małgosia otarła łzy. Nie myślała wcześniej o Pawle Polniaku. Zastanowiła się. Dom ma, udział w ośrodku podobno jakieś też ma, rodzice mają spore gospodarstwo, a on całkiem przystojny, co prawda starszy od niej, ale to tylko lepiej, bo szybciej umrze i zostawi spadek – przeanalizowała szybko.

– Ale on z Kają przecież mieszka – zauważyła, pocierając brodę.

– Co z tego? Na wsi mówią, że oni nie są parą.

– No nie są – zgodziła się Małgosia. – Ale to jak? On tu do sklepu rzadko przychodzi. Chyba robi zakupy na rynku.

Wojtaszek się zamyślił.

– A te skrzydła? Mówiłaś, że ci nie pasują. Spakujemy je w samochód i odwieziemy. Pójdiesz do niego i je oddasz. Wytlumaczysz, że masz jakieś inne. Podziękujesz ładnie.

– To nie od niego brałam, tylko od starego.

– Co za różnica. Oddasz młodemu, powiesz, że ci się pomyliło. Ważne, żebyś jakoś zagadała. Może cię zaprosi do środka, na herbatę. Ja tam bym przeciwko Polniakowi jako zięciowi nic nie miał.

– No dobra... – Małgosia wzięła głęboki oddech, całkiem jej się ten pomysł

podobał. – Ale ja do Polniaka w starych butach uderzać nie będę – zastrzegła szybko.

– Jakie stare? W zeszłym roku przecież kupione. Bardzo ładne buty.

– E tam, zwykle takie. A on z Niemiec wrócił, na pewno zna się na modzie. Białe kozaczki mi kup... Nawet nie musisz nigdzie jechać, u nas na rynku są. Cztery stowy. Piękne, chyba skóra. I wysadzone takimi małymi błyszczącymi kamykami... – Rozmarzyła się. – Śliczne.

– Cztery stowy za buty?

– Tato. – Spojrzała na niego z powagą. – Pomyśl przecież. To inwestycja. Naprawdę warto.

**

Paweł wstał z krzesła, kiedy zauważył wjeżdżający w bramę samochód. Był to srebrny audi q7. Piękny wóz – pomyślał.

Janina i Józefina również się podniosły i spojrzały przez okno zza firanki.

Z samochodu wysiadła szczupła, wysoka krótkowłosa blondynka. Była ubrana w obcisłe czarne rurki i krótkie brązowe futro z lisów. Na włosach miała okulary przeciwsłoneczne, mimo że tego dnia słońce ukrywało się za chmurami. Była nadzwyczaj piękna i nawet z tej odległości dało się zauważyć, że nie wygląda na swój wiek. Janina w myślach wyliczyła, że kobieta musi być grubo po czterdziestce. Figurę jednak miała niczym nastolatka.

Kobieta wyjęła z bagażnika torebkę wyglądającą jak aktówka. Na ramieniu miała mniejszą, znacznie bardziej rzucającą się w oczy. Poszła prosto do wejścia, nie rozglądając się wokół. Prawdopodobnie nie zwróciła uwagi na samochód Kai, który z wciąż sterczącą z dachu siekierą stał nieopodal garażu. Zapukała.

– Dzień dobry – przywitała się, gdy Paweł otworzył. – Pan Polniak?

– Tak, to ja. Zapraszam.

– Paulina Poznańska. – Matka Kai podała mu mięką szczupłą dłoń. – Dziękuję, że mnie pan zawiadomił. Gdzie ona jest?

Paweł pomógł ściągnąć kobiecie okrycie i powiesił je na wieszaku. Butów nie zdjęła.

– Zapraszam, tędy. – Zaprowadził ją do schodów, ale nie wszedł na górę. – Pierwsze drzwi po prawej – poinstruował. – Ostatnio, kiedy zaglądałem, spała.

– Dziękuję. – Kobieta skinęła głową.

Janina dyskretnie wyjrzała z kuchni i spojrzała za Poznańską wchodzącą po schodach.

– Cóż za dostojna kobieta – powiedziała z zachwytem. – A jaka podobna do Kai. Jak starsza siostra.

– Dobrze, że tak szybko przyjechała – zauważyła Józefina. Na rękach trzymała Daisy w obawie, że piesek będzie chciał wyrwać się i pobiec do góry.

Paweł odruchowo podrapał psa za uchem.

– Nie zaproponowałaś jej ani kawy, ani herbaty... – zauważyła Janina, patrząc na syna z wyrzutem.

– Nie czas na to teraz, niech najpierw porozmawiają.

– Pewnie ją spakuje i zabierze do domu – powiedziała Józefina.

– No tak! – krzyknęła półgłosem Janina. – A my jak te słupy soli siedzimy, zamiast zebrać rzeczy Kai z dołu i trochę pomóc.

Paweł stał zamyślony.

– Paweł – Janina szturchnęła syna w ramię. – Bierz się do roboty, pomóż mi. Jaką torbę daj, przynajmniej stąd pozbieramy i spakujemy, już nie będą musiały szukać.

– Jaką torbę? – spytał.

– Byle jaką. W coś musimy powkładać. O, na przykład sweter. To przecież jej. – Zdjęła z oparcia kuchennego krzesła bladoniebieski blezer. – W przedpokoju widziałam jej ciuchy, a w salonie pewnie też się coś znajdzie.

– W salonie nic nie ma. Ona swoje rzeczy trzymała na górze, tutaj niewiele tego.

– A łazienka?

– Zajmowała tę na górze.

Janina zwawo krzątała się po kuchni, szukając rzeczy Kai. Oczywiście miała podkrążone i smutne, ale praca pozwoliła czymś zająć ręce. Józefina pomagała przeglądać rzeczy.

– Zielona herbata to pewnie jej – zauważyła, czytając etykietę na opakowaniu.

– Jej – powiedział Paweł. – Ja piję czarną.

– Bransoletka. – Janina znalazła na parapecie biżuterię. – I kolczyki. Może do jakiegoś pudełka włożę, bo w torbie się zgubią.

Paweł patrzył, jak kobiety zbierają drobiazgi należące do Kai, i zrobiło mu się jakoś dziwnie. Przyzwyczyił się już do lakierów do paznokci stojących w lodówce, do białego laptopa rozłożonego zawsze na kuchennym stole i do kolorowych plotkarskich magazynów walających się po całej kuchni. Przyzwyczyił się do tego, że w kuchni rzadko kiedy pachniało jedzeniem, raczej kawą i piżmowymi perfumami Kai. Przyzwyczyił się też do Daisy, która teraz pełnymi ufności oczami przyglądała się, jak jej miseczki, w których jeszcze przed chwilą stała woda, są opróżniane, myte i pakowane do foliowej torebki.

– Ale Daisy może będzie jeszcze chciała się napić – zaprotestował, zdziwiony własną reakcją.

Matka spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem, ale po chwili wyjęła jedną z misek, nalała do niej wody i odstawiła na podłogę.

– Racja – przyznała.

– Chyba tu już wszystko pozbierane – powiedziała Józefina, rozglądając się po kuchni.

– To teraz przedpokój – zarządziła Janina.

Drzwi na górze otworzyły się w momencie, kiedy Janina wstawiła wodę na herbatę. Dwie torby z rzeczami Kai leżały w przedpokoju.

– Idą – szepnęła Józefina.

Paweł zerwał się z krzesła, zamierzał jeszcze kilka słów zamienić z Kają na osobności.

Ale Kaja nie schodziła po schodach.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała jej matka, będąc już na dole. – Do widzenia.

– Ale... – Janina spojrzała na nią nierozumiejącym wzrokiem. – Wychodzi pani sama? A Kaja?

Poznańska odstłoniła zęby w półuśmiechu.

– Przecież teraz tu mieszka – zauważyła. – Z panem. – Spojrzała na Pawła. – Czyli, jak mniemam, pod dobrą opieką.

– No tak, ale... Przepraszam – podjęła Janina – nie przywitałam się. Jestem mamą Pawła.

– Bardzo mi miło. – Poznańska podała dłoń.

– Przykro nam z powodu tego, co się stało... – Janina spojrzała matce Kai w oczy. – Bardzo nad tym ubolewamy...

– Domyślam się.

– Jednak mój syn nie jest z pani córką.

– Nie?

– Nie – potwierdził Paweł. – Kaja wynajmuje tu pokój od lata.

Poznańska na moment się zamyśliła.

– Tym bardziej państwu współczuję – przyznała. – Ale jest dorosła, nic tu po mnie.

Janina spojrzała na Józefinę, a potem na Pawła. W milczeniu patrzyli, jak matka Kai zakłada futro, a potem wychodzi.

– Kawki, herbatki? – spytała oszołomiona Janina, wpatrując się w zamknięte drzwi.

Na zewnątrz rozległ się dźwięk uruchamianego silnika.

Samochód Poznańskiej odjechał.

Paweł spojrzał na ustawione w przedpokoju torby z rzeczami Kai.

– Wygląda na to, że niepotrzebnie to wszystko zbieraliśmy – stwierdził.

– To co, mamy to na powrót rozkładać? – Janina załamała ręce.

– Wyjmę tylko smycz i miseczki Daisy, reszta niech zostanie.

– A co z Kają?

– Nie wiem. Na razie nie będę jej przecież wyganiał, niech dojdzie do siebie.

Wrócimy do tematu, kiedy poczuje się lepiej.

– Lekarze coś rano mówili? – spytała Józefina.

– Uważają, że to depresja, i jeśli Kaja nie podejmie leczenia, może za jakiś czas znów spróbować targnąć się na życie. W tym szpitalu nie ma oddziału psychiatrycznego, dlatego zasugerowali, że musi zgłosić się gdzieś indziej. Powinna podjąć terapię. Ten psychiatra, który tam był, na razie przepisał leki. A właśnie! – Spojrzał na zegarek. – Powinna wziąć teraz dawkę. Pójdę do niej.

– Idź, synku, idź. Tylko delikatnie, żeby jej niczym nie urazić. Powiedz, że może z nami spędzić święta i żeby się niczym nie martwiła.

Paweł poszedł na górę. Drzwi do sypialni Kai były uchylone. Kaja leżała odwrócona twarzą do ściany. Nie było słyhać, żeby płakała, jednak kiedy usłyszała, że wszedł, i odwróciła głowę, zauważył, że oczy ma czerwone.

– Dlaczego ją tu sprowadziłeś? – spytała z wyrzutem.

– Twoją matkę? Nie rozumiem. Przecież musiałem kogoś zawiadomić.

– Nie musiałeś.

– Kaja! Próbowalas popęlnić samobójstwo, miałem udawać, że nic się nie stało?

– Nie próbowałam się zabić, odczep się ode mnie – warknęła słabym głosem.

– Zmieszałaś sporą dawkę leków z alkoholem.

– Zmieszałam, niechący. Bolała mnie głowa.

Paweł przeczesał ręką włosy, usiadł na skraju łóżka.

– Lekarze zdiagnozowali u ciebie depresję, powinnaś podjąć leczenie. Przyniosłem tabletki, które ci przepisano.

– Nic nie wezmę, nie jestem wariatką.

– Nie jesteś. Ale próba samobójcza to nie byle co. Musimy poszukać psychiatry, trzeba też zapisać cię na jakąś terapię.

– Tłumaczyłam ci już. To nie była próba samobójcza, tylko wypadek. Nie będę brała żadnych leków. – Spojrzała na niego zdecydowanym, lecz bardzo smutnym wzrokiem.

– Jak się czujesz? – spytał nagle.

Przez chwilę nic nie mówiła.

– Źle – podjęła wreszcie i zaczęła płakać. – Bardzo źle.

– Kaja...

– Idź sobie.

Paweł bezradnie opuścił ręce i wstał.

– Idź sobie – powtórzyła Kaja, cicho łkając.

Poszedł.

– I co? – spytała Janina.

– Nie chce ze mną gadać... – powiedział. – Chyba ma pretensje, że powiadomiłem matkę.

– Może się wstydzi tego, co zrobiła...
– Nie chciała wziąć leków, nie wiem, jak mam z nią rozmawiać.
– Boziu droga. – Janina wzniosła oczy do nieba.
– Może ja do niej pójde? – zaproponowała Józefina. – Może mnie posłucha.
– Idź, kochana, idź – ucieszyła się Janina. – Mnie pewnie widzieć nie chce.
Może ty coś wskórasz. Powiedz jej, że wyjeżdżać na święta nie musi, niech zostanie u nas, ile potrzebuje, ale niech leki weźmie, przecie najgorzej, jak znowu co głupiego będzie próbowała zrobić.

Józefina wzięła od Pawła opakowanie antydepresantów.
– Jak się to dawkuje?
– Dwa razy dziennie. Gdy rano dali jej w szpitalu, to nie dyskutowała.
Józefina skinęła głową. Zawołała Daisy.
– Chodź ze mną, psiaku, pani pewnie się ucieszy, kiedy cię zobaczy.
Rzeczywiście, Kaja na widok Daisy uśmiechnęła się przez łzy.
– Jesteś, Stokrotko – powiedziała, klepiąc koldrę obok siebie. Suczka od razu wskoczyła i noskiem zaczęła szturchać dłoń dziewczyny.
– Dobry wieczór, dziecko – przywitała się Józefina.
– A pani co tu robi?
– Przyszłam, martwiłam się o ciebie.
– Niepotrzebnie. Nic mi nie jest. – Kaja wzruszyła ramionami, usiłując udawać silną, lecz twarz miała opuchniętą od płaczu.
– Przyniosłam leki, musisz wziąć.
– Pani też uważa, że jestem psychiczna?
– Nic nie uważam, dziecko. Choroba to choroba, trzeba wyleczyć i będzie po sprawie.
– Nie jestem chora.
– Masz depresję.
– Może i teraz mam. Po wizycie matki dostałam – wyrwało się Kai.
– Nie rozumiem... – Józefina spojrzała na Kaję, zaskoczona nieoczekiwanym wyznaniem.

– Nie ma co rozumieć. – Kaja położyła głowę na poduszce i zaczęła patrzeć w sufit, ledwie poruszając palcami, by drapać Daisy po grzbiecie.

Dla Józefiny był to znak, że nie ma co na razie drążyć tematu.
– Dziecko, nie jesteś psychiczna, co ty w ogóle opowiadasz! Depresja to choroba, która może dotknąć każdego. Każdego, rozumiesz? – podjęła Józefina miękkim spokojnym tonem. – Być może zbyt wiele wzięłaś sobie na głowę, za dużo stresu, za dużo nerwów. A może po prostu twojemu organizmowi czegoś brakuje i tak zareagował. Czasem tak bywa. Sama przechodziłam depresję w młodości, kiedyś nie było takich leków jak dziś, męczyłam się wiele miesięcy. Och, długo by opowiadać...

– Pani? – Kaja przeniosła wzrok z sufitu na staruszkę.
– Owszem. Wiem, jak paskudny może być ten wszechogarniający smutek. Nie chcesz go, ale on jest od ciebie tysiąc razy silniejszy. Dlatego daj sobie pomoc.
– To wszystko jest takie... – Kaja wybuchła płaczem. – Wszystko jest bez sensu. Wszystko. – Szlochała.
– Tak się tylko wydaje. – Józefina uśmiechnęła się ciepło. – Teraz tak się wydaje, bo jesteś przemęczona. Jednak uwierz mi, dziecko, we wszystkim, co się dzieje, jest sens, tylko czasami z bliska go nie widać, trzeba nabrać odpowiedniej perspektywy, żeby go dostrzec. – Józefina usiadła na łóżku i przytuliła Kaję. Dziewczyna nie wyrwała się z objęć staruszki. Jeszcze bardziej zaczęła płakać, lecz oddała uścisk.
– Chciałabym tyle pani powiedzieć – wyznała przez łzy.
– Możesz. Oczywiście, że możesz.
– Nie mam siły.
– To zrozumiałe, najpierw odpocznij. Napij się wody, weź lekarstwo. Jutro niekoniecznie poczujesz się lepiej, ale przyjdzie dzień, że świat stanie się jaśniejszy i bardziej przyjazny. A do mnie zawsze możesz przyjść, pogadać, wypłakać się. Mój dom stoi otworem, kiedy tylko będziesz gotowa. Polniakowie też zaoferowali swoją pomoc, Paweł będzie się tobą opiekował, dopóki nie wydobrzejesz. I do Jasi zawsze możesz iść. Ona dobra kobieta. Ty wiesz, jak płacze na dole za tobą?
– Strasznie chce mi się spać – wyszlochała Kaja, ale posłusznie połknęła tabletkę i popiła wodą. Józefina odstawiła szklanke.
– To śpij. Nigdzie nie musisz wstawać. Nie myśl o niczym, tylko śpij.
– Jaki dziś dzień?
Józefina musiała przez chwilę się zastanowić.
– Sobota, dziecko. Nigdzie się nie spieszysz.
– No tak... – Kaja przymknęła oczy.
**

Skrzydła zaczepiły się o drzwiczki samochodu, kiedy Wojtaszek próbował je wyjąć. Małgosia wystrojona w białe kozaki poganiała ojca, ponieważ nie miała na głowie czapki i było jej zimno. Wojtaszek szarpnął mocniej i opór ustąpił, jednak kilka piór opadło na ziemię.

– Uszkodziłeś! – krzyknęła półgłosem Małgorzata.
– Cicho. Nic się nie stało. Bierz je i idź, poczekam w samochodzie.
Małgosia uniosła skrzydła. Ostrożnie, wolno stawiając kroki, podeszła do drzwi.

Nacisnęła dzwonek. Kiedy usłyszała szczekanie, przypomniała sobie o psie. Cholera, zakłęła w myślach, zaraz zacznie na mnie skakać. Nie znosiła tego. Krótka spódniczka nie chroniła cienkich cielistych rajstop, które założyła

specjalnie na tę wizytę. Kozaki najlepiej wyglądały właśnie w tym zestawie.

Paweł otworzył po drugim dzwonku. Mina, którą zrobił na widok dziewczyny ze skrzydłami, trochę Małgosię strapiła.

– Eeeee. – Wojtaszkówna z nerwów zaczęła się jąkać. – Dzień dobry... Przyniosłam skrzydła...

– Dzień dobry. Widzę. Nie zamawiałem. – Paweł patrzył na nią bez cienia uśmiechu.

– To nie ze sklepu. To wasze.

– Czyje?

– Pana taty, znaczy się, twojego taty. – Małgosia przypomniała sobie, że zanim Paweł wyjechał do Hamburga, mówili sobie po imieniu.

– To nie ten dom. Rodzice mieszkają tam. – Wskazał brodą na dom, stojący nieopodal.

– Wiem... ale... Bo ja właściwie to do Kai. – Małgosia szybko zmieniła strategię. – A skrzydła przy okazji chciałam oddać. Mogę odwiedzić Kaję? To moja bliska koleżanka, bardzo się martwię.

Paweł przez chwilę patrzył na Małgosię, zastanawiając się chyba, co jej odpowiedzieć.

– Pewnie, wejdz. – Wreszcie ustąpił.

Pomógł Małgosi wnieść skrzydła i od razu zaniósł je do piwnicy. Małgosia, pierwszy raz będąc w jego domu, z ciekawością rozglądała się wokół. Podobało się jej. Zdjęła palto i przez chwilę zastanawiała się, czy zdjąć buty. Były piękne, w dodatku na obcasie i wspaniale pasowały do minispódniczki, którą miała na sobie. Najchętniej nie zdejmowałaby ich, lecz nie chciała wyjść na niewychowaną. Usiadła więc na niskiej szafce i ściągnęła kozaczki. Paweł wrócił z sutereny.

– Zapraszam – powiedział. – Kaja jest u siebie. Możesz zanieść jej kolację? Właśnie zrobiłem kanapki. Może przy tobie coś zje.

– A co? Nie chce jeść? Nie ma apetytu? Po takim wydarzeniu chyba to nie jest dziwne.

Paweł wzruszył ramionami.

– Od wczoraj nic nie tknęła. Coś musi jeść. Zaniesiesz?

Małgosia poszła za Pawłem do kuchni, usilnie próbując zakręcić biodrami. Nie było to proste. Bez butów na obcasie nie czuła się zbyt pewnie.

– Może dać ci kaptur? – Paweł zauważył osobliwy chód Wojtaszkówny. Dziwne stawianie stóp zinterpretował jako unikanie chłodnej podłogi.

– Dziękuję. – Małgosia odmówiła. – Ale napiłabym się herbaty – stwierdziła, uznawszy, że skoro i tak Kaja nic od wczoraj nie jadła, to jeszcze może poczekać. W tym czasie ona skorzysta z okazji, że jest sam na sam z Pawłem.

– Herbaty – powtórzył mocno zamyślony. – Herbaty. Tak, już robię.

Wstawił wodę.

– A tak w ogóle co słyszeć? – podjęła Małgosia, siadając na brzegu krzesła tak, by wyeksponować nogi.

– Nic. Wczoraj wróciliśmy ze szpitala, jak zapewne wiesz.

– Nie pytam o to. U ciebie co słyszeć. Dawno się nie widzieliśmy, już ze dwa lata będzie.

Paweł spojrzał nieprzytomnym wzrokiem. Małgosia w duchu się modliła, by zauważył jej obłędnie błękitne cienie do oczu i granatowy tusz.

– Dwa lata. No tak. Dalej w sklepie?

– Dalej. Teraz będziemy jeszcze otwierać punkt w tym waszym ośrodku – powiedziała z uśmiechem. Niech wie, że się rozwijają. – Obiło mi się o uszy, że wróciłeś właśnie z tego powodu, podobno masz tam udziały.

Paweł nie odpowiedział. Zalał herbatę wrzątkiem i podał Małgosi.

– Cukru?

– Tak – przytaknęła, ale zaraz zmieniła zdanie. – Jednak nie, ostatnio piję gorzką – skłamała, właściwie nie wiedząc po co.

Podmuchała gorący napój i upiła łyk. Paweł nie był zbyt rozmowny. Usiadł przy stole i przeglądał coś na komórce.

– A co tam u Marioli? – odważyła się wreszcie spytać, by popchnąć rozmowę na właściwe tory.

– Nie wiem. Jest w Polance, możesz ją odwiedzić, to sama ci powie, co u niej.

– Och. Przepraszam. – Małgosia się zarumieniła. – Faktycznie, coś tam słyszałam, że już nie jesteście razem. Z głowy mi wypadło. – Znowu skłamała, ale tym razem z premedytacją. – Bardzo mi przykro. Masz kogoś na oku?

– Nie.

– Aha... – Uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Czyli droga wolna. Dziewięć lat starszy od niej Paweł nie był może idealnym kandydatem na chłopaka, ale na wsi trudno było o lepszą partię. Stary Wojtaszek dobrze o tym wiedział, a Małgorzata musiała przyznać ojcu rację. Jej też nie uśmiechało się wyjeżdżać z rodzinnej miejscowości w poszukiwaniu męża. Nie chciała się wyprowadzać z Polanki, kiedy już go znajdzie. Nie wyobrażała sobie życia gdzie indziej. Do miasta to można, owszem, na zakupy, ale we wsi wszystkich znała i wszyscy ją znali. Miała tu koleżanki, rodzinę, no i pracę. Sklep to sklep, zawsze na swoim, a przecież kiedy rodzice przejdą na emeryturę, właśnie jej go zostawią. Robota niezła, niezbyt męcząca. Nie zamierzała szukać innej. Poza tym prowadzenie sklepu miało swoje dobre strony, bo zawsze można było dorobić trochę grosza, wykorzystując nieuwagę pijaczków spragnionych szybkiego napitku.

– A co robisz na sylwestra? – spytała, poprawiając mimochodem włosy.

– Nie mam planów. – Paweł nawet na nią nie spojrzał. Świetnie – ucieszyła się Małgosia w duchu.

– Ja właściwie też nie mam – bąknęła, upijając kolejny łyk gorzkiej herbaty. Paskudna, przemknęło jej przez myśl. Zazwyczaj sypała kilka łyżek cukru. – To może wybierzemy się gdzieś razem? We Wrocławiu będzie koncert na rynku.

– Nigdzie się nie wybieram – odparł Paweł. – Na razie, jak wiesz, mam na głowie inne zmartwienia.

– Kaja. – Małgosia westchnęła. – No tak...

Cholera – pomyślała. – Czasu zostało niewiele, trzeba jak najszybciej przekonać Kaję do wyjazdu. Niech wreszcie na wsi zapanuje spokój, a Polniak niechże w końcu będzie naprawdę sam.

– To co, zanieśiesz jej te kanapki? – przypomniało się Pawłowi.

– No tak – roześmiała się dźwięcznie Małgosia. – My tu gadu-gadu, a Kaja głodna.

Odstawiła niedopitą herbatę i wzięła talerz.

– Spytaj, czy nie chce herbaty albo czegoś. Ze mną nie chce zbytnio rozmawiać – dodał Paweł.

No i dobrze, że nie chce – ucieszyła się Małgosia.

– To gdzie jest jej pokój? – spytała. Paweł wskazał.

Kiedy weszła, Kaja siedziała na łóżku w pozycji półleżącej i monotonnymi ruchami cesała Daisy.

– Cześć – przywitała się z uśmiechem Małgosia.

Kaja spojrzała na nią zdziwiona. Wojtaszkówna postawiła na szafce nocnej kanapki.

– Paweł pyta, czy czegoś ci nie potrzeba.

– Nie. A co ty tutaj robisz? – zainteresowała się Kaja.

– Jestem twoją koleżanką. Martwiłam się.

– Czyli już wszyscy wiedzą, że wylądowałam w szpitalu?

– Owszem, karetka na sygnale zawsze zwraca uwagę. Bardzo ci współczuję, to musiało być straszne. Dobrze, że cię odratowali.

Kaja wzruszyła ramionami.

– To nie tak, jak wszyscy myślą. Wcale nie chciałam się zabić, jakbyś była ciekawa.

Ale tłumaczenia Kai nie interesowały Małgosi. Rozglądała się mimochodem po pokoju.

– Naprawdę bardzo ci współczuję – ciągnęła. – Domyślam się, z jakiego powodu nałykałaś się prochów, sama pewnie też bym tak zrobiła. Ile można znosić takie obgadywanie za plecami. I jeszcze musiałaś tu wrócić... Okropność.

– O czym mówisz? Jakie obgadywanie?

– No... Pawła. Gada na ciebie strasznie. We wsi wszyscy już mu współczują, że musi cię znosić.

– Naprawdę?

– Ojej. – Małgosia przytknęła palec do ust. – Przepraszam, niepotrzebnie się rozpędziłam. Ale uważam, że my, kobiety, powinnyśmy się wspierać. Solidarność jajników czy jakoś tak. – Uśmiechnęła się, unosząc cieniutkie brwi pociągnięte brązową henną. – Jak facet rozpowiada, że kobieta jest lebiega i w dodatku... – Małgosia szukała słowa – nieładnie pachnie jej z ust, to już uważam, że to nie jest facet, tylko cham.

– Co? – Kaja z niedowierzaniem zmarszczyła czoło. – Tak mówi? Niemożliwe!

– Błagam, nie mów mi, że się wygadałam. Ty wyjedziesz, a ja tu zostanę i będę miała przekichane, że ci powiedziałam. On mi tego nie daruje.

Kaja oparła głowę o poduszkę.

– Nie do wiary – szepnęła. – To, że mnie nie lubi, to wiem, ale żeby aż takie bzdury na mnie gadać...

– Okropność – przyznała Małgosia. – Może zjesz kanapeczkę? – spytała, podtykając Kai talerzyk pod nos.

– Dziękuję, nie mam apetytu.

– Powinnaś coś zjeść, żeby nabrać sił. Na twoim miejscu długo bym tu u niego nie siedziała.

– Nie zamierzam.

– A może coś ci przywieźć jutro ze sklepu? Masz na coś ochotę?

– Niczego nie potrzebuję.

– Aha... No dobrze... – Małgosia wstała i podeszła do okna. – W razie czego dzwoń – powiedziała, nie zainteresowawszy się, czy Kaja ma do niej numer telefonu. – Niestety, muszę już lecieć, ojciec mnie przywiózł i czeka w samochodzie.

Kaja skinęła głową. Była blada i wyglądała na zmęczoną.

– Dziękuję, że mnie odwiedziłaś – powiedziała, uśmiechając się słabo do Małgosi.

– Nie ma sprawy, od tego są przecież koleżanki.

**

Walizki pękały w szwach. Kaja wiedziała, że nie zdoła upchnąć do nich wszystkiego, ale nie przejmowała się tym. Po Nowym Roku zamówi kuriera. Paweł niech tylko załatwi jakieś pudła i nada przesyłkę.

Usiadła i na moment przytknęła oczy. Bardzo chciało jej się spać.

Nie czuła złości na Pawła. Właściwie nic nie czuła. Jedyne, czego pragnęła, to opuścić ten dom i mieć już spokój z Polniakami.

Wyszła z sypialni i chwiejnym krokiem zeszła na dół. Była osłabiona, bolała ją głowa, chciało jej się pić. Zegar w przedpokoju wskazywał dziesiętnastą. W kuchni paliło się światło.

– O, cześć – powiedział Paweł na widok Kai. – Zjadłaś kanapki? Chcesz herbaty?

– Nie.

– A leki wzięłaś?

– Wzięłam – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Nie wierzyła w ich działanie, ale po rozmowie z Józefiną uznała, że nie ma nic do stracenia, raczej się nimi nie otruje, a w każdej chwili może je przecież odstawić.

– Ubrałaś się – zauważył nagle. Dotychczas Kaja spędzała dni w szlafroku.

– Tak. Czy mógłbyś znieść moje walizki? Wyjeżdżam.

– Dokąd? – zdziwił się.

– Już wystarczająco długo siedziałam ci na głowie.

– Żartujesz chyba. Za kilka dni święta, nigdzie cię teraz nie puszczę. – Paweł sprawiał wrażenie naprawdę poruszonego. Nie wierzyła mu. Po tym, co powiedziała Małgosia, uznała, że Polniak jest doskonałym aktorem. Wszyscy byli. Łącznie z nią. Ale ona teraz nie grała.

– Taka była umowa – przypomniała. – Miałam się wynieść przed świętami.

– Umowa już nie obowiązuje – zapewnił stanowczo. – Najpierw musisz wydobrzcć. Święta spędzimy u moich rodziców. Nie musisz się wyprowadzać. Wrócimy do tematu po Nowym Roku.

– Dziękuję. – Wbrew sobie poczuła przyływ wzruszenia. Wydawało się, że Paweł naprawdę chce ją zatrzymać. Zachciało jej się płakać. Zaciśnęła wargi, żeby opanować emocje. – Nie trzeba. Dam sobie radę. Chyba jednak każde z nas wolałoby spędzić święta osobno.

– Jedziesz do matki? – spytał.

– Tak – skłamała.

Przez chwilę patrzyła na niego, zastanawiając się, czy na koniec nie wyrzucić mu, że ją tak obgaduje. Małgosia byłaby jednak wściekła. Do cholery z Małgosią – pomyślała Kaja – przecież już tutaj nie wrócę.

– Wolę spędzić święta gdziekolwiek, nawet pod mostem – powiedziała głośno – niż z facetem, który po całej wsi narzeka, że siedzę mu na głowie i w dodatku nie myję zębów.

– Co? – Paweł uniósł brwi, usłyszawszy absurdalne oskarżenia.

– To, co słyszałeś.

– Co za bzdury! Do nikogo nie narzekałem na ciebie, o zębach nie wspominając. Masz piękny uśmiech – wyznał, wstając. – Kaja – westchnął – nie wiem, kto ci takich głupot naopowiadał, ale... przemyślałem kilka spraw. Uważam, że nie byłem dla ciebie ostatnio zbyt miły... Naprawdę, jest mi wstyd, ignorowałem cię, kiedy prosiłaś o pomoc, choćby z tym lasem. Oczywiście nie jestem w stanie namówić współników do kupna, to zbyt wysoka cena, ale postaram się porozmawiać z nimi, może znajdziemy jakiś pomysł, żeby go wykorzystać,

wydzierżawić od ciebie. Na pewno da się coś zrobić.

– Nieważne. – Kaja wzruszyła ramionami. – To wszystko jest już nieważne... Ja też przemyślałam kilka spraw. I Małgosia ma rację, że za długo tu u ciebie siedzę.

– Małgosia coś ci nagadała – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Co za różnica kto. Małgosia, Mariola, twoi rodzice, cała wieś. Nikt mnie tu nie chce. Nie mam teraz pieniędzy, nie mogę ci płacić, jestem tylko ciężarem. Już nawet nie mam złudzeń, że da się coś zrobić z tym głupim lasem. A zresztą. – Zacisnęła usta. – To nie las jest głupi, tylko ja.

– Nie jesteś głupia. – Paweł podszedł bliżej. Nie poznawał Kai. Nigdy nie była tak szczerą. Z jej oczu bił smutek, a słowa wypływające z ust nacechowane były prawdziwym żalem. Miał ochotę przytulić ją i pocieszyć, ale zabrakło mu odwagi na taki gest.

– Przyniesiesz moje walizki? – spytała, zakładając w przedpokoju trampki.

– Chyba nie chcesz jechać na noc?

– Wszystko mi jedno, i tak mam zaburzony sen. To zresztą nie tak daleko.

– Ale z dachu wystaje siekiera. Jutro wziąłbym twój samochód do jakiegoś warsztatu...

– Dam sobie radę – zapewniła. – To moje rzeczy? – spytała nagle, zauważywszy ustawione przy szafie reklamówki.

– Tak.

– Zaniesiesz do samochodu? – spytała i znów poczuła, jak wzbierają jej łzy. Tym razem nie ze wzruszenia, lecz z bezsilności. Jednak kłamał, mówiąc, że mogłaby tu zostać. Ciekawe, kiedy wystawiłby te torby za drzwi, by jeszcze bardziej ją upokorzyć. Może w święta...

Paweł przyniósł walizki i włożył je do bagażnika. Na tylnym siedzeniu ułożył reklamówki z rzeczami. Kaja zawołała zaspaną Daisy. Suczka wcale nie chciała wyjść.

– Jedziemy, Stokrotko. – Kaja wzięła psa na rękę. Wolnym krokiem poszła do auta. – Dziękuję ci za wszystko, Paweł. – Skinęła głową i podała mężczyźnie dłoń. – Wam dziękuję. Pozdrów rodziców. Wszystkiego najlepszego z okazji świąt.

Paweł nie odpowiedział, głos ugrzązł mu w gardle. Nie sądził, że pożegnanie z dziewczyną, która dotychczas była dla niego utrapieniem, będzie takie trudne. Nie lubił jej, ale ostatnie dni mu uświadomiły, że sam też nie jest bez winy. Nie zrobił nic, by zainteresować się jej problemami, jej życiem. Przez niemal miesiąc żył z kimś pod jednym dachem, wcale go nie znając. I nie próbując go poznać. Dotychczas widział ją jako zimną, wyrachowaną, złośliwą i upartą blondynkę. Teraz, kiedy stała przy samochodzie, smutna, samotna i bezbronna, poczuł wyrzuty sumienia.

– Zostań – wydusił, ściskając jej rękę. Była chłodna. – Zostań, dopóki nie

wydobrzejesz.

– Nic mi już nie jest.

– Zostań – powtórzył, patrząc jej w oczy. – Jeszcze choć raz się pokłóćmy, wtedy sobie pojedziesz.

Kaja uniosła kąciki ust.

– Nie wierzę, że zdołałeś mnie rozśmieszyć – powiedziała, rozweselając się na chwilę. Szybko jednak spoważniała. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko. Po Nowym Roku przyślę kuriera po resztę rzeczy. Na mnie już czas. – Wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk. Silnik zawarkotał. – Cześć. – Chwyciła za drzwiczki i chciała je zamknąć, ale Paweł je przytrzymał.

– Obiecuj, że będziesz brać leki – poprosił. – I że zapiszesz się na terapię. To ważne.

– Nie martw się, dam radę. Naprawdę nie jest ze mną tak źle.

– To ważne – powtórzył z naciskiem. – Dbaj o siebie i odezwij się czasem.

– Okej. – Zamknęła drzwi i ruszyła.

Nie zajechała daleko. Minąwszy najbliższy zakręt, stanęła. Nogi jej drżały. Cała czuła się rozedrgana. Nie miała siły prowadzić. W dodatku wskaźnik paliwa sygnalizował rezerwę. Wiedziała, że benzyny nie starczy na dojazd do Wrocławia. Wyłączyła silnik. Daisy siedząca obok patrzyła na swoją panią z ciekawym wzrokiem. Kaja oparła głowę na kierownicy i zaczęła łkać. Daisy zaszczekała.

– Nie wiem, co robić, psinko, przepraszam. – Kaja szlochała, nie patrząc na suzkę. – Nie mam pojęcia, co teraz. Nie wiem. Nie wiem.

Nagle rozległo się pukanie w szybę. Kaja podniosła twarz. Nie przestraszyła się, było jej wszystko jedno, co dzieje się wokół.

Przy samochodzie stała Józefina. Kaja uchyliła okno.

– Dziecko! – krzyknęła staruszka. – Co ty tutaj? Mój Boże!

Kaja nie odpowiedziała. Usłyszawszy pełen troski głos Józefiny, rozplakała się jeszcze bardziej.

– Mój Boże! – Józefina otworzyła drzwiczki. – Chodź, dziecko. Nie siedź w samochodzie w taki ziąb. Co ci strzeliło do głowy, żeby gdzieś jechać?

– Wyprowadziłam się od Pawła, pani Józefino – powiedziała Kaja zdławionym głosem.

– Ale dlaczego? Nie wyrzucił cię chyba?

– Nie. Po prostu. Wyprowadziłam się. Ale nie dojadę do Wrocławia. Nie mam tyle benzyny. Nie mam tyle siły. – Płakała.

– Nawet nie chcę słyszeć, że gdzieś się wybierasz. Chodź, natychmiast. Idziemy do mnie.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! – Józefina była stanowcza. – Bierz psa i wychodź z samochodu. Gdzie masz kurtkę?

– Nie mam.

– No to jak? Oj, dziecko, dziecko... – Józefina załamała rękę. – A auto już w ogóle nie pojedzie?

– Trochę pojedzie. – Kaja zdziwiła się, że sama o tym nie pomyślała. Była zbyt oszołomiona i zmęczona, żeby myśleć w miarę jasno.

Józefina nie potrzebowała specjalnego zaproszenia. Okrążyła samochód i wsiadła z drugiej strony, kładąc sobie Daisy na kolanach.

– Co cię napadło, żeby z domu wychodzić? – utyskiwała, kiedy jechały. – Bez kurtki, a na dodatek w samochodzie, który ledwo jedzie. Stańabyś gdzieś w polu i zamarzła. Wiele nie trzeba. I piesek już by nie pomógł, bo też by zamarzał. Wy, młode, w ogóle nie myślicie. Co wam w głowie siedzi, to Pan Bóg jeden wie. Masz szczęście, że po wieczornej mszy zaszłam do Tereski, inaczej w ogóle bym cię nie spotkała. I co wtedy by było? Przecie tą drogą mało kto chodzi. Czemu tu skręciłaś? Do Wrocławia w drugą stronę.

Kaja nie odpowiedziała. Nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia na to, dlaczego pojechała w lewo, w nieoświetloną drogę, zamiast w prawo, tam, gdzie kierunek wyznaczały latarnie. Nie zrobiła tego celowo, raczej nieumyślnie, pragnąc skrócić gdziekolwiek i stanąć, byle dalej od domu Polniaka.

U Józefiny było ciepło. Staruszka mimo to okryła Kaję kocem. Podała jej filiżankę kakao, a obok postawiła kruche ciasteczka. Potem podeszła do szafki, na której stał telefon starego typu, i używając staromodnej tarczy, wykręciła numer Polniaków.

– Alooo – powiedziała, przeciągając głoski, kiedy Janina odebrała. – Jasiu, nie mam numeru do Pawełka... Przekaż mu, proszę, że Kaja jest u mnie...

Janina chyba przerwała i coś mówiła, bo Józefina zamilkła i zaczęła słuchać.

– Nie wiem, kochanieńka – powiedziała po dłuższej chwili. – Ale jest cała i zdrowa, zatrzymam ją na święta, niech się dzieciak po świecie nie szlaja. Tylko samochód... nie wiem, czy go widziałaś...

Janina znów zaczęła coś tłumaczyć.

– Ach tak – szepnęła ze zrozumieniem Józefina. – No cóż, więc może Pawełek by przyjechał i coś z nim zrobił. Nie będzie przecież tak jechała do Wrocławia, trzeba wyklepać czy coś. No i benzyny nalać. Ja nie wiem, Jasiu, jak ona wyobrażała sobie jechać... Biedne dziecko, zagubione jak szczenię.

Józefina nie zwracała uwagi na to, że Kaja siedzi w salonie i słyszy. Popijała kakao, a oczy same jej się zamykały. „Biedne dziecko”. Tak o niej kiedyś mówiła babcia.



Rozdział 16



Alicja nie mogła sobie znaleźć miejsca. Bezmyślnie wpatrywała się w ekran komputera, żeby zaraz wstać i przejść się po galerii. W głowie jej dudniło. Odkąd dowiedziała się od ciotki Józefiny, co przydarzyło się Kai, jej myśli wciąż były w Polance. Przypomniła sobie lato i pierwsze spotkanie z wyniosłą Poznańską, przypomniała sobie ich kłótnie o Konrada i wreszcie przypomniała sobie trufle.

– Cholera jasna, gdyby nie ja, pewnie nie wrzucałaby kolejnych pieniędzy w ten las. – Alicja obwinała siebie, nie zważając, że Kaja jest dorosła, i zanim zaczęła inwestować, mogła najpierw sprawdzić, czy w lesie naprawdę są trufle.

Olga wolała nie wchodzić szefowej w drogę. Ochrową ściereczką pucowała szyby. Błyszczały jak nigdy, odbijając słabe promienie słoneczne. Śnieg na zewnątrz już stopniał i nic nie zapowiadało, że na święta ponownie spadnie. Było dość ponuro. Gdyby nie to, że z radia wciąż leciały amerykańskie świąteczne przeboje i polskie kolędy, można by pomyśleć, że to już właściwie wiosna.

Klientów w galerii nie było, co dodatkowo frustrowało Alicję. Nawet radiowe reklamy, które Dorota załatwiła przed świętami, nie spowodowały wielkiego zainteresowania.

Konrad wyjechał do Wrocławia. Ustalili z Alicją, że zobaczą się w Wigilię w Polance. Ona miała przyjechać dzień wcześniej, z rodzicami i Matyldą. Uznała, że woli wszystkiego dopilnować sama. Nie to, żeby nie ufała Darkowi i Maćkowi, jednak co kobieca ręka, to kobieca. Dorota z Patrykiem planowali dojechać na samą Wigilię i zostać do sylwestra, podobnie jak Marianna z Christiánem. Alicja ciekawa była Torresy, jeszcze nie mieli okazji się poznać. Marianna wprawdzie telefonowała do niej z propozycją wspólnej kolacji, ale ponieważ Konrad był już gotów do wyjazdu i nie chciał go przekładać, uznali, że najlepiej będzie spotkać się już na miejscu, w Polance. Kilka dni wolnego, wspólna wigilia i zabawa sylwestrowa to aż nadto czasu, żeby się poznać.

Na wigilii miała też być Kaja. Józefina nieśmiało napomknęła, że dziewczyna jest u niej, i zapytała, czy to nie będzie kłopot, jeśli weźmie ją ze sobą. Alicja zgodziła się bez wahania. Konrad też nie miał nic przeciwko. Ustalili, że z powodu Kai rodzice Alicji będą spać nie u ciotki Józefiny, lecz w jego mieszkaniu. Oni natomiast na ten czas przeniosą się do Marianny, gdzie miała przebywać także Dorota z Patrykiem. Potem Konrad przypomniał sobie, że kanapa

w jego dużym pokoju przecież się rozkłada.

– Nie róbmy zamieszania, pomieścimy się, ja przecież mogę spać na podłodze, a ty na łóżku z Matyldą.

Alicja się zastanawiała, czy nie powinna zadzwonić do Kai, ale Józefina odradziła, tłumacząc, że dziewczyna przez najbliższe dni potrzebuje bezwzględnie spokoju. Kaja na razie nawet nie chciała słyszeć o wspólnej wigilii, wołała być sama, ale ciotka stwierdziła, że jest jeszcze trochę czasu, żeby ją namówić do tego wyjścia. Poprosiła Alicję o przywiezienie jakiejś zimowej kurtki.

– Nawet nie może wyjść teraz na spacer, moje rzeczy na nią nie pasują – powiedziała. – A świeże powietrze dobrze by jej zrobiło. Samochód w warsztacie, nie pojedziemy nigdzie do sklepu po ubrania.

– Przywozę coś, ciociu – zapewniła Alicja.

Czuła nieprzyjemny ucisk w żołądku, kiedy myślała o Kai. Miała ochotę do niej zadzwonić, puścić dawne urazy w niepamięć i zwyczajnie spytać o samopoczucie. Nie wiedziała jednak, jak zacząć tę rozmowę, nie chciała nawiązywać do szpitala, a nic innego nie przychodziło jej do głowy. W końcu uznała, że zamiast telefonować, po prostu odwiedzi Kaję u Józefiny dzień przed Wigilią. Wtedy też osobiście zaprosi ją na kolację i zapewni, że wszyscy z radością będą jej oczekiwali.

Olga skończyła myć szyby i przyglądała się teraz samochodom przejeżdżającym ulicą. Alicja stanęła obok.

– Może powinnam wyjść na ulicę z jakimś transparentem – powiedziała – na którym byłoby zaproszenie do naszej galerii...

– Obawiam się, że tylko by panią rozjechali. Przed świętami nikt nie myśli o sztuce. Na prezenty to się raczej kupuje perfumy, biżuterię, sprzęt elektroniczny.

– Olga jak zwykle nie przebierała w słowach. – Takie czasy.

– Marna pociecha.

– Nie chciałam pocieszać, tylko zasugerować, że może jednak rozszerzyć ofertę galerii. Będzie miała teraz pani kilka dni wolnego, może warto to przemyśleć.

Znowu mi się wtrynia – pomyślała Alicja ze złością.

– Oczywiście, przemyślę to – powiedziała głośno.

Nie chciała się denerwować. I tak już była wystarczająco podenerwowana myśleniem o Kai. Dokładanie sobie stresu związanego z dyskusją z Olgą było niewskazane. Tym bardziej że obydwie widziały, co się dzieje w galerii. Brak zamówień oznaczał brak wpływów. A brak wpływów oznaczał dokładanie do interesu. I choć pieniędzy na koncie jeszcze nie brakowało, Alicja odczuwała silny stres, że musi z nich korzystać. Basia i Janusz pocieszali ją, że takie są przecież początki, i inwestując w galerię, liczyli się z tym, że nie od razu będą zyski, a wypracowanie sukcesu może zająć wiele lat. Alicja też się pocieszała i głośno

wmawiała sobie, że nie od razu Kraków zbudowano. Trudno było jednak jej pogodzić się z tym, że nawet przed świętami brakuje klientów.

– Wpadło zamówienie! – krzyknęła nagle Olga, która podeszła właśnie do laptopa.

Alicji zabiło mocniej serce. Wreszcie! Byle zdążyć z wysyłką na święta, ktoś z pewnością kupił obraz w prezencie. Zajrzała Oldze przez ramię. Marcin Szadkowski. Nazwisko tego klienta coś mówiło Alicji. Adres wrocławski.

– Cholera – wyrwało się jej. Natychmiast wyjęła komórkę i nie zważając na Olę wpatrującą się w nią pytającym wzrokiem, wybrała numer Konrada.

– Co tam, kochanie? Już za mną tęsknisz? – spytał przyjemnym miękkim głosem.

– Konrad! Marcin Szadkowski to twój kolega, wspólnik, tak? Kazałeś mu kupić obraz w mojej galerii? Oszalałeś?

– Nie kazałem – sprostował Konrad. – Doradziłem mu tylko. A co? Czy polecenie tak znamienitej galerii jest zabronione?

– Nie... – Alicja się zawstydzila. – Oczywiście, że nie. Pomyślałam sobie tylko, że namawiasz kumpli, no wiesz, z litości... bo nie mam klientów. Nie zniosłabym takiego traktowania.

– Szukał czegoś na prezent dla teściów. Dlaczego miałbym mu nie podsunąć takiego pomysłu? Bardzo się ucieszył. Obraz sam wybrał. Z żoną wybrali.

– Przepraszam. Dziękuję – dukała zmieszana Alicja. Rzeczywiście niepotrzebnie podejrzewała Konrada o spisek. Nie chciałaby takiej pomocy, a on zapewne o tym wiedział.

– Naskoczyłaś na mnie o to, że podsyłam ci klientów, a nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Tęsknisz za mną?

Alicja się uśmiechnęła. Odeszła kilka metrów od Olgi.

– Bardzo tęsknię – odpowiedziała. – A ty?

– Tak się składa, że wcale. – Roześmiał się, żartując.

**

Haftowana chusta w kwiaty jako pierwsza przykuła wzrok Marianny. W sklepie było wiele ślicznych rzeczy, ale dziewczyna podskórnie czuła, że właśnie ten prezent najbardziej ucieszyłby Józefinę. Mariannie zależało, żeby ciocia Alicji dostała podarunek, który będzie zarówno piękny, jak i praktyczny. A chusta była wyjątkowa, co dodatkowo podkreśliła sprzedawczyni.

– To ręczna robota – zachwalała, głaszcząc z pietyzmem miękki materiał. – Nie ma takiej drugiej. Niech pani spojrzy... – Szczupłymi palcami dotknęła jednego z wyhaftowanych maków. – Cudowne kolory i zachowane szczegóły.

– Piękne – przyznała Marianna. Rzeczywiście, każdy z polnych kwiatów był niepowtarzalny.

– Jedyne taki wzór. Stąd taka cena – dodała sprzedawczyni, zauważywszy, że Marianna obróciła metkę.

Chusta nie była tania i choć Marianna obiecywała sobie, że nie będzie kupować drogich prezentów, by nie wprawiać obdarowanych w zakłopotanie, to akurat w tym przypadku nie potrafiła się oprzeć.

– Mogłaby pani ładnie zapakować? – spytała. – To na prezent.

– Oczywiście. Edytka – zwróciła się do pomocnicy – zapakuj tę chustę, proszę.

– Szukam też czegoś dla mężczyzny – powiedziała Marianna, rozglądając się po sklepie. Było w czym wybierać, a wszystkie przedmioty wydawały się niepowtarzalne i piękne.

– Może drewniane rzeźbione szachy?

Marianna pokręciła głową. Nie była pewna, czy Christiań lubi grać.

– Pierwsze wydanie *Pana Tadeusza*? W skórze. Świetna rzecz.

– Och nie, narzeczony nie zna polskiego – powiedziała spontanicznie Marianna. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nazwała Christiańa narzeczonym. Podobało jej się to. – Jest Hiszpanem.

– To może coś klasycznego? Spinki do mankietów? Mamy spory wybór męskiej biżuterii. O tam. – Sprzedawczyni wskazała galeryjkę na półpiętrze.

– Nie, nie, szukam czegoś wyjątkowego.

– Jaki zakres cenowy? Marianna się zastanowiła.

– Bez zakresu – powiedziała po chwili.

– Zapraszam. – Sprzedawczyni nie mrugnęła nawet okiem. Prawdopodobnie była przyzwyczajona do takich klientów. Zaprowadziła Mariannę na piętro, gdzie pośród wyłożonych mahoniem ścian ustawiono szykowne gablotki zamykane na kluczyk.

Marianna wolnym krokiem podchodziła do każdej i z zachwytem oglądała wystawione tam rzeczy. Jej uwagę przykuły eleganckie skórzane i inkrustowane złotem wizytowniki, których cena przeciętną osobę przyprawiłaby o zawrót głowy. W innej gablotce znalazła przepiękny oryginalny rzeźbiony w srebrze nożyk do papieru, jednak największy błysk w oczach Marianny wywołał przedmiot, który wskazała sprzedawczyni. Był to zdobiony rubinami korkociąg do wina w zestawie z eleganckim termometrem oraz srebrnym korkiem pełniącym funkcję zatyczki dla otwartej butelki.

– Na jutro możemy wygrawerować odpowiednią dedykację – poinformowała sprzedawczyni.

– Wspaniale. To będzie idealny prezent. – Marianna nie pytała o cenę.

Sprzedawczyni założyła atłasowe rękawiczki leżące na półce i z pietyzmem

wyciągnęła zestaw z gablotki. Wyjęte zza szyby rubiny rozbłysły jeszcze większym blaskiem. Marianna uśmiechnęła się do siebie. Zestaw do wina był naprawdę oszałamiająco piękny. Już prawie wycofała się w stronę schodów, by zejść na dół i zapłacić, gdy jej wzrok padł na stół ustawiony pod jedną ze ścian, na którym błyszcząca się wytworna zastawa stołowa, kryształowe karafki, szklanki i kieliszki odbijające światło, a do tego srebrne świeczniki. Kompozycja była tak wspaniała, że Marianna oczyma wyobraźni zobaczyła przy tym stole siebie i Christiána.

– Przepraszam... – podjęła, nie odrywając wzroku od stołu.

Sprzedawczyni przystanąła.

– Jeszcze coś panią zainteresowało? – spytała.

– Tak – odpowiedziała Marianna z uśmiechem. – Jednak zestaw do wina kupię mu innym razem. Teraz poproszę obrus.

– Obrus. – Sprzedawczyni ni to stwierdziła, ni spytała.

– Ten obrus, na którym ustawione zostały te wszystkie piękne rzeczy.

– Oczywiście. – Sprzedawczyni wyglądała na zaskoczoną. – Dobry wybór – powiedziała po chwili, choć musiała być rozczarowana, że zamiast arcydrogiego korkociągu dziewczyna wybrała dziesięć razy tańszy obrus. – To doskonałej jakości materiał, przetykany srebrną nicią. Sprowadziliśmy do Polski tylko trzy takie sztuki. Na dole mam zapakowany.

Marianna skinęła głową. Kobieta odłożyła do gablotki korkociąg i zdjęła rękawiczki. Zeszły na dół.

– Zapakować na prezent? – spytała, przynosząc obrus.

– Dziękuję, ten prezent opakuję sama – odparła Marianna.

Kiedy wróciła do mieszkania, natychmiast wyjęła papier prezentowy kupiony po drodze. Korzystając z nieobecności Christiána, owinęła obrus i obwiązała go wstążką. Do środka wsunęła ozdobną kartkę, na której napisała dedykację.

„Gdziekolwiek będzie nasz dom... Gdziekolwiek stanie nasz stół... Kocham Cię. Marianna”.



Rozdział 17



Karol biegł co tchu. Po skończonych lekcjach nie dołączył do kolegów, którzy umówili się na rzucanie śnieżkami, pragnąc skorzystać z resztek topniejącego śniegu. Biegł, ściskając w ręku list, który pisał przez cały weekend. Obiło mu się o uszy, że Kaja była w szpitalu, jednak nie rozumiał, z jakiego powodu. Anioły przecież nie chorują. Być może pojechała tam, żeby komuś pomóc. Tak – stwierdził – sąsiadka musi mieć wiele pracy przed świętami. Jednak on wyprowadza jej psa na spacer, na pewno spojrzy na niego przychylnym okiem i choćby z tego powodu i jemu postanowi pomóc. Anioły mogą wszystko. Anioły mogą wszystko – powtarzał w myślach, biegnąc. Nawet więcej niż Święty Mikołaj.

Kiedy dotarł do bramy, która jak zwykle była otwarta, przystanął, żeby uspokoić oddech. Dopiero teraz zauważył, że nie wziął ze szkoły plecaka. Ojczym znowu będzie zły, bo z powodu braku książek nie odrobi lekcji. Nauczyciele nawet przed świętami nie mieli litości. Karol westchnął. Z bezradności pomieszanej ze złością kopnął kamyczek leżący pod nogami. Kamyk upadł niedaleko. Tuż obok niego chłopiec zauważył kilka białych piórek.

– Złamała skrzydło – szepnął podekscytowany i podniósł jedno z piór. – Złamała skrzydło i dlatego musiała jechać do szpitala.

Podbiegł do drzwi i zaczął pukać. Cisza. Nacisnął dzwonek. Znow nic. Nawet szczekania psa. Przytknął ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać, ale ze środka domu nie było słycać żadnych dźwięków. Karol rozejrzał się z nadzieją, że Kaja wyszła z Daisy na spacer. Wybiegł przed bramę. Nigdzie jej nie było. W oddali zauważył wracającą skądś panią Polniak. Podbiegł, zanim weszła do swojego domu.

- Dzień dobry! – krzyknął.
- A, dzień dobry, Karolku. Co tam?
- Czy widziała pani może panią Kaję? Tę, która mieszka tam? – Wskazał ręką dom młodego Polniaka.
- Już tam nie mieszka. Wyprowadziła się, a co?
- Wyprowadziła się? – Karol posmutniał. Jak to. Kaja wyjechała tak bez pożegnania?
- A co ty masz do pani Kai? – dopytywała Polniakowa.
- Nic... Wychodziłem z jej psem na spacer... A dokąd wyjechała? Ma pani

może adres? – Nowa nadzieja rozkwitła.

– Teraz jest u pani Koperskiej. Piesek też, oczywiście.

– U pani Józefiny? – ucieszył się Karol. Całkiem niedaleko.

Polniakowa potwierdziła. Chciała chyba jeszcze o coś go zapytać, ale zanim otworzyła usta, chłopak obrócił się na pięcie i pobiegł. Kiedy dotarł do domu zielarki, przeżegnał się dwa razy, zanim zapukał do drzwi. Mama mówiła, że to wiedźma.

– Dzień dobry – przywitał się grzecznie, gdy staruszka otworzyła. – Czy jest tu pani Kaja?

– Jest. – Józefina spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. Zdziwił ją widok dzieciaka pytającego o Kaję.

– A czy mógłbym się z nią zobaczyć?

– Niestety, teraz śpi. Przyjdź później. Albo jutro.

– Aha... – Karol zamyślił się. Było już grubo po czternastej. Czy to możliwe, żeby spać o takiej porze?

– Przekazać coś? – spytała Józefina.

– Nie. Ja po prostu zawsze wychodziłem z Daisy. Jest tu Daisy? – dociekał.

– Jest, ale niedawno byłem z nią na spacerze. Przyjdź jutro, może na coś się przydasz – zaproponowała Józefina, wyczuwając w głosie chłopca wahanie. Intuicyjnie czuła, że nie o Daisy chodziło. Karolowi wyraźnie zależało na spotkaniu z Kają. Zaintrygowało ją to.

– Dobrze, to będę jutro, po szkole – powiedział, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Ręce trzymał w kieszeniach. W jednej z nich coś wyraźnie szeleściło. – Ale pani Kaja na pewno tu jeszcze będzie? – upewnił się.

– Będzie na pewno – zapewniła Józefina.

**

Ściemniało się już, kiedy Kaja zeszła na dół. W domu panowała cisza. Józefina krzątała się w kuchni i szykowała kolację.

– Dobry wieczór. Przepraszam. – Kaja stanęła w progu. Józefina odwróciła się w jej kierunku.

– Dobry wieczór – odpowiedziała. – A za co ty mnie przepraszasz, dziecko?

– Zwaliałam się pani na głowę. Przepraszam. Pojadę z samego rana.

– A nigdzie nie pojedziesz. – Józefina, mówiąc to, rozłożyła ręce. – Paweł zabrał samochód do warsztatu. Powiedzieli, że zrobią dopiero po świętach. Po Nowym Roku, znaczy się. Zresztą mówiłam ci, że święta spędzisz z nami.

– Nie, absolutnie. Nie chciałabym psuć humoru pani rodzinie.

– Nawet nie chcę słuchać tych głupot. Siadaj – nakazała stanowczo. – Jedz. Leki wzięłaś?

– Jeszcze nie – przyznała cicho Kaja. – Dopiero wstałam. Przespałam cały

dzień... To okropne. Pewnie myśli pani sobie, że...

– Organizm musi się zregenerować – przerwała jej Józefina. – Jeśli potrzebujesz spać, to śpij i nie oglądaj się na mnie.

Kaja spojrzała na staruszkę zmęczonym smutnym wzrokiem.

– Dlaczego jest pani dla mnie taka dobra? – spytała.

– Normalna jestem, jaka tam dobra – roześmiała się Józefina. – Zwyczajna.

– Przygarnęła mnie pani... A nawet się dobrze nie znamy... Alicja z pewnością mówiła o mnie niejedno.

– Dziecko. – Józefina spojrzała na Kają wyrozumiałym wzrokiem. – Co masz za uszami, to twoje. Ale widzę przecież, że nie jest z tobą dobrze. Psu bym pomogła, kotu bym pomogła, to człowiekowi nie pomogę? Już Pan Bóg by mnie pokarał, gdybym nie wyciągnęła ręki do bliźniego.

Kaja spuściła wzrok. Zamyśliła się.

– Ja tak nie umiem – powiedziała po dłuższej chwili.

– Czego nie umiesz?

Kaja nie odpowiedziała.

– Masz tu. – Józefina postawiła przed nią talerz z twarożkiem. Nie naciskała na rozmowę. – Zjedz, herbata się już parzy.

Kaja skubnęła trochę.

– A pani ma dzieci? – spytała nagle.

– Mam. Syna mam. I wnuki mam już prawie dorosłe. Ale daleko. W Australii mieszkają.

– W Australii... A kocha pani syna?

– Cóż za dziwaczne pytanie! – Józefina aż krzyknęła, nalewając herbaty do kubków. – Nad życie kocham. Która matka by dziecka swojego nie kochała?! A wnuki to mam takie mądre, takie przystojne chłopaki... – Rozmarzyła się.

Kaja pokiwała głową. Nie rozwijała tematu. Posłodziła herbatę podaną przez Józefinę i w zamyśleniu kręciła łyżeczką.

– A ty, dziecko – podjęła Józefina – z matką jechać nie chciałaś? Była tu przecie. Zaraz przyjechała, jak Paweł do niej zadzwonił. Też musiała się nerwów najeść po tym, co zrobiłaś. Każdej matce serce by pękło.

– Nie mojej – wymknęło się Kai.

Józefina zerknęła na nią zdziwiona. Podała cytrynę.

– Pokłócona jesteś z matką? – spytała po chwili. – Dziecko. Matka to matka. Różnie bywa, ale każda chce jak najlepiej dla swojego dziecka. Tera święta idą, trzeba się pogodzić. Przykrość jej pewnie sprawiłaś, że nie chciałaś z nią jechać.

– Przecież ona nie przyjechała po to, żeby mnie zabrać – zaprzeczyła stanowczo Kaja, wciąż mieszając łyżeczką w kubku z herbatą. – Nie przyjechała po mnie, ale do mnie.

– Nie rozumiem. Co to za różnica? – Józefina usiadła przy stole.

– Nie zależy jej na mnie.
– Co ty gadasz! – obruszyła się staruszka. – Oczywiście, że zależy, inaczej by nie przyjeżdżała.
– Nie na mnie jej zależy. Przyjechała z dokumentami. Bała się, że wkrótce znów coś mi do głowy strzeli i wtedy będzie już za późno.
– Na co?
– Bo widzi pani... – Kaja spojrzała na Józefinę, ale zaraz odwróciła wzrok. – Nie... – zawahała się – nie wiem, jak to powiedzieć. Przepraszam – nagle zaczęła płakać – nie wiem, czy chcę to powiedzieć.
Józefina milczała. Wpatrywała się ze współczuciem w rozstrojoną nerwowo Kają. Nie chciała jej ponaglać.
– Jeśli będziesz chciała, to możesz mi powiedzieć wszystko – zaproponowała po dłuższej chwili. – Jeśli nie będziesz chciała, to nie musisz mówić nic. Płacz, jeśli masz taką potrzebę, krzycz, jeśli masz taką potrzebę. Ale choć trochę zjedz, bardzo cię o to proszę.

**

Jazgot damskich głosów był nie do zniesienia. Wojtaszek włożył kurtkę, ciesząc się że ma powód do wyjścia ze sklepu. Na migi dał znać córce, że jedzie do hurtowni po karpie. Wojtaszkówna skinęła głową. Koleżanki się przekrzykiwały. Czeką, aż przestaną.

– Stop – powiedziała w końcu zdecydowanym tonem. – To był mój pomysł i to ja mam najwięcej do powiedzenia.

Kasia zaprotestowała.

– Nieprawda. Każda z nas ma coś do powiedzenia. Wszystkie chcemy być aniołami. Żadna nie chce być diabłem i koniec.

– Ale nie możemy wszystkie – zaproponowała Małgosia.

– Dlaczego nie?

– Bo nie – upierała się Małgosia.

– Nikt nam nie zabroni. Sorry, Gośka, ale jeśli mamy chodzić po domach, to chcemy ładnie wyglądać, a nie jak jakieś chłopcy z rogami.

– Oczywiście – wtrąciła Magda, kładąc ręce na biodrach. – Albo będę aniołem, albo nie będę kolędować wcale.

– To nie kolęduj – odcięła się Małgosia. – Wcale nie musisz.

– A ty się nie wymądrzaj.

– Wcale się nie wymądrzam. Po prostu to był mój pomysł i zadzwoniłam do ciebie, Kaśka, z propozycją, bo można coś sobie zarobić. Ale anioła zarezerwowałam dla siebie, a ty oczywiście mieszasz. Poza tym wcale nie wiem, czy będę kolędować, bo nie mam stroju, ojciec nie chce jechać do miasta, żeby kupić mi jakieś ładne skrzydła.

– Z tym akurat nie ma problemu. Pamiętasz, jak było otwarcie Angel's i przystroili wejście skrzydłami? Rozmawiałam z Maćkiem, mają je w magazynie, mogą pożyczyć.

– No to co. I tak nie możemy być wszystkie aniołami – upierała się Małgosia.

– W takim razie ja się wypisuję z tego interesu.

– To ja też.

– Ale wy jesteście głupie – powiedziała Małgosia, kręcąc głową.

– Sama jesteś głupia. – Kaśka wyjęła ze stojaka gumy do żucia i nie płacąc, otworzyła paczkę i poczęstowała Magdę. – Kokosów z tego kolędowania nie ma, a człowiek się tylko nachodzi, wymarznie, a jeszcze gębę musi otworzyć i śpiewać. Wielka mi fucha. – Wywróciła oczami. – Fucha to wtedy by była, gdybyśmy mogły przy okazji kogoś poznać. Ale komu miałabyś się podobać jako dziad? Jeśli pójdziemy w sukieneczkach, ze skrzydełkami i w aureolkach, to co innego. Taki tłum aniołków pod drzwiami nie byłby przyjemny? Sama pomyśl! I to ty nie bądź głupia. Jak się będziesz upierać, to nic z tego. Sama se łaż ze staruchami.

Małgosia się nachyliła, opierając ręce o ladę. Zmrużyła oczy, wpatrując się w Kaśkę.

– A niby kogo ty chciałaś poznać na tej zatęchłej wsi? Przecież wszystkich tu znamy – zauważyła.

– I widać, kto tu jest głupi – roześmiała się koleżanka, a druga zaczęła jej wtórować. – Przecież nie po naszej będziemy łazić. Jak już mamy kolędować, to tam, gdzie nikt nas nie zna. Idiotki przecież wśród swoich nie będą z siebie robiła, śpiewać nie umiem.

– Ani ja – przyznała Magda.

– Ale jak facet fajny się trafi, to słuchać nie będzie, tylko patrzeć, no nie? – ciągnęła Kaśka. – Wystarczy kilka taktów *Przybieżeli do Betlejem* i zaraz pieniądze wrzuci, o numer telefonu zapyta. Kogo? No kogo? Przecież nie diabła włochatego! Aniołki.

Małgosia się zamyśliła. Może rzeczywiście nie był to głupi pomysł, chociaż ona akurat fajnego faceta już nie szukała.

– I co? – uśmiechnęła się Kasia. – Zmodyfikowałyśmy trochę twój plan, ale nasz jest lepszy, no nie? Więc decyduj. Albo zapominamy o interesie, albo wszystkie jesteśmy aniołkami.

– Albo – wtrąciła Magda – my same z Kaśką pójdziemy.

– Same to nie. – Kaśka skrzywiła usta. – Do Makowa na piechotę nie damy rady, ktoś musi nas zawieźć.

– No tak...

– I niby to miałabym być ja? – spytała Małgosia.

– Ja nie mam prawka, Magda też nie.

– Super. Nie dość, że to był mój plan, a wy go zmieniłyście pod siebie, to jeszcze chcecie zrobić ze mnie kierowcę.

Kaśka wzruszyła ramionami.

– To jak? – spytała.

– Nie wiem. Teraz to ja muszę się zastanowić. – Małgosia nie chciała tak łatwo przystawać na warunki Kaśki.

– Byle szybko, bo już czasu nie ma.

– Zastanowię się i dam znać. – Małgosia spojrzała wyzywająco. – Za gумы zapłać. Dwa czterdzieści.

– Nie mam kasy teraz. Zapisz na zeszyt.

Kiedy koleżanki wyszły, Małgosia usiadła. Rozmasowała sobie kark. Czuła się, jakby właśnie skończyła arcyważne negocjacje, teraz piłeczka była po jej stronie, to od niej zależało, czy kolędowanie z dziewczynami dojdzie do skutku. Poniekąd miały trochę racji, takie zajęcie z pewnością jest męczące, a kokosów nie przynosi, jednak dla Małgosi każdy dodatkowy grosz był na wagę złota. Na liście jej zakupów znajdowało się mnóstwo pięknych rzeczy. Gdyby zarobiła choćby i dwieście złotych ekstra, to już można by było zafundować sobie porządne rzesy albo ładny akryl na paznokciach. Ale jechać do obcej wsi? To jej się nie uśmiechało. Benzyna kosztuje, a nie wiadomo, czy ojciec będzie chętny pożyczyć samochód. Poza tym jako piękny aniołek wolałaby się pokazać Pawłowi Polniakowi, a nie jakimś obcym chłopakom.

– O wilku mowa – szepnęła, uśmiechając się do siebie.

Pod sklepem zaparkował właśnie samochód Polniaka. Mężczyzna wysiadł. Po powrocie z Niemiec nigdy nie robił zakupów u Wojtaszków, dlatego teraz, widząc go, Małgosia wiedziała, że przyjechał specjalnie do niej. Zanim wszedł, zdążyła zdjąć fartuch, poprawić włosy i musnąć usta błyszcznikiem. Nachylając się nad zeszytem, udawała, że jest bardzo zajęta sprawdzaniem rachunków.

– Cześć. – Paweł podszedł do lady i rzucił na nią rękawiczki. – Zostawiłaś u mnie.

– Och, rzeczywiście. Dziękuję. – Małgosia spojrzała na niego i skinęła głową. – Nie trzeba się było fatygować, mam drugie – dodała, uznawszy, że najlepiej będzie sprawić wrażenie niezainteresowanej, niech to Paweł się stara.

– Słuchaj – powiedział, patrząc jej w oczy.

Wstała. Westchnęła cicho, lecz ostentacyjnie, pragnąc, aby odebrał to jako zniecierpliwienie z powodu odrywania jej od pracy. Szybko wymyśliła, że jeśli zaprosi ją na kawę lub zaproponuje wspólnego sylwestra, powie mu, że teraz jest zajęta, zastanowi się w wolnej chwili i do niego oddzwoni. Nie chciała uchodzić za zbyt łatwą. Wyczekiwane danie lepiej przecież smakuje. A jeszcze gdy człowiek niecierpliw i głodny, to już w ogóle będzie mu smakować jak nadzwyczajny rarytas, choćby było tylko ziemniakiem.

– Kaja się wyprowadziła... – ciągnął Paweł.

O kurde, jak szybko – ucieszyła się w duchu Małgosia.

– Tak? – spytała głośno, robiąc wielkie oczy.

– Tak. I to chyba twoja zasługa.

– Oj tam. – Machnęła ręką, odgarniając włosy. – Nie musisz dziękować. Nic wielkiego nie zrobiłam... – Uśmiechnęła się skromnie, opuszczając wzrok.

– Właśnie to mnie interesuje – kontynuował. – Co jej takiego nagadałaś, że spakowała się zaraz po twoim wyjściu? Co za bzdur naplotłaś, że niby ja się skarżę we wsi? Że narzekam? Że ją obgaduję? Nienormalna jesteś? – spytał z naciskiem. – Co ci odbiło? Przecież to wszystko nieprawda!

Małgosia przełknęła ślinę. Zmieszala się. Co za głupia pinda z tej Kai – przemknęło jej przez myśl. – Nigdy nie można babom ufać, obiecała przecież nie mówić. Co za pinda. Pinda do kwadratu.

– Masz mi coś do powiedzenia? – dopytywał Paweł. Jego głos miał barwę żwiru, a przynajmniej tak właśnie odbierała to Małgosia.

– Przepraszam – wydukała, czując, że zrobiła się czerwona. – Rzeczywiście, powiedziałam jej tak – przyznała z ociąganiem. – To prawda. Ale... No, Paweł... – Spojrzała mu w oczy. – Po prostu nie mogłam znieść, jak ona gada na ciebie. Mówiła takie rzeczy...

– Jakie?

– Ojej, aż głupio mi powtarzać... Może mówiła tak, bo jest... no wiesz... – Małgosia zatoczyła koło palcem po skroni. – Gadała jakieś niestworzone brednie, że jesteś taki i owaki. I że nie może już dłużej tam mieszkać z twojego powodu, bo niby się do niej dobierasz czy coś. – Zmarszczyła czoło. – Trudno mi było w to uwierzyć i w ogóle znieść, że tak o tobie mówi. Przecież to nieprawda. Dałeś jej dom, nawet przywiozłeś ze szpitala, choć mogłeś ją tam zostawić. A ona takie głupoty na ciebie, naprawdę... I dlatego nie wytrzymałam i jej wygarnęłam. Powiedziałam, że narzekasz na nią, że jej nie lubisz. Żeby sobie nie myślała...

– Jezu – syknął Paweł. – Kaja mówiła, że się do niej dobieram?

– No tak – skłamała gładko Małgosia. Faceci są inni niż baby, uznała. Nie plotkują. Paweł do Kai nie pójdzie i nie wypapla tego, co przed chwilą usłyszał.

– Może gdy weszłaś, to mówiła przez sen? Ostatnio dużo spała.

– A skąd! – szybko zapewniła Małgosia. – Była całkiem rozbudzona. Na pewno wiedziała, co mówi. Od razu zaczęła, gdy weszłam, chyba tylko czekała, żeby się komuś wyzalić...

Paweł wziął oddech, zamierzając coś powiedzieć, ale przerwał mu Wojtaszek, który właśnie wszedł do sklepu, wnosząc ciężki pojemnik z karpami. Drzwi pchnął plecami, zgięty w pół, i teraz ledwo mógł się wyprostować.

– Kogóż to ja widzę. Dzień dobry – powiedział, dysząc ciężko. Postawił pojemnik na podłodze i podał Pawłowi rękę. – Wróciłeś z Niemiec już na stałe?

– Wróciłem. Na stałe. Nie wiem. Chyba tak – odpowiedział Paweł, błędząc gdzieś myślami.

– I bardzo dobrze! – pochwalił Wojtaszek. – A słyszałem, że i tyś się zakręcił przy tym ośrodku, Stasiak Bieńkowski mi mówił.

– No tak, coś tam działamy...

– Świetnie! – Wojtaszek poklepał Pawła po ramieniu. – Ja tam trzymam kciuki, żeby wszystko się udało jak ta lala. Sam się zakręciłem, sklepik będę otwierał, gdy już wszystko ruszy. Małgosię może tam posadzę. – Mrugnął do córki. – Chodź, chłopie. – Skinął na Pawła. – Mam na zapleczu flaszczykę, napijemy się, pogadamy. Dzisiaj już nie mam nic do roboty, Małgosia pojedzie, ja tam po głębszym za kółko nie wsiadam. – Roześmiał się.

– Dziękuję, panie Wojtaszek, ale muszę już lecieć. Ojciec połamany, na wózku, matce pomagam w gospodarstwie.

– Nawet jednego nie łykniesz? – zmartwił się Wojtaszek.

– Nie mogę, też samochodem jestem. Do widzenia. – Paweł podał rękę, Wojtaszek mocno ją uściskał.

– To pozdrów rodziców – powiedział. – Ojcu zdrowia życzę. Porządny chłop z ciebie, Paweł, dobrze, że wróciłeś.

Paweł skinął głową i wyszedł. Wojtaszek patrzył za nim przez szybę. Włożył rękę do kieszeni, a kiedy Polniak odjechał, gwizdnął.

– No, córunia! – Uśmiechnął się do Małgosi. – Powiem ci – pokiwał z uznaniem głową – że nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy, jestem z ciebie dumny.

– Ale że co, tatuś? – spytała oszołomiona Wojtaszkówna.

– No jak to co? Ledwie żeśta się raz widzieli, a już przybiegł do ciebie. Fiu, fiu. – Znów gwizdnął. – Takiego zięcia to nie odmówię. Miałaś rację.

– Ale z czym, tatuś? – Małgosia nie wiedziała, jak się zachować. Była jeszcze trochę rozbita po wizycie Pawła i jego oskarżeniach w stosunku do niej. Miała nadzieję, że uwierzył w wymyślone naprędce kłamstwo. Miała wielką nadzieję, że nie tylko uwierzył, ale też doceni jej rzekome zmagania z Kają.

– Biję się w piersi! – Wojtaszek uderzył się w tors. – Nie wierzyłem, ale zadziało!

– Ale co, zadziało, tatuś?

– No te białe kozaczki, coś się tak na nie uparła!

**

Znowu padał śnieg. Dzieciaki w szkole piszczały na ten widok, święta zapowiadały się białe. Znowu będzie można lepić bałwany, jeździć na sankach i rzucać się śnieżkami.

– E tam, zaraz stopnieje – mruknął pesymistycznie nastawiony do

wszystkiego kolega Karola, Ariel.

Ale Karol nie słuchał. Mimo że tak jak inni wpatrywał się w delikatne płatki śniegu smagane lekkim wiatrem, to myślami był zupełnie gdzie indziej. Nie mógł doczekać się dzwonka. Czasu zostało niewiele, żeby załatwić to, co miał do załatwienia. Święta już za dwa dni, a to oznaczało, że pojutrze wyjadą, jak co roku, do Mysłowic, skąd pochodził ojczym Karola.

Chłopiec lubił przybranych dziadków i chętnie tam jeździł. Zazwyczaj cieszył się na myśl, że spędzi z nimi całe ferie świąteczne aż do sylwestra, teraz jednak zamiast radości czuł niepokój, czy na pewno przed wyjazdem uda mu się spotkać z Kają. Bo co, jeśli po powrocie już jej nie będzie w Polance? Jeśli teraz przeniosła się do pani Józefiny, może planuje kolejne przeprowadzki. Któż może wiedzieć, jaką ma misję. Równie dobrze może odlecieć na swoich skrzydłach i więcej już nie wrócić. Może skończyła swój pobyt... Niby mówią we wsi, że anioły lubią Polankę i kiedyś przesiadywały na kościelnej dzwonnicy, ale czy to prawda, tego Karol nie wiedział. Zanim poznał Kaję, nigdy wcześniej nie widział żadnego anioła. A i tak miał dużo szczęścia, że niechcący poznał tajemnicę sąsiadki z małym pieskiem. Niewiarygodnie dużo szczęścia. Nie można zatem zmarnować takiej okazji, drugi raz może się nie trafić. Anioły są sprytnie. Przybierają postać ludzi i nigdy nie wiadomo, który to anioł, a który człowiek. Przegapić anioła nietrudno. Nietrudno przegapić człowieka, który jest aniołem.

Karol zagryzł wargi. Nauczycielka chyba też nie była zainteresowana lekcją, bo gdy dzieci się przekrzykiwały, rzucając pomysłami, co będą robić ze śniegiem, ona po cichu rozmawiała z kimś przez telefon. To oznaczało, że nie zada lekcji i świąteczna przerwa będzie wolna od nauki. Karol poczuł nieznaczną ulgę. Pełnia szczęścia nastąpi dopiero wtedy, kiedy uda się porozmawiać z aniołem. Karol nie miał wątpliwości co do tego, że anioł spełni jego prośbę. Anioły przecież zawsze pomagają, właśnie dlatego są aniołami.

Dzwonek wreszcie rozbrzmiał i hałas w klasie sięgnął zenitu. Okrzyki radości z powodu rozpoczynających się ferii świątecznych mieszały się z krzykiem pani, która właśnie teraz postanowiła złożyć uczniom życzenia.

– ... i żeby Nowy Rok był dla was szczęśliwy! – krzyczała, bezskutecznie próbując przedrzeć się przez jazgot. – Do zobaczenia po świętach – dodała nieco ciszej, zauważywszy, że i tak nikt jej nie słucha. – A tym, którzy wybierają się dziś wieczorem na kiermasz świąteczny, przypominam o aukcji na rzecz bezdomnych zwierząt... – powiedziała już prawie szeptem. Dzieciaki przeciskały się przez drzwi, napierając jeden na drugiego. Na nauczycielkę nikt nie zwracał uwagi. Na Karola też nie.

Chłopiec spakował rzeczy do plecaka i jako ostatni wyszedł z klasy. Zanim jednak dotarł do szatni, skierował się w stronę sali gimnastycznej. Nie miał pewności, czy ojczym nie wymyśli wieczorem jakiejś kary i nie zabroni na

przykład przyjść na kiermasz. Wprawdzie jako dyrektor szkoły co roku uświetniał to wydarzenie swoją obecnością, chwaląc się przy okazji rodziną, ale to, że w ubiegłym roku tak było, nie znaczyło wcale, że w tym także tak będzie. Powodem do dumy były córki, co dyrektor podkreślał na każdym niemal kroku. Karol był powodem do wstydu, bo oceny, które zdobywał, nigdy nie były satysfakcjonujące dla ojczyma. Nawet ta piątka z muzyki, którą ostatnio dostał, okazała się porażką. „Dlaczego nie szóstka? Jak widać, nawet śpiewać nie potrafisz”.

Zgodnie z przewidywaniami Karola w sali gimnastycznej nikogo nie było. Chłopiec rozejrzał się, ale stała tam tylko pięknie przystrojona choinka, a ze ścian i sufitu zwisało mnóstwo dekoracji. Na stołach jeszcze nic nie było. Nie wiedział, przy którym ma odbyć się aukcja. Zdecydował, że pieniądze zostawi na tym głównym, który był przykryty zielonym sukmem. Tam z pewnością zostaną zauważone.

Wyjął z kieszonki plecaka złotówki zarobione u Kai i położył na kartce wyrwanej z zeszytu.

„Dla zwierzątek” – napisał flamastrem i zagiął kartkę tak, żeby przykrywała pieniądze, ale uwydatniała napis. Nikt nie powinien jej przegapić.

Na ten pomysł wpadł dopiero przed chwilą, w klasie, usłyszawszy, jako jedyny, przypomnienie nauczycielki. Wtedy właśnie pomyślał, że taki gest na pewno spodoba się aniołowi. Kaja przecież lubi zwierzęta.

Upewniwszy się, że w kieszonce nie ma więcej monet, Karol wyszedł z sali i pobiegnął do szatni.

Dom Józefiny był pokryty cieniutką warstwą świeżego śniegu. Z komina wydobywał się dym. Karol pchnął drewnianą furtkę i wszedł na posesję. Zapukał do drzwi. Otworzyła staruszka.

– Dzień dobry – przywitał się. – Czy jest pani Kaja?

Pytanie było raczej retoryczne, ponieważ Daisy, usłyszawszy pukanie, także przybiegła, a na widok chłopca zaczęła radośnie szczekać. Z głębi domu przywołała ją Kaja. Nie było wątpliwości, czyj to głos.

– Jest – potwierdziła Józefina. – Zapraszam.

– A czy mogłaby pani poprosić panią Kaję? – Karol stał nieruchomo w progu.

– Nie wejdiesz?

– Nie... ja tylko na chwilkę. Józefina uśmiechnęła się serdecznie.

– Kaja! – krzyknęła w głąb domu. – Kawaler do ciebie.

Kaja podeszła do drzwi z ociąganiem. Kawaler. Pomyślała, że Paweł, może przywiózł już z warsztatu jej samochód.

– Karol – powiedziała cicho na widok chłopca, zdumiona, że pamięta jego imię. Ostatnio zapominała nazw najprostszych sprzętów, umysł jeszcze nie

powrócił do normalnego funkcjonowania.

– Dzień dobry. – Chłopak prawie się uklonił.

Józefina narzuciła na plecy Kai swoją kurtkę i poszła do kuchni.

– Dzień dobry. Przyszedłeś do Daisy? – spytała Kaja. – Teraz wychodzi z nią pani Józefina, ale gdybyś bardzo chciał...

– Ja właściwie do pani – wszedł w słowo Karol. – Czy skrzydło już się wygoiło?

– Jakie skrzydło?

– Wiem przecież, że była pani w szpitalu. Pod domem pana Pawła znalazłem pióra, przede mną nie musi pani nic ukrywać.

Kaja spojrzała na chłopca, nie rozumiejąc, co do niej mówi. Pióra na podwórku u Pawła? Jakie pióra? Chciała właśnie o to dopytać, kiedy Karol wyjął z kieszeni kopertę.

– To dla mojego taty – wyjaśnił. – List. Ode mnie. Sam napisałem. Mogłaby pani mu go dostarczyć?

– Ja?

– No tak, bo ja nie znam adresu.

– Ja przecież też nie znam.

– Ale anioły mogą wszystko. – Popatrzył na nią z nadzieją.

– Karol... – powiedziała spokojnie Kaja. – Nie wiem, co sobie ubzdurałeś, ale nie jestem żadnym aniołem. Anioły nie istnieją. Mikołaj zresztą też nie – przyznała po chwili, choć nie zdobyła się na odwagę, żeby zdradzić, iż to ona podrzuciła różgę.

– Nieprawda! – zaprzeczył chłopak stanowczo. – Mówi tak pani, żebym się odczepił. Jest pani zła, że się dowiedziałem, ale przysięgam, nie powiem nikomu. Umiem dochować tajemnicy.

– Jakiej tajemnicy, młody, o czym ty mówisz? – Kaja okazała zniecierpliwienie. Mimo zarzuconej na plecy kurtki było jej zimno.

– Nie będę o nic więcej prosił – zapewnił. – Tylko żeby pani dostarczyła ten list do mojego taty.

Kaja przekrzywiła głowę i westchnęła. Chłopak był tak zdeterminowany, że nie wiedziała, jak go przekonać, że nie jest żadnym aniołem, nie przekaże listu i w ogóle nie ma możliwości mu pomóc.

– Nie dam rady, sorry – powiedziała, chwytając za klamkę, żeby zamknąć drzwi.

– Proszę! – krzyknął, oczy mu się zaszklily. – Dałem pieniądze na zwierzęta. Wszystkie pieniądze, które od pani dostałem. Na zwierzęta. Przysięgam. Wszyściutko.

– Jezu – syknęła pod nosem. – Na jakie zwierzęta?

Karol nie słuchał, zdruzgotany odmową. Wciąż powtarzał prośby, jakby ta

mantra miała przekonać Kaję do zmiany zdania.

– Proszę, błagam. – Składając ręce jak do modlitwy, uklęknął przed Kają. Spomiędzy dłoni wystawała pognieciona już trochę koperta. – Żeby tata dostał ten list na święta. Proszę, błagam, proszę.

– Wstawaj, zaraz ci kolana do ziemi przymarzną – zdenerwowała się Kaja. – Dawaj ten list. – Wyszarpnęła z rąk chłopca kopertę. Chciała już skończyć męczącą rozmowę. W liście były najpewniej świąteczne życzenia, nawet jeśli Karol pomyśli, że zostaną dostarczone, to przecież nie może mieć do niej pretensji, że ojciec nie odpisuje.

Karol, zdumiony niespodziewanym zwrotem, najpierw zaniemówił. Potem na jego zarumienionej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Dziękuję! – powiedział radośnie, wstając z klęczek. – Dziękuję! Jest pani najlepsza! Najwspanialsza! Wiedziałem, że mi pani pomoże!

Kaja włożyła kopertę do kieszeni kurtki. Karol w podskokach wycofał się za ogrodzenie. Ciągle wykrzykiwał, że dziękuje. Widać było, że naprawdę się cieszy, jest wręcz szczęśliwy, że Kaja wzięła ten list.

– Nawet jeśli dostarczę, to nie oczekuj odpowiedzi! – krzyknęła za nim. Wolą od razu pozbawić go nadziei, nie zamierzała dostarczać listu, na którym nawet nie było adresu.

– Tata odpowie, jestem tego pewien! – odkrzyknął.

Józefina wygarniała popiół z kuchennego pieca. Podniosła się, kiedy weszła Kaja. Lewą dłonią rozmasowała lędźwie.

– Trzeba się było nie schylać, ja to zrobię – zaproponowała nieoczekiwanie Kaja.

Józefina spojrzała na nią zaskoczona. Dziewczyna od kilku dni tylko leżała ze wzrokiem wbitym w sufit, płakała po cichu lub spała. Nie wykazywała chęci ani do rozmowy, ani do jakiegokolwiek innej aktywności. Czyżby poczuła się lepiej – przebiegło Józefinie przez myśl. Ucieszyła się, ale tylko przez chwilę. Kaja usiadła na krześle. Nadal miała podkrążone oczy, a cerę szarą, z widoczną głęboką bruzdą między brwiami. Zmartwienia odcisnęły piętno, choć zapewne to fizyczne i tak było mniej wydatne niż to psychiczne. Jej ruchy, kiedy sięgała po szklankę ostygłej herbaty, zdawały się spowolnione, choć głos brzmiał już pewniej niż wczoraj.

– Ty lepiej odpoczywaj – powiedziała Józefina. – Pojutrze wigilia, dobrze by było, gdybyś do tego czasu kolory odzyskała. Błada jesteś jak ściana.

– Wyjadę do tego czasu, nie będę zawracać głowy w święta.

– Rozmawialiśmy już. Nigdzie nie pojedziesz. Paweł zresztą wziął twój samochód.

– No tak. To pojedę pociągiem.

– Dziecko. – Józefina załamała ręce. – Coś ty taka uparta. Wrócisz po Nowym Roku, jak już wydobrzejesz, wcześniej cię samej nie puszcę.

- Ale ja na wigilię do Angel’s nie pójdę – zastrzegła stanowczo Kaja.
- Dlaczego? Potrzebujesz wyjść, spotkać się z ludźmi.
- Nie chcę. Już wolę sama siedzieć...
- To może chociaż dziś wieczorem na kiermasz ze mną pójdziesz, świąteczny. Ciasteczka naszykowałam. Dobrze by było, gdybyś trochę wyszła, spacer sobie zrobimy, świeże powietrze dobrze robi.
- Nie mam ochoty. Ani siły. Może innym razem...
- A ten chłopak co chciał? – przypomniała sobie Józefina.
- A, z psem moim wychodził za pieniądze, gdy mieszkałam u Polniaka. – Kaja ziewnęła, zakrywając dłonią usta. – Pytał, czy dalej może tak zarabiać. – Nie miała ochoty rozwodzić się nad prawdziwym powodem wizyty Karola.
- A to chłopak Zdrojków?
- Nie wiem. Nie znam nazwiska.
- Syn Eweliny Zdrojek, żony dyrektora. Ona tera Zdrojek, wcześniej to była Kowalska.
- Aha. No tak, żona dyrektora. Tak, to jej syn.
- Bidne dziecko – rozczuliła się Józefina. – Też ma życie niewesołe. Ojca mu ze wsi przegnali, tera rodzina nowa. Choć z drugiej strony – zamilkła na chwilę – może mu lepiej. Dom wielki, niczego nie brakuje. Wtedy to ledwo koniec z końcem wiązali. Może mu i lepiej...
- A czemu ojca przegnali ze wsi?
- A bo to ja wiem? Chłał podobno, awanturował się. Ja tam nigdy go pijanego nie widziałam. A przecie przychodził, jeszcze jak mój Stasiulek żył, dość często, złota rączka żeśmy na niego mówili. Dobry chłopak, tak się zdawało. A potem się okazało, że w czterech ścianach ujawniał inną naturę...
- Kaja się zamyśliła. Przypomniała sobie scenę, której była świadkiem. Pan dyrektor, człowiek obdarzony szacunkiem, w domu bił po głowie pasierba. Może Ewelina nie reagowała właśnie dlatego, że bicie po głowie było jej zdaniem niczym w porównaniu z tym, jakie awantury urządzał poprzedni partner. Kaja westchnęła. Co te kobiety mają w głowach, że godzą się na takie zachowania – przeszło jej przez myśl.
- Na obiad zrobię racuszki. – Głos Józefiny wyrwał dziewczynę z zamyślenia.
- Dziękuję, nie jestem głodna – powiedziała, wstając.
- Nawet nie chcę słyszeć. Musisz jeść. Apetyt za jakiś czas wróci, zobaczysz. Dwa zjesz i dam ci spokój. A leki wzięłaś?
- Wzięłam, pani Józefino. Ale czy ja wiem, czy to w ogóle coś pomaga?
- Dziecko, toż to nie od razu.
- Chciałabym, żeby było jak kiedyś.
- Przed przyjazdem do Polanki? Przed kupnem lasu?

– Jeszcze dawniej. Chciałabym cofnąć się o kilka lat.

– Tak się nie da – roześmiała się Józefina. – Trza zaakceptować, co było, i iść do przodu.

– Inaczej bym postąpiła... – Kaja westchnęła i zaraz popłynęły jej łzy. Otarła je wierzchem dłoni. – Przepraszam – szepnęła. – Znowu płaczę, choć nie chcę. Przepraszam.

– Ty mnie nie przepraszaj, nie masz za co. I płacz, jeśli czujesz potrzebę, wcale się nie krępuj. Podaj mąkę. – Józefina wskazała ręką na szafkę. – A z czym byś inaczej postąpiła? – spytała mimochodem.

Kaja podniosła wzrok. Oczy miała czerwone, szkliste, łzy płynęły samoistnie.

– Ze wszystkim. – Pociągnęła nosem. – A te racuchy z czym będą? Z jabłkami? – Wyraźnie chciała zmienić temat.

– Z jabłkami. I posypane cukrem pudrem. Lubisz?

Kaja potakiwała i choć starała się uśmiechnąć, to oczy wciąż łzawiły, coraz mocniej.

– Przepraszam, pani Józefino – łkała. – Okropnie się czuję z tym płaczem, nie wiem, co się ze mną dzieje, nie mogę go powstrzymać. To straszne, przecież nigdy taka nie byłam.

Józefina odłożyła nożyk, którym kroićła właśnie jabłka, i nachyliła się nad stołem, zbliżając twarz do twarzy Kai.

– Przestań się oceniać, dziecko. Każda chwila w życiu ma swój sens. Czasem człowiek robi coś głupiego, bo nie potrafi inaczej. Potem się uczy. Potem próbuje coś zmienić. Nawet jeśli popełniałaś błędy, to nie o to chodzi, żeby je odwrócić, bo czasu nie cofniesz. Ważne, żeby je zrozumieć i zaakceptować. Zmiana przychodzi później. Z każdym dniem jesteś mądrzejsza, a doświadczenia, nawet te złe, zawsze czegoś uczą. Nie wyrzucaj sobie, że kupiłaś las, który niewiele jest wart. Naucz się żyć z tym lasem.

Kaja łkała cicho, nie starając się już nawet ocierać spływających łez. Patrzyła na Józefinę niewidzącym wzrokiem, lecz wyraz jej twarzy wskazywał, że słucha uważnie.

– To wcale nie chodzi o las, pani Józefino – jęknęła po dłuższej chwili, a jej głos się załamał. – To wcale nie chodzi o las...

**

Sukienka była trochę przyciasna, Danką Grzelak ostatnio przytyła. Nie przejmowała się jednak, udając, że nie dostrzega dodatkowych kilogramów odkładających się na biodrach. Stojąc przed lustrem, cmokała do swojego odbicia, zadowolona, że wreszcie może się pokazać w kiecce kupionej we Wrocławiu jeszcze jesienią.

– No i jak? – spytała, zerkając na męża. Miała nadzieję, że pochwali jej wygląd. Gienek jednak nie był skory do komplementów. – No i jak? – powtórzyła pytanie, podnosząc głos.

– Dobrze. Może być – odparł, wcale na nią nie patrząc. Pograżony był w dokumentacji, którą przysłał prokurator. Sekcja zwłok nie wykazała niczego niezwykłego. Ponadto sprawdzono, że w odholowanym samochodzie rzeczywiście brakowało benzyny. Sprawa była zatem jasna, Patrycja mówiła prawdę. Ryszard Stępień upił ją, po czym okradł i zamierzał uciec. Z powodu braku benzyny wysiadł z samochodu, chcąc przejść pieszo na najbliższą stację. To, że postanowił sobie skrócić drogę i przejść po zamarzniętym jeziorze, było jego decyzją. Nie mógł spodziewać się przerębli wydrążonej kilka metrów dalej. Wpadł do lodowatej wody i nie potrafił się wydostać. Być może spanikował, czując nad sobą lód, zanim trafił na dziurę. Dlatego stracił tak wiele sił i potem po prostu usnął i zamarł. Niby młody, silny człowiek, ale nocą w lodowatej wodzie niejeden osiłek by przegrał.

– Co to znaczy „może być” – prychnęła Danka. – Ładnie czy nieładnie?

– Bardzo ładnie.

– A te kolczyki pasują?

– Pasują.

– A ty? Może też już byś się ubrał, za chwilę trzeba jechać.

– Ale dokąd? – kolejne pytania wyrwały Grzelaka z zamyślenia. Spojrzał na żonę nieprzytomnym wzrokiem.

– No jak to dokąd? Na kiermasz świąteczny! Co ty myślałeś, że ja tak się stroję do kolacji?

– Na kiermasz... – Grzelak westchnął. – A po co chcesz tam jechać? Choinkę przekazaliśmy, wystarczy. Nie musimy tam być.

– Co roku jesteśmy, to i w tym będziemy – uparła się Danka. – Garnitur załóż.

– Naprawdę musimy? A może sama pojedziesz, robotę mam.

– Robotę, robotę – wyskrzeczwała, przedrzeźniając głos męża. – Zawsze ta robota, a premii i awansu jakoś nie widać.

Grzelak zacisnął usta. Znow to samo.

– A ty tylko o pieniądzach gadasz. Sama do roboty jakiejś idź, to zobaczysz, jak łatwo o premię! – uniósł się.

– Tak? – Spojrzała na niego, otwierając szeroko oczy, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. – Do roboty mam iść? A niby teraz to nie pracuję? W domu nie robię, rodzicom twoim na gospodarstwie nie pomagam? To robota niby nie jest? Bo pieniędzy nie zarabiam, tak?

Grzelak opuścił wzrok, nie chciał wchodzić w dyskusję, wiedział, że przegra. Danka jednak nie zamierzała odpuszczać, nakręcała się coraz bardziej.

– To w takim razie proszę bardzo! Płać mi za gotowanie, za sprzątanie, za

pranie! Płać! Albo se wynajmij gosposię, zobaczymy, jaki będziesz chojrak, gdy ci wystawi rachunek. Proszę bardzo! Sukienkę też mogę zdjąć, bo pewnie gula ci rośnie, że za twoje kupiłam, co?

– Nic mi nie rośnie, Danusiu, źle mnie zrozumiałaś.

– Jutro jadę do miasta pracy szukać, a ty idziesz do swoich rodziców, po cholerę ja im w ogóle pomagam? I święta przygotujesz. Nawet ci nie dam wskazówek, co masz ugotować.

– Ale Danusiu...

– Teraz to „Danusiu”! Zobaczymy, jak będziesz kwiczał, kiedy dom będzie na twojej głowie! Do pracy pójde i będę wracała zmęczona, oczekując obiadu i porządku w domu. Może łaskawie kupię ci jakiś krawat za pierwszą pensję.

– Danuś... – podjął znów Grzelak, ale zamilkł, ponieważ Danka nie słuchała. Mówiła jak nakręcona, patrząc na niego z obłędem. Poczekał cierpliwie, aż się wygada.

– To w co mam się ubrać na ten kiermasz? – spytał, kiedy wreszcie przestała.

– W garnitur.

**

Józefina, przywieziona do szkoły na kiermasz przez sąsiada, najpierw udała się do szatni. Powiesiła kurtkę na wieszaku, rękawiczki wcisnęła do kieszeni kurtki, a szalik i czapkę do rękawa. Zmieniła także buty. Brązowe kozaki ustawiła przy ławce, a zamiast nich włożyła mokasyny. Ktoś, przechodząc obok, przywitał się z nią, ale nie usłyszała, pogrążona we własnych myślach. Martwiła się Kają. Dziewczyna nie chciała rozmawiać, zamiast tego dusiła w sobie jakieś sprawy. Jeśli nie chodziło o las, to o co? Paweł wspominał, że firma, którą prowadziła we Wrocławiu, chyba upadła, może więc to było dodatkową przyczyną depresji.

Kaja naprawdę cierpiała, a Józefina razem z nią. Bolało ją to, że nie potrafi pomóc. Serce jej się krajało, kiedy patrzyła na zapłakaną bladą twarz dziewczyny, która jeszcze kilka tygodni temu tryskała witalnością, a w jej oczach błyskały zadziorne chochliki.

– O, jesteś już. – Głos nad uchem Józefiny zabrzmiał aż za głośno. Teresa. Józefina uśmiechnęła się na widok przyjaciółki.

– Jestem, Pietrek mnie przywiózł.

– A ja na piechotę. Ale śniegu napadało! – Teresa strząsnęła mokre płatki z kożucha.

– No i dobrze, białe święta będą.

– Dla kogo dobrze, dla tego dobrze. Znowu trza będzie odśnieżać. Dla mnie to za wiele, już nie te lata.

– Ale rodzina przecież ci na święta zjeżdża, to będzie miał kto odśnieżyć.

– A tam, odśnieżą. – Teresa machnęła ręką. – Na gotowe przyjeżdżają.

Założę się, że żadne z nich za łopatę nie chwyci.

– Ciesz się, że córkę będziesz miała przy sobie – westchnęła Józefina. Jej syn od wielu lat mieszkał w Australii i nie zapowiadało się, żeby miał przylecieć do Polski w najbliższym czasie.

– Co racja, to racja – przyznała Teresa.

Poszły na górę, do sali gimnastycznej, gdzie przygotowano stanowiska do sprzedaży produktów. Jak co roku pieniądze z kiermaszu miały być przeznaczone na pomoc najbiedniejszym. Zazwyczaj kiermasz odbywał się wcześniej, już dwa tygodnie przed świętami, teraz jednak z uwagi na zaangażowanie jego głównych organizatorów w sprawy ośrodka wczasowego przeniesiono wszystko na dwa dni przed Wigilią.

– Obawiam się, że w tym roku dużo nie zbierzemy – jęknęła Teresa, kładąc na stolik pudełko z pierniczkami. – Ludzie święta szykują, nie będzie im się chciało ciasteczek kupować. Bombki też raczej już każdy ma. – Skinęła brodą na stanowisko obok, gdzie kobiety z kółka różańcowego rozkładały właśnie ręcznie wykonane ozdoby choinkowe.

– A ta znowu co taka naburmuszona? – spytała Józefina wskazując dyskretnie na Krystynę.

– Normalnie jak na nią. Widziałaś ją kiedyś w humorze? – Teresa uśmiechnęła się lekko.

– W humorze to nie, ale widać wyraźnie, że teraz jest wściekła.

Teresa wzruszyła ramionami. Ona nie widziała różnicy.

Dla niej Krystyna zawsze wyglądała na niezadowoloną.

– Chyba powinnyśmy się przywitać – powiedziała, kiedy już rozłożyły swoje wiktuały.

Józefina przyznała jej rację. Od jakiegoś czasu między nią a Krystyną lepiej się układało, dlatego uznała, że rzeczywiście niegrzecznie byłoby udawać, że się nie znają. Tym bardziej że ich stolik znajdował się zaledwie trzy metry od stolika Krystyny.

Kobiety podeszły i uśmiechnęły się promiennie.

– Dobry wieczór – powiedziała Teresa. Józefina zawtórowała.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Krystyna bez cienia uśmiechu. Jej koleżanki pokiwały głowami na powitanie, lecz także nie zaszczyciły Józefiny i Teresy uśmiechami. – Widziałyście? – spytała zdenerwowanym głosem Krystyna.

– Cóż za bezczelność, nie mogę tego przeżyć.

Józefina spojrzała na Teresę.

– Co się stało? – spytała.

– A co ty? Ślepa? Wszędzie plakaty przecie wiszą! – W Krystynie aż bulgotało ze złości.

Józefina skrzywiła usta, zdezorientowana. Niczego nie zauważyła. Nie

zwróciła uwagi na plakaty. Teresa też nie. Rozejrzały się teraz. Rzeczywiście, drzwi do sali oraz jedna ze ścian obklejone zostały kolorowymi plakatami. Z tej odległości jednak nie było widać, co to za ogłoszenia.

– Krysiu – mówiła spokojnie koleżanka Krystyny, Bogusia, ale jej wzrok wyrażał zaniepokojenie. – Ty się nie denerwuj, bo zara ciśnienie ci skoczy.

– Już skoczyło – odgryzła się Krystyna.

– No to weź oddech, bo jeszcze nam jakiego zawału dostaniesz czy co – wtrąciła Elżbieta.

– Ale co to za plakaty? – zainteresowała się Józefina.

– Sołtys koncert noworoczny będzie urządzał! – Krystyna aż krzyknęła.

– To chyba dobrze...

– Jak dobrze? Obcych sprasza, zamiast nas poprosić, żebyśmy śpiewały!

– Jakich obcych?

– Mnie się pytasz? Jakąś Skrzydlatą Atenę!

– Skrzydła Ateny, Krysiu – poprawiła Elżbieta. – To zespół chyba, przynajmniej tak jest napisane, że zespół.

– Jeden czort! Dziad z tego sołtysa! Pewnie młode dziewczuchy mu się spodobały. I pewnie wcale śpiewać nie potrafią. Wystarczy, że kiecki krótkie ponakładają – bulwersowała się Krystyna. – Aż mną trzęsie!

– Widzę. – Teresa pokiwała głową. – Ale co mu się dziwić, stara się chłopina. Polankę chce w miasto zmienić, burmistrzem zostać. Wydarzeń i atrakcji u nas przecież brakuje, sołtys chce pokazać, że coś robi – tłumaczyła spokojnie.

– A niech se robi! Niech se robi! – syczała Krystyna. – Kto mu broni?! Ale niech swoich bierze. Co to, w Polance śpiewać nie umiemy? Koncertu nie mogłybyśmy dać?

– Krysiu, ale my to tylko pieśni maryjne – zauważyła Bogusia. – Może on co innego chciał...

– Jeszcze go bronisz?

– Nie bronię – zarzekła się Bogusia. – Ale... No może nie wiedział, że my... Jakby to ksiądz organizował, pewnikiem my byśmy śpiewały.

Elżbieta chciała coś wtrącić, ale zauważyła zbliżającą się do niej wnuczkę, Kasię. Dziewczyna była czerwona na twarzy od mrozu, a kurtka i czapka lśniły płatkami śniegu.

– Do szatni biegnij – nakazała Elżbieta. – Zgrzejesz się.

– Tylko pudło zostawię. Mama dała łańcuchy, zdążyłam? – spytała zdyszana.

– Chodź no tu – wychrypiała Krystyna. Kasia się zbliżyła niepewnie.

– Słuchaj. – Krystyna nie dbała o to, żeby mówić cicho. – Przejdziesz się wzdłuż ścian i pozrywasz te wszystkie plakaty, póki ludzi nie ma.

– Krysiu! – oburzyła się Elżbieta. – Tak nie można, sołtys będzie wściekły.

– Co mnie sołtys? O mnie się martw, ledwie zipię z tych nerwów, a nie

o sołtysa, on zdrowy.

– Ale tak nie wypada – zgodziła się Bogusia. – Stało się, to się stało. Zaprosił, miał prawo. Na następny rok my zespół założymy.

– Ale o co chodzi? – spytała zdezorientowana Kasia. Elżbieta opowiedziała, w czym problem. Kasia zdjęła czapkę. Usiadła.

– Skrzydła Ateny? Nie znam? Może to jakiś zespół hardrockowy... – zamysliła się.

– My swój założymy! – powtórzyła z naciskiem Bogusia. – I też się nazwiemy. Jakoś.

– Jeśli coś ze skrzydłami, to nawet mam pomysł – podjęła Kasia. – Mogą być Skrzydła Anioła. Skrzydła to nawet skombinuję – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Miałyśmy z dziewczynami kolędować, ale nie wyszło... Jednak wiem, skąd wziąć skrzydła. W Angel's mają.

– Czyli strój sceniczny mamy – ucieszyła się Elżbieta.

– Ale nazwa mi się nie podoba. – Krystyna nadal była niezadowolona. – Pomyślą, że zżynamy. Tam skrzydła i tu skrzydła.

– To pióra! Pióra Anielskie – zaproponowała Kasia.

– Może Aniołki Krystyny – wtrąciła Józefina pod nosem, ale nikt jej nie usłyszał.

– Pióra Anielskie? – Krystyna kręciła nosem. – To już lepiej Zespół Maryi Panny.

Elżbieta zerknęła na Bogusię.

– To nie mają być pieśni maryjne. Te śpiewamy pod kapliczką – zauważyła. – Na koncercie trzeba coś innego.

– Wymyśli się – zdecydowała Krystyna. – Najpierw plakaty trzeba zerwać – poleciła stanowczo. – Patrzyć na to nie mogę.

Kasia się poderwała i spojrzała pytająco na babcię. Elżbieta dała nieme przyzwolenie.

– Tylko się pośpiesz, bo zara ludzie przyjdą – ponagliła Krystyna.

Napięcie opadło. Józefina usiadła przy swoim stoliku, Teresa mimochodem podjadała pierniczki wystawione na sprzedaż. Obserwowały Kasię, która energicznymi ruchami odrywała ze ścian plakaty i je gnioła. Udało jej się w ostatniej chwili, ponieważ kilka sekund po tym, gdy usunęła ostatni, do sali gimnastycznej zaczęli wchodzić kolejni wolontariusze, a wkrótce napływać również goście.

– Ale adrenalina – ekscytowała się Kasia, kiedy wróciła na stanowisko kółka różańcowego.

– Dobra robota – pochwaliła Krystyna. Nadal się nie uśmiechała, ale teraz jej twarz nie była już tak zacięta. – Już ja dam sołtysowi reklamę!

– Całe szczęście, że zdążyłam, bo właśnie przylazł. I to nie wiecie z kim!

Kobiety spojrzały na nią pytająco.

– Usłyszałam, że to menedżerka tego zespołu...

– Co za bezczelny typ! – Krystyna znów się zdenerwowała. – Młoda pinda pewnie?

– Młoda... Raczej... – Kasia nie potrafiła sprecyzować wieku. Była zbyt zaaferowana ukrywaniem podartych plakatów, by się bliżej przyglądać. – O, idą – szepnęła, sięgając po jeden z łańcuchów choinkowych, żeby zająć czymś ręce i ukryć podenerwowanie.

Sołtys rzeczywiście zmierzał w ich kierunku w towarzystwie żony i młodej ładnej brunetki. Minę miał nietęgą, prawdopodobnie zauważył, że plakaty zostały zniszczone.

– Dobry wieczór miłym paniom – przywitał się.

Krystyna podniosła jeden kącik ust, co miało chyba oznaczać uśmiech. Żona sołtysa ukloniła się i również przywitała, podobnie jak brunetka stojąca obok niej. Sołtys dokonał prezentacji. Okazało się, że kobieta rzeczywiście jest menedżerem zespołu, którego występy zapowiadano na plakatach. Krystyna przygryzła usta.

– Pan sołtys po bombeczki? – spytała Elżbieta, żeby zagadać cokolwiek. Bała się, że Krystyna za chwilę wybuchnie.

– Ja właściwie z pytaniem. – Sołtys odchrząknął. – Bo panie, zdaje się, pierwsze dzisiaj przybyły?

– Ano pierwsze – potwierdziła z dumą Bogusia. – My zawsze pierwsze.

– No właśnie... Bo... Widzą panie... Plakaty od wczoraj wisiały, woźny rozwiesił. A dzisiaj nie ma...

– Ani jednego – wtrąciła żona sołtysa. – A my tu z panią – wskazała na menedżerkę – współpracę nawiązaliśmy, chcieliśmy plakatami się pochwalić. Widziały może panie, kto plakaty usunął?

Wszystkie trzy pokręciły głowami. Kasia wbiła wzrok w bombki.

– Żadnych plakatów nie było, jak żeśmy przyszły – powiedziała stanowczo Krystyna.

– Ktoś musiał ściągnąć – zamyśliła się sołtysowa.

– Wandale. – Elżbieta była przekonana.

– Gdzie tam – zaoponował sołtys. – U nas? W Polance? Żadnego wandalizmu nie ma.

– To nie widziały panie? – upewniła się sołtysowa, nieco zmieszana. Spojrzała na brunetkę przepaszającą. – Nie wiem, co się stało. Wisiały na pewno. Andrzej sam przywoził – tłumaczyła.

– Nie szkodzi. – Kobieta się roześmiała. – Zrobi się drugie. A przy okazji. – Spojrzała na Krystynę. – Nawiązaliśmy współpracę z panem sołtysem, siódmego stycznia planujemy pierwszy koncert naszego zespołu. Zapraszamy serdecznie.

– Dziękujemy. – Krystyna starała się opanować ironię w głosie. – Ale

siódmego stycznia mamy własne próby. W Polance też jest zespół – powiedziała dobitnie. Elżbieta i Bogusia pokiwały głowami.

– Mamy jakiś zespół? – zdziwił się sołtys.

– Owszem – z zapalem potwierdziła Elżbieta. – Nawet się nazywamy. – Zamilkła, przypomniawszy sobie, że nazwa nie została w końcu ustalona.

– Ale my, takie tam, starsze panie – wtrąciła zgryźliwie Krystyna, patrząc na sołtysa wyzywającym wzrokiem. – Babcie właściwie, nad grobem już niemal stojące, nikt nas nie zaprasza, żebyśmy koncert dały, teraz to młodych tylko...

Bogusia, zauważywszy, że Krystyna zanadto się nakręca, kopnęła ją delikatnie pod stołem.

– Wspaniale! – Ucieszyła się menedżerka. – Może zatem zechciałyby panie do nas dołączyć? Reprezentujemy uniwersytet trzeciego wieku. Średnia wieku siedemdziesiąt lat.

– O matko, to tyle co my – wyrwało się Elżbiecie.

– Gdyby panie dołączyły, koncert byłby jeszcze bardziej atrakcyjny, prawda, panie sołtysie? – Menedżerka spojrzała na mężczyznę. Pokiwał głową.

– Ależ oczywiście – powiedział. – Trzeba pokazać i nasze kobitki. Gdybym wiedział wcześniej, że u nas jest zespół, to...

– A bo on się, panie sołtysie, niedawno związał – wyjaśniła szybko Bogusia.

Krystyna milczała. Z jej wzroku trudno było wyczytać cokolwiek. Do sali wchodziło coraz więcej ludzi i wkrótce przy stoliku z bombkami zrobił się niezły tłumek. Sołtys uśmiechnął się przepraszająco.

– Nie będziemy już paniom przeszkadzać – powiedział, biorąc żonę pod rękę. – Z tymi plakatami wyjaśnię z woźnym, dziękuję za pomoc. A zresztą, zrobi się drugie.

– A ja zostawię kontakt do siebie – wtrąciła menedżerka, wyjmując z torebki kilka wizytówek. – Zdzwońmy się po świętach, porozmawiamy o repertuarze.

Odchodząc, zamieniła też kilka słów z Józefiną i Teresą, które siedziały przy stoliku obok. Im również zostawiła wizytówki.

– Cholera, to co robimy? – spytała zdenerwowana Elżbieta. – Niepotrzebnie żeśmy te plakaty darły.

– Potrzebnie – odparła zdecydowanym tonem Krystyna. – Gdyby nie to, nigdy by się o naszym zespole nie dowiedzieli.

– Racja. A jak właściwie się nazywamy?

– No przecież Anielskie Pióra – powiedziała milcząca dotąd Kasia.

– Nie. – Krystyna zaprzeczyła stanowczo. – Nazywamy się Boskie Głosy.

Kobiety spojrzały na nią z uznaniem.

– Ładnie! – zachwyciła się Elżbieta.

Kiermasz skończył się późnym wieczorem. Józefina była zadowolona,

ponieważ udało jej się sprzedać wszystko, co przywiozła. Gorzej poszło Teresie, w jej pudełku zostało kilka paczek pierniczków.

– Mówiłam, że przyjdzie mniej ludzi niż w zeszłym roku – powiedziała niepokojona.

Zeszły do szatni. Tłum, który się tam kłębił, powodował, że musiały chwilę poczekać. Kiedy wreszcie ubrały się i wyszły na zewnątrz, Teresa miała już lepszy humor.

– Pierniczki się nie zmarnują, powieszę je na choince.

– Świetny pomysł – przytaknęła Józefina, rozglądając się za sąsiadem, Piotrem, który zgodnie z obietnicą miał podjechać pod wejście, żeby zabrać je obie i odwieźć do domów.

– Wiesz co, Józiu – Teresa nachyliła się do Józefiny – ja to się zgłoszę na ten koncert. Jeszcze nigdy nie stałam na scenie – przyznała, chichocząc. – Co mi szkodzi spróbować.

– A pewnie, zgłoś się.

Teresa zajrzała do torebki. Nagle się wyprostowała, zmartwiona.

– Nie wzięłam tej karteczki ze stołu – powiedziała. – Muszę wracać.

– Jakiej karteczki?

– Z numerem telefonu. Wizytówki, jak to zwą?

– Ja gdzieś mam. – Józefina, wciąż rozglądając się po parkingu w poszukiwaniu Piotra, wsunęła rękę do kieszeni kurtki i coś w niej wyczuła. – A to co? – Wyjęła kopertę i spojrzała na nią zdumiona. – O Matko Boska! – krzyknęła nagle. – Gdzie Piotr? Gdzie Piotr? – Zeszła zdenerwowana po schodkach i zaczęła machać w kierunku samochodów wyjeżdżających powoli z parkingu.

– Co się stało? – Teresa też się zdenerwowała.

– List. Matko Boska. Kaja miała na sobie tę kurtkę w południe. Matko Boska! – powtarzała, a w jej głosie wyczuwalna była coraz większa panika. – Jak mogłam ją samą w domu zostawić! Pietrek! Pietrek! – Zamachała na widok auta sąsiada.

– Nie rozumiem. – Teresie głos drżał ze zdenerwowania, kiedy wsiadały do samochodu. – Co to za list? O Jezusie! – zreflektowała się nagle. – Pożegnany?

– A jaki? – Józefina nie miała wątpliwości. Serce biło jej jak oszalałe. – Pietrek, najpierw do mnie gnaj.

– Ślizgawka jest – zauważył przytomnie sąsiad. – Mróz chwycił. A co, pożar?

– Żeby to pożar! – zawodziła Józefina.

Drżącymi dłońmi rozerwała kopertę i zaczęła czytać. Teresa bała się spojrzeć przez ramię. W milczeniu czekała, aż przyjaciółka skończy.

– O Jezusie drogi – wyszeptwała Józefina, oddech miała ciężki. Głowę odchyliła do tyłu i przytknęła oczy.

– Boże jedyny. – Teresa zbladła. – Ojciec nasz, któryś jest w niebie – zaczęła się modlić po cichu.

Piotr, przerażony, dodał gazu.

– Zwolnij, Pietrek – nakazała Józefina spokojniejszym już tonem. – Żebyśmy wypadku jakiego nie mieli. I najpierw Tereskę odwieziemy.

– A co? – spytała płaczliwie Teresa. – Za późno już? Już się stało? Nie zostawię cię samej, Józiu, w takim momencie.

– Nic się nie stało, Teresko – uspokoiła Józefina. – To nie od Kai list. Nie pożegnalny.

– Dzięki Bogu! – Teresie aż popłynęły łzy. Z serca spadł kamień. Nie pytała o nic więcej, najważniejsze, że najgorsze obawy się nie sprawdziły.

Józefina w milczeniu złożyła kartkę i umieściła z powrotem w kopercie. Trzymając list we wciąż jeszcze drżących dłoniach, zamyślonym wzrokiem spojrziała za okno. Treść listu zamącała w jej głowie.

„Kochany tato. To ja, Karol. To już piąty list, który do ciebie piszę. Mama mówi, że nie da się wysłać, bo nie mamy twojego adresu, ale tym razem się uda na pewno. Tato, bo ja spotkałem anioła!!! Takiego prawdziwego, co udaje panią. Ona nam pomoże. Bardzo bym chciał, żeby ta wojna się skończyła, na której jesteś, i żebyś po mnie wrócił. Pomyślałem, że może wysyłasz listy, ale one, tato, nie dochodzą, bo nie mieszkamy już w naszym starym mieszkaniu, ale w domu pana Mietka. On jest trochę srogi, ale ja nie płaczę. Wiem, że musimy z nim mieszkać, bo ty jesteś na wojnie. Mama mówi, że muszę być grzeczny, bo inaczej pan Mietek wyrzuci nas z domu. No więc jakby nas wyrzucił, to ja pójdę do naszego starego mieszkania i tam będę na ciebie czekał. Tato, jak skończy się już ta wojna, to przyjedź do pana Mietka po mnie, a jak mnie tam nie będzie, to będę w starym mieszkaniu. Karol”.

**

Kiedy Józefina wróciła do domu, Kaja była w kuchni i robiła kolację. Staruszka przez chwilę wpatrywała się w nią bez słowa. Zauważyła, że ruchy dziewczyny są powolne i chaotyczne i nawet krojenie chleba sprawia jej trudność, chociaż nóż był całkiem ostry. Mimo to Józefina ucieszyła się, że Kaja podjęła jakąkolwiek aktywność, zamiast tylko leżeć.

– Kiermasz się nie udał? – zagadnęła Kaja, zauważywszy, że Józefina od dłuższego czasu stoi w drzwiach kuchni i nic nie mówi.

– Nie było tak źle, trochę pieniędzy dało się uzbierać. Józefina w rękę trzymała kopertę. Pokazała ją Kai.

– Nie otwierałabym cudzego listu, ale nie wiedziałam, co to. Koperta bez adresata. Była w mojej kieszeni.

Kaja westchnęła.

– No tak. Zapomniałam. To list Karola.
– Czyli nie chodziło o wyjścia z psem...
– Ubzdurał sobie, że jestem aniołem. – Kaja pokręciła głową z dezaprobatą.
– A może jesteś. – Józefina uśmiechnęła się ciepło. – Może jesteś, Kaju.
Kaja mimo depresji parsknęła śmiechem.
– Nie jestem, to wiem na pewno.
– Przeczytałam ten list. Nie wiem, co o tym myśleć...
– Nie rozumiem, nie są to życzenia świąteczne?
– Sama zobacz. – Józefina podała kartkę. Kaja przeczytała list. Wzruszyła ramionami.
– Co mam powiedzieć. Rodzic to rodzic. Nawet jeśli ich maltretował, to dzieciak pewnie tego nie pamięta i tęskni za tatusiem. Ale co ja mogę? Do Afganistanu przecież nie pojedę z listem – mruknęła. – Zresztą nie mój interes. Nie wiem, co mu się w głowie ubzdurało, że jestem aniołem, to niedorzeczne. Może po prostu bardzo chciał znaleźć jakiś sposób na dostarczenie tego listu i trafiło na mnie.
– Do jakiego Afganistanu? – spytała Józefina. – O co chodzi z tą wojną, rzeczywiście, pisze o tym wyraźnie.
– Tak mi powiedział, że ojciec walczy na wojnie.
– A gdzie tam – stanowczo zaprzeczyła Józefina. – Sławek jest we Wrocławiu. Pracuje na budowie. W firmie Król. Wiem, bo Pietrek mu tę robotę załatwił.
– Może zrezygnował i zgłosił się do wojska...
– Na pewno nie.
– No to nie wiem. Może matka tak dzieciakowi powiedziała, żeby jakoś uzasadnić nieobecność ojca i to, że się nie kontaktuje.
– Z listu wynika, że to ona utrudnia kontakty – zauważyła Józefina.
– Jeśli prawdą jest, że się awanturował i był względem niej agresywny, to nie ma co się kobiecie dziwić.
– Jeśli jest prawdą... – Józefina się zadumała. – Coś mi tu jednak nie pasuje... Chłopak pisze, że to ojczym jest srogі.
Kaja ponownie wzruszyła ramionami.
– Widziałam niechcący, jak szanowny pan dyrektor próbuje wkładać mi do głowy wiedzę siłą... – zdradziła.
– Bił go?
– Bił to za mało powiedziane. Tłukł po głowie, aż żal było patrzeć.
Józefina, słysząc to, aż się zatrzęsła.
– Zareagowałaś jakoś? – spytała.
– Prawdę mówiąc nie – przyznała ze skruczą Kaja. – Kilka dni później dopiero miałam okazję rozmawiać z matką Karola. Powiedziałam jej, co

widziałam. Chyba było jej wstyd... – Kaja nie bardzo już pamiętała tamten dzień. Rozmowa w zakładzie fryzjerskim nie była dla niej aż tak istotnym wydarzeniem jak te późniejsze, na przykład pożyczenie samochodu od Roberta Wilczyńskiego i spotkanie z Wiechem w ośrodku.

– Nie do wiary. – Józefina wstawiła wodę na herbatę. – Dyrektor Zdrojek. Przecież to on jako pierwszy nagłośnił problemy Eweliny. Pamiętam, jak wszyscy we wsi o tym mówili. Patrzyliśmy na niego jak na rycerza, który biedną białogłową wyrwał z rąk złego smoka. Przyjął pod swój dach razem z dzieckiem. A tamtego ze wsi przegonił.

– Rzeczywiście jak rycerz – przyznała z przekąsem Kaja.

– A potem był ślub – ciągnęła Józefina. – Bajeczny, Ewelina w pięknej białej sukni, z długim welonem. Karolek obrączki podawał. Cała wieś przysła wtedy do kościoła. Wesele mieli skromne, w Angel's wyprawiali, jeszcze za życia Legranda. Tylko dla najbliższej rodziny. A konkretnie dla rodziny dyrektora, bo przecie Ewelina rodziny żadnej nigdy nie miała. Oni tu ze Sławkiem przyjechali za sprawą księdza. Gdzieś na pielgrzymce ich poznał, pomógł. Oboje z domu dziecka, szukali pracy, jakiegokolwiek, i jakiegoś kąta. Ksiądz załatwił i pracę, i mieszkanie, stróżówkę przy szkole. Ewelina właśnie w szkole pracowała jako pomoc na świetlicy czy coś. A Sławomir to, jak mówiłam, złota rączka. Dobra to była para, tak się zdawało. I Karolek się urodził. No a po czterech latach czy pięciu taki szok. Dla całej wsi szok, że Sławek żonę maltretuje. Po prawdzie to nawet małżeństwem nie byli. Ale to nieistotne. Wszyscy ich mieli za małżeństwo, ładna to była para. I taki szok. Nikt nic nie słyszał, mieszkanie przecie przy szkole, a w nocy w szkole to nawet ciecia nie było, on tylko w dzień.

– Czasem nawet gdy ktoś mieszka za ścianą, to niewiele słyszać, a co dopiero w innym domu – powiedziała Kaja.

– To prawda. Ale mimo wszystko, kiedy przeczytałam ten list, zaczęłam się zastanawiać. Pamiętam, że wszystko działo się tak szybko. Sławek najpierw się bronił, płakał, mówił, że to nieprawda. A potem ni stąd, ni zowąd potwierdził wersję Eweliny. I wyniósł się ze wsi.

– I to panią dziwi?

– Wtedy nie dziwiło. Wszyscy myśleli, że jest mu wstyd, podkulił ogon i uciekł. Ale teraz, gdy rozmawiamy, to zastanawiam się, dlaczego wtedy policji żadnej nie było, sprawy do sądu nie dali. Nawet Grzelak już po wszystkim rozkładał ręce i mówił, że żadnego zgłoszenia nie miał. Sam był w szoku.

– Myśli pani, że...

– Nic nie myślę. Trudno cokolwiek myśleć, jak się ludzi dobrze nie zna. Ale dzieciaka szkoda.

– Chce pani kanapkę? – Kaja podsunęła talerz bliżej Józefiny. Nie widziała sensu drażenia tematu. Cokolwiek stało się w rodzinie Karola, to nie była jej

sprawa. Ona miała własne problemy.

– Apetyt mi odjęło. – Józefina odsunęła od siebie talerz. – Spać przez ten list nie będę mogła. A co, jeśli wszyscy się mylimy i chłopina został niesłusznie oskarżony?

– Do sądu sprawy przecież nie dali.

– Ocena ludzi jeszcze gorsza. Biedak nie ma po co tu wracać. I tak dobrze, że Pietrek się ulitował i robotę mu załatwił. Bo przecie chłopina wygnany, oskarżony o najgorsze, musiałby się szwędać po świecie. Bez rodziny, bez dachu nad głową...

– Nie nam oceniać. Może sam sobie winien.

– Ale co dziecko winne?

– A co my możemy zrobić, pani Józefino.

– Najpierw zapytaj, co ty możesz zrobić. To do ciebie przyszedł.

– Nie jestem aniołem.

– Nie wiesz tego. Może dla niego jesteś.

– Nie jestem – upierała się Kaja.

– W takim razie ja pójdę jutro do Eweliny i porozmawiam z nią. Powiem, że dzieciak tęskni za ojcem. Niech tylko wyśle ten list, przecie nie muszą się spotykać.

– Aha. Już widzę, jak wyśle ten list, gdy przeczyta, że chłopak żali się na srogię ojczyzna...

– Coś mi w tym wszystkim nie pasuje... – powtórzyła z przekonaniem Józefina. – Ja może kobieta prosta i stara, ale przecucia nigdy mnie nie myliły. A tu mam przecucie, że dzieciak łgnie do dobrego.

– To przecucia panią jednak mylą – stwierdziła Kaja. – Bo dzieciak mnie na przykład uważa za anioła. A aniołem nie jestem. Nie ma we mnie dobra.

– Co ty, dziecko, opowiadasz – obruszyła się Józefina. – Więcej litości dla siebie. Mówiłam ci już, nie rozpamiętuj swoich błędów, po prostu w nie wejrzyj i weź nauczkę. Ten las...

– Nie o las chodzi, pani Józefino. Nie o las.

– To o co? Dlaczego aż tak źle się oceniasz?

– Nie daję już rady, pani Józefino – załkała Kaja.

– Ale z czym?

– Ze sobą. To okropne, że Karol właśnie mnie sobie upatrył, że widzi we mnie nadzieję. Gorzej już nie mógł trafić.

– Ja wiem, dziecko, że wpadłaś w kłopoty – powiedziała spokojnie Józefina. – Obiło mi się o uszy, bo Paweł napomknął, że firmę miałaś we Wrocławiu i ją straciłaś, że pieniędzy na życie brakuje, ale...

– Nikt mnie nie kocha – wyznała nadspodziewanie mocnym głosem Kaja. – Nikt, nawet matka. I ja nikogo nie kocham. Nie umiem, nie potrafię. Dlatego nic mi

nie wychodzi. Bo nie mam serca. Brakuje mi serca.

– Bzdury gadasz! Matka cię kocha. Przecie przyjechała do ciebie, sama widziałam.

– Z dokumentami przyjechała, a nie po to, żeby o zdrowie zapytać! – Kaja pękła.

– Z jakimi dokumentami? O ten las? – Józefina nie rozumiała.

– Nie chodzi o las... O dziecko jej chodzi.

– Jakie znowu dziecko?

– Moje.

Józefina zamilkła. Wyprostowała się i potarła skronie.

– Masz dziecko? – spytała szeptem po chwili.

– Dziewczynkę. Dwa i pół roku. Matka ją wychowuje. – Kaja nie patrzyła na Józefinę. Siedziała ze wzrokiem wbitym w nieokreślony punkt na stole. Nie płakała.

– Pomaga ci... – Józefina była zdezorientowana, próbowała wybadać sytuację. – Żebyś mogła robić karierę, tak?

– Można tak powiedzieć. – Kaja prychnęła przez łyzy, które znów zaczęły lecieć. Sięgnęła po ręcznik papierowy i urwała kawałek. Wytarła nos. – Nie chciałam mieć dziecka. Nie planowałam – ciągnęła – absolutnie. Nawet nie myślałam o tym, że kiedyś mogłabym mieć. Nie lubię dzieci – zaznaczyła stanowczo. – Ale się stało. Nawet nie wiem kiedy, nie wiem z kim. Musiałam zająć w ciąży na jakiejś imprezie, sporo ich było. Nie byłam grzeczną dziewczynką – zadrwiła Kaja. – Nawet nie pomyślałam, że to ciąża. Zabezpieczałam się, brałam pigułki. Poszłam do lekarza, bo miałam lekkie krwawienie, kilka małych plamek zamiast okresu, zdziwiło mnie to, myślałam, że może choroba weneryczna. Ciąża nie wpadła mi do głowy. A może wypierałam tę myśl ze świadomości, sama nie wiem... I wtedy... Kiedy już wszystko było jasne... – Kaja zamilkła. Znów sięgnęła po ręcznik. Józefina cierpliwie czekała. – I wtedy... – Kai nagle załamał się głos, słowa przestały płynąć.

– Wtedy pomyślałaś, że usuniesz tę ciążę, ale matka zaproponowała swoją pomoc, tak? – dopowiedziała Józefina.

– Nie. – Głos Kai mocno drżał. – No właśnie nie. Kiedy zobaczyłam tę kropeczkę na USG... Tę małą kropeczkę, która miała być moim dzieckiem... Moim i tylko moim dzieckiem... rozplakałam się. Nie znoszę dzieci, nienawidzę, nigdy nie chciałam mieć własnych. Ale kiedy dotarło do mnie, że noszę w sobie to małe coś, co się rozwija, co rośnie i co, być może, będzie mnie kiedyś kochało, poczułam przypływ tak wielkiej adrenaliny i tak wielkiego szczęścia, że trudno to nawet opisać. Pomyślałam wtedy, że dobrze się stało. Że ta wpadka musiała się wydarzyć. Inaczej nigdy nie zdecydowałabym się na dziecko. Pomyślałam, że co ma być, to będzie. Nic innego się nie liczyło oprócz tej małej kropeczki. Ale to

pierwsze euforyczne chwile. Potem już było tylko gorzej. Ciężę znosiłam źle, musiałam leżeć, puchłam, nienawidziłam swojego ciała. Po porodzie nie mogłam patrzeć na to swoje wyczekiwane dziecko. Miałam wrażenie, że wydałam na świat jakąś szkaradę, która zniszczyła moje ciało, życie, zaorała psychikę i domaga się dalszych zniszczeń. Nie mogłam patrzeć na mleko kapiące z piersi, na obwisły po ciąży brzuch. Nienawidziłam siebie i dziecka. Brakowało mi cierpliwości. Żałowałam, że ją urodziłam, marzyłam o tym, żeby cofnąć czas i żeby znowu było jak dawniej. Mama natomiast była zachwycona. To ona chodziła z wózkiem na spacer, kupowała ubranka, kąpała, usypiała. Mieszkałyśmy w jej domu pod Wrocławiem, piękna okolica, czyste powietrze. Dla dziecka jak znalazł. Gorzej ze mną.

Kiedy skończył się okres połogu, wysłała mnie do fryzjera, do kosmetyczki, na siłownię. Można powiedzieć, że pomogła mi wrócić do świata. A ja do tego świata wyrywałam się coraz mocniej. Chciałam wrócić do dawnego życia, poznawać ludzi, błyszczeć. Zaproponowała, żebym wróciła do Wrocławia, że kupi mi małe mieszkanie, odda mi swój salon, a ona zajmie się dzieckiem. Uznała, że czas już na to, żebym to ja przejęła interes, a ona przejdzie na wcześniejszą emeryturę. Można tak powiedzieć, bo przecież nie ma jeszcze pięćdziesiątki.

– Wygląda doskonale – przyznała Józefina.

– No cóż, potrafi dbać o siebie, ma pieniądze i miała własny salon piękności. Na sobie testowała wszelkie nowinki medycyny estetycznej.

– I tak po prostu to wszystko rzuciła?

– Zakochała się w małej od pierwszego dnia. Oszalała na jej punkcie. Dla mnie to tylko lepiej, tak wtedy myślałam.

– Czyli ona zajmuje się twoim dzieckiem, żebyś ty mogła się rozwijać, dobrze rozumiem?

– No tak. Właściwie tak... – Kaja się zawahała. – Dokładnie rzecz ujmując, oddałam jej dziecko w zamian za salon kosmetyczny i mieszkanie. To znaczy ona na mnie przepisała salon i kupiła mieszkanie, natomiast ja dalej jestem matką mojego dziecka, a ona babcią. Teraz, kiedy Paweł zadzwonił, że byłam w szpitalu po próbie samobójczej, spanikowała. Przyjechała z dokumentami. Chce, żebym oficjalnie zrzekła się córki. Ona mogłaby wtedy ją adoptować. Wystraszyła się, że jeśli kolejny raz zrobię coś głupiego i nie przeżyję, to ona będzie miała problem. Oczywiście mogłaby pójść do sądu i starać się o to, żeby być rodziną zastępczą, ale się chyba obawia, że w każdej chwili może się znaleźć ojciec dziecka.

– Mówiłaś, że nie wiesz, kim on jest.

– Nie wiem. Ale ona i tak panikuje. Chce mieć pewność, że nikt jej nie zagrozi.

– W tej sytuacji to chyba zrozumiałe – zadumała się Józefina.

– Do tej pory było mi to na rękę. Mieszkałam we Wrocławiu, dobrze się

bawiłam. No i byłam kimś, bo po przejęciu salonu matki to na mnie spadł splendor jego prowadzenia. Poznałam dzięki temu wielu znanych ludzi, przez moment sama byłam na świeczniku. Podobało mi się to. Pieniądze, znajomości, kto by pogardził? Nie miałam wyrzutów sumienia, że matka wychowuje moją córkę. W końcu to babcia, krzywda się dziecku nie dzieje... Zresztą, mnie przecież też wychowywali dziadkowie, dopiero po ich śmierci wróciłam do matki. Nie było to miłe.

– Dlaczego?

– Nie chciała mnie. Przyzwyczaiła się do życia w pojedynkę, z licznymi kochankami, którzy przewijali się przez dom. Ja jedynie przeszkadzałam.

– Może tylko takie odnosiłaś wrażenie? – Józefina zadawała pytania powoli, jakby od niechcenia. Chciała wykorzystać moment, w którym Kaja się wreszcie otworzyła. Miała nadzieję, że ta rozmowa pomoże dziewczynie zrzucić z siebie balast, który na niej ciąży, i choć trochę pomoże uporządkować w głowie najważniejsze sprawy.

– To nie było wrażenie. Nie lubiła mnie. Była o mnie zazdrosna. O moją urodę, młodość. Ona, kiedy była w moim wieku, ciągle się uczyła, robiła kolejne kursy, specjalizacje. Jest dermatologiem, ale kiedy kielkowała medycyna estetyczna, jako jedna z pierwszych wdrożyła się w ten temat i otworzyła salon.

– Masz rodzeństwo?

– Na szczęście nie. Chyba bym nie przeżyła ze świadomością, że mnie odrzuciła, a wychowuje mojego brata lub siostrę. Babcia powtarzała, że mama była bardzo młodziutka, niedojrzała, że trzeba jej wybaczyć. Ale z drugiej strony nieraz słyszałam, jak krzyczy na nią, że nie interesuje się dzieckiem, że mnie nie odwiedza. Babcia była kochana. – Kaja pociągnęła nosem. – Dziadek też.

– A twój ojciec?

– Podobno marynarz...

– Podobno?

– Tak było mówione. Ponoć mieli krótki romans na wakacjach, a potem on popłynął w rejs i nigdy nie wrócił. Statek rozbił się o skały. Dramatyczne, prawda?

– Kaja uśmiechnęła się przez łzy. – I jakże romantyczne. Wierzyłam w to – parsknęła.

– Dzieci wierzą, bo chcą wierzyć. Karol jest przekonany, że jego ojciec jest żołnierzem i walczy na wojnie.

– No właśnie. Ale Karol przynajmniej ma jakiegoś ojca, prędzej czy później go odnajdzie. Ja nie mam już na to szans. Jestem sama.

– Nie jesteś sama, dziecko.

– Gdyby dziadkowie żyli, byłoby inaczej...

– A jak z mamą? Nie chcesz z nią porozmawiać, spędzić z nią świąt? Wiesz, Boże Narodzenie to dobra okazja, żeby...

– Naprawdę pani myśli, że bym nie chciała? – Kaja spojrzała na Józefinę

z determinacją. – Że nie marzę o tym, by matka zaprosiła mnie na święta, żeby zaproponowała wspólne mieszkanie. We trójkę. Ja, ona i Kalinka?

– Kalinka. Piękne imię – zachwyciła się Józefina.

– Chciałabym, żeby jakoś to wszystko rozwiązać, pogodzić, ale się nie da.

– Dlaczego?

– Jej zależy tylko na moim dziecku, nie na mnie. Najgorsze, że ja strasznie tęsknię za Kalinką. Ten mały gnojek, Karol, uświadomił mi, że czas biegnie i nie da się go zawrócić. Że tracę cenne momenty, których już nie odzyskam. Za każdym razem, kiedy dawałam mu smycz, żeby wyszedł z Daisy, myślałam, że przecież to Kalinka mogłaby się z nią bawić, że miałyby frajdę. Że obie miałybyśmy frajdę. Nie wiem, co się stało, że myślę o niej. Minęły już prawie trzy lata, powinnam się przyzwyczaić. Myślałam że dziecko w jakiś sposób mi zaszkodzi, że przez nią nie będę miała czasu, że nigdzie nie wyjdę, że nikt mnie nie zechce... Pierwsze dwa lata to był jakiś szal, starałam się sobie udowodnić, że dobrze zrobiłam. A teraz? Siedzę w Polance, sama, i tak nigdzie nie wychodzę, i tak nikt mnie nie chce. Straciłam wszystko. Ale mam dziecko. Bardzo chciałabym ją odzyskać i zacząć wszystko od nowa. Od nowa, pani Józefino. – Kaja znów zaczęła łkać, choć tym razem bezgłośnie, jakby wszystkie łzy zostały już wypłakane. – Kocham Kalinkę. Zawsze ją kochałam, tylko wmawiałam sobie, że nie nadaję się na matkę, że z babcią będzie jej lepiej. Mnie było lepiej z babcią. A dziś oddałabym wszystko za to, żeby to mama mnie przytuliła, zaprosiła na święta, powiedziała, że żałuje tych lat, kiedy jej nie było. Nie powiedziała tego. Ja tymczasem jestem gotowa powiedzieć to własnej córce. Ma niespełna trzy latka, dokładnie dwa i pół, jeszcze nie wszystko stracone.

– To bardzo dobra myśl – powiedziała Józefina. – Widzisz, czasem człowiek musi się pogubić, dotknąć dna, zmierzyć się z własnymi demonami... to bywa oczyszczające. A najbardziej oczyszcza prawda, zrzucenie maski, przyznanie się do błędów, do słabości. I wybaczenie sobie. Myślę, że powinnaś porozmawiać z mamą i jej także wybaczyć, że oddała cię dziadkom.

– Już dawno jej wybaczyłam. Rozumiem, że była młoda, że chciała osiągnąć sukces. Tyle że ona się nie zmieni. Wie pani, co usłyszałam, kiedy powiedziałam, że nie zrzeknę się dziecka i chciałabym je odzyskać? Powiedziała mi, że nie mam na to szans, że jestem nikim, że nie nadaję się do niczego. Wytknęła mi wszystkie moje potknięcia, powiedziała, że jestem nieodpowiedzialna, że w ciągu kilku miesięcy doprowadziłam firmę do ruiny, że nie mam z czego żyć.

– Nie zaproponowała pomocy?

– Pomocy? – Kaja jęknęła. – Powiedziała, że sama złoży sprawę do sądu o ograniczenie mi praw. I że każdy sąd się do tego przychyli, bo nie dość, że jestem nieodpowiedzialna, to jeszcze jestem wariatką, targnęłam się na życie. A to nieprawda, pani Józefino, ja wcale tak tego nie czuję. Owszem, pogubiłam się,

wszystko zaczęło się sypać, wymykać mi z rąk, zrobiłam coś głupiego, ale nie jestem wariatką, przyrzekam.

– Oczywiście, że nie jesteś, dziecko.

– Zagroziłam jej, że jeżeli spróbuje, to ja znajdę ojca Kalinki i to on przejmie opiekę. Zablefowałam, ale chyba nie uwierzyła, nie wiem...

– O Boże... – westchnęła Józefina.

– Pewnie ma pani dość...

– Czego?

– Tego mojego gadania. Przepraszam. Nikomu nigdy o tym nie mówiłam. Nikomu.

– Dobrze, że mówisz. To ważne, żeby mówić, mówić. Ja jestem już stara, niewiele pomogę. Nie znam prawników, nie potrafię doradzić. Ale wysłucham. Więc jeśli przynosi ci to ulgę, jeśli masz siłę i chęci, by mówić, to mów. Po prostu mów. A ja zrobię jeszcze herbaty.



Rozdział 18



Alicja dobijała się do drzwi dość długo, zanim zaspana Józefina otworzyła. Dochodziła trzynasta.

– Stało się coś? – zaniepokoiła się na widok ciotki. Józefina zawsze była rannym ptaszkiem. Latem bywało, że jeszcze przed świtem wychodziła, by nazbierać ziół.

– A co się miało stać? – Ciotka się uśmiechnęła i wpuściła dziewczynę do środka. Wyściskała ją serdecznie, pochwaliła że dobrze wygląda, zaprosiła na kawę do kuchni.

– Pukałam, dzwoniłam... Wygląda na to, że ciocia dopiero wstała – powiedziała Alicja z uśmiechem, zdejmując kurtkę.

– Rozmawialiśmy z Kają do rana. O szóstej jeszcze wypuściłam psa. Nie wiem, która była godzina, jak zasnęliśmy... Ale dobrze, że mnie obudziłaś, inaczej przespałabym boży dzień.

– Z Kają do rana? To nawet ze mną, ciociu, nie rozmawiałaś nigdy tak długo.

– Aj, już nawet nie pamiętasz. – Józefina się roześmiała. Głos miała ochryply, nierozbudzony jeszcze. – A gdzie Matysia? Gdzie rodzice?

– Pojechaliśmy od razu do Konrada. Rozpakowują się. Matysia padła. Śpi. Wyjechaliśmy z Warszawy skoro świt, w samochodzie śpiewała, nie dała rady się zdrzemnąć.

– Ale odwiedźcie starą ciotkę przed wigilią?

– Właśnie przyjechałam zabrać cię na obiad. Kaję też chciałam zaprosić i na dziś, i na wigilię, i na całe święta, rzecz jasna.

– Cześć. – Kaja stała w progu kuchni, ubrana w szlafrok.

Oczy miała zapuchnięte, czerwone, zmęczone.

– Cześć – przywitała się Alicja.

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam. Jednak doceniam, że po tym wszystkim, co nawywijałam, jeszcze chcesz ze mną rozmawiać. I spędzić święta. Dziękuję. I przepraszam. Wiesz za co.

Alicja odetchnęła, poczuła delikatny skurcz w żołądku.

– Też nie jestem bez winy – przyznała. – Wiedziałam, że w lesie nie ma trufli, ale nie powiedziałam ci tego. Jest mi wstyd, że okazałam się taka małostkowa. To ja cię przepraszam, nie mogę sobie tego darować.

– Daj spokój, jestem dorosła. Powinnam to sprawdzić, zamiast ruszać z grubej rury. Nieważne. Miło cię widzieć. Podobno jesteś z Konradem.

– Tak.

– Cieszę się. Przynajmniej tobie się udało.

– Kaja... Co było, to było. Wiem, że może się obawiasz, że w naszym towarzystwie będzie ci niezręcznie, ale obiecujemy nie wracać do wydarzeń, które miały miejsce latem. Konrad też cię serdecznie zaprasza.

– To naprawdę miłe – Kaja się zawahała i na chwilę zamilkła. – Nie rozumiem, dlaczego w ogóle mi pomagacie? Naprawdę mielibyście z Konradem ochotę usiąść ze mną przy jednym stole?

– Kaja, jeśli jestem w stanie rozmawiać normalnie z moim byłym facetem, ojcem Matysi, to tym bardziej z tobą. – Alicja się roześmiała. – Nie ma co pielęgnować w sobie złości, ciocia Józefina mnie tego nauczyła. Nie tylko ty masz sporo za uszami, ja też nigdy nie byłam święta. Sytuacja jest, jaka jest. Nie zostawimy cię samej w święta. I nie obawiaj się, że ktoś będzie ci prawił złośliwości, to już za nami. Poza tym będzie mnóstwo ludzi, moi rodzice, mama Konrada z rodziną, będzie Marianna z facetem, Dorota...

– Też z facetem – odpowiedziała Kaja.

– A ja bez faceta – wtrąciła Józefina.

– To nie ma znaczenia, Kaja – podkreśliła Alicja. – To święta, a nie impreza, w której musisz być w parze. Mam w samochodzie torbę z ciepłymi ubraniami, przywiozłam ci kurtkę, buty, mam kilka fajnych swetrów.

– Głupio tak. Jakbym była bezdomna – jęknęła Kaja.

– Odkąd się przejmujesz, co pomyślą inni? Po prostu wbijaj do Angel's na święta i bez dyskusji. – Alicja się uśmiechnęła. Kaja naprawdę nie wyglądała dobrze. Nawet głos miała słaby, nieswój. Zrobiło się jej szkoda tej dziewczyny. – Idę po torbę.

– Alunia, to może zróbmy tak, że my sobie coś z Kają upichcimy na obiad, a zobaczymy się jutro. Będzie sporo czasu, żeby się nagadać – zaproponowała ciotka.

– Tylko przeszkadzam, siedząc pani na głowie – zauważyła Kaja.

– Już nie chcę tego słuchać. – Józefina powiedziała stanowczo. – Nikomu nie przeszkadzasz, przestań w ten sposób myśleć, dziewczyno! Druga Alicja się znalazła!

– Dlaczego druga ja? – zdziwiła się Alicja.

– A bo to już nie pamiętasz, jak chciałaś się pakować i uciekać ode mnie latem, bo sobie wmówiłaś, że was nie chcę? Co ja mam w sobie takiego? Boicie się mnie czy co? Dziewczyno! Dla mnie to sama radość, gdy ktoś u mnie jest. Przynajmniej mam do kogo usta otworzyć.

Kiedy Alicja odjechała, Kaja przymierzyła przywiezione przez nią ubrania.

Pasowały. Założyła granatowy wełniany golf i džinsy. Pierwszy raz od wielu dni zdecydowała się na spacer. Daisy aż zaszczekała kilka razy, machając ogonem i biegając dookoła nóg Kai, zadowolona, że tym razem wyjdzie ze swoją panią.

Śnieg skrzypiał pod nogami, a mroźne powietrze szczypało w policzki. Gruby szal pożyczony od Józefiny przysłaniał usta, dzięki czemu Kai oddychało się nieco łatwiej. Przeszła niewiele ponad dwieście metrów, do rozstaju dróg, po czym przystanąła. Brakowało jej energii, by spacerować dalej, dlatego postanowiła zawrócić. Pierwsze koty za płoty. Jutro spacer będzie dłuższy – pomyślała. Czuła się znacznie lepiej niż jeszcze wczoraj. Noc spędzona na rozmowie z Józefiną okazała się zbawienna. Rzeczywiście Kaja czuła się tak, jakby zrzuciła z pleców wielkie brzemię. Wreszcie ktoś poznał jej głęboko skrywaną tajemnicę. Mogła zdobyć się na szczerość, wypłakać, powiedzieć prawdę, a nie została oceniona, nie została skrytykowana. Józefina nawet przez chwilę nie sprawiała wrażenia oburzonej czy przerażonej tym, co słyszy. Kaja przyzwyczajona była to ataku i obrony. Niczym zwierzę, które zawsze musi być w gotowości na to, co je spotka. Teraz nie musiała ani atakować, ani się bronić. Była oszołomiona, że tak w ogóle można.

Daisy chyba też było zimno, bo zamiast biegać, szła posłusznie tuż przy nodze. Kiedy zawróciły, minął je samochód. Srebrny renault. Kaja przyciągnęła smycz, podniosła wzrok. Przez tylną autą szybę machał do niej uśmiechnięty Karol. Wystawił dwa kciuki. Nie myśląc wiele, podniosła swój. Samochód zniknął w oddali, Kaja westchnęła.

– Liczysz na mnie, chłopaku – szepnęła. – Dobrze. Niech tak będzie – powiedziała głośnie i nagle poczuła nadspodziewany napływ sił. Droga była pusta, na polach zbierała się wieczorna mgła, słońce zniknęło za horyzontem. Kaja przebiegła wzrokiem po ośnieżonej przestrzeni. Krzyknęła: – Ja, Kaja, upadły anioł, podniosę się! Podniosę!

Daisy spojrzała na nią zdziwionym psim spojrzeniem.

– I pomogę ci, chłopaku – dodała nieco spokojniej Kaja. – Sobie też pomogę.



Rozdział 19



Choinka mocno pachniała. Nie tylko naturalnym zapachem świerku, lecz także pomarańczami. Suszone plastry owoców z powbijanymi w nie goździkami zostały zawieszane na wielu gałązkach, między ozdobami a światełkami. Pod choinką ułożono prezenty, wśród których największą uwagę przykuwały wielkie pudła z podpisem „Matylda”. Dziewczynka, ubrana w odświętną sukienkę, z wypiekami na policzkach dotykała pakunków, próbując odgadnąć, co kryją w środku.

– Jeszcze na to nie czas – powiedziała Alicja. – Najpierw kolacja, wypatruj pierwszej gwiazdki.

– A kiedy przyjdą goście? – spytała Matylda.

– Niedługo.

– Ale przyniosą więcej prezentów?

Alicja zgromiła córkę wzrokiem.

– Matysia. – Pogroziła palcem. – Boże Narodzenie to nie tylko prezenty.

– Przyniosą, przyniosą! – Konrad się roześmiał. Stanął za plecami Alicji i objął ją w pasie. Matylda pobiegła na górę wypatrywać gwiazdki. – Nie zabieraj dziecku radości. Zapomniałaś już, jak to jest mieć osiem lat?

– Trochę zapomniałam – przyznała Alicja. – Inna sprawa, że denerwuję się teraz, po prostu.

– Czym? Wszystko już prawie gotowe.

– Poznam twoją mamę. Dla mnie to spore przeżycie. Nie mamy szesnastu lat, takie zapoznanie rodziców w naszym wieku to już poważna sprawa.

– Oczywiście – zgodził się Konrad. – Bardzo poważna. – Odchylił włosy z karku Alicji i pocałował ją w szyję.

– Nie ironizuj, naprawdę się denerwuję.

– Zapewniam cię, że moja mama bardziej.

Alicja spojrzała, zdziwiona.

– Od wczoraj chodzi jak na szpilkach – dodał.

– Poważnie?

– No cóż, pierwszy raz przedstawię jej kogoś jako...

Alicja wstrzymała oddech, zastanawiała się, jak nazwie ją Konrad. Dziewczyną, partnerką? Dziwnie to brzmiało. Narzeczoną już byłoby lepiej, ale

przecież nie byli zaręczeni.

– ...kobietę mojego życia.

Wybrnął – przebiegło przez myśl Alicji. Spodobało jej się to określenie.

– Jestem kobietą twojego życia? – wymruczała.

– Wiedziałem to, odkąd cię zobaczyłem. Tutaj, w Angel's. Pamiętasz?

– A jakże! Podałam się za menedżerkę twojej knajpy! – Alicja się roześmiała na to wspomnienie.

Konrad nagle spoważniał.

– Mój ojciec wierzył, że kiedyś w Polance przesiadywały anioły. Dlatego nazwał knajpę Angel's, na ich cześć. Po powrocie ze Stanów chciał zacząć tu nowe życie, wmawiał sobie, że świat mu sprzyja, że anioły go tu przywiodły i że nad nim czuwają.

Alicja zamilkła. Wiedziała przecież, jak to się skończyło.

– I zdawało się, że właśnie tak jest. A potem – ciągnął Konrad – cały ten sen prysnął. Po śmierci ojca restauracja stała się niemal martwa. Może to śmieszne, ale kiedy zobaczyłem latem ten tłum, kiedy zobaczyłem ciebie – uśmiechnął się – pomyślałem, że anioły wracają do Angel's.

– Bo wracają – wtrącił Maciej, który właśnie wyszedł z kuchni, niosąc olbrzymią gałąź jemioli do powieszenia nad stołem. – Też to zauważyłem.

**

Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem...

Kolędy dyskretnie rozbrzmiewały, nie zakłócając rozmów gości. Kaja przyglądała się towarzystwu. Wszyscy byli piękni i uśmiechnięci. Szczęśliwi. Na początku trudno było na to patrzeć, i Kaja czuła się nieswojo. Przedstawiono ją jako przyjaciółkę rodziny, co dodatkowo ją zmieszało. Rodzice Alicji, prawdopodobnie nieświadomi przeszłych zdarzeń i relacji, które łączyły Alicję i Kaję, przywitali się z nią wylewnie, jakby sam fakt, że przyjechała z Józefiną, potwierdzał przyjacielską, rodzinną zażyłość.

Cicha noc, święta noc, pastuszkowie od swych trzód biegną wielce zadziwieni za anielskim głosem pieni.

Kaja spontanicznie zaczęła nucić. Wbrew obawom czuła się w Angel's dobrze i bezpiecznie. Bała się tylko momentu, w którym trzeba będzie podzielić się opłatkiem. W jej domu ta chwila była niezwykle krępująca, bo choć babci i dziadkowi, kiedy jeszcze żyli, za każdym razem składała życzenia zdrowia i szczęścia, to przy łamaniu się opłatkiem z matką zazwyczaj milkła. To matka, nie patrząc jej w oczy, wymawiała coroczną formułkę: „Zdrowia, znalezienia w końcu jakiegoś faceta, sukcesów w pracy i mnóstwa pieniędzy”. Kaja mamrotała wtedy „dziękuję” i mimo że kilkakrotnie próbowała odnaleźć w sobie siły, by życzyć mamie poprawy ich wspólnych relacji, to kończyło się na standardowym: „Tobie

również zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności”. Po zwyczajowych trzech muśnięciach powietrza w okolicy policzków, które miały udawać buziaki, Kaja i matka wracały na swoje miejsca po przeciwnych stronach stołu. Po śmierci dziadków w ogóle przestały celebrować święta Bożego Narodzenia. Każda z nich spędzała je oddzielnie, organizując sobie czas ze znajomymi, w hotelach. Kiedy na świecie pojawiła się Kalinka, matka Kai wróciła do spędzania świąt w domu, jednak z jej ust nie padła propozycja, by Kaja dołączyła. I choć Kaja udawała przed sobą, że tak jest lepiej, bo święta spędzane na egzotycznych wyspach, w słońcu i z imprezowymi koleżankami są dla niej najlepszym relaksem, to w głębi duszy czekała na zaproszenie od matki.

*Cicha noc, święta noc, narodzony Boży Syn,
Pan wielkiego majestatu, niesie dziś całemu światu odkupienie win.*

Popłynęła jej łza. Odruchowo wytarła policzek wierzchem dłoni. Nie chciała płakać, ale strzępki nieprzyjemnych wspomnień wzniecały kolejne ponure myśli. W domu Kai nigdy nie było tak gwarno i przyjaźnie jak tutaj. Mimo że niektórzy z gości poznali się dopiero przed kilkoma chwilami, atmosfera już była isticie świąteczna i bardzo rodzinna. Nawet Hiszpan, Christián Torres, który przyjechał z Marianną, szybko zaadaptował się do polskich zwyczajów, obiecując, że spróbuje każdej z dwunastu wigilijnych potraw. Kobiety były nim zachwycone i choć ani ciotka Józefina, ani rodzice Alicji nie znali angielskiego czy hiszpańskiego, to bez trudu porozumiewali się z nim na migi. Widać było, że mężczyzna jest otwarty i przyjazny. Nie dało się też nie zauważyć, że jest bardzo zakochany w Mariannie. Ze wzajemnością. Nawet kiedy byli zajęci rozmową z innymi, zerkali w swoją stronę, wyłapując pełne miłości spojrzenia. Tak samo zresztą jak Alicja z Konradem. Kaja uświadomiła sobie, że na nią nigdy nikt tak nie patrzył. Mężczyźni, z którymi była, wiele mówili i wiele obiecywali, jednak nie miało to pokrycia w czynach. Uczucia, których doświadczyła, budowane były zazwyczaj na interesowności, a nierzadko na kłamstwach. Kaja przyjmowała te układy, ponieważ nikt nie nauczył jej, że miłość powinna być bezinteresowna i szczerą, a prawdziwych uczuć nie da się przeliczyć, porachować i wycenić.

Odwróciła wzrok od zakochanych i wbiła go w ogień świecy płonącej na stole.

Bezinteresowna miłość. Zawsze myślała, że dotyczy tylko dzieci. Tych małych niewinnych istot, które kochają za nic. Przypomniła sobie, że niegdyś sama czekała na taką istotkę, pełną nadziei na to, że wreszcie będzie miała kogoś, kto pokocha ją bezwarunkowo. A jednak po porodzie to przestało być ważne. Trudno jej było nawet spojrzeć na noworodka żadnego piersi. Nagle zamiast przypływu miłości poczuła do dziecka zniechęcenie. Była potwornie zmęczona, nawet nie wiedziała czym. Propozycja matki stała się wybawieniem, a do tego szansą na szybki i intratny własny biznes. Kaja znów przetarła dłonią policzek,

wycierając spływającą łzę. Dotąd skrzętnie skrywane myśli wypełzały niczym demony. Zawsze w takich momentach starała się je odepchnąć od siebie, zniszczyć, udawać, że wszystko jest w porządku. Zazwyczaj, ale nie dziś. Teraz pozwoliła im wyjść na wierzch, zmierzyć się z nimi. Żałowała. Czowała się winna.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła Józefina, zauważywszy, że Kaja ukradkiem ociera łzy.

– Przepraszam, znowu się rozklejam, popsuję państwu Wigilię.

– Spokojnie, nie tak łatwo nam popsuć Wigilię. Spójrz tylko, co się dzieje. – Józefina się roześmiała.

W restauracji panowały gwar i śmiechy. Większość osób stała, rozmawiając ze sobą. Dorota, gestykulując śmiesznie, opowiadała Patrykowi o tym, jak wspólnie z Alicją próbowały rozkręcić tu imprezę latem. Mama Alicji szeptała coś do ucha mężowi mamy Konrada. Alicja, Marianna i Christián zaśmiewali się z historyjki, którą opowiadał Konrad. Ojciec Alicji wtórował im śmiechem, mimo że niewiele zrozumiał. Znał angielski tyle o ile, jednak odrzucił propozycję córki, że będzie mu tłumaczyła. Zaśmiewał się w odpowiednich momentach, pilnie obserwując reakcje innych. Było wesoło. Nawet Matylda przestała marudzić, że chmury przesłaniają niebo i nie widać na nim żadnych gwiazd, nie mówiąc o tej pierwszej. Z przyrodnimi braćmi Konrada bawiła się w detektywów Mikołaja. Chłopcy, mimo że byli od niej znacznie starsi, podjęli zabawę. Potrzęsali prezentami ułożonymi pod choinką, usiłując odgadnąć, co jest w środku.

Kaja, patrząc na dzieci, uśmiechnęła się smutno.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała cicho Józefina. – Wszystko jeszcze da się naprawić. – Przytuliła dziewczynę.

Kaja zaszlochała.

– Przepraszam, muszę do łazienki.

Nie patrząc na staruszkę, wstała od stołu i pobiegła do toalety. Zamknęła się w kabinie i przez chwilę głośno płakała, nie zważając na makijaż spływający wraz ze łzami. Wreszcie poczuła ulgę. Wytarła nos.

– Wszystko da się jeszcze naprawić – powiedziała do siebie z przekonaniem.

Wyszła z kabiny i obmyła twarz zimną wodą. Nie było ręczników, dlatego użyła papieru toaletowego, żeby ją wytrzeć.

– Wszystko da się jeszcze naprawić – powtórzyła, patrząc w swoje odbicie.

Poprawiła makijaż. Właściwie tylko musnęła usta szminką, ponieważ w torebce nie miała nic innego. Mimo to nie czuła się źle bez fluidu, cieni do powiek i tuszu. Pierwszy raz nie czuła się źle z myślą, że pokaże innym swoją prawdziwą twarz.

Kiedy wyszła z łazienki, natknęła się na Patryka, który właśnie tam zmierzał. Uśmiechnął się i zatrzymał.

– Cześć – zagadnął – my się chyba jeszcze nie znamy. Patryk.

– Kaja. Poznaliśmy się jakieś pół godziny temu, Dorota nas sobie przedstawiła, nie pamiętasz?

– Rzeczywiście. Takie zamieszanie, że nie skojarzyłem. – Uśmiechnął się przeprasząco. – Jesteś jej przyjaciółką, tak? Czy siostrą cioteczną?

– Ani tym, ani tym. Jestem wędrowcem – zażartowała Kaja. – To dla mnie trzymano dodatkowe nakrycie.

– Niesamowite. – Puścił oczko. – Gdybym wiedział, że wędrowcy są tak uroczy i śliczni, zaproponowałbym więcej pustych nakryć.

Kaja nie skomentowała. Nie podziękowała za komplement. Ze zdumieniem odkryła, że – chociaż Patryk był bardzo przystojny – nie ma ochoty go kokietować. Zauważyła, że zupełnie straciła zainteresowanie mężczyznami.

– A ty jesteś narzeczoną Doroty? – spytała. Zrobiła to z premedytacją.

– Aaaach – powiedział przeciągle z figlarnym uśmiechem. – Narzeczonego to zbyt wiele powiedziane. Znamy się od niedawna – podkreślił. – Taka tam luźna znajomość – dodał niedbale.

Zauważyła błysk w jego oku. Rozpoznawała ten rodzaj spojrzenia. Doskonale знаła ten typ mężczyzn. Wiecznie szukający, zmieniający dziewczyny jak rękawiczki.

Zgrywał luzaka, usiłował flirtować. Nie podjęła gry.

– Wracam do stołu. – Kaja go wyminęła, nie zwracając uwagi na uśmiech zachęcający do dalszej rozmowy. – Za chwilę opłatek.

– Zobaczmy się później – rzucił i znów puścił oczko.

Co za palant – przemknęło Kai przez myśl. Była szczerze zdziwiona własną reakcją. Dotychczas chętnie podejmowała flirt i bez znaczenia było, czy mężczyzna jest wolny, czy zajęty. Lubiła być adorowana, sama też chętnie adorowała. Teraz jednak czuła niesmak. Spojrzała na uśmiechniętą Dorotę pochłoniętą rozmową z Józefiną. Wydawała się taka szczęśliwa. Dorota wyczuła jej wzrok i także na nią spojrzała. Kaja się zmieszała i podeszła bliżej.

– Mam nadzieję, że nie przegapiłam opłatek – powiedziała, byle coś powiedzieć.

– Nie, skądże, jeszcze nie zaczęliśmy. Trudno w tym chaosie o chwilę spokoju – odpowiedziała z uśmiechem Dorota.

– To może warto zagonić wszystkich do stołu – zaproponowała Józefina – i zacząć kolację. Wam, młodym, może jeszcze nie burczy w brzuchu, ale ja jestem już głodna.

– No tak! – Dorota pomachała do Alicji. – *Sister!* Trzeba zacząć, bo ciotunia nam padnie.

Alicja spojrzała na zegarek. Otworzyła oczy ze zdumienia. Planowali rozpocząć kolację już godzinę temu, ale rozmowy były tak zajmujące, że nikt nie zauważał uciekającego czasu. Nawet Maciek z Darkiem włączyli się do

konwersacji, wymieniając się z mamą Alicji uwagami na temat wigilijnych przepisów.

– Halo! – Alicja wzięła do ręki kieliszek i zastukała w niego łyżeczką. – Drodzy państwo, zapraszamy!

– A gdzie Patryk? – Dorota odruchowo zaczęła rozglądać się za chłopakiem.

– Poszedł do łazienki – powiedziała Kaja.

Dorota skierowała wzrok w tamtą stronę akurat w momencie, kiedy z łazienkowego korytarza wychodził Patryk. Uśmiechnęła się błogo.

– Świetny jest, prawda? – szepnęła spontanicznie.

– Świetny... – przyznała bez entuzjazmu Kaja.

**

Wbrew obawom dzielenie się opłatkiem nie było dla Kai nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie, czuła, że życzenia, które wypowiada i przyjmuje, są szczerze. Czuła się akceptowana. Czuła, że Alicja naprawdę jej wybaczyła i nie chowa urazy za to, co działo się latem. To było dla niej niezwykle doznanie, ponieważ uświadomiła sobie, że oddzielając grubą kreską to, co było, rzeczywiście można zacząć od nowa. Zamiast kłębić w sobie frustrację i ból, można odczuwać dobre emocje, które dadzą siłę do zmian.

Kiedy usiadła przy stole, czuła się o wiele lepiej, niż kiedy tu przyjechała. Życzenia wprawiły ją w świąteczny, dobry nastrój. Z minuty na minutę czuła się lepiej. I choć ktoś, patrząc z boku, mógłby pomyśleć, że może to leki zaczynają powoli działać, Kaja wiedziała, że nadszedł moment, w którym jej złamane skrzydło odrasta. Wśród ludzi, którzy dają jej wsparcie, dzielą się swoim ciepłem i posiłkiem. Nie oceniają, nie pytają, nie oczekują. Po prostu są. I ona z nimi po prostu może być.

Maciek i Darek, z pomocą Alicji i Doroty, wnieśli dania. Najpierw gości uraczono zupą grzybową i smażonym karpem. Dla dzieci Darek przygotował fileciki bez ości. Szybko pojawiły się też inne wigilijne potrawy, wzniesając ogólną euforię.

– Pięknie to przygotowaliście! Wygląda smakowicie! – Mama Alicji nie żałowała pochwał.

Maciek i Darek, zaproszeni do wspólnego biesiadowania, usiedli przy stole i także z zachwytem przyglądali się własnoręcznie przyrządzonym daniom, wyczekując kolejnych komplementów. Najbardziej ucieszyły ich słowa uznania od Christiána, który nieprzywykły do polskiej kuchni, rozsmakował się w zupie grzybowej i bez skrępowania nalał sobie następną porcję, podczas gdy inni próbowali już kolejnych potraw.

– Możemy już? – dopytywała niecierpliwa jak zwykle Matylda, wpatrując się w stos prezentów pod choinką.

– Możemy – zgodziła się z uśmiechem Alicja.

Konrad założył czapkę Mikołaja i usiadł na podłodze pod drzewkiem. Wymomwał pakunki i wyczytywał gości. Dla każdego przewidziano drobny upominek. Matylda aż zapiszczała ze szczęścia, kiedy wreszcie mogła otworzyć największe pudła. Już wcześniej wyczytała, że przeznaczone są dla niej. Z wypiekami na twarzy rozdzierała papier, by po chwili podskoczyć z radości na widok olbrzymiego zestawu kolorowych klocków, wielkiego pluszowego misia oraz błyszczącej balowej sukni księżniczki.

Józefinie zakręciła się łza, kiedy otworzyła swój prezent. Chusta, którą kupiła jej Marianna, okazała się strzałem w dziesiątkę.

– Piękna – zachwyciła się staruszka, nie kryjąc wzruszenia. Obracała w dłoniach tkaninę, podziwiając misterne wykonanie.

Dorota dostała perfumy. Uśmiechnęła się i natychmiast spryskała, podziwiając zapach, chociaż w jej oczach nie widać było szczególnej euforii. Niewyszukany, zawsze trafiony prezent – pomyślała Kaja, obserwując reakcję Doroty. Patryk dostał koszulkę z numerem ulubionego piłkarza i autografem. Ekscytował się nią przez chwilę, pokazując prezent mężczyznom, ale nie przymierzył.

– O proszę, ja też coś dostałem od Mikołaja. – Konrad się uśmiechnął, wyjmując pudełko podpisane jego imieniem. – Naprawdę byłem grzeczny?

– Byłeś! – krzyknęła Alicja. – Otwieraj!

W pudełku znajdował się kubek z nadrukowanym napisem: „Kubek na ziółka. Kocham Cię. Alicja”.

Konrad, Alicja, Dorota i Józefina zgodnie parsknęli śmiechem. Wiedzieli, że prezent jest symboliczny i co ma oznaczać. Dla reszty gości ich reakcja była niezrozumiała, dlatego Alicja szybko wyjaśniła, że Konrad wieczorem lubi napić się mięty. Spojrzała wymownie na Kaję i uśmiechnęła się do niej.

– Albo pokrzywy – dodała Kaja, przytakując. Ona także doskonale знаła genezę prezentu. Ucieszyła się, że Alicja i Konrad swobodnie żartują, nie czyniąc względu na siebie ani na żadnych złościwości.

– Bo kompotu wigilijnego to raczej nie lubię – wtrącił rozbawiony Konrad.

– A właśnie! Kompot! – Dariusz zerwał się od stołu i pobiegł do kuchni, skąd przyniósł dwa dzbanki z napojem.

– Wybiegłeś, a teraz twoja kolej – powiedział Maciej, podając Darkowi pakunek. W środku były ciepłe skarpety z wizerunkiem renifera.

– Znamy się jak łyse konie – roześmiał się Dariusz. – I mamy ten sam gust. – Spojrzał na Macieja, który otwierał swój prezent. Skarpetki. Dokładnie takie same.

Kaja patrzyła rozbawiona, jak mężczyźni wkładają skarpety na ręce i odstawiają teatrzyk. Po chwili przeniosła wzrok na Alicję, która właśnie rozdzierała papier pakunkowy.

– Kochanie! – krzyknęła dziewczyna, patrząc z czułością na Konrada. –
Dziękuję!

Wstała i wyjęła prezent, żeby pokazać go wszystkim. Była to długa czarna suknia połyskująca kamyczkami. Jedną z tych, którą Alicja przymierzała w Warszawie, w sklepie nieopodal galerii, z myślą o sylwestrze. Nie kupiła jej z powodu ceny. Zdecydowała się wziąć na bal jedną ze swoich starych kreacji.

– Cudowna – przyznała z uznaniem mama Alicji. Inne kobiety także nie ukrywały podziwu. Suknia była naprawdę piękna.

– Christián! – Gdy Alicja ochłonęła, Konrad wyjął kolejny prezent. Teraz wszystkie oczy zwróciły się na Hiszpana.

– Obrus? – zdziwiła się głośno Dorota, kiedy mężczyzna wyjął upominek.

– Obrus – przytaknęła Marianna. Oczy jej błyszczały.

Christian się uśmiechnął, kiedy przeczytał dedykację. Bez słowa ujął w obie dłonie twarz Marianny i złożył na jej ustach soczysty pocałunek.

– Ucieszył się z obrusu? – Dorota spojrzała na Alicję.

– Inna kultura. – Alicja nie znalazła wytłumaczenia. – Może tam u nich obrusy są trudno dostępne.

– O matko, ciekawe, co w takim razie kupił Mariannie – wyszeptała Dorota.

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Już po chwili Konrad podał Mariannie niewielki lekki pakunek. Niewątpliwie nie było to pudełko ani nawet pudełeczko. Kształt przypominał raczej płaski prostokąt.

Marianna rozdarła papier i oczom ciekawskich ukazała się biała papierowa teczka na dokumenty. Dorota wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć.

– Co to jest? – szepnęła do Alicji. Siostra, równie zaskoczona, wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Teczka?

Marianna drżącymi rękoma odwiązała sznureczek. Wyjęła plik kartek związanych zszywką.

– O rany, intercyza czy co? – Dorota nie mogła wytrzymać z ciekawości.

Marianna przeczytała kilka pierwszych wersów. Spojrzała na Christiána.

– Ale jak to? – spytała po hiszpańsku. – Przecież się orientowałam, tam już nie ma wolnych przestrzeni.

– Bo nie ma – odpowiedział z uśmiechem. – Nieźle musiałem się nachodzić za jednym z najemców, żeby odstąpił lokal w takim miejscu.

– I chyba nieźle zapłacić za odstępnę...

– Nie cieszysz się? – spytał zaniepokojony.

– Bardzo się cieszę – odparła. – Bardzo. Tylko jestem w szoku. To było moje marzenie.

– Wiem, mówiłaś o nim w Sewilli. Pomyślałem zatem, że miło by było, gdybyś spełniała swoje marzenia, będąc blisko mnie.

– Dziękuję – szepnęła Marianna, nie kryjąc wzruszenia. Goście patrzyli na Christiána i Mariannę, usiłując dociec, o czym rozmawiają. Wreszcie Dorota nie wytrzymała.

– Halo! – Pomachała w kierunku Marianny. – Nie wszyscy tu znają hiszpański. Może się pochwalisz, co dostałaś, bo umieramy z ciekawości! – Roześmiała się, a Alicja przytaknęła.

– Umowa najmu lokalu gastronomicznego. – Marianna uniosła dokumenty. – Na moją cukiernię w Warszawie.

– Hura! – krzyknęła szczerze ucieszona Alicja. – Czyli kłamka zapadła!

– Chyba tak... – przyznała Marianna, patrząc z czułością na Christiána.

– No, no – westchnęła mama Alicji. – Teraz młodzi to mają gest. Romantycy – przyznała z przekąsem. – Nie to co za naszych czasów, kiedy cieszyłam się z nowej lokówki... – Spojrzała na męża.

– A ty wiesz, ile ta lokówka kosztowała? – przypomniał. – Majątek.

– Kaja. – Konrad wyjął ostatnią paczuszkę spod choinki.

– Ja? – Kaja nie kryła zdziwienia.

Odebrała z rąk Konrada niewielki miękki pakunek. Usiadła na swoim miejscu przy stole i rozwinęła. Ciepła wełniana czapka i szalik.

– Dziękuję – szepnęła do Józefiny. – Nie trzeba było...

– Dziecko. – Józefina nachyliła się nad Kają. – Myślisz, że miałabym siły, żeby biegać po sklepach? To nie ode mnie. To od Pawła. Poprosił, żebym włożyła pod drzewko...



Rozdział 20



Śniły mu się cyfry. Spływały w błyskawicznym tempie po jakimś bliżej nieokreślonym ekranie, niczym w Matrixie. Kolejne sprzedane egzemplarze. Kolejne złotówki z honorarium. Niekwestionowany bestseller. Światowy. Gdyby się przyjrzeć, to między cyframi pojawiały się znaczki dolarów. \$\$\$\$. Drobne, błyskające zielonym światełkiem.

Uśmiechnął się przez sen. Danka, która leżała obok, odchrząknęła niespokojnie. Od kilku chwil przyglądała się śpiącemu mężowi. Nie spodobał jej się ten uśmiech. Taki błogi, wyrażający nieprawdopodobnie wielkie szczęście.

– Gienek. – Szturchnęła go dłonią, żeby przerwać ten obrzydliwie piękny stan.

Nie zareagował.

– Gienek! – Szturchnęła mocniej. Nie mogła na to patrzeć.

Ocknął się. Zanim zrozumiał, gdzie jest, minęło kilka sekund. Najpierw rozmarzonym wzrokiem rozglądał się po sypialni.

– Co ci się śniło? – spytała, kiedy Grzelak wreszcie oprzytomniał.

– Co mi się śniło... – powtórzył, usiłując sobie przypomnieć. Sen przysł niczym bańka, nie pozostawiając po sobie żadnego obrazu. Zostało jednak wrażenie. Czegoś wspaniałego, czegoś, co sprawiało, że Grzelak czuł, jakby unosił się ponad ziemią. A konkretnie ponad łóżkiem, na którym spał.

– Może raczej powinnam spytać, kto ci się śnił? – warknęła Danka, patrząc na męża podejrzliwie.

– Nie wiem – przyznał. – Nie mam pojęcia.

– Przyznaj się lepiej. Przecież wiesz, że ja wiem.

– Co wiesz?

– Że coś ci się śniło. Nie udawaj głupka, wszystko widziałam.

– Danusiu, ale o co ci chodzi?

– Pytam, kto ci się śnił! – krzyknęła wzburzona.

– Ale naprawdę nie pamiętam. Czy to takie ważne?

– Próbujesz się wymigać.

– Nigdy nie pytałaś o moje sny.

– Ty lepiej nie odwracaj kota ogonem – wysyczała. – Znam cię od dwudziestu lat! Lepiej niż siebie! Nie myśl, że coś mi umknie i że mnie oszukasz.

– Nie próbuję cię oszukać. Przecież spaliśmy. Danusiu. – Grzelak poczuł, że teraz jemu wzrasta ciśnienie. Czyżby krzyknął coś przez sen? Może nazwał ją psychopatką?

– Kto spał, ten spał. Ty o czymś śniłeś. I ja dobrze o tym wiem.

– Nie wiem, co mi się śniło. Coś głupiego pewnie.

– Wcale nie głupiego – odparła zdecydowanie. – Ooo, na pewno nic głupiego.

– To nie wiem co. Naprawdę nie wiem co.

– No pewnie! Nie wiem co! Nie wiem co! – prychnęła, przedrzeźniając jego głos. – A gówno!

Podniosła się i obrażona poszła do łazienki.

Westchnął głośno. Znowu coś podpadł i nie wiedział czym. Powinien dawno się już przyzwyczaić, tymczasem za każdym razem, kiedy miała pretensję, czuł się z tym źle.

Niechętnie zwlekł się z łóżka i poszedł do Danki. Prosić o wybaczenie. Przebłagać. Ukajać się. Niezależnie, co zrobił złego przez sen, doskonale wiedział, że bez skruchy okazanej żonie i przeprosin dalej nie da się żyć.

– Danusiu – powiedział spokojnie, najspokojniej jak umiał. – Przepraszam, nie powinienem się unosić. Naprawdę nie pamiętam, co takiego mi się śniło. Jeśli powiedziałem coś przykrego, to przepraszam. To nie ty mi się śniłaś, naprawdę.

– Wiem! – krzyknęła piskliwie. – To akurat wiem!

– Danusiu, otwórz drzwi, porozmawiajmy spokojnie. Dzieciaki jeszcze śpią.

– Niech słyszą, jak ojciec traktuje matkę! Niech słyszą!

– Danusiu, ależ skarbie, przecież nic nie zrobiłem.

– Akurat.

Otworzyła drzwi i wyjrzała. Minę miała zaciętą. Grzelak wzdrygnął się odruchowo. Znał ten wyraz twarzy. Wiedział, że Danka tak łatwo nie odpuści. A dopiero co się cieszył, że święta minęły w miarę spokojnie.

– Może ja dzisiaj śniadanie zrobię – zaproponował ugodowo.

– Jeszcze czego! Podlizać się chcesz, żebym nie dopytywała! Nie ze mną te numery, Gienek! Już ja cię przejrzałam. Nic się przede mną nie ukryje. Nic. – Wysunęła w jego kierunku palec wskazujący.

– Ale o co ci chodzi, kobieto?! – Grzelak nie wytrzymał i też podniósł głos.

– A o to, że coś kombinujesz.

– Co znowu?

– Już ty wiesz najlepiej. Myślisz, że tego nie widzę? Przez całe święta byłeś dla Wiesi miły. Gruchałeś z jej mężem jak z najlepszym przyjacielem.

– Przecież byli gośćmi. Co niby miałem robić?

– A bo to pierwszy raz ich gościmy? Jakoś do tej pory nie zauważyłam, żebyś był zadowolony z powodu ich wizyt, zawsze narzekałeś, gdy mieli

przyjechać. A jak już byli, chodziłeś z nosem na kwintę. Teraz nagle odmiana! Tiu, tiu, tiu, Grzesiu to, Grzesiu tamto, Wiesiu to, Wiesiu tamto. A może film obejrzymy, a może winka nalać. Jak nienormalny jakiś się zachowywałeś, nawet Wiesia zauważyła. I uśmiechnięty, zadowolony. Ani razu na nią nie warknąłeś.

– To źle?

– Jakbym cię nie znała! Nawet nie mrugnąłeś, kiedy się pochwalili, że kupują nowy samochód. Nawet nie mrugnąłeś. Wypytywałeś jak głupek, ile spala i jaka pojemność silnika. A jak dwa lata temu kupowali, to tylko zębami zgrzytałeś z zazdrości.

– Nie ma czego zazdrościć.

– Ale Wiesi zrobiło się przykro!

– Bo się zainteresowałem?

– Zawsze cię skręcało, miała satysfakcję. A teraz co? Goście wyjechali od nas niezadowoleni!

– Danka! To ty chciałaś zaimponować Wiesce choinką, pokazać jej, na ile nas stać, to ty z nią wiecznie rywalizujesz i to ciebie skręca z zazdrości! Jakby nie była twoją siostrą, to wcale bym ich na święta nie zapraszał. Dlaczego my do nich nie jeździmy?

– No przecież wiesz, że oni wolą na wieś.

– I co? Niezadowoleni w tym roku?

– Dziwnie się zachowywałeś. Wiesia mówi, że coś z tobą chyba nie tego...

– Nie czego?!

– Że babę na pewno jakąś masz.

Grzelak zakasłał. Oparł się dłonią o futrynę.

– Jaką znowu babę?

– Jakąś. I ona ma rację. Przegadałyśmy pół nocy. Objawy się zgadzają.

– Objawy czego? Danka, na litość boską!

– Objawy baby, do cholery! Nie udawaj! – krzyknęła, marszcząc czoło.

Usiadła na wannie. – Od wakacji jesteś na diecie. – Wymieniała, pokazując na palcach. – Znikasz gdzieś wieczorami...

– Gdzie znikam? Dochodzenie prowadziłem, to chyba normalne.

– Dochodzenie, dochodzenie – przedrzeźniała. – Kiedy lepiłeś bałwana, też było dochodzenie? Bartuś wrócił do domu, a ciebie gdzieś wciąło!

– Patrycję byłem odprowadzić.

– A jednak! – Danka klasnęła.

– To świadek, przyszła coś powiedzieć.

– Akurat. Wieczorem? Już ja jej dam schadzki! Faceta jej się zachciało!

– A to idź do niej. – Grzelak machnął ręką. – Ważniejsze mam sprawy na głowie.

– Niby jakie? Mnie nie oszukasz, rozanielony spałeś, uśmiechnięty. Jak

możesz!

Grzelak się zamyślił. Nie pamiętał snu, ale rzeczywiście od kilku dni czuł się doskonale. Wizja sławy, rzeszy oddanych fanów, a już szczególnie fanek, działała na niego niczym potrójna dawka relanium. Może nawet jak prozak. Dzięki temu przetrwał święta i wizytę rodziny Danusi.

– Inne sprawy, kobieto – powiedział zdecydowanym tonem. – I jeszcze zobaczysz, co potrafię!

Nie czekając na reakcję żony, odwrócił się na pięcie i poszedł do sypialni. Odechciało mu się spać. Nerwowy poranek zadziałał lepiej niż kofeina.

– Unikasz mnie? – Danka była szybka. Zanim Grzelak otworzył szafę, żeby wyjąć ubrania, stanęła za nim i docisnęła drzwi.

– Danka! – zdenerwował się. – Daj mi już spokój. Masz jakiś problem?

– Mam. Z tobą.

– Do jasnej cholery, tak się nie da żyć! Jak jestem zmierzły, to niedobrze, jak zacząłem być zadowolony i uśmiechnięty, też niedobrze.

– Ciekawe, co byś pomyślał, gdybym nagle ja zaczęła być dla ciebie miła?

– To akurat nie byłoby normalne – prychnął Grzelak.

– A widzisz!

– Ale to co innego...

– Nic innego. Nie odwracaj kota ogonem! Widzę, że coś jest nie tak. Albo mi powiesz, albo...

– Albo co?

– Zobaczysz. Ja też potrafię znaleźć sobie chłopca! I to może wreszcie porządnego, a nie takiego nieudacznika jak ty! – zagrzmiała bojowo. – Może wreszcie ktoś by mnie docenił. A ty sobie idź z tą swoją lafiryndą, gdzie pieprz rośnie!

– Nie ma żadnej lafiryndy! – Grzelak zamknął drzwi od sypialni. – Siadaj! – nakazał, wskazując palcem łóżko. – Powiem ci, skąd u mnie taki dobry humor. Powiem ci.

Danka umilkła, zdziwiona reakcją męża. Posłusznie usiadła na brzegu łóżka, serce jej biło nieprzytomnie.

– Nie ma żadnej lafiryndy – powtórzył spokojniej Grzelak. – Książkę napisałem.

– Co?!

– Książkę napisałem. Zostanie wydana na wiosnę.

– Żartujesz chyba? – Danka głośno odetchnęła, zbladła. Jej twarz przybrała dziwny wyraz, kąciki ust opadły, a źrenice oczu się zwęziły.

– Nie żartuję, Danusiu! – Grzelak uśmiechnął się, widząc reakcję żony. Wreszcie udało mu się ją zaskoczyć. – Nie żartuję! – ekscytował się. – Naprawdę!

– Książkę? – Danka jakby wciąż nie dowierzała.

– I to niejedną! Cała seria będzie!

– Niiieeee...

– Tak! – krzyknął. Cieszył się, że Danka siedzi, inaczej by chyba zemdląła. – Umowę podpisałem. To miała być dla ciebie niespodzianka. Nikt o tym nie wie. I proszę, nie mów nikomu, niech się ludzie zdziwią.

– Oooo, na to możesz liczyć. – Głos Danki zagrział grobowo.

Grzelak spojrział na żonę, nie wiedział, czy żartuje. Na pewno miałyby ochotę zaraz zadzwonić do Wiesi.

– Nie mów nikomu, bardzo cię proszę – powtórzył z naciskiem.

– Bez obaw! Za kogo ty mnie masz! O babie chętnie bym rozpowiedziała we wsi, ale o książce? Toż to wstyd!

Grzelak aż wstrzymał oddech, kiedy to usłyszał.

– Jaki wstyd? – spytał po chwili.

– No jak to? Komendant? Szanowany, poważny człowiek, a za pisanie książek się bierze? Jak to wygląda? Że niby komendant artysta? Śmiać się będą. Jeszcze zacznij obrazy malować!

– Danusiu.

– Przecież ty nawet nie umiesz pisać – zauważyła, nie dając mu dojść do słowa.

Grzelak poczuł, jak robi mu się słabo. Usiadł na krześle przy toalecie. Ramiona mu oklapły, zgarbił się. Siedział przez chwilę, nie patrząc na żonę. Znów w niego nie wierzyła. Znów naigrywała się z jego sukcesu.

– Otóż... – wycedził po dłuższej chwili – okazało się, że umiem pisać. I to całkiem nieźle. Tak mówi wydawca.

– Nie do wiary. Ktoś zgodził się to opublikować? – parsknęła. – Ile mu zapłaciłeś?

– Za kogo ty mnie masz? Nic nie zapłaciłem.

– Nikt normalny nie wydałby twoich wypocin, musiałeś go przekupić.

– Niby z czego? Przecież oddaję ci całą pensję, wydzielasz mi z tego grosze! Zastanów się, co mówisz, nikomu nie płaciłem. Jestem dobry, mam talent. To oni mi zapłacą.

– Ciekawe ile – zadrwiła.

– Dużo. To będzie bestseller. Kupimy nowy samochód.

Przez moment w oczach Danki jakby rozbłysło światełko. Szybko jednak zgasło.

– Ale ty głupi jesteś, Gienek – westchnęła. – Naopowiadali ci głupot i uwierzyłeś. Przecież wszyscy wiedzą, że pisarze to obdartusy. Nie zarabiają kokosów. Lepiej byś o premię się upomniał do Wrocławia, a nie jakieś głupoty ci w głowie. Ciekawe, co żeś tam nawypisywał...

– To poważna książka. Kryminał.

Danka pokręciła głową z dezaprobatą.

– Strata czasu – zawyrokowała. – Nic z tego nie będzie. Za inną robotę się weź.

– Będzie, zobaczysz, że będzie. Nawet film mogą zrobić, pani Alicja mówiła, że wtedy są dodatkowe pieniądze. Jeszcze większe.

– Alicja? – Danka spojrzała podejrzliwie. – Alicja... Czyli to ona ci się śniła dzisiaj...

**

Mimo dość mocnych podmuchów wiatru Daisy wyglądała na zadowoloną ze spaceru. Biegła kilka metrów przed Kają, machając ogonem. Furtka prowadząca do domu Józefiny była uchylona, ale Daisy nie wbiegła do ogródka. Cierpliwie czekała na panią.

Kaja, owinięta szalikiem, szła powoli. Usłyszawszy pomruk samochodowego silnika, zeszła na pobocze. Auto zatrzymało się tuż przy niej.

– Cześć. – Paweł uchylił okno od strony pasażera. – Podwiozę cię, wsiadaj.

– Przecież to tylko kilka metrów – zauważyła z uśmiechem Kaja.

– Ale za to w cieple. Wskakuj, pogadamy.

Wsiadła. Rzeczywiście, wnętrze samochodu było przyjemnie rozgrzane. Zdjęła czapkę i szal.

– Próbowałem się dodzwonić, ale twój numer nie odpowiada.

– Wyłączyli mi telefon. Nie płaciłam – wyjaśniła zwięźle.

– W takim razie nie wiesz, że i Robert Wilczyński usiłował się z tobą skontaktować.

– Kto?

– Radca prawny Grzegorza Wiecha. Byłaś z nimi na spotkaniu.

– Ach tak. – Kaja dopiero teraz skojarzyła.

– Chcą kupić las.

– Poważnie? Przecież kręcili nosem na cenę.

– Bo nie za milion. Proponują pół bańki.

– Aha... – Kaja się zamyśliła.

– Słuchaj, to świetna propozycja, powyżej ceny rynkowej. Za pół miliona spłacisz długi, jeszcze ci coś zostanie.

– Ale ponad pół miliona stracę...

– Teraz z każdym dniem tracisz więcej.

– Dwieście tysięcy dała koleżanka na ogrodzenie, muszę jej zwrócić. Zostanie mi ledwie trzysta.

– Zawsze coś. Mówiłaś, że twój salon nie działa, może dzięki tym pieniądzom na nowo go uruchomisz i zaczniesz zarabiać.

– Pół miliona... – Kaja westchnęła – trochę mało.

Spojrzała na Pawła. Ostatnio miała problem z podejmowaniem mniejszych decyzji, a co dopiero podjąć taką.

– Więcej nikt nie da – podkreślił stanowczo Paweł. – Kaja. Nie ma co się zastanawiać. Odezwą się po Nowym Roku, są gotowi podpisać umowę już w styczniu. Masz jeszcze kilka dni na przemyślenie, ale moim zdaniem...

– Masz rację – Kaja weszła Pawłowi w słowo.

– Czyli sprzedajesz?

– Tak. Skoro mówisz, że to dobra cena.

– Najlepsza.

Uruchomił samochód i podjechał nim kilka metrów. Zaparkował pod domem Józefiny.

– Słuchaj... – Kaja chwyciła za klamkę, ale nie otworzyła drzwi. Cofnęła rękę. – Czy moja mama może dzwoniła do ciebie?

– A miała dzwonić?

– Nie, skąd. – Kaja się zmieszała. – Tylko... pomyślałam sobie, że przecież ma twój numer, bo z niego do niej telefonowałeś. Moja komórka nie działa, były święta... Pomyślałam, że może...

– Nie dzwoniła.

– Aha.

– Ale mam jej numer. Chcesz zadzwonić?

– Nie. – Stanowczo zaprzeczyła.

– Mogę ci pożyczyć telefon, nie ma sprawy.

– Nie trzeba. To nic takiego. Tak tylko pytałam... A wiadomo już może, co z moim samochodem? – szybko zmieniła temat.

– Drugiego stycznia go odbieram. Łatają dziury, klepią, ale wiesz... dobrze by było odstawić go do porządnego serwisu, bo teraz, na szybko, nie da się doprowadzić do stanu idealnego.

– Byle jeździł. I byle mi nie wiało. Dziękuję za pomoc. Oddam ci pieniądze, gdy tylko będę miała.

– Nie ma sprawy.

– Ach, i dziękuję za prezent. – Kaja ścisnęła trzymaną w ręku czapkę. – Żałuję, że nie mam nic dla ciebie.

– Daj spokój, nie trzeba. Mam nadzieję, że trafiłem z kolorem.

– Pewnie. I wreszcie jest mi ciepło. – Uśmiechnęła się.

– Słuchaj... – Paweł spowaźniał. – Wiem, że źle zaczęliśmy i naprawdę wstyd mi za moje zachowanie. Chciałbym to jakoś naprawić. Nie wiem... Może wspólny sylwester? Przygotuję coś do jedzenia, napijemy się wina, pogadamy, opijemy rychłą sprzedaż lasu.

– Dziękuję. To miłe z twojej strony, ale raczej nie... Alicja też mi proponowała, robią imprezę w Angel's. To cholernie miłe, że ludzie mimo

wszystko chcą się ze mną spotykać. Jednak nie bardzo mam ochotę na jakiegokolwiek wyjścia. Spędzę ten wieczór z panią Józefiną, ona też nigdzie się nie wybiera.

– Okej. Gdybyś zmieniła zdanie...

– Pewnie, dam znać.

– Naprawdę chciałbym zatrzeć złe wrażenie. Myślałem, że ten nasz początek... No wiesz, że to była wspólna decyzja. Nie chcę, żebyś wyjechała z poczuciem, że dobieierałem się do ciebie, że jestem jakimś totalnym potworem, wyganiałem cię z domu, dokuczałem. To było słabe.

Kaja prychnęła.

– Co? To przecież ja się do ciebie dobrałam! I to ja wymusiłam na tobie, żebyś mnie tolerował we własnym domu! To dopiero było słabe.

– Skarzyłaś się do Gosi Wojtaszkówny, myślałem więc, że...

– Skarzyłam się? Dobre sobie! Musiałam być jeszcze mało przytomna, może czymś mnie naszprycowali w szpitalu, że nie pamiętam. W życiu bym się nie skarżyła, naprawdę, jestem ci wdzięczna, Paweł, za wszystko. I twoim rodzicom też.

Mówiła szczerze. Paweł nie miał wątpliwości, że słowa, które wypływają z jej ust, są prawdziwe. Wzruszyło go to. Kaja, która z nim mieszkała, była inna. Pewna siebie, opryskliwa, wyzywająca. Niedająca się lubić. Złośliwa. Była piękna i w połączeniu z charakterem, który przywodził na myśl Królową Śniegu, stawała się zapewne intrygująca, jednak nie dla niego. Dość miał kobiet, które kłamią i manipulują. Dość miał fałszywych intrygantek, które mówią jedno, a robią drugie. Po doświadczeniach z Mariolą wszystkie kobiety w jego głowie stały się dwulicowe i zdradzieckie. Kaja też według niego taka była. Dobrze pamiętał jej gierki, kiedy usiłowała wymóc zgodę, by dalej mieszkała w jego domu. Z premedytacją, bez cienia skrupułów próbowała owinąć go sobie wokół palca. Te kobiece sztuczki, ten uśmiech, te kuse ubrania. Nie dał się na to nabrać.

Dziś jej nie poznawał. Odarta z maski, prawdziwa. Może nieco przygaszona, jednak na wskroś naturalna i szczerza. Kaja. W pożyczonej kurtce, wełnianym szaliku, bez grama makijażu. Zwyczajna. I jakoś dziwnie piękna. Jakby po zrzuceniu z siebie sztucznego balastu zaczęła emanować wewnętrzną jasnością. Kaja.

– Kaja – szepnął – gdybyśmy się przed Nowym Rokiem nie spotkali... życzę ci wszystkiego dobrego.

– Wzajemnie. – Jej uśmiech objął też oczy. Szare oczy, dopiero teraz dostrzegł ich kolor.

**

Rodzice Alicji niechętnie opuszczali Polankę. Święta minęły na tyle spokojnie i beztrasko, że mama Alicji po raz pierwszy naprawdę wypoczęła.

Zazwyczaj to ona wszystko szykowała, gotowała, podawała, a potem sprzątała. Niezmiennie, za każdym razem, odrzucała pomoc córek, tłumacząc, że ona wszystko zrobi po swojemu i najlepiej. W tym roku, kiedy to ona była gościem, wreszcie doceniła możliwość oddania kontroli innym. I było dobrze.

– Było wręcz wspaniale – rozpląwała się, całując córki na pożegnanie.

Wyjechali po południu, po obiedzie, planując po drodze wstąpić do Józefiny, żeby się pożegnać. Wzięli ze sobą Matyldę – miała spędzić sylwestra z nimi i ich sąsiadami, którzy także zaprosili wnuki w podobnym wieku co dziewczynka.

Alicja i Dorota stały pod Angel's i niemal synchronicznie machały za oddalającym się samochodem. Kiedy wreszcie zniknął, Dorota klasnęła i podskoczyła.

– Nareszcie! – krzyknęła piskliwie. – Już myślałam, że będą tu siedzieć bez końca! To co? Dzisiaj impreza?

– Błagam! – Alicja się roześmiała. – Daj chwilę odpocząć. Muszę nabrać sił przed sylwestrem. Mam ochotę owinąć się w koc i poczytać.

– Jak niedźwiedź! – obruszyła się Dorota. – Młode jesteśmy, trzeba korzystać z życia. Wrócisz do Warszawy i co? Znowu tylko praca, obowiązki... Alicja, zaszalejmy. – Złożyła błagalnie dłonie.

– Obiecuję, że zaszaleję w sylwestra. Nie dziś. Poza tym... stęskniłam się za Konradem. Ostatnio byliśmy bardzo grzeczni, rodzice w pokoju obok, w naszym pokoju spała Matylda.

– Aaaach... – syknęła Dorota – trzeba było tak od razu! To może chociaż wpadniecie do nas na karty? Marianna nauczyła wczoraj Christiána grać w remika, zobaczysz, będzie zabawa. A potem wróćcie do siebie i pobawicie się sami. – Puściła oko.

– Na karty być może wpadniemy – zgodziła się Alicja.

– A o której Konrad wraca z Wrocławia?

– Nie wiem, pewnie wieczorem.

– A ci jego znajomi potwierdzili, że przyjadą na sylwestra?

– Potwierdzili. I z Polanki też będzie kilka osób. Szykuje się niezły bal. Chyba ze dwadzieścia par.

– Super – ucieszyła się Dorota. – Jak to dobrze, że wzięłam dwie kiecki. Po północy się przebiorę. Ale fajnie!

– Patryk też ma dwa garnitury? – Alicja się uśmiechnęła.

– Żebyś wiedziała! Zabrał większą walizkę niż ja i Marianna, dasz wiarę? No, ale cóż. Mogę się tylko cieszyć, że mam zadbanego faceta.

– Wstał już? – spytała Alicja.

– Nie wiem. – Dorota wzruszyła ramionami.

Patryka nie było na obiedzie. O ile Marianna i Christián uprzedzili o nieobecności, ponieważ zaplanowali na ten dzień odwiedzić groby rodziców

i babci Marianny oraz urządzić sobie wycieczkę po okolicy, a potem odwiedzić wujka we Wrocławiu, o tyle Patryk mimo obietnicy, że stawi się na rodzinny posiłek, zignorował zaproszenie, wymawiając się w ostatniej chwili bólem gardła i koniecznością pozostania w łóżku. Alicja sądziła, że ta wymówka spowodowana była zwyczajnym brakiem chęci. Już wcześniej zauważyła, że rozmowy przy stole go nudzą. Starał się tego nie okazywać, ale Alicja kilkakrotnie była świadkiem, jak Patryk pod pozorem wyjścia do łazienki lub na papierosa wymyka się na kilkanaście minut, podczas których cały czas koresponduje z kimś przez telefon.

– To co, kiedy Marianna z Christiańem wróca, wpadniesz na karty? – zagadnęła Dorota.

– Wyślij SMS-a, jeśli będziecie grać. – Alicja skinęła głową.

Wróciła do Angel's i posprzątała po obiedzie. Tego dnia gotowały z Dorotą i mamą, ponieważ Dariusz i Maciej mieli wolne. Kiedy się upewniła, że wszystko ładnie czystością, zgasiła światło i zamknęła lokal. Nieco zmęczona, żalując, że nie zaprzęgała do pomocy Doroty, poszła na górę, do mieszkania Konrada, i włączyła telewizję. Zamierzała obejrzeć coś lekkiego, żeby się zrelaksować, ale zanim jakikolwiek program przykuł jej uwagę, przysnęła z pilotem w dłoni.

Obudził ją dźwięk telefonu. Konrad poinformował, że przyjedzie późnym wieczorem. Po chwili przysłała też wiadomość od Doroty z zaproszeniem na karty. Alicja spojrzała na zegarek. Siedemnasta. Okazało się, że drzemała prawie dwie godziny. Za oknem zmierzchało, a wzmagające się podmuchy wiatru słychać było nawet przez zamknięte okna.

Telewizor ciągle grał, ale obraz był zakłócony, prawdopodobnie z powodu pogody. Szarpany dźwięk tylko drażnił. Wyłączyła odbiornik i poszukała radia. Chciała zagłuszyć czymkolwiek natężające się dźwięki wichury. Niestety, jak na złość, także radio nie działało sprawnie. Sięgnęła po telefon i wybrała numer mamy.

– Hej – powiedziała do słuchawki, starając się, żeby jej głos nie wyrażał niepokoju. – Jak podróż? Do Polanki chyba zbliża się śnieżycy, mam nadzieję, że na trasie spokojnie?

– Wszystko w porządku. – Mama miała wesoły głos. W tle Matylda z dziadkiem śpiewali jakąś piosenkę. – Chyba zapomniałam ładowarki, weźmiesz ją do Warszawy, jak znajdziesz?

– Wezmę.

Alicja odłożyła telefon. Włączyła laptopa. Była ciekawa, czy podczas jej nieobecności w galerii spłynęły jakieś zamówienia. Miała problemy z zalogowaniem się do systemu, ale w końcu się udało. Nowych zamówień nie było. Westchnęła. Zastanawiała się, czy Basia z Januszem też się logują, żeby to sprawdzać. Z pewnością również czuli niedosyt i rozczarowanie. To przecież oni wyłożyli pieniądze na galerię.

Zrobiło się jej smutno. Po fantastycznych rodzinnych i naprawdę dobrych świętach przyszedł moment na refleksję. Trzeba wymyślić coś, co przyciągnie klientów. Może jakieś znane nazwisko? Póki co postawiła na młodych, początkujących artystów, ale okazało się, że ich dzieła nie wzbudzają większego zainteresowania. A może rzeczywiście powinna rozwinąć ofertę galerii, poszerzyć ją na przykład o niewielkie rzeźby, które mogłyby się stać dla kogoś niebanalnym elementem wystroju mieszkania lub domu. Może, tak jak sugerowała Olga, wprowadzić biżuterię, żeby kobiety niezainteresowane malarstwem mogły znaleźć coś dla siebie... Kierunków było sporo, ale do żadnego z nich Alicja nie była jeszcze przekonana.

Zamknęła laptopa. Internet zbyt słabo działał, żeby można było surfować po stronach w poszukiwaniu pomysłów i inspiracji.

Przeciągnęła się, prostując plecy. Przydałby się masaż – pomyślała. Albo seria porządných ćwiczeń. Tak. Noworoczne postanowienie – zapisać się na siłownię, aerobik albo chociaż zacząć biegać. Podobno aktywność fizyczna nie tylko dobrze wpływa na sylwetkę, zdrowie i samopoczucie, lecz także poprawia sprawność mózgu. Alicja potrzebowała nowych impulsów. Ostatnich kilka miesięcy było trudnych i wyczerpujących psychicznie. Może dlatego zabrakło jej świeżości spojrzenia. Galeria musi ruszyć z kopyta.

Odezwał się telefon. Dorota.

– Nie odpisujesz, nie dzwonisz – narzekała. – Czekamy.

– Przepraszam, chyba nie mam jednak ochoty na karty. Zagrajcie we czwórkę.

– Aleś marudna. Jak zwykle. Rusz tyłek i chodź do nas. Mamy pyszne babeczki.

– Marianna upiekła?

– To jeszcze z wczoraj. Marianny i Christiána nie ma, dzwoniłi, że nie wrócą na noc.

– O kurczę – zmartwiła się Alicja. – Powstrzymała ich burza? Mam nadzieję, że Konrad przyjedzie.

– Nie burza. Wino. – Dorota zachichotała. – Odwiedzili jej wujka, będą u niego nocować. Rozmawiają na temat cukierni, kawiarni i w ogóle o interesach. Marianna chyba wciąż nie może się zdecydować, czy przenieść się do Warszawy, czy zostać we Wrocławiu i pracować z wujkiem.

– Myślałam, że ma to już ustalone. Zresztą Christián wynajął jej lokal...

– Znasz ją. Jest za grzeczna. Nie postanowi nic, dopóki wujek nie da błogosławieństwa.

– Trudno się dziwić. W końcu to on przejął na siebie ciężar prowadzenia wszystkich cukierni po śmierci jej rodziców.

– To co, przychodzisz? – Dorota zmieniła temat. Była jak zwykle

niecierpliwa.

– To może wy wpadniecie? Głupio tak panoszyć się w domu Marianny podczas jej nieobecności – zauważyła Alicja.

– Coś ty, kazała czuć się jak u siebie. Poza tym jesteśmy jak rodzina, daj spokój.

– No dobrze – zgodziła się Alicja. – To przyjdę na partyjkę.

Na zewnątrz było przenikliwie chłodno i wietrznie. Wydawało się, że pada śnieg, ale to płatki stręcane wiatrem z drzew wirowały w powietrzu. Alicja odruchowo wystawiła język. Lubiła robić tak jako dziecko i teraz czasem też nie mogła się powstrzymać.

U Marianny paliły się światła. Cukiernia wyglądała na działającą, na wystawie piętrzyły się ciastka. Drzwi były zamknięte, ale słodki widok powodował, że wyobraźnia podsuwała zapach biszkoptu i czekolady oraz woń świeżo parzonej kawy wydobywającą się z wnętrza.

– O rany. – Alicja westchnęła, zdumiona.

Nacisnęła dzwonek. Po chwili tanecznym krokiem do cukierni wkroczyła Dorota. Była ubrana w dżinsy i jasny sweter, na jej twarzy widniał promienny uśmiech.

– Hej, siostra. Wchodź szybko, bo wieje. – Przytrzymała drzwi, żeby Alicja mogła wejść do środka.

– Co tu się dzieje? Marianna otworzyła cukiernię?

– Tak. Dla nas. – Dorota zachichotała. – Nie mogła wytrzymać, żeby czegoś wczoraj nie upiec. Wszyscy się świetnie bawiliśmy. Mówiłam ci, że mamy pyszne babeczki. Zobacz, to moje. – Pokazała paterę, na której stało kilka muffinek.

– I tak beze mnie? – Alicja udała obrażoną.

– Trzeba było nie siedzieć do późna u teściowej – odparła Dorota.

– Aaa, no tak – zgodziła się Alicja. Rzeczywiście, wczorajszy wieczór spędzili z Konradem i jej rodzicami na proznej kolacji u mamy Konrada.

– Ale nie martw się, zaparzę ci kawkę i zjesz sobie pyszne ciasteczko. Proszę bardzo. – Dorota postawiła paterę na stoliku i przeszła za ladę. – Zdejmuj kurtkę, bo się zgrzejesz. La, la, la – zanuciła, włączając ekspres.

– A co ty tak tryskasz humorem? – Alicja spojrzała na siostrę podejrzliwie.

– A nic, a nic, la, la, la – zapiątała dźwięcznie Dorota. – Właśnie podjęliśmy z Patrykiem megaważną decyzję życiową, la, la, la, uha ha... – śpiewała.

– Ślub? – Alicja otworzyła oczy ze zdumienia.

– No coś ty! – Dorota parsknęła śmiechem. – Tak łatwo pod ołtarz nie dam się zaciągnąć, najpierw muszę go lepiej poznać. Zamieszkamy razem. Od stycznia.

– Gratulacje. Przeprowadzasz się do niego?

– On wprowadza się do mnie. To praktyczniejsze. Mieszkam w Śródmieściu, mam blisko do pracy, zresztą on też pracuje w centrum. Teraz mieszka na

Białolece, kawał drogi, do tego wieczne korki.

Dorota podała Alicji filiżankę z kawą.

– Wiesz co – zaproponowała – może weźmiemy to wszystko na górę, karty już czekają.

**

Wróciła do domu przed dwudziestą. Nie dlatego, że karty jej nie szły, ale planowała przygotować romantyczną kolację. Konrad miał być około dwudziestej pierwszej. Uprzedził, że może się spóźnić, warunki na drodze po wichurze nie były najlepsze. Wiatr nieco ustał, ale wciąż zdarzały się silniejsze podmuchy, uginające gałęzie i strącające z dachów śnieg.

Lodówka w mieszkaniu nie była zbyt dobrze zaopatrzona, ale wystarczyło produktów, żeby zrobić lekką sałatę z wędzonym łososiem, pomidory z mozzarellą i bazylią oraz jajka z pastą z tuńczyka. Skromnie, ale w dobrym towarzystwie wszystko dobrze smakuje. Do tego lampka białego wina, świece. Kolacja tylko we dwoje. Nareszcie.

Alicja spojrzała na zastawiony stół z satysfakcją. Tak niewiele trzeba, by stworzyć odpowiedni klimat – pomyślała. Podeszła do okna, żeby zasłonić kotary. Zauważyła sporych rozmiarów samochód parkujący pod Angel's. Na pewno nie było to auto Konrada. Po chwili wysiadł z niego kierowca, a krótko po nim kolejne osoby. Wyglądało na to, że wchodzi do restauracji, a przecież była zamknięta.

Alicja, zaniepokojona, wybiegła na klatkę schodową i nie zważając na to, że nie ma na sobie kurtki ani butów, zbiegła po schodach. Na dole natknęła się na Macka wychodzącego z magazynu. Niósł karton, z którego wystawały dwie butelki wina.

– Cześć – powiedziała zdyszana. – Chyba ktoś przyjechał do Angel's, widziałam z okna, jak wychodzą z samochodu. Nie spodziewamy się przecież gości... Trzeba to sprawdzić, na pewno zamykałam drzwi.

Maciek spojrzał na nią skołowanym wzrokiem. Wyraźnie próbował odwrócić jej uwagę od kartonu z winem. Odstawił go i zasłonił nogą.

– Eeee... – zająknął się. – No... To nasi znajomi... Znaczą się moi i Darka. Mamy dzisiaj wolne, zaprosiliśmy kilka osób... Nie masz nic przeciwko? Konrad pozwolił.

– Ach. – Alicja się zmieszała. – Przepraszam, nie wiedziałam. Tak, oczywiście. Bawcie się, miłego wieczoru.

Wróciła do mieszkania i jeszcze przez chwilę myślała nad tym, co zaszło. Ani Maciek, ani Darek nigdy nie wspominali, że mają jakichś znajomych. Na pewno nie zaprosili ich na sylwestra, bo przecież знаła listę gości. Mieli prawo spotykać się z ludźmi, nawet w restauracji po godzinach, jeśli Konrad wyraził na to zgodę. Ale czy na pewno poinformowali, że będą korzystać z jego piwniczki

z winami? Nie to, żeby im nie ufała, ale nie wiadomo, jak się zachowywali po alkoholu. Naszła ją myśl, że wkrótce wszystkie zapasy zostaną przez ich znajomych mocno naruszone.

Zgasiła światło, żeby nie być widoczną, i znów wyjrzała przez okno. Samochód właśnie ruszał. Czyżby wystraszyła gości? Może Maciej i Darek wcale nie poinformowali Konrada o swoich imprezowych zamiarach i teraz, wiedząc, że Alicja ich nakryła, szybko zmienili plany?

Auto nie odjechało jednak, ale zakręciło za rogiem, jakby kierowca zamierzał podjechać pod restaurację od tyłu. To jeszcze bardziej zaintrygowało Alicję i teraz, gasząc po drodze światło w przedpokoju, przedostała się do sypialni po drugiej stronie mieszkania.

Rzeczywiście, samochód stanął tuż pod tylnym wejściem. Wypakowywano coś z niego, jednak w ciemności trudno było dostrzec, co to jest. Może alkohol – przebiegło Alicji przez myśl. Maciek prawdopodobnie poinformował kumpli, że narzeczona właściciela obserwuje ich przez okno i dlatego zdecydowali się podjechać od tyłu, dla zachowania większej dyskrecji.

– Och, to się szykuje impreza – szepnęła do siebie Alicja. Była bardzo ciekawa, co to za ludzie. Żałowała, że nie przyjrzała się im dokładniej, kiedy wysiadali.

Dźwięk telefonu spowodował, że cofnęła się do salonu i zapaliła światło. Dzwoniła mama z informacją, że bezpiecznie dojechali do Warszawy.

– Matylda już śpi – powiedziała. – Wszystko w porządku. A co u was?

– Czekam na Konrada. – Głos Alicji był nieco zdenerwowany.

– Jeszcze go nie ma? Martwisz się. – Mama bardziej stwierdziła, niż spytała.

– To przez tę burzę?

– Nie, wiatr już ustał, na szczęście, chyba przeszło bokiem. Ale czekam z kolacją, martwię się, że wystygnie – skłamała, bo przecież nie przygotowała nic na ciepło.

– Och, tacy właśnie są mężczyźni – westchnęła matka. – Nigdy nigdzie im się nie spieszy. Nawet gdy jedzenie stygnie.

– Ważne, żeby kobieta była gorąca – wyrwało się Alicji.

– Dziecko! – obruszyła się matka. – Nie chciałam tego usłyszeć.

Konrad przyjechał po niespełna dwudziestu minutach. Przywitał ją namiętnym pocałunkiem. Nie widać było po nim zmęczenia, co ucieszyło Alicję. Planowała naprawdę upojny wieczór we dwoje.

– Myślałam, że już w ogóle do mnie nie przyjedziesz – zażartowała, odwzajemniając pocałunek.

– To były naprawdę wyczerpujące dni, ale wszystko się udało. W styczniu już oficjalnie otworzymy biuro w Warszawie, Marcin wreszcie się przekonał do tego pomysłu. Nowy Rok zaczniemy z nowym planem na rozwój firmy.

– No widzisz – roześmiała się – dzięki mnie wasza firma się rozwija. Nowi klienci, dobre perspektywy.

– Za tobą mógłbym pojechać na sam koniec świata – przyznał.

– To dobrze, bo ja też cię kocham. – Zmysłowo zmrużyła oczy. – I z tej miłości mam dla ciebie niespodziankę.

– Niespodziankę...

– Tak. Przygotowałam romantyczną kolację. Zapraszam. Wprawdzie za bardzo się nie najesz, bo jest tylko sałata i jajka z tuńczykiem, ale za to mam wino i mnóstwo czasu dla ciebie.

– Wspaniale. Daj mi pięć minut, wezmę prysznic i za chwilę jestem już twój.

– Mam nadzieję. – Mrugnęła.

Kiedy usiedli przy stole, patrzyła na niego z czułością. Naszła ją myśl, że z tym mężczyzną mogłaby spędzić resztę życia.

– Nasze zdrowie – wzniosła toast. Konrad uniósł kieliszek.

– Nasze zdrowie – powiedział z uśmiechem. Uwielbiała ten uśmiech. Był tak uroczo chłopięcy, kiedy na męskiej twarzy uwydatniały się dołeczki w policzkach.

– A wiesz, że na dole chłopaki robią jakąś imprezę – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

– Doprawdy?

– Niechcący ich nakryłam. Przyjechali jacyś ludzie, wnosili coś od tyłu.

– Może warto to sprawdzić... – podjął, choć nie widziała na jego twarzy zaniepokojenia, raczej rozbawienie.

– Maciek powiedział, że wyraziłeś zgodę.

– Hmm... nie przypominam sobie... – Udawał poważnego, lecz Alicja nie dała się nabrać. Na pewno pamiętał, jego oczy były roześmiane.

– Ojej! – krzyknęła nagle. – Zapomniałam o świecach. Poczekaj. – Podeszła do szafki po zapałki. – Pięknie, nieprawdaż? – Pochwaliła swoje dzieło, gasząc górne światło. W blasku świec stół wyglądał romantycznie.

– Pięknie – przyznał Konrad. – Naprawdę wspaniale to urządziłaś. Marzyłem o takiej kolacji.

– Tylko się nie przyzwyczajaj – zastrzegła żartobliwie.

– A skąd, jakżebym śmiał!

Roześmiali się oboje. Alicja usiadła.

– Ale wiesz co... – podjął Konrad, patrząc jej w oczy. – Jeszcze mi czegoś brakuje...

– Tak? – Rozejrzała się po stole, zastanawiając się, o czym zapomniała.

– Bardzo bym chciał, żebyś do tej naszej cudownej romantycznej kolacji założyła suknię, którą ode mnie dostałaś.

Alicja parsknęła śmiechem.

– No tak – przyznała. – Masz rację, dresy są mało romantyczne.

– Pięknie wyglądasz we wszystkim, ale ta suknia...
– Przecież to na sylwestra...
– Chciałbym cię dzisiaj w niej zobaczyć, proszę... Jeśli założysz suknię, to ja się ubiorę w garnitur – zaproponował.

– Chyba że tak. – Zachichotała rozbawiona. Spodobał jej się ten pomysł.

Przebrała się i poprawiła makijaż. Upięła włosy. Spryskała się perfumami. Przejrzawszy się w lustrze, musiała przyznać, że wygląda doskonale. Konrad miał rację, romantyczna kolacja wymaga odpowiedniej oprawy. Ta suknia była na taką okazję idealna.

– Dobry wieczór panu – powiedziała zmysłowym szeptem, podchodząc do stołu.

Konrad wstał. W jego oczach zauważyła błysk podziwu.

– Wyglądasz... – Wyraźnie go zatchnęło. – Oszalamiająco.

– Dziękuję. Ty również, przystojniaku. – Mrugnęła. Pozwoliła odsunąć sobie krzesło. Elegancy, zrelaksowani i uśmiechnięci usiedli do stołu. Brakowało już tylko muzyki.

– Niestety, sprzęt nie działa – powiedział, kiedy o tym wspomniała. – Miałem zawieźć do Wrocławia do naprawy.

– Nie szkodzi. Kiedy wypijemy więcej wina, sami zaczniemy śpiewać.

Zjedli trochę sałaty. Okazała się zbyt sucha. Alicja nie dodała do niej ani oliwy, ani sosu.

– Przepraszam – zawstydziała się. – Kiepska ze mnie kucharka.

– Co ty opowiadasz, jest pysznie. – Konrad udawał, że naprawdę mu smakuje. Alicja zauważyła, że zerknął na zegarek.

– Spieszysz się gdzieś? – zażartowała. – Chyba nie jesteś Kopciuszkiem, który ucieknie z balu przed północą? A może z kimś się umówiłeś, hmmm?

– Wspominałaś, że brakuje muzyki...

– To nic, możemy włączyć radio. Kiedy zerwał się wiatr, kiepsko odbierało, ale może teraz się uda.

– Mam lepszy pomysł. Zejdźmy na dół. Włączymy muzykę, zatańczymy. Co ty na to?

– Ale na dole jest impreza, mówiłam ci, chłopaki zaprosili gości. Skoro to było z tobą ustalone, to nie wypada im przeszkadzać, nie zaprosili nas.

– To się wprosimy.

– Coś ty. – Alicja zachichotała. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Normalnie. Pójdziemy, zatańczymy i wrócimy. Będziemy grzeczni, nie będziemy im przecież przeszkadzać.

– No nie wiem...

– Kochanie – szepnął – zabawmy się, noc jest taka piękna. Jestem z cudowną kobietą, zjadłem pyszną sałatę... – Skinął głową z uznaniem. – Napilem się

doskonałego wina, a teraz mam ochotę zatańczyć. Chyba nie chcesz, żeby nasze piękne stroje zniknęły w tym małym pokoju. Twoja suknia potrzebuje przestrzeni i blasku.

Alicja chichotała. Słowa Konrada brzmiały tak poważnie, a przy tym miał tak komiczną minę, że nie była w stanie się powstrzymać.

– No dobrze, a co tam! – krzyknęła bojowo. – Zabawmy się! Najwyżej nas wyrzucą. Jeszcze nigdy nie zostałam wyproszona z knajpy.

– Ja też. A już na pewno nie ze swojej. Spróbujmy, może uda nam się zirytować ich do tego stopnia, że wywalą nas na bruk i wezwą ochronę!

Podał ramię Alicji.

– Tu nie ma ochrony – zaśmiewała się Alicja.

– Grzelaka wezwą, on zrobi z nami porządek!

– Jeszcze nas wtrąci do więzienia, i co wtedy? – Alicja ledwo mówiła ze śmiechu.

– Co tam więzienie, do lochu nas wtrąci. To dopiero będzie przygoda!

– Ciiii – Alicja przytknęła palec do ust, kiedy wyszli na klatkę schodową. – Spróbujmy zachować powagę. Słabo by wyglądało, gdybyśmy wtargnęli tam zbyt rozbawieni, jeszcze gotowi pomyśleć, że jesteśmy pijani albo coś, trochę to nie wypada.

– Masz rację. – Konrad przytaknął energicznie. – Przecież wypiliśmy po pół kieliszka, nie wypada, żeby upić się taką ilością...

– Nie żartuj. – Alicja go szturchnęła. – Oni nie wiedzą, że nie piliśmy. Ale mogą sobie coś pomyśleć. Lepiej przestań się śmiać i bądź poważny – poinstruowała. – Wejźmy tam elegancko i z klasą. Jak gdyby nigdy nic.

– Jak gdyby nigdy nic. Tak jest.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Konrad objął Alicję, by ochronić ją przed chłodem. Wprawdzie od klatki schodowej prowadzącej od mieszkań do drzwi restauracji było tylko kilka metrów, ale zimą nawet kilka metrów z odsłoniętymi plecami i w szpilkach mogło poskutkować u Alicji przeziębieniem.

W Angel's pozornie nic się nie działo, ale zapalone kinkiety i snop światła od strony kuchni sugerowały, że w środku ktoś jednak jest.

– No i gdzie ta impreza? – spytał Konrad, kiedy zaglądali przez szybę.

Alicja skrzywiła usta, zdezorientowana.

– Nie wiem – szepnęła. – Może imprezują w kuchni, po cichu...

– Sprawdźmy. – Konrad zdecydowanym gestem pchnął drzwi. Okazały się otwarte. Weszli.

– Dobry wieczór państwu. – Głos płynący z prawej strony był nad wyraz uprzejmy. Alicja dopiero teraz zauważyła stojącego za kontuarem Macieja. Kelner ubrany był w elegancki garnitur.

– Czy mają państwo rezerwację? – spytał.

O mało nie parsknęła śmiechem. Powstrzymała się w ostatniej chwili, ściskając mocniej ramię Konrada. Co oni tu odstawiają? – przebiegło jej przez myśl.

Konrad uśmiechnął się uprzejmie do Maćka, podał swoje nazwisko, potwierdzając, że dokonał rezerwacji.

– Zapraszam.

Kelner poprowadził ich do stolika. Tego samego, przy którym tak często siadali latem. Tego samego, przy którym Alicja usiłowała napoić Konrada wywarem z miłosnych ziół.

Maciej zapalił świece. Nalał do kieliszków wina.

– O co tu chodzi? – Alicja szepnęła do Konrada, kiedy kelner odszedł. – Może nas przejrzeni... I tak jak my udaję, że...

– Że wszystko jest jak gdyby nigdy nic – dokończył Konrad.

– No właśnie.

– Ale mówiłaś, że sprosili gości.

– Naprawdę. Widziałam, jak kilka osób wchodzi. Może się pochowali pod stołami... – Spontanicznie zajrzała pod obrus.

– Interesujące... – Oczy Konrada błyszczały, kiedy patrzył na Alicję. Odniosła wrażenie, że miałby ochotę się roześmiać.

– To jakaś zabawa? – spytała zdezorientowana. – Naprawdę ich widziałam.

– W takim razie na pewno tu są.

Maciej przyniósł przystawki – ślimaki z masłem czosnkowym i grzanki. Alicja spojrzała na niego zdumiona. Był poważny i skupiony na podawaniu dań.

– Maciek, o co tu chodzi? – nie wytrzymała, musiała zapytać. – Obraziliście się, że przerwaliście wam imprezę?

– Szanowna pani. Impreza dopiero się zaczyna – odpowiedział bez cienia uśmiechu.

Alicja odruchowo zakryła dłonią usta. Nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy krzyknąć. Była oszołomiona. Nagle scenę, która dotąd pogrążona była w ciemności, rozświetliło delikatne przytłumione światło. Zaczęła grać muzyka. Alicja, z wciąż przykrytymi dłonią ustami, obróciła się w tamtym kierunku. Dwoje skrzypków, kontrabasista i pianista.

– O Boże – jęknęła. Czuła się jak na jakimś mocno abstrakcyjnym filmie. – Widzisz to samo co ja? – spytała, kierując wzrok na Konrada.

– Na górze brakowało ci muzyki.

– Nie rozumiem...

– No cóż... Wpadliśmy na ten sam pomysł. Ja też zapragnąłem dziś spędzić z tobą romantyczny wieczór... Wprawdzie nie gotowałem, ale...

– To wszystko twoja sprawka? – Alicja przełknęła ślinę. Konrad wzruszył ramionami, przytaknął.

- Czyli wszystko było ukartowane? A chłopaki nie robili żadnej imprezy?
- Robili. Szykowali ją dla nas.
- Niemożliwe. – Kręciła głową z niedowierzaniem.
- Podoba ci się muzyka?
- Bardzo. – Spojrzała na niego wzruszona.

Teraz zrozumiała, skąd taki nacisk na odpowiedni strój i dlaczego zerkał na zegarek. Rozejrzała się wokół. Dostrzegła dyskretne lampiony, dające dokładnie tyle światła, ile było trzeba. Muzycy także grali na tyle dyskretnie, by nie przeszkadzać w rozmowie. Wzięła do ust ślimaka, chwilę potem drugiego.

- Pyszne – przyznała.
- Nie lepsze niż twoja sałatka – odparł Konrad. – Ale rzeczywiście smaczne. Uśmiechnęła się na ten komplement.
- Konrad, jest pięknie, dziękuję.
- Zaczęło się pięknie. Jak widać, wpadamy na te same pomysły, pasujemy do siebie.

- Bez wątpienia.

Kiedy zjedli, Maciej przyszedł zabrać talerze, a chwilę później na sali pojawił się Dariusz. Był ubrany w kompletny strój kucharza, wyglądał profesjonalnie. Na srebrnych paterach niósł dania.

- Labraks dla państwa. Według mojego przepisu.

– Wygląda pysznie – ekscytowała się Alicja. – Dziękujemy. – Mrugnęła do Dariusza. Czowała się doskonale.

Na deser podano bezę z żurawiną.

– Nie zmieszczę – zmartwiła się Alicja. – Za dużo tego dobrego. Może tylko kawaleczek. – Łakomie spojrzała na ciasto. – Widelczykiem uszczknęła kremu. – Oblędna.

Kelner dolał wina. Wieczór, a właściwie noc, upływał niemal nieodczuwalnie. Jakby nie było zegarów, jakby czas przestał istnieć.

- Zatańczymy? – zaproponował Konrad.
- Bardzo chętnie.

Muzyka zaczęła grać głośniej, pianista uśmiechał się porozumiewawczo. Repertuar prawdopodobnie także został wcześniej ustalony. Popłynął walc.

Alicja, mimo że nie znała kroków, poddała się Konradowi. Płynęli w tańcu. Nie wiadomo kiedy usunięto stoliki, które mogłyby przeszkadzać. Przestrzeń restauracji wypełniała teraz muzyka, blask kamieni połyskujących na sukni i pełne miłości spojrzenia. Za oknem zaczął padać śnieg. Jakby po ustępującej wichurze niebo zapragnęło odpocząć i sypnąć lekkim anielskim pierzem.

Alicji zakręciło się w głowie.

- Jest cudnie – wyszeptwała. – Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Bardzo. – Konrad zwolnił kroku, by wyciszyć emocje

galopujące w tańcu. Po chwili się zatrzymał i objął mocno Alicję. – I bardzo chciałbym, żebyśmy kochali się już zawsze. Żeby każdy nasz kolejny dzień był tak cudowny jak dzisiejsza noc.

– Też bym tego chciała.

– Wyjdiesz za mnie, Alicjo? – Niespodziewanie uklęknął na jedno kolano, a z kieszeni marynarki wyjął czerwone pudełeczko. Otworzył. Diament osadzony w pierścionku skrzył się milion razy bardziej niż kamyczki na sukni Alicji. Był piękny.

Alicja wstrzymała oddech. Konrad patrzył wyczekująco i z taką miłością, że pragnęła przedłużyć tę chwilę o kilka dodatkowych sekund. Chciała, by ten moment wyrył się w jej sercu i pamięci na zawsze. Podała dłoń. Konrad delikatnie wsunął pierścionek. Pasował idealnie. Na palcu diament błyszczał jeszcze większym światłem.

– Tak – powiedziała zdławionym z emocji głosem. – Wyjdę za ciebie. Bardzo cię kocham.

Złączeni pocałunkiem, nie usłyszeli, jak ze sceny rozlegają się brawa, a Maciej odpala szampana. Skrzypaczka otarła łzę. Ponownie zagrała muzyka. Śnieg za oknem padał coraz mocniej, otulając Polankę puchowym dywanem. Nad Angel's unosiły się anioły.



Rozdział 21



Odsnieżał, kiedy przyjechała Mariola. Kolejny raz podjęła próbę rozmowy. Doceniał to, ale nie potrafił zapomnieć. Zdrada boli najbardziej, kiedy przychodzi niespodziewanie. A przecież nie było żadnych zwiastunów. Wydawało mu się, że są dobrą parą. Planowali ślub, dużo ze sobą rozmawiali. Owszem, pracował, podczas gdy ona większość czasu spędzała w domu, jednak to był jej wybór, nie narzekała nigdy, że brakuje jej atrakcji, doznań czy aktywności. Mogła powiedzieć cokolwiek, dać jakiś sygnał, że coś jej nie pasuje, zamiast po kryjomu spotykać się z tym całym Ahmedem.

– Dziś sylwester – napomknęła, wysiadłszy z auta. – Pomyślałam, że może spędzilibyśmy go razem. Bez podtekstów – zastrzegła. – Tak po prostu. Jutro Nowy Rok. Może udałoby nam się zamknąć to, co było złe, i zacząć od nowa.

– Mariola... – westchnął. Tyle razy już o tym rozmawiali. Niemal codziennie wysyłała do niego SMS-y, dzwoniła, tłumaczyła się, przepraszała. A kiedy Kaja się wyprowadziła, przyjechała. Przeprosiła za incydent z samochodem, za swoją furię, którą tłumaczyła zazdrością. Wielokrotnie przepraszała za Ahmeda. Ten incydent uzasadniała samotnością.

– Nie chcę bez ciebie żyć – powiedziała z naciskiem. – Przecież wiesz. Zrozumiałam swój błąd, każdemu może się zdarzyć. Nie mieliśmy jeszcze ślubu. Czy naprawdę tak trudno wybaczyć?

– Wybaczyłem ci, Mariola. Nie chodzi o wybaczenie. Po prostu nie chcę być z kimś, kto mnie okłamywał. To dobrze, że nie mieliśmy ślubu, dzięki temu sprawa jest prostsza. Nie przyjeżdżaj więcej. Nie będziemy już razem.

– Spróbujmy.

– Nie chcę już próbować... Narzeczeństwo było próbą, zamieszkanie razem było próbą. Nie udźwignęliśmy tej próby oboje. Stało się. Już nie mam o to żalu. Życzę ci, żebyś znalazła kogoś odpowiedniego.

Mariola patrzyła na niego skruszona. Przez chwilę miał wrażenie, że się rozpłacze, bo broda zaczęła jej drżeć. Ale się nie rozpłakała.

– Jeszcze tego pożałujesz – warknęła gniewnie i wsiadła do samochodu. Gdyby nie zalegający na uliczce śnieg, zapewne odjechałaby z piskiem opon.

Paweł westchnął. Bez emocji patrzył za samochodem, po czym wrócił do odsnieżania. Matka już szła. Umówili się, że zawiezie ją do fryzjera. Rodzice

z powodu niedyspozycyjności ojca nie wybierali się na bal, ale zaprosili kilku sąsiadów, by wspólnie przywitać Nowy Rok. Chciała wyglądać ładnie.

– To była Mariolka? – spytała, wchodząc na posesję.

Skinął głową.

– Zosia miała nadzieję, że się jednak pogodzicie. Szkoda mi jej, bardzo to przeżywa. My z ojcem też.

– To moje życie, mammo.

– Wiem, synku, wiem.

Uśmiechnął się do matki. Nie wiedział, jak ją pocieszyć. Zdawał sobie sprawę, że minie trochę czasu, zanim rodzice pogodzą się z jego decyzją.

W milczeniu wsiedli do auta i podjechali pod salon. Paweł zamierzał wrócić za godzinę, ale matka go przekonała, żeby i on przy okazji się ostrzygł. Rzeczywiście, dawno nieściżane włosy wyglądały niedbale.

W salonie Patrycji było kilka klientek, ale wszystkie już uczesane. Siedziały na kanapach i plotkowały. Janina dyskretnie oceniła fryzury. Bardzo fikuśne – pomyślała, zauważywszy pióra powtykane we włosy Woźniakowej i fioletowe pasma zdobiące fryzurę Biczuskiej. Przy stanowisku przed lustrem siedziała Małgosia Wojtaszek. Na widok Pawła odruchowo przesunęła dłonią po świeżo lakierowanych włosach. Kiedy Patrycja zdjęła pelerynkę, Małgosia wstała.

– Ładnie mi? – spytała, ni to do kobiet, ni to do Pawła.

Kobiety, pochłonięte rozmową, nie usłyszały pytania. Paweł uprzejmie skinął głową.

– Bardzo ładnie – przyznał z grzeczności, chociaż natapirowane do granic i obsypane brokatem włosy przypominały mu raczej czapkę kosmity.

Może taka moda... – przebiegło mu przez myśl.

– Do Makowa jadę z dziewczynami – szepnęła Małgosia. – W remizie jest bal. Pięćdziesiąt złotych kosztuje. Niedrogo. Może chcesz jechać?

– No pewnie – podjęła Janina, rozsiadając się na zwolnionym przez Wojtaszkównę krześle przed lustrem. – Paweł powinien się rozerwać, ostatnio tylko pracuje. Co, synu? Sylwester jest tylko raz w roku. A może i Mariolę byście wzięli? – zaproponowała spontanicznie. Wciąż tliła się w niej nadzieja, że para się zejdzie.

– Mariolę... – Małgosia szybko weszła w słowo. – Oj, Mariola już się nie zmieści. Ojciec nas wiezie, mamy tylko jedno wolne miejsce w samochodzie...

– Dziękuję, mam na dzisiaj inne plany – stanowczo powiedział Paweł.

– To może ja bym się z wami zabrała – odezwała się Patrycja. Małgosia skinęła głową.

– Możesz się zabrać – powiedziała, rozczarowana obrotem spraw.

**

Nigdy nie wychodzili na sylwestra, zawsze spędzali go w domu, przed telewizorem. Rzadko kiedy witali Nowy Rok szampanem. Nie dlatego, że go nie mieli, ale dlatego, że Danka zasypiała tuż przed północą. Tym razem miało być inaczej. Grzelak obiecał sobie, że bez względu na żonę odpali bąbelki. Najwyżej sam sobie złoży życzenia, sam zaplanuje kolejny rok obfity w dobre zdarzenia. To miał być rok zmian, rok spełnionych marzeń i rok sukcesów. Jego sukcesów.

Wreszcie czuł się szczęśliwy. Danka zmieniła zdanie. Odkąd dał jej do przeczytania manuskrypt, nie mogła się go nachwalić. Wyglądało na to, że książka naprawdę jej się podoba.

– No, Gieniuś... – przyznała, nie ukrywając zdumienia. – Ty to masz łeb. Dobrze się czyta. Ludzie na pewno będą kupować – ekscytowała się. – A ta żona komendanta to chyba ja? – Mrugnęła. – Poznałam od razu. Ładna, tajemnicza. Cała ja! Zresztą, wszyscy się domyślą. Eugeniusz Grzelak to od razu wiadomo, że ty. A ta Hanka to ja. Dlaczego zmieniłeś mi imię?

– Dla niepoznaki – wyjaśnił. Uznał, że później będzie się martwił reakcją Danki. W ostatniej części to ona okaże się seryjnym mordercą. Zmienił imię właśnie dlatego, żeby za bardzo się nie obrażała, kiedy już się wyda.

– Gieniuś, ludzie nie są głupi, poznają się.

– Nie chciałem przesadzać z prawdziwymi imionami... To miała być niespodzianka... I tak na mnie krzyczałaś.

– Gieniuś, gdybyś ty mi od razu powiedział, że to książka o mnie, to przecież bym nie krzyczała. Myślałam, że ty jakieś głupoty ponawypisywałeś, że wiersze jakieś może, jak w młodości, pamiętasz? Że opowieści, co snujesz czasem po pijaku, że będzie inwazja obcych na naszą planetę. Takie myślałam. Ale to, co napisałeś, to bardzo mądra książka, życiowa, prawdziwa. A tego trupa w jeziorze to nawet nie musiałeś wymyślać. Patrz, Gieniuś, życie samo pisze książki. Aż ciekawa jestem, kto go zabił.

– Akurat topielca ściągnęli ode mnie! A zabił go sołtys.

– Nasz sołtys? – Danka się przejęła.

– Nie nasz. Ten z książki. To przypadek, że w Polance też miała miejsce taka sytuacja.

– Gieniuś, to powinieneś się przyjrzeć naszemu sołtysowi – powiedziała poważnie. – Skoro już w książce opisane, to...

– Danka – zirytował się, ale oczy mu się śmiały. – Albo czytasz, albo wróc do rzeczywistości. Książka to książka, a życie to życie.

– No widzisz – rozpromieniła się. – Taka dobra książka, że aż mi się miesza. Oj, dawno nic tak dobrego nie czytałam – westchnęła rzewnie.

Bo ty wcale nie czytasz – pomyślał Grzelak, ale nie powiedział tego na głos. Nie chciał jej drażnić, cieszył się, że spuściła z tonu. Po każdej kolejnej przeczytanej kartce patrzyła na niego z coraz większym uznaniem. Czytała wolno,

ale dokładnie, jakby upajała się każdym słowem. Mimo że książka nie została jeszcze wydana i nie zarobił na niej ani grosza, to jedno z jego najskrytszych marzeń już się spełniło. Żona zaczęła go doceniać. Wkrótce doceni go cała wieś, potem cała Polska, aż wreszcie cały świat. A przełożony z Wrocławia będzie dumny, że w jego szeregach znalazła się taka gwiazda.

Na sylwestra kupił dwa szampany. Tego dnia było co opijać. Nawet jeśli Danką zaśnie przed północą, on wystrzeli obydwie korki. Na szczęście.



Rozdział 22



Kręciło się jej w głowie. Nie od alkoholu, lecz od nadmiaru emocji. Zaręczyny, sylwestrowy bal, poznanie znajomych Konrada, płynące zewsząd życzenia nieskończonego szczęścia i wiecznie trwającej miłości upajały ją bardziej niż wypity poprzedniej nocy szampan. Dorota i Marianna ekscytowały się razem z nią. Kilkakrotnie musiała im opowiadać, jak wyglądał ten wieczór. Podziwiała pierścionek, wręcz nie mogły się na niego napatrzeć. Pięknie błyszczał, kiedy tańczyła. Cała błyszczała podczas sylwestrowej nocy.

Najchętniej nie wracałyby do Warszawy. Bała się, że czar pryśnie. To tutaj, w okrytej śniegiem Polance, rozegrały się najcudowniejsze sceny w jej życiu. To tutaj czuła się jak w bajce. Wiedziała, że powrót do warszawskiej rzeczywistości może być bolesny. Tym bardziej że Konrad zajmie się teraz swoją pracą, nie będzie mógł już tyle czasu poświęcać Matyldzie, odbierać jej ze szkoły, pomagać w lekcjach. Proza życia. Zdaje się, że właśnie to miała na myśli Kaja, kiedy latem usiłowała wybić Konrada z głowy Alicji.

Niechętnie wstała z łóżka i napiła się wody. Było późne popołudnie, Konrad godzinę wcześniej pojechał do Wrocławia. Chciał jeszcze zajrzeć do biura i do swojego mieszkania. Umówili się, że do Warszawy przyjedzie pod koniec tygodnia. I zostanie tam już na zawsze. A przynajmniej do momentu, w którym obydwójce nie zdecydują o przeprowadzce w jakieś inne miejsce. Alicja nie miała nic przeciwko. Gdyby udało się wypromować galerię, mogłyby otworzyć podobną w innym mieście. Te plany na razie musiały jednak poczekać, ponieważ akurat pod tym względem przyszłość rysowała się niczym niewiadoma.

Zjadła późne śniadanie i zaczęła się pakować. Ustaliły z Dorotą, że wyruszą wieczorem. Marianna i Christián zamierzali wrócić do Warszawy nazajutrz.

Jeszcze raz spojrzała na suknię powieszoną na wieszaku. Wciąż się mieniła, jakby w drobnych kamyczkach ukryto prawdziwe gwiazdy. Przesunęła dłonią po materiale. Delikatnie złożyła sukienkę i schowała do walizki.

Nagle rozległo się pukanie. Podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Grzelak.

– Dzień dobry, pani Alicjo – powiedział swobodnie, jakby byli najlepszymi kumplami. – Słyszałem, że spędzała pani u nas święta, sylwestra. Byłem u pani Koperskiej, to ona skierowała mnie tutaj. No, no. – Niemal zagwizdał. – Czyli pani

i pan Konrad... No, no...

– Zapraszam. – Alicja uśmiechnęła się i poprowadziła gościa do salonu. – Cóż pana sprowadza?

– Wdzięczność, droga pani. Wdzięczność mnie sprowadza. Alicja spojrzała na komendanta pytającym wzrokiem.

– Widzi pani... wzniosłem wczoraj dwa toasty. Za siebie i za mnie – roześmiał się z własnego żartu. – Żona już spała, nie miałem z kim podzielić się noworoczną refleksją. A nasza mnie taka myśl... – zawahał się i dodał: – Wie pani, że jestem u progu sukcesu...

– Ma pan na myśli książkę?

– Tak. Czuję, że to będzie hit. Przeczytałem w życiu setki kryminałów i muszę przyznać... Obiektywnie przyznać – zaznaczył – że mój jest zdecydowanie najlepszy.

– Aha... – Alicja usiadła, nie bardzo wiedziała, jak to skomentować.

– W każdym razie nasza mnie wczoraj taka myśl – ciągnął Grzelak – że człowiek nie jest samotną wyspą, że potrzebuje innych ludzi, żeby dzielić z nimi nie tylko swoje smutki, ale też szczęśliwe chwile. Moja żona w ostatnich dniach chwali mnie i cieszy się ze mną. To cholernie ważne, że ktoś bliski trzyma kciuki i wierzy w sukces.

– No pewnie.

– Jednak przypomniałem sobie, że przecież to pani była pierwszą osobą, która wiedziała, co się u mnie szykuje. To do pani dzwoniłem...

– No tak.

– I dlatego chciałem podziękować, że była pani ze mną w tym czasie, jeszcze zanim stałem się sławny.

– Bardzo mi miło. – Alicja naprawdę się ucieszyła.

– Woląłem przyjść zawczasu – odchrząknął, uniósł brodę, skrzywił usta. – Bo potem, jak zacznie się ten cały młyn, te wywiady, trasa promocyjna, szaleństwo...

Alicja chciała przerwać i wtrącić, że nie do końca to tak wygląda, lecz Grzelak z rozmarzoną miną ciągnął, nie zauważając nawet, że Alicja otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Kiedy zaczną za mną chodzić paparazzi... – kontynuował – mogę po prostu nie mieć czasu. Dlatego dziś, korzystając z okazji, że pani tu jest... Mam drobny prezent. – Wyjął pudełko czekoladek. – To w ramach podziękowań, że była pani ze mną i trzymała kciuki.

Alicja przyjęła podarunek, zmieszana.

– Nic wielkiego nie zrobiłam... – powiedziała, a w myślach rozgorzał chaos. Czy przyznać się, że była świadkiem rozmowy redaktorów? Czy powiedzieć Grzelakowi, że jego kryminał prawdopodobnie zostanie wydany jako komedia?

Przecież i tak się dowie... Prędzej czy później przyjdzie rozczarowanie. Nie chciała być tą, która go oświeci. Może jej nie uwierzyć, lecz równie dobrze może uznać, że powiedziała to złośliwie.

– I obiecuję, że pierwszy egzemplarz zarezerwuję dla pani – dodał, wciągając głęboko powietrze do nosa. Widać było, że jest podekscytowany i dumny. – Ze specjalną dedykacją. Dla Alicji.

– Super. Bardzo mi miło.

– To jeszcze raz wszystkiego najlepszego. I niech nam się wiedzie. Nowy Rok będzie rewelacyjny, mówię pani.

– Dziękuję. – Alicja uściśniła wielką dłoń Grzelaka. – Niech nam się wiedzie, panie komendancie. – Uśmiechnęła się.

– No! – Przytaknął. – Zdrowia i miłości nie muszę pani życzyć. – Puścił oczko. – Ale zdrowia psychicznego to życzę. Nam, artystom, niewiele trzeba, żeby powariować. Coś tam mi się obilo o uszy... – Spojrzał na nią wymownie.

– Ale co się panu obilo?

– Hmm... że biegła pani w balowej sukni po śniegu.

Alicja wybałuszyła oczy, zdumiona. Rzeczywiście, kilka dni temu, po oświadczeniach Konrada, była w tak wyśmienitym humorze, że kiedy wracali do mieszkania i wyszli na zewnątrz, zapragnęła jeszcze raz zatańczyć, zawirować w lśniącej sukni pośród srebrzystych płatków śniegu.

– Ale to była chyba trzecia w nocy – wydusiła po chwili. – Wszyscy już spali.

– No wie pani... – Grzelak poruszył znacząco głową. – Ludzie trochę śpią i trochę nie śpią. A na wsi okna zawsze mają oczy.

**

Wzięła tabletkę. Wciąż miała wątpliwości, czy to właśnie one jej pomagają, ale naprawdę czuła się lepiej. Nagle rozbudzona nadzieja na to, że wszystko da się poukładać, zacząć od nowa i wreszcie żyć po swojemu, a nie pod dyktando sztucznego, wymaginowanego świata, pchała ją silnie do przodu. Chciała odzyskać córkę, salon, stanąć na nogi. Inaczej niż stała dotąd. Stabilnie, pewnie, z czołem uniesionym wysoko. Była gotowa przyznać się do porażki. Koniec z kłamstwami i udawaniem. Koniec z fałszywymi przyjaciółkami, z mężczyznami, którzy zamiast w oczy patrzają gdzieś obok, sprawdzając reakcje otoczenia. Koniec z pozorami, które niegdyś były trzonem jej życia. Nie można stawiać domu na chwiejących się posadach. Chciała mieć dom. I chciała dać dom córce. Prawdziwy dom, z prawdziwą matką. Taki, którego sama nie miała.

Daisy pochrapywała lekko, drapana za uchem. Daisy. Substytut dziecka.

Kaja przypomniała sobie, że kupiła psa kilka miesięcy po porodzie. Jakby musiała dać ujście macierzyńskim uczuciom, które ledwo wykiełkowały na

początku ciąży, aby potem zostać stłamszone. A jednak tkwiły w niej, ukryte, niewidoczne i z pozoru niechciane. Daisy była doskonałym lekarstwem.

Kaja we Wrocławiu żyła pełnią życia, wmawiając sobie, że tak jest najlepiej. Pieniądze od matki przypieczętowały beztroski styl życia. Na dziecko przyjdzie jeszcze czas. Kiedyś. Z kimś, kogo pokocha, kiedy będzie na to gotowa. Matka utwierdzała ją w tym przekonaniu. Każda ze stron była zadowolona. Babcia mogła zrealizować niespełnione, stracone macierzyństwo, Kaja mogła realizować siebie. Brakowało jej tylko miłości. To wtedy trafił się Filip.

Donośne pukanie oderwało ją od wspomnień. Podniosła się, wybudzając Daisy z drzemki.

– Cześć. Przywiozłem samochód – oświadczył Paweł w drzwiach. – Jeździ. W środku nie wieje.

Kaja otworzyła szerzej, wpuszczając go do środka.

– Dziękuję. Ile jestem ci winna?

– Nieważne. Nieistotne. Słuchaj. Musimy pogadać.

Nie czekając na zaproszenie, zdjął kurtkę i wszedł do pokoju.

– Nie ma pani Józefiny? – spytał, rozglądając się.

– Nie ma.

– To nawet lepiej. Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy. – Odetchnął głęboko. – Jakkolwiek to zabrzmie, brakuje mi ciebie. W domu. Strasznie się pusto zrobiło. Nie potrafię znaleźć sobie miejsca.

– Paweł – Kaja się roześmiała lekko – nie byliśmy przecież parą.

– Wiem. I to jest dziwne. Naprawdę odczuwam brak. Dobija mnie ta cisza, ta cholerna samotność. Pomyślałem, że... jeśli ten twój salon we Wrocławiu padł, to może miało tak być. Może nie był ci wcale pisany. Te pieniądze, które otrzymasz za las... wcześniej mówiłem, że mogłabyś za nie z powrotem ruszyć salon, ale teraz... przemyślałem sprawę. Zainwestuj w coś tutaj, w Polance. Niebawem ruszy ośrodek, będą zjeżdżać turyści, możliwości jest wiele.

Kaja usiadła. Odchyliła głowę do tyłu, jakby musiała przemyśleć słowa, które zamierza wypowiedzieć. Czekał niespokojnie.

– Mogłabyś zamieszkać znowu ze mną – dodał. – Spróbowałibyśmy od nowa. Najpierw się poznamy, porandkujemy... – Uśmiechnął się. – Może coś z tego wyjdzie, kto wie... Naprawdę brakuje mi ciebie.

– Nie mnie – powiedziała Kaja z uśmiechem, lecz stanowczo. – Kobiety ci brakuje. Jakiegokolwiek. Wcześniej mieszkałeś tyle lat z Mariolą, po rozstaniu nie zdążyłeś być sam. Zapewne podświadomie odbierałeś moją obecność w twoim domu jako coś naturalnego. Mieszkałeś kiedykolwiek sam?

Paweł się zamyślił.

– Nie – przyznał po chwili. Zanim przeniósł się z Mariolą do Hamburga, mieszkał z rodzicami, jego dom jeszcze wtedy nie był nawet projektem. – Ale to

nie ma nic do rzeczy – przekonywał. – Potrafię być sam. Ale chcę być z tobą.

– Dziękuję. Odbieram to jako komplement, choć zupełnie niezrozumiały. Może jesteś masochistą? – zażartowała. – Przecież kiedy mieszkaliśmy razem, nie było miło.

– Tamta sytuacja była wymuszona. Dziś proponuję ci wspólne mieszkanie z własnej woli. Naprawdę chciałbym, żebyśmy dali sobie szansę.

– Nie znasz mnie.

– Ty też mnie nie znasz. Nie daliśmy sobie szansy na poznanie. Ale czuję, cholera, czuję, że los sobie ze mnie zadrwił. Najpierw podsunął mi cię niczym na talerzu, a ja zamiast spojrzeć sercem, patrzyłem przez pryzmat cholernych emocji. Byłem skołowany, sama wiesz, planowaliśmy ślub z Mariolą. Okłamała mnie, znalazła sobie innego. Może właśnie ty byłaś dla mnie szansą, a ja tak po prostu wypuściłem cię z rąk.

– Byłabym plastrem na twoje rany, nie szansą.

– Kaja...

– Nie znasz mnie. Wcale nie jestem lepsza od Marioli – zadrwiła smutno. – Jestem zakłamaną suką, która dla przyjemności i pieniędzy jest w stanie zrobić wszystko. – Nagle załkała. – Nawet sprzedać własne dziecko.

Paweł chciał coś powiedzieć, ale zamilkł porażony niecodziennym wyznaniem.

– Nie zasługuję na niczyją miłość. – Kaja spojrzała mu prosto w oczy. – Oszukiwałam innych i sama siebie, rozumiesz? Codziennie karmiłam się kłamstwami, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Tak. – Roześmiała się histerycznie przez łzy. – Mam jakieś sumienie. Kto by pomyślał, prawda?

– Jak to sprzedawałaś dziecko? – Paweł wydusił wreszcie pytanie, które cisnęło mu się na usta.

– Własnej matce. Tak jak ona pozbyła się kiedyś mnie. – Kaja ni to się śmiała, ni płakała. – Tyle że ona podrzuciła mnie babce za darmo. Wykazała się jakimś szczątkowym honorem. Ja wzięłam kasę. Pytałeś kiedyś, skąd w moim wieku można zdobyć takie pieniądze. To już wiesz. – Wstała i wyszła do kuchni. Wysmarkała nos w papierowy ręcznik. – Możesz już iść! – krzyknęła. – Dziękuję za samochód. Oddam pieniądze, kiedy będę miała.

Paweł stał przez chwilę, oszołomiony. Kiedy Kaja wróciła, patrzył na nią ze współczuciem.

– Jezu, nie wiedziałem – powiedział cicho. – To dlatego twoja mama tak dziwnie się zachowała, kiedy przyjechała do nas? A twój ojciec?

– Nie chce mi się o tym gadać. Ojca nie znam.

– Masz córkę czy syna?

– Co za różnica? Moje dziecko też nie ma żadnego ojca. Przypadkowy seks po pijaku, koleś nie ma pojęcia, że zaszłam w ciążę. W życiu nie poznałabym,

który to, nawet jeśli by mi go pokazali. Przez niemal trzy lata udawałam przed sobą, że nie mam żadnego dziecka. Nawet facetowi, którego poznałam, a który tak pięknie wyruchał mnie na kasę – prychnęła – nie powiedziałam o Kalince.

– Czyli córkę. Ile ma lat?

– Dwa i pół.

– Myślę, że jest śliczna. – Paweł mówił wolno, spokojnie. Kaja pod wpływem tonu jego głosu także zaczęła się uspokajać.

– Odzyskam ją – zapewniła z mocą. – Muszę tylko najpierw stanąć na nogi, w przeciwnym razie moja matka pójdzie do sądu o odebranie mi praw. Ma ku temu wszelkie przesłanki. Jestem nieodpowiedzialnym bankrutem, wariatką, którą warunkowo wypuścili z psychiatryka.

– Mógłbym ci jakoś pomóc?

– Pomóc? – Kaja spojrzała na niego z ironią. – Czy wy wszyscy jesteście jakimiś cholernymi siostrami miłosierdzia? Po tym, co usłyszałeś, nie masz ochoty mnie opluć?

– Nie jestem siostrą miłosierdzia. Ale moi cholernie poukładani rodzice wychowali mnie w cholernej miłości i nauczyli cholernego szacunku do innych. I kiedy pomyślę sobie, że ktoś inny dorastał w poczuciu straty i odrzucenia, to wybaczyć, ale nie będę go opluwał tylko za to, że powieliła cudze błędy, bo nikt nie nauczył go, że można inaczej. I nie jesteś Mariolą – ciągnął zapamiętałe. – Bo Mariola jest wychuchaną, wydmuchaną, rozpieszczoną jedynaczką, której odwalilo z nudów. Nie chciało jej się pracować, uczyć języka, wolała siedzieć w domu i szukać sobie atrakcji w barze na rogu ulicy.

– Mnie odwalilo dla pieniędzy – wtrąciła Kaja, szlochając.

– Dziewczyno. – Paweł spojrzał na nią wzrokiem, jakiego nigdy u niego nie widziała. – Dla jakich pieniędzy? Mówiłaś, że facet oszukał cię na kasę, że kupiłaś od niego las, żeby ratować mu tyłek. Żaden ze mnie psycholog, jestem inżynierem, ale gołym okiem widać, że ty nie pieniędzy chciałaś. Chciałaś miłości. I wiesz co...

– Uniósł dłoń, zauważywszy, że Kaja chce coś powiedzieć. Nie pozwolił jej dojść do słowa. – Masz rację. Ja nie byłbym w stanie tej miłości ci dać. Najpierw musisz odnaleźć ją w sobie.

– Bardzo kocham moje dziecko... – Kaja płakała.

– No więc pozwól sobie je kochać. Potem będziesz w stanie pokochać siebie. A potem... – zamilkł, oddychając ciężko.

– Bardzo mądre słowa, chłopcze. – Głos Józefiny sprawił, że obydwójce się odwrócili. Staruszka musiała stać w drzwiach do pokoju przez dłuższą chwilę, nie słyszeli, kiedy weszła. – Lepiej bym tego nie ujęła. To bardzo mądry facet jest. – Spojrzała na Kaję, kiwając głową. – Kiedy już uporządkujesz swoje życie, zainteresuj się nim, dobrze ci radzę.

Kaja i Paweł popatrzyli na siebie. Milczeli. Kaja wytarła ostatnie łzy.

Uśmiechnęła się słabo do Pawła.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Macie ochotę na herbatę? – Józefina dziarsko przeszła przez pokój do kuchni. Jej energia rozproszyła ciężką atmosferę.



Rozdział 23



Serce mocno jej biło, kiedy wjeżdżała do Wrocławia. Znajome ulice obudziły mnóstwo wspomnień. Kiedy podjeżdżała pod salon, rozboleł ją brzuch. Nie czuła się jeszcze na tyle silna, by zmierzyć się z problemami, ale wiedziała, że im dłużej będzie to odwlekać, tym trudniej będzie odkręcić pewne sprawy. Najważniejsze, że nie była sama. Działała automatycznie, zgodnie z rozpiską, którą przygotował jej Paweł. Na liście najpierw znalazły się najważniejsze opłaty. Zaległość za czynsz we wrocławskim mieszkaniu, za prąd, za wywóz śmieci. Następnie telefon i opłaty dotyczące lokalu, w którym mieścił się salon piękności. Kolejne pieniądze poszły na spłatę zaległych rat kredytowych. Na szczęście umowy nie zostały jeszcze wypowiedziane. Paweł pożyczył dwadzieścia tysięcy, żeby mogła się z tym wszystkim uporać. Krok po kroku kierował nią i pomagał w najdrobniejszych sprawach, od odczytania zaległych maili, poprzez wykonanie telefonów do banków, aż po skontaktowanie się z Wilczyńskim w celu ustalenia terminu sprzedaży lasu. Notariusz został umówiony na koniec stycznia.

– Chodź. – Paweł zaparkował samochód. – Zobaczmy, czy w kasie są jakieś pieniądze.

– Żartujesz chyba. – Kaja obiegała wzrokiem salon. Pozornie nic się nie zmieniło. Z zewnątrz wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy go opuszczała.

– Owszem, żartuję – przyznał z uśmiechem. – Ale mimo wszystko musisz tam wejść, zobaczyć, w jakim stanie są sprzęty, czy da się to niebawem uruchomić na nowo.

Kaja westchnęła. Wolnym ruchem wyjęła zapasowe klucze, które zawsze nosiła w torebce.

– Błagam, szybciej – ponaglił Paweł. Było zimno.

Pomijając brak światła spowodowany odcięciem prądu, którego jeszcze nie włączono, wewnątrz lokalu wyglądało dobrze. Widać było, że pracownicy dbali o salon do ostatniego dnia jego funkcjonowania. Byli nielojalni, bo kiedy tylko nadarzyła się okazja, zwinęli żagle i przeszli do konkurencji, ale okazali się uczciwi – nie skradziono nic, co miało jakąś wartość. Drobnych rzeczy Kaja nie sprawdzała, jednak nie miała powodów, by myśleć, że zginęło cokolwiek. Nawet oryginalny srebrny przycisk do papieru, który zawsze trzymała na biurku, stał na swoim miejscu.

– Fiu, fiu. – Paweł gwizdnął z wrażenia. – Niezła miejscówka. Nie znam się, ale wygląda na to, że tu jest kilka niezłe wyposażonych gabinetów.

– Przyjmowaliśmy śmietankę Wrocławia – potwierdziła Kaja. – Większość telewizyjnych twarzy była u nas robiona. Naprawdę miałam świetnych specjalistów, lekarzy, kosmologkę, dwie kosmetyczki.

– Aż szkoda, że runęło...

– Moja wina. Byłam kapitanem i bezmyślnie opuściłam statek.

– Poszukamy dobrego menedżera i ruszy – pocieszył Paweł. – Zapewniam cię, że to tylko kwestia czasu, kiedy znajdą się zarówno specjaliści do pracy, jak i klienci.

Kaja była mu wdzięczna za te słowa. Poszukamy. Razem. I wszystko będzie dobrze.

Jakie wszystko staje się prostsze, kiedy ktoś jest obok.

Mieszkanie, do którego dotarli po południu, w przeciwieństwie do salonu było w opłakanym stanie. Tu nikt nie urzędował od ponad pół roku. Wszechobecny kurz okazał się najmniejszym problemem. Najgorszy był smród, który unosił się w kuchni.

– Zdumiewające, że sąsiedzi nie wezwali policji – powiedziała Kaja, przytykając szalik do nosa. Paweł otworzył okna.

Szybko ustalili, że fetor pochodzi z zamrażarki, która na skutek przerwy w dostawie prądu przestała działać i przechowywane w niej mięso się popsuło.

– Trzeba to obwiązać szczelnie w jakiś worek – zasugerował Paweł.

– Dobrze, że Daisy została u pani Józefiny, inaczej by się zapłakała z żalu, że jej cielęcinka dostała nóg – parsknęła śmiechem Kaja.

Po kilkunastu minutach udało się wynieść zgniliznę do kontenera pod blokiem, dzięki czemu smród w mieszkaniu nieco zelżał, lecz wciąż jeszcze był wyczuwalny. Kaja pootwierała resztę okien. Było mroźno, ale przynajmniej z każdą minutą wywiewało resztki paskudnego odoru.

Do dużego wora wrzuciła zwiędnięte rośliny. Oprócz dwóch dracen nie przetrwał żaden kwiat. Zamknęła okna i zaczęła ścierać kurze. Kiedy wrócił Paweł, poprosiła go o głęboki wdech.

– Czujesz coś jeszcze? – spytała, wyczekując odpowiedzi. Ona już nic nie czuła, oprócz drażniącego nozdrza mroźnego powietrza.

– Już sam nie wiem – przyznał szczerze. – Ale chyba jest już niezłe.

Kaja wreszcie zdjęła kurtkę. W mieszkaniu wprawdzie wciąż było zimno, ale rozgrzała się podczas sprzątanía. Rozejrzała się z satysfakcją. Teraz jeszcze bardziej doceniła minimalistyczny wystrój wnętrza, dzięki czemu łatwo było je okiełznać.

– Chyba mogę się wprowadzać – oceniła.

Tego dnia wrócili jednak do Polanki. Paweł odstawił Kaję do domu Józefiny,

a sam wrócił do własnego. Wspólne działania zbliżyły ich do siebie, jednak nie zdecydowali się przekroczyć przyjacielskiej granicy. Niepisana umowa określała priorytety. Kaja musiała stanąć na nogi.

**

Nie poznała nikogo i od kilku dni chodziła z tego powodu niepoczyszona. Żałowała, że pojechała na sylwestra do Makowa, zamiast przekonać koleżanki do tego, żeby grupą wybrały się do Wrocławia. Im nie przeszkadzało, że w remizie nie było fajnych facetów. W swoim towarzystwie i po alkoholu bawiły się całkiem niezłe. Małgosia cierpiała. Nie chciała być singielką. Nie dlatego, że tak bardzo pragnęła miłości, ale dlatego, że jej największym marzeniem była wyprowadzka od rodziców. Czuła się przez nich osaczana, śledzili niemal każdy jej krok. Mimo że od kilku lat była pełnoletnia, nie pozwalali jej wyjeżdżać samej albo wracać zbyt późno z imprezy. Wydzielali jej marne pieniądze, chociaż pracowała w sklepie jak wół. Była pewna, że kiedy zamieszka sama, całe życie się zmieni na lepsze. O własnym domu nie miała co marzyć. Wynajęcie mieszkania w mieście też pociągało za sobą olbrzymie koszty. Nie stać jej było na to, żeby być singielką. Chciała być z kimś. Byle w miarę ogarniętym finansowo. Paweł Polniak wciąż pozostawał w kręgu jej zainteresowań, jednak wiedziała, że dopóki Kaja nie opuści Polanki na zawsze, nie ma co do niego uderzać. Mariola nie była zagrożeniem. Niby jej wyskok trzymano w tajemnicy, ale ludzie ze wsi szeptali, że puściła się z Arabem i Paweł już do niej nie wróci. Ponoć go przeproszała, ale był nieugięty. Miał rację. Małgosia też by nie wróciła po czymś takim.

W zamyśleniu przesunęła palcem po ekranie. Na gwiazdkę dostała nowy telefon. Dotykowy. Nie znała jeszcze wszystkich funkcji, ale cieszyła się, że wreszcie ma internet, z którego może korzystać do woli. Zalogowała się na Facebooka. Przez chwilę przeglądała zdjęcia znajomych. Szybko wyłączyła aplikację, bo drażniły ją uśmiechnięte twarze, wszyscy jeszcze żyli sylwestrem, publikując selfie i durne filmiki. Okropność. Wyszukała serwis plotkarski. Może ktoś kogoś zdradził, ktoś z kimś zerwał, ktoś komuś nabluzgał. Zawsze to lepsze, niż dobijać się fotami zadowolonych znajomych.

Uśmiechnęła się na widok pierwszego newsa. Muzyczna gwiazdka pozująca w eleganckiej czerwonej sukni nie ogoliła pach. Ale wtopa – ucieszyła się Małgosia. Przeleciała wzrokiem tekst. Redaktor serwisu był bezlitosny, uwielbiała to czytać. Następny news chciała pominąć, bo tytuł sugerował, że będzie o miłości. Znowu ktoś się zakochał i pieje z zachwytem. Palec jednak dotknął ekranu i artykuł się otworzył. No tak. Nieszczęśliwa dotąd aktorka znów zakochana. Swojego amanta poznała przez internet. Czy będą dobrą parą? – pytał redaktor.

– Gównu mnie to obchodzi – mruknęła Małgosia. Coś jej jednak zaświtało. Ledwie uchwytna myśl, która z każdą sekundą zaczęła nabierać wyraźniejszych

kształtów.

Małgosia się wyprostowała na krześle i zmrużyła oczy.

Portal randkowy – wpisała w Google. Wynik wyświetlił się po sekundzie. Otworzyła jeden z linków. Rejestracja. Hmm... No dobra, pomyślała. Raz kozie śmierć. Wpisała dane, prosili także o foto. Wrzuciła jedno z sylwestrowych zdjęć, z upiętymi włosami, w brokacie. Potem wyświetliły się jakieś testy, szybko straciła cierpliwość. Po pięciu minutach zaznaczała, byle coś zaznaczyć. Zrobione. Potem jeszcze pytanie o numer karty kredytowej.

– Idioci – jęknęła.

Na szczęście była też opcja próbna, darmowa. Klik.

W głowie zaczęło jej się kręcić, kiedy dotarła do bazy zdjęć. Nie bawiła się w szczegółowe wyszukiwanie, przeglądała oferty mężczyzn na chybił trafił. Największe zainteresowanie wzbudzali ci, którzy byli mocno umięśnieni. Z takim się pokazać, to koleżanki oszaleją – pomyślała – a chłopaki ze wsi będą się go bać.

Nagle mignęła jej znajoma twarz. Niechcący kliknęła dalej i nie potrafiła cofnąć.

– Cholera – zaklęła, zła, że ekran dotykowy jest taki czuły. Spociła się i musiała zdjąć sweter. Bateria wskazywała już tylko szesnaście procent. Kiedy wszedł klient, Małgosia nawet nie uniosła głowy znad lady. Na szczęście ten ktoś poszedł sobie, zanim zdążyła go zauważyć. Zapamiętała stuknięcie w ekranik, przeglądając od nowa profile. Nie miała wątpliwości, że na jednym ze zdjęć był Paweł.

**

Józefina długo namawiała Kaję, zanim ta zgodziła się pójść na koncert noworoczny.

– Jutro wyjeżdżasz, wracasz do swojego życia – tłumaczyła. – Będzie miło, jeśli spędzimy ten wieczór z muzyką. Tereska się denerwuje – szepnęła znacząco. – Pierwszy raz na scenie, no wiesz. Musimy jej kibicować. Moje ręce już słabe, ale ty możesz przecież mocno bić brawo, niech słyszy, że się podobało.

Pojechały samochodem, było za zimno na spacer. W szkole zebrały się tłumy. Jakby mieszkańcy Polanki nie mieli innych rozrywek. Dopiero potem się okazało, że do zespołu, który przyjechał na zaproszenie sołtysa, dołączyły także miejscowe kobiety.

Kaja dostrzegła na scenie nie tylko Teresę, ale też właścicielkę kawiarni z ciuchami oraz niemal wszystkie członkinie kółka różańcowego z Krystyną na czele. Boskie Głosy. Na ten występ przyszedł więc całe rodziny, z aparatami, z kamerami. Każdy chciał mieć pamiątkę. Śpiewające babce z Polanki pierwszy raz występowały w takim składzie i w takim repertuarze. Znane dotąd z nucenia tylko pieśni religijnych, pokazały inną twarz, bardziej przystępną. I bardziej

przyjazną. Nawet Krystyna, która nadawała ton pod kapliczką w czerwcu, teraz kołysała się delikatnie w rytm rzewnej, acz niesmutnej pieśni.

– Oj, jak pięknie wyglądają – rozczuliła się Józefina.

– I pięknie śpiewają – przyznała Kaja.

Kiedy rozbrzmiały kolędy, sama dała się ponieść muzyce. Śpiewała głośno, ze wszystkimi, bez obaw, że ktoś mógłby ją wyśmiać.

Podczas krótkiej przerwy przyniosła Józefinie wodę. Sołtys zadbał o to, żeby nie zabrakło napojów i drobnych przekąsek. Można było częstować się paluszkami, przegryzać krakersy. Do Józefiny podeszła zgarbiona staruszka.

– Dobry wieczór, pani Koperska – wychrypiła słabym głosem.

– Dobry wieczór. – Józefina uśmiechnęła się ciepło. – Dawno pani nie widziałam, pani Gradek. Co słysząc?

– Stara bida. Wnusia mnie dzisiaj przywiózł, bo ja to nigdzie już nie wychodzę. Nawet do kościoła nie dojdę, za daleko, jak się za lasem mieszka. Tyle co wnuczek mnie zawiezie czasem, sama to już nie. Sto lat mnie w święta stuknęło, pani Koperska, dasz pani wiarę?

– Sto lat... – Józefina powtórzyła z uznaniem w głosie. – Gratulacje.

– Ano mnie i sołtys gratulował. Był z kwiatami, a jakże, gmina nawet pieniądze dała z tej okazji. Sprosił mnie tu, ale nie wiem po co. Śpiewać już nie mogę. Siedze tam, z tyłu, ledwie widzę, co na tej scenie się dzieje. Ale słyszę dobrze – zastrzegła dziarsko.

– To pani usiądzie tu, na moim miejscu – zaproponowała Kaja. Nie był to wprawdzie pierwszy rząd krzeseł, ale też nie ostatni.

– A mnie tam dobrze. Spóźniliśmy się troszkę, ale młodzi grzecznie miejsca ustępują, od razu krzeselko podstawili – pochwaliła. – I do wyjścia będę miała blisko. Podeszłam się tylko przywitać.

– Pani siada tutaj – podchwyciła Józefina. – Wszystko widać. Potem panią odprowadzimy do wnuka.

– A to pani wnusia? – spytała Gradek, wskazując na Kają.

– Prawie moja, prawie moja – roześmiała się wesoło Józefina.

Kaja przecisnęła się do tyłu, ale nie szukała miejsca zwolnionego przez staruszkę. Stała przy oknie, oparłszy się o parapet.

– Cześć. – Małgosia Wojtaszek, która stała nieopodal, podeszła do niej. – Sama czy z Pawłem? – zagadnęła beztrąsko.

– Przywiozłam panią Józefinę. Co słysząc? Małgosia wzruszyła ramionami.

– U mnie po staremu. A Paweł już kogoś znalazł? – spytała niby od niechcienia.

– Nie rozumiem. – Kaja spojrzała na nią uważniej.

– No, myślałam, że się przyjaźnicie, to może coś wiesz. Tak tylko, z ciekawości pytam.

- Ale kogo miał znaleźć i gdzie?
- No jak, przecież kobiety gorączkowo szuka.
- Kobiety?
- W internecie. Na portalu randkowym.

Kaja zmrużyła oczy. Jej wzrok wyrażał niedowierzenie. Małgosia tylko na to czekała. Wyjęła telefon, na którym miała już otwarty odpowiedni profil.

– No zobacz. – Pokazała zdjęcie. – Całkiem niezłe wyszedł. Sporo ma wyświetleń... A jak dużo serduszek, spójrz. I właśnie się zastanawiałam, czy już kogoś znalazł, bo koleżanka byłaby zainteresowana...

– Nie wiem – ucięła stanowczo Kaja. W brzuchu poczuła nieprzyjemny ucisk.

Kłamca – pomyślała gorzko. Próbował ją przekonywać, że coś mogłoby między nimi być. Pomagał, pożyczył pieniądze. Udawał przyjaciela. A tak naprawdę ciągle szukał, na oślep, byle tylko kogoś znaleźć. Plaster na Mariolę. Kłamca. Wszyscy kłamią. Wszyscy kłamią. Nie mogła pozbyć się tej myśli. Nie chcąc patrzeć na Małgosię, przebiegła wzrokiem po sali.

– Wieje od tego okna – powiedziała nagle, odsuwając się od parapetu. Okna były szczelne, ale chciała jakoś uzasadnić ucieczkę. Nie miała ochoty dłużej stać obok Wojtaszkówny, która wciąż gadała pod nosem, analizując randkowy profil Pawła. Nie czekając na reakcję Małgosi, przeszła na drugą stronę sali, tam gdzie ustawiono stoły z poczęstunkiem dla gości. Było głośno, wciąż trwała przerwa, ludzie rozmawiali, śmiali się, chwalili występy.

– Wszyscy kłamią – Kaja szeptała bezgłośnie. Zęby miała zaciśnięte. Zauważyła dyrektora szkoły, obok niego stała jego żona. Wszyscy kłamią. Kaja przeniosła wzrok. I wtedy dostrzegła Karola stojącego przy matce. Chłopiec patrzył na Kają wielkimi, pełnymi nadziei oczami. Przystanąła, nie potrafiąc odwrócić spojrzenia. Zastygła. W przeciwieństwie do dorosłych te szczere, bezbronne, pełne wyczekiwania oczy dziecka jawiły się jej jako jasna, prawdziwa, czysta gwiazda.

„Tata nigdy by mnie nie zbił” – przypomniała sobie słowa Karola.

– Dobry wieczór – przywitała się, podchodząc bliżej. Zignorowała Karola i jego ojczyma, zwróciła się prosto do matki. Nie chciała, żeby jej nadejście odebrano jako atak, dlatego wykrzesła z siebie odrobinę uśmiechu. – Można na słówko?

– Ojej – zmieszała się Ewelina Zdrojek. Była szczerze zdumiona propozycją rozmowy na osobności. – Ale zaraz skończy się przerwa, zaczną śpiewać, nie wypada...

– Tylko chwilka. Przejdźmy na korytarz, tam jest spokojniej. Mam taką babską sprawę... – Kaja mrugnęła okiem.

Dyrektorowa zerknęła na męża. Przyzwolił.

– Kobięce sprawy trzeba załatwiać po cichu – skomentował, udając

rozbawionego.

Wyszły z sali. Kaja, nie znając terenu, skręciła z korytarza w bok, na klatkę schodową. Tu było znacznie ciszej. Oszołomiona Ewelina posłusznie podążała za nią. Weszły na piętro. Kaja włączyła światło.

Zdołusłychaćbyłogromkie „Dwieście lat” dla pani Gradek.

– O co chodzi? – spytała matka Karola, kiedy wreszcie stanęły.

– Chciałam pani podziękować. – Kaja spojrzała jej prosto w oczy. – Dzięki pani interwencji dyrektor dał mi wsparcie, dogadałam się z inwestorem, wkrótce sprzedaję las.

– Doprawdy! – Matka Karola krzyknęła z udawanym zachwytem. – Bardzo się cieszę – dodała po chwili. – Czyli rozumiem, że zniszczy pani film?

Kaja skrzywiła usta. Jej mina nie była jednoznaczna.

– Umowa to umowa – przypomniała Ewelina.

– Ustaliśmy, że nie pokażę go komendantowi, a nie, że go zniszczę.

– Ale umowa dotyczyła tego, że poproszę męża o poparcie pani. Tak zrobiłam. Jak widać, był na tyle skuteczny, że sprzedaje pani las – zauważyła. – A skuteczność mojego męża była ponad umową. Oczekuję zatem, że zniszczy pani ten film.

Kaja westchnęła. Nie zamierzała wdawać się w dyskusję na temat tego, kto miał większy wpływ na decyzję inwestorów.

– Mam pytanie – zmieniła temat. – Bardzo zależy pani na tym, żeby sprawa nie wyszła na światło dzienne. Tymczasem kiedy poprzedni partner maltretował dziecko i panią, nie miała pani oporów, żeby głośno o tym mówić. Ba! Postarała się pani, że wieść o tym rozniosła się po całej wsi. Dlaczego?

Ewelinę zatchnęło. Patrzyła na Kają nierozumiejącym wzrokiem.

– Ale o co pani chodzi? – krzyknęła piskliwie, rzucając Kai gniewne spojrzenie.

– A tak, z ciekawości pytam. – Kaja powtórzyła słowa, które dopiero co usłyszała od Małgosi Wojtaszek.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – zapieniła się Ewelina. – To nie pani sprawa! W ogóle nie rozumiem, co to za pytania i dlaczego śmie pani wchodzić z butami w moje życie!

– Ludzie ze wsi mówią, że ojciec Karola był dobrym człowiekiem. Nie przejawiał agresji.

– Ludzie ze mną nie mieszkali – odparowała, odwracając wzrok.

– Dlaczego pani kłamie? – spytała Kaja spokojnie.

– Nie będę z panią rozmawiać. – Dyrektorowa niespodziewanie zmieniła ton. Głos jej się załamał, a oczy zaszkliły. Przez moment się wydawało, że wybuchnie płaczem. Opanowała się jednak. – Nie będę z panią rozmawiać – powtórzyła i zeszła po schodach.



Rozdział 24



Józefina zapakowała Kai szarlotkę i sernik upieczone przez siebie. Delikatnie ułożyła na siedzeniu obok kierowcy. Po namyśle przeniosła pakunek do tyłu. Domyśliła się, że z przodu będzie jechać Daisy.

– Jeśli czegoś zapomniałam, to trudno – powiedziała Kaja, ładując do bagażnika torby.

– Mam nadzieję, że czegoś zapomniałaś. – Józefina się uśmiechnęła. – Dzięki temu będziesz miała powód, żeby mnie odwiedzić.

– Pani Józefino. – Kaja chwyciła staruszkę za dłoń. – Ja panią odwiedzę na pewno. Przyjadę tu z córką – oświadczyła.

– Będzie mi bardzo miło poznać małą królową.

– Dziękuję za wszystko. – Kaja mocno przytuliła Józefinę. – Bardzo dziękuję.

Józefina odwzajemniła uścisk.

– Na pewno nie chcesz, żebym cię zawiózł? – upewnił się Paweł, który przyjechał się pożegnać.

– Mam prawo jazdy. Mam samochód. I wracam do domu. Nie musisz mnie odwozić. – Kaja się uśmiechnęła. W środku jednak czuła niesmak.

Taki miły, a taki dwulicowy – pomyślała. – Ciekawe, z iloma dziewczynami już dzisiaj rozmawiał.

– Daj znać, kiedy będę mógł cię odwiedzić. – Podszedł bliżej.

– Przyjaciele zawsze są mile widziani. – Podkreśliła słowo „przyjaciele”, Paweł jednak nie zwrócił na to uwagi. Przytulił ją i pocałował w policzek.

– Nie powiem „żegnaj”, bo liczę, że wkrótce się zobaczymy. Jakbyś czegoś potrzebowała, to śmiało dzwoń.

– Oczywiście. – Podziękowała mu i wsiadła do samochodu.

Pogoda była dobra. Zimowe słońce delikatnie przebijało przez chmury. Niebawem miało zająć. Kaja chciała zdążyć przed zmierzchem. Ruszyła. Józefina i Paweł machali, zanim samochód nie zniknął im z oczu.

Kiedy dojechała do Wrocławia, dochodziła siedemnasta, ale o dziwo, nie było korków, dzięki czemu przejechała przez miasto w miarę swobodnie. Właściwie planowała pojechać prosto do mieszkania, jednak neon, który zauważyła po zjeździe z estakady, spowodował, że zjechała z drogi. KRÓL. Firma budowlana

Król.

– Jeśli nie teraz, to kiedy – szepnęła. Wiedziała, że jeśli odwlecze coś, co chciała zrobić, przy jej obecnym modelu działania będzie odwlekać to w nieskończoność. Nie była zdeterminowana, ale chciała spełnić obietnicę.

Jeśli facet już tu nie pracuje, trudno – pomyślała. – Sumienie będę miała czyste, bo przynajmniej spróbowałam.

Zatrzymała auto na niewielkim parkingu pod siedzibą firmy. Ucieszyła się, że jeszcze jest otwarte. Odszukała nazwisko zapisane w notesie telefonicznym, które podała jej Józefina, i weszła. Recepcjonistka przywitała ją uprzejmym spojrzeniem.

– Szukam Sławomira Michalaka – powiedziała Kaja bez wstępu. – Pracuje u państwa?

– Hmm... – Po minie recepcjonistki trudno było ocenić, co zamierza powiedzieć.

– Mam bardzo pilną sprawę. Rodzinną – wyjaśniła Kaja szybko. – To ważne.

– Przepraszam, nie wiem, czy ktoś taki u nas pracuje... A w którym dziale? Na jakim stanowisku?

Kaja zacisnęła usta. Nie wiedziała. Michalak był na wsi złotą rączką, raczej nie dostał we Wrocławiu posady menadżera. Usiłowała sobie przypomnieć, co o nim mówiła jeszcze Józefina. Któryś z sąsiadów załatwił mu tę pracę. Budowa.

– Budowlaniec.

– Aha... – Dziewczyna westchnęła. – To nie znam...

Nie była zbyt rozmowna. Ale nie była też nieprzyjazna. Widocznie taki miała sposób bycia – pomyślała Kaja. Niezwykle trudny do komunikacji.

– A czy ma pani gdzieś może listę pracowników? – naprowadzała recepcjonistkę na trop.

– Nie mam. Taką listę to może mają w dziale kadr, ale oni już dziś nie pracują...

– Nic? Zupełnie nic? Nie kojarzy pani nazwiska? Nie macie tu jakichś... – Kaja zamilkła, szukając w głowie rozwiązania. Był piątek, nie chciała czekać do poniedziałku. Jeśli dziś nie załatwi tej sprawy, w poniedziałek nie będzie już o niej pamiętać. Poniedziałek miał być jej własnym początkiem.

– Nic nie mam, przykro mi. – Recepcjonistka bezradnie rozłożyła ręce. – Ale wie pani co. – Nachyliła się nagle nad biurkiem. – Jak to pracownik budowy, to może w hotelu będą go znali. Ci budowlancy wszyscy tam mieszkają. – Pokiwała energicznie głową.

– W którym hotelu?

– Robotniczym. Dam pani adres.

Budynek umiejscowiony był po przeciwległej stronie miasta. Gdyby nie to, że mapa w telefonie pokazała dość prosty dojazd, Kaja zapewne by odpuściła. Ale

pojechała.

Hotel okazał się ponurym blokiem bez balkonów. Był już wieczór i przez chwilę się zastanawiała, czy to bezpieczne wchodzić tam samej. Pocieszyła się, że w takim miejscu chyba powinien być monitoring. Drzwi wejściowe były jasno oświetlone. Za przeszkloną szybą siedział dozorca. Oglądał film na małym czarno-białym telewizorku.

– Dobry wieczór. – Kaja oparła się dłońmi o blat. – Orientuje się pan może, czy mieszka tu Sławomir Michalak?

– Sławek? – Dozorca niechętnie oderwał wzrok od telewizora. – Powinien być u siebie.

Kaja uniosła brwi. Więc jednak!

– A który to pokój?

– Dwadzieścia.

– Dziękuję.

Kaja wbiegła na schody. Nie miała planu, jak zacząć rozmowę, ale chciała jak najszybciej spotkać się ze Sławomirem. Im bliżej była pokoju, tym większe czuła podekscytowanie. Nawet jeśli Karol nie spotka się z ojcem, będzie mogła uznać, że wypełniła zadanie. To było coś. Czuła dumę, że udało jej się podjąć tę próbę.

Zapukała. Mężczyzna natychmiast otworzył. Może dozorca uprzedził go o moim przybyciu – przebiegło jej przez myśl.

– Pan Sławomir...? – Ni to stwierdziła, ni spytała.

– Pani do mnie? – Bardzo się zdziwił. Wyglądał przeciętnie. Był średniego wzrostu brunetem, o niedbałej fryzurze i zmęczonych oczach.

– Do pana. Mogę wejść?

Zdumiony, wpuścił ją do środka. Pokój był skromnie urządzone, ale nie było w nim typowo męskiego bałaganu. Na małej gazowej kuchence stał garnek z fasolką po bretońsku.

Kaja rozejrzała się, szukając jakiegoś siedziska. Była tylko wersalka.

– Proszę. – Mężczyzna gestem potwierdził, że może tam spocząć. Sam usiadł na stołeczku pod oknem.

– Nazywam się Kaja Poznańska. – Kaja zauważyła, że głos lekko jej zadrżał. Wchodząc tu, nie spodziewała się, że zadanie okaże się tak trudne. Nie wiedziała, jak zacząć. – Kojarzy pan Józefinę Koperską? – spytała.

Mężczyzna najpierw zaprzeczył, ale po chwili przytaknął.

– Z Polanki? Żonę świętej pamięci pana Stanisława?

– Dokładnie. To moja bliska znajoma, właśnie od niej jadę. Naprawiał pan u nich kran w łazience... kilka lat temu... A znów się popsuł.

Michalak zmrużył oczy. Odgiął się do tyłu i głośno wezbrał powietrze do płuc. Odetchnął ze świstem.

– To było z dziesięć lat temu. – Pokręcił głową. – Dziesięć lat – podkreślił.
– Nie przyjeżdżam z reklamacją. – Kaja szybko uniosła dłonie. – Chciałam tylko zapytać, czy może pamięta pan, gdzie kupował ten kran, Józefina koniecznie chce taki sam.

Mężczyzna patrzył na Kaję, jakby była wariatką. Milczał. Ona też zamilkła, wyczekując z jego strony jakiegokolwiek reakcji.

– Przyjechała pani do mnie tylko po to, żeby zapytać, gdzie kupiłem kran? – spytał po dłuższej chwili.

– Od kranu się zaczęło – wyjaśniła Kaja. – Kiedy się popsuł, Józefina pomyślała, że to znak, że może panu się coś stało. Wie pan, dziwactwo staruszki. – Wywróciła oczami. – Koniecznie chciała, żebym przyjechała i sprawdziła, co u pana.

– Wszystko w porządku – odparł nie mniej zdumiony niż wcześniej.

– To dobrze... To dobrze... – powiedziała, szukając w myślach kolejnych słów. Może powinna zagrać w otwarte karty, jednak nie chciała posunąć się za daleko. – Józefina bardzo dobrze pana wspomina.

– Wzajemnie – odpowiedział lakonicznie. Wciąż przypatrywał się Kai z nieukrywaniem zdziwieniem.

– Żałuje, że musiał pan wyjechać, teraz nie ma kto naprawić kranu.

– Znajdzie się jakiś fachowiec.

– Nie planuje pan wrócić?

– Nie – odpowiedział krótko.

– A gdyby był pan przy okazji? Nie wstąpiłby pan do niej zobaczyć tego kranu? Aż tak bardzo nie cieknie, może wystarczy uszczelnić.

– Nie bywam w Polance – powiedział i wziął oddech, żeby jeszcze coś dodać, ale Kaja weszła mu w słowo.

– Może kiedy będzie odwiedzał pan syna... To tylko chwila. Józefina się uparła na ten kran. – Kaja rozpostarła ręce w geście bezradności. Jak dobrze, że wszystko można zwalić na ekscentryczną staruszkę.

– Nie bywam w Polance. – powtórzył Michałak. Wstał. – Nie odwiedzam syna.

– Aha... – Kaja nie wiedziała, czy również ma wstać, zastanawiała się, czy Sławomir nie zamierza zakończyć rozmowy i wyprosić jej za drzwi.

– Przecież pani wie, dlaczego nie mogę go odwiedzać – powiedział nagle. Broda mu lekko zadrżała. – Józefina na pewno wspomniała.

– Coś tam przebąkiwała, ale nie wiedziała, czy odwiedza pan, czy nie.

– Nie odwiedzam. Przykro mi, musicie wziąć kogoś innego do kranu. – Wzruszył przepaszając ramionami. Nie wiedzieć czemu, zaczął mieszać łyżką w garnku z fasolką.

– Też mam dziecko – powiedziała ni stąd, ni zowąd Kaja. Sama nie

spodziewała się ze swojej strony takiego wyznania.

Michalak się odwrócił.

– Do czego pani zmierza? Usłyszała pani, że nie odwiedzam swojego, i naszło panią na morały? – wyraźnie się zirytował. – Nie naprawię kranu, już powiedziałem. Wszystko u mnie w porządku, proszę pozdrowić panią Józefinę.

– Nie, przepraszam, nie chodziło o morały. – Kaja potrząsnęła głową. – Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam. Może dlatego, że ostatnio wciąż myślę o swoim dziecku, też dawno go nie widziałam. Mam córkę – wyjaśniła smutno.

– Mój syn ma już nowego ojca. Nie potrzebuje mnie. Tak mu jest lepiej. – Ton głosu Michalaka był oschły, twardy.

– Bił go pan? – Kaja spytała odruchowo. Pytanie wcisnęło jej się na usta, nie potrafiła go powstrzymać.

– O Jezu... Temat już został zamknięty, po co pani do tego wraca? Na ploteczki was naszło przy okazji kranu?

– Bił pan?

– Nie, na litość boską. W życiu bym na dziecko ręki nie podniósł. – Spojrzał na nią z wyrzutem. Z jego wzroku biła szczerłość. Kaja odetchnęła.

– To dlaczego tak mówią?

– Mam się pani tłumaczyć? – Uniósł brwi. Nerwowo przeczesał dłonią włosy. Sytuacja chyba go przerosła. Prawdopodobnie nie wiedział, jak się zachować, bo spojrzał w kierunku drzwi, ale nie wyprosił Kai, sam też nie wyszedł.

– Józefina nie dała wiary tym oskarżeniom – powiedziała Kaja. – Zastanawialiśmy się, dlaczego się pan nie bronił, pozwolił się osądzić bez sądu, nie odwiedza pan syna, a Karol tęskni – wyrwało jej się.

Mężczyzna usiadł na stołku, jakby nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa i musiał się na czymś oprzeć. Siedział tak przez kilka sekund. Kaja zastanawiała się, czy ta rozmowa jeszcze ma sens. Wyglądało na to, że mężczyzna czeka, aż ona wyjdzie. Wreszcie, po kilku dłużeń się minutach, bez słowa sięgnął do szuflady. Wyjął z niej puszkę po herbacie. Otworzył i podał Kai.

– To są pieniądze – stwierdziła, zaglądając do środka.

– Dokładnie dwadzieścia dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt złotych – powiedział. – Tyle udało mi się przez ten czas odłożyć. Jeszcze chwila, a będę mógł zatrudnić prawnika i oddać sprawę do sądu. I wtedy się okaże, kto mówił prawdę. Brakuje mi jeszcze pięciu tysięcy na wkład za mieszkanie, inaczej nie dadzą kredytu, a bez mieszkania mogą nie przyznać mi dziecka, już się dowiadywałem.

– Dlaczego nie zrobił pan tego wcześniej? – Kaja była zszokowana.

– Niby jak? Za co? Wywalili mnie z domu, to było służbowe mieszkanie, dyrektor zarządzał. Ustalili swoją wersję, chcieli się mnie pozbyć. Dostałem wyraźne instrukcje, co mam robić. Jeśli stwarzałbym problemy, oskarżyliby mnie

o najgorsze rzeczy. I jak wtedy miałbym się bronić? Bez dowodów? Moje słowo przeciw słowu matki? Moje słowo przeciwko słowu szanowanego dyrektora szkoły? Co by pani zrobiła na moim miejscu?

– Próbowałabym walczyć. Przecież był jeszcze syn, mógł zostać świadkiem.

– Ciągać pięciolatka po sądach? Narażać na stres? Teraz żyje sobie spokojnie, jest szczęśliwy. A na sprawiedliwość przyjdzie czas. Wycofałem się, ale nie odpuszczę. Jeszcze chwila i... – Przerwał. – Nie mogę tam przyjeżdżać, zabronili mi. Listów pewnie też Ewelina nie pokazuje. Mam nadzieję, że Karol przez ten czas jednak o mnie nie zapomni... – zamilkł.

Odebrał puszkę z rąk Kai i schował ją z powrotem do szuflady. Potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z siebie natrętne myśli. Znowu wstał.

– Piotr Stefański zna się na hydraulice – powiedział. – Mieszka niedaleko pani Józefiny, na pewno pomoże z tym kranem. – Spojrzał wymownie na Kaję. Zrozumiała, że nie chce już dłużej rozmawiać. Wstała. Z torebki wyjęła list.

– Karol o panu pamięta – powiedziała, podając Michalakowi kopertę.

**

Dogonił ją, kiedy podchodziła do auta. Oczy miał czerwone od łez, pociągał nosem. Przez chwilę oddychał ciężko, próbując złapać oddech.

– Dziękuję – powiedział, unosząc kartkę.

– Nie ma za co. – Uśmiechnęła się. – Trzymam za pana kciuki.

– Rozmawiała pani z moim synem? – dopytywał. – Mówił coś o mnie? Dlaczego pisze, że jestem na wojnie?

– Nie wiem, panie Sławku, nie mam zielonego pojęcia. To jest dziecko. Może potrzebował jakiegoś wytłumaczenia, dlaczego pana nie ma.

Kaja przelknęła ślinę, pomyślała o własnej córce. Kalinka była za mała, żeby znajdować jakiegokolwiek wytłumaczenia. Zapewne w ogóle nie odczuwała nieobecności matki, ponieważ matką była dla niej babcia.

– Wszystko u niego w porządku – bardziej stwierdził, niż zapytał. Kaja skinęła głową. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie poinformować go o zachowaniu dyrektora względem Karola. Milczała jednak, uznawszy, że to żaden dowód na znęcanie się nad dzieckiem, może dyrektorowi zwyczajnie puściły nerwy, nie chciała dolewać oliwy do ognia. Sprawa i tak była skomplikowana, a Michalak poradzi sobie w sądzie i bez tego.

– Tak, wszystko w porządku – potwierdziła. – Po prostu tęskni za panem i czeka.

– Dziękuję. – Michalak uściśnął dłoń Kai. – Karol ma rację, jest pani aniołem.

Dziewczyna się roześmiała.

– Chciałabym być, niestety jeszcze mi daleko. Ale spotkałam prawdziwe

anioły, uczę się od nich.

– Pani jest z Polanki?

– Nie. Jestem z Wrocławia. W Polance byłam gościnnie, niejako przez przypadek. Kilka miesięcy temu kupiłam tam ziemię – wyjaśniła bez ogródek.

– No proszę. – Spojrzał na nią z uznaniem. – Pani też? Kto by pomyślał, że to będzie taki świetny interes.

– Interes? – parsknęła śmiechem. – Ja akurat zamiast działki budowlanej kupiłam las. Nie chce pan wiedzieć, ile na tym straciłam.

– Bo to trzeba mieć smykałkę do takich rzeczy – uznał Michalak. – Mój znajomy zarobił krocie. Kupił tanio, drogo sprzedał. Chwalił się, że poszło za milion. A też nie działka budowlana, tylko las.

– Za milion... – Kaja zmrużyła oczy.

– No nic. – Mężczyzna wyprostował się i ścisnął jej dłoń. – Jeszcze raz dziękuję, że pofatygowała się pani do mnie z tym listem. Nawet pani nie wie, jaką mi sprawiła radość. Muszę pomyśleć, co odpisać, choć pewnie moja odpowiedź i tak zostanie powstrzymana przez cerbera.

– Dlaczego pani Ewelina jest taka podła?

– Nie jest – powiedział smutno Michalak. – To dobra dziewczyna, ale ją stary dziad omotał. Uwiódł, rozkochał w sobie. Zaszła z nim w ciążę, dała się omamić...

Przerwał, gdy z wnętrza samochodu rozległo się szczekanie. Daisy zaczęła się niecierpliwić.

– Przepraszam, czas na mnie. – Kaja wyjęła kluczyki. Michalak uklonił się lekko i odszedł dwa kroki.

– A jeszcze przepraszam, na chwilkę – powiedziała, zanim wsiadła do samochodu. – Wspomniał pan, że kolega sprzedał las za milion. To był las w Polance?

– Sam mu podpowiedziałem, że tam jest ziemia za grosze, bo szukał.

– A ten kolega... Jak się nazywa?

– Filip Maj.

Kaja zastygła w bezruchu. Zmroziło ją, zrobiło jej się niedobrze.

– To pana kolega? – spytała po kilku sekundach, czuła, że krew odpłynęła jej z twarzy, czuła, że robi się jej słabo. Otworzyła drzwiczki i usiadła na siedzeniu, nogi zostawiając na zewnątrz.

– Zna go pani? – Michalak z niepokojem przyglądał się poblądłej nagle dziewczynie.

– Aż za dobrze – mruknęła. – Wie pan, gdzie on teraz mieszka?

– No jak mam nie wiedzieć? Obok, pod dwadzieścia dwa.

– W tym hotelu? – Kaja spojrzała z niedowierzaniem na budynek.

– Pracujemy przecież razem. Też dziwne... – zamyślił się. – Zarobił taką

kasę, a dalej pracuje na budowie. Pewnie coś ściemnia, on taki trochę lawirant. Kit mi wcisnął, co nie? To musiałby być jakiś wariat, co kupiłby las za milion. A pani za ile sprzedała, tak z ciekawości?

Kaja milczała. Kręciło jej się w głowie. Nic nie trzymało się kupy. Nic. To, że Maj był oszustem, wiedziała od dawna, ale przecież nie byłaby aż tak głupia, żeby dać się skroić byle budowlańcowi. Przecież był taki elokwentny, biznesmen. Mówił, że mieszka we Włoszech... Nigdy nie słyszała, czy mówił po włosku, ale nie miała podstaw, żeby mu nie wierzyć. Był przecież Polakiem, nie wymagała, żeby popisował się przed nią znajomością języków, słyszała, jak mówił trochę po angielsku. Miał pieniądze. Stać go było na wycieczki, Paryż, Praga. Dobre ubrania, perfumy, samochód. Fakt, auto z wypożyczalni, ale trudno było oczekiwać, żeby transportował swój wóz z Italii...

Brakowało jej oddechu. Sięgnęła do tyłu po wodę. Daisy przyglądała się z ciekawością. Michalak o coś pytał, ale Kaja nie słyszała. Jej myśli błądziły po wydarzeniach z przeszłości. Widywała się z Majem niezbyt często, ale za to intensywnie. W weekendy. Był obłędnie przystojny, facet z marzeń. Oszust, ale biznesmen, nie jakiś robotnik z budowy mieszkający w obskurnym hotelu. To niemożliwe.

– O Boże – jęknęła.

– Dobrze się pani czuje?

– Ma pan może jakieś zdjęcie tego Filipa? Michalak zaprzeczył.

– Muszę tam iść, sprawdzić, nie da mi to spokoju. – W jej oczach płonął ogień.

– Ale co sprawdzić?

Nie odpowiedziała. Widać było, że intensywnie myśli.

– Przypilnuje mi pan psa? Trzeba nagrzać w samochodzie, bo się trzęsie. – Rzuciła mężczyźnie kluczyki. – Zaraz wracam. – Energicznie podniosła się i nie czekając na reakcję oszołomionego Michalaka, poszła prosto do budynku.

Dozorca drzemał z otwartymi ustami. Minęła go i weszła na schody. Serce biło jej jak oszalałe, w głowie pulsowało. Nie miała żadnego planu, nie myślała nad planem.

Na korytarzu natknęła się na dwóch rozbawionych mężczyzn, nieśli reklamówki, z których wystawały butelki z alkoholem. Obrzucili Kaję wzrokiem, cmoknęli, roześmiali się. Minęła ich bez słowa. Zniknęli w jednym z pokoi.

Stała pod drzwiami z numerem dwadzieścia dwa i nasłuchiwała, starając się uspokoić oddech. Z wnętrza doszedł ją dźwięk telewizora. Sitcom. Słysząc było sztuczne wybuchy śmiechu. Zapukała mocno.

– Wlazł! – Głos mężczyzny przebił się przez dźwięki. Nie potrafiła rozpoznać, czy to Filip.

Nacisnęła klamkę.

Uderzył w nią zapach piwa. Weszła głębiej, wprost do pokoju, który był wyposażony dokładnie tak samo jak pokój Michalaka. Taka sama kuchenka gazowa, takie same szafki, podobna wersalka. Telewizor.

Spojrzała na mężczyznę siedzącego na wersalce. Był ubrany w dresowe spodnie i podkoszulek. Trzymał puszkę z piwem, obok na rozwiniętym papierze leżały kabanosy.

Na widok Kai otworzył usta.

– To niemożliwe – szepnęła bezgłośnie. Musiała oprzeć się o ścianę.

Mężczyzna wstał, lecz zaraz usiadł, po czym znowu wstał. Oczy biegały mu nerwowo.

– Tylko spokojnie – zastrzegł, zauważywszy, że wzrok Kai się zmienia, a jej usta zaciskają się w wąską kreskę. Dostrzegł, że zacisnęła też jedną z pięści. – Tylko spokojnie – powtórzył. Kaja milczała. Rozejrzała się po pokoju nieprzytomnym wzrokiem. Nagle oderwała się od ściany i zrobiła krok. Filip się cofnął, jakby w obawie, że Kaja zacznie okładać go pięściami. Nie zaczęła. Podeszła do wersalki i ciężko na nią opadła. Zsunął się jeden kabanos. Filip odruchowo go podniósł.

– Jak? Wytłumacz mi jak? – Kaja mówiła płaczliwym tonem, nie zanosilo się na agresję z jej strony. Z mężczyzny powoli opadało napięcie. Milczał. Prawdopodobnie nie rozumiał, o co go pyta.

– Naprawdę jestem aż taka głupia? – jęknęła. – Budowlaniec? – Spojrzała na niego z wyrzutem. Jakby jego prawdziwy zawód miał jakiegokolwiek znaczenie. Mężczyzna wciąż milczał. – Ale kupowałeś mi prezenty, miałeś na sobie drogie ubrania... Płaciłeś za wycieczki... Jakim cudem?

– To była inwestycja – wyjaśnił, odchrząknąwszy. Głos miał chropowaty, zaschło mu w gardle. Puszka z piwem stała na podłodze, obok Kai.

– Inwestycja... – pokiwała głową, zrezygnowana. – No tak. Opłaciło się. – Zaśmiała się nerwowo. – No i gdzie ten twój milion? – zadrwiła, przelatując wzrokiem po wnętrzu. – Przejechałeś na panny? Może hazard, co? A może inwestujesz w jakąś grubszą rybę?

– To nie tak. – Szybkim ruchem podszedł i podniósł piwo. Cofnął się pod okno. Upił kilka łyków duszkiem. – Ja z tego dostałem tylko dychę. Plus wydatki. W sumie może z pięćdziesiąt tysięcy, ale czysto dycha. Poszło na panny – przyznał.

– A reszta niby dla kogo? Jakaś siatka, tak? Ile kobiet orzneliście w ten sposób? – pytała na pozór spokojnie, jakby bez emocji, chociaż w głosie dało wyczuć się zdenerwowanie.

Milczał.

– Nie to, żebyś nie była ładna. Jesteś fajną dziewczyną – podjął nagle. – Ale potrzebowałem kasy. To była złota okazja. Prawdę mówiąc, sam nie wierzyłem, że

się uda.

– A poszło gładko – dokończyła Kaja. – No pewnie, prosta sprawa, rozkochać w sobie naiwniaczkę, zabawić się jej kosztem, obrobić. Co w tym wielkiego. Ale wiesz co? – Uśmiechnęła się. – Udław się tymi pieniędzmi. Tyle ci powiem. Udław się. Karma wraca. Prędzej czy później i ciebie dosięgnie sprawiedliwość.

– I kto to mówi? – zaśmiał się chrapliwie. Napięcie całkowicie z niego opadło, patrzył teraz na Kaję pełnym politowania wzrokiem. Znow pociągnął łyk piwa. – Sorry, ale nie możesz mieć pretensji za wyłudzenie, skoro sama najpierw tę kasę wyłudziłaś. Pieniądze wróciły do właściciela. Sprawiedliwości stało się zadość. Ja tylko pomogłem zachować porządek w naturze.

– Co ty chrzaniisz? Do jakiego właściciela. To była moja kasa. Zastawiłam mieszkanie, wzięłam kredyt. Dałam ci wszystkie oszczędności.

– Oj, biedna – zadrwił. – A to mieszkanie pod zastaw, to z czego? Salon czyj? Od matki wszystko dostałaś! Wyłudziłaś od niej cały majątek! Oddała ci firmę, kupiła kawalerkę, zaopiekowała się twoim dzieckiem. Chciałaś więcej? Zachłanność cię zgubiła – wycodził. – Karma wraca.

Kaja poczuła, jak miękną jej nogi. Siedziała, a mimo to mięśnie zaczęły jej wiotczeć. Głowa bezwładnie opadła na zagłówek kanapy. Filip zauważył to i doskoczył do dziewczyny. Zdecydowanym ruchem ujął jej twarz i wlał do ust resztkę piwa. Poklepał Kaję po policzku, potem potrząsnął za ramiona. Wzięła oddech, zaczęła kasłać. Spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Moja matka? – spytała osłabionym głosem.

Zignorował pytanie.

– Nogi w górę – zarządził nerwowo, unosząc jej łydki. Podstawił krzesło. – Tylko mi tutaj nie zejdz, kurwa, jeszcze tego brakowało.

**

Zwinęła się w kłębek, znowu nie mogła spać. Myśli przetaczały się w głowie jak szalone. Teraz to wszystko miało sens. Po rozmowie z Filipem elementy układanki zaczęły wskakiwać na właściwe miejsca. Poznała go w salonie. Przyszedł niby przypadkiem, chciał zrobić sobie manicure. Przyjęła go Wiktoria, ale Kaja zagadała o jakąś błahostkę. Od razu zwróciła uwagę na przystojnego, dobrze ubranego klienta. Dbała o takich. Jako właścicielka salonu bywała w nim niemal codziennie, dopieszczając rozmową co znamienitszych gości. Filip zdawał się jednym z takich. Po pierwszej wizycie przysłał jej kwiaty. Następnego dnia znowu. Bukietów, zanim zgodziła się na kawę, było sześć. Dużo mówił o sobie, o swojej pracy, pasjach. Między słowami przemycił informacje o światowym życiu, o spełnianiu luksusowych zachcianek. Wierzyła mu. Nie było żadnych przesłanek ku temu, żeby nie uwierzyć. Był uroczy, hojny, szarmancki. Chodzili

nawet do teatru. Teraz się przyznał, że był tam z Kają po raz pierwszy, wszystko robił według wytycznych jej matki. A matka wiedziała, jak nim pokierować, żeby był skuteczny. Znała najczulszy, najslabszy punkt Kai. Pragnienie miłości. Nie trzeba było wiele, żeby słysząc te wszystkie czułe słówka, Kaja zgodziła się na małżeństwo, nie zwróciwszy nawet uwagi, że diament w pierścionku to zwykłe szkiełko. Filip i jej matka byli na tyle pewni siebie, że pożałowali dodatkowego wydatku. Inwestycja. Zadrzała, przypomniawszy sobie słowa Filipa. Oczarował ją. Poszła jak po sznurku.

Znowu zrobiło się jej niedobrze. Przekręciła się na drugi bok. Daisy spała pod łóżkiem, cicho pochrapując. Kaja wstała i zapaliła światło. Było jej duszno. Napiła się wody. Emocje tak silnie w niej buzowały, że nie potrafiła uspokoić myśli. Sięgnęła po telefon. Była druga w nocy. Nieważne. Nie była w stanie znaleźć sobie miejsca. Musiała z kimś porozmawiać.

„Przyjedź do mnie, proszę”. SMS popłynął do Pawła.

„Zaraz będę” – odpowiedź nadeszła niespodziewanie szybko. Może pisał z kimś teraz. Portal randkowy przecież nie śpi – pomyślała. Nieważne.

Przyjechał po godzinie. Musiał nieźle pędzić, bo zazwyczaj droga z Polanki do Wrocławia trwała nieco dłużej.

– Co się stało? – spytał, kiedy tylko wpadł do mieszkania. Nie zdejmując kurtki, przytulił Kają.

– Przepraszam, że zrywałam cię w nocy – powiedziała cicho. Głos miała słaby, ale nie płakała. – Po prostu musiałam z kimś natychmiast pogadać, bałam się, że inaczej zwariuję.

– Dobrze zrobiłaś. – Chwycił jej dłoń. – Co się dzieje? Opowiedziała mu wszystko. Słuchał z zainteresowaniem, nie przerywał. Nawet nie zadawał żadnych pytań, jakby były zbędne.

Dniało już, kiedy skończyli rozmawiać. Błady zimowy świt rozpraszał mgłę unoszącą się nad miastem. Kaja czuła wdzięczność za to, że Paweł przyjechał i mogła się przed nim wygadać. Kolejny raz przekonała się, jak wielką moc może mieć zwykła rozmowa. Emocje przestały buzować, teraz były już tylko fakty.

– Co z tym zrobisz? – Polniak spojrzał na Kają z troską.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – Najpierw pomyślałam, że ją jakoś zaszantażuję, żeby zwróciła mi te pieniądze... Teraz jednak myślę, że to bez sensu. Po co się użerać... Niech ma. Jesteśmy kwita. To prawda, że dużo mi dała. Spłaciłam wszystko z nawiązką. – Uśmiechnęła się smutno. – Sprzedam las, spłacę długi. Zacznę wszystko od nowa. Z Kalinką – dodała z radosnym błyskiem w oku. – Matka już nie ma argumentu, żeby mi ją zabrać. Po tym wszystkim, czego się dowiedziałam, mogę iść do sądu, będzie miała kłopoty.

– Filip Maj też.

– Dlatego podejrzewam, że matka pójdzie na ugodę ze mną i odda mi

dziecko. Nie ma wyjścia.

- Kiedy zamierzasz do niej jechać?
- Jak najszybciej. Najlepiej już w poniedziałek.
- Chcesz, żebym ci towarzyszył?

– Nie, załatwię to sama. Ale dziękuję, że przyjechałeś. Potrzebowałam tej rozmowy, rozjaśniła mi w głowie. Nie chcę zemsty, chcę tylko spokoju. – Oparła się o oparcie fotela i przymknęła oczy. Paweł przyglądał się jej przez chwilę. Zauważył, że oddech stał się wyrównany. Zasnęła. Przykrył ją kocem i pocałował w czoło. Kaja. Jego Kaja.

Poszedł do kuchni i zaparzył sobie kawę. Dochodziła ósma, matka pewnie będzie zaraz wydzwaniać. Jak co niedzielę powinien odwieźć ją do kościoła na dziewiątą. Trudno. Pojedzie kiedy indziej. Westchnął ciężko. Myślami wciąż był przy Kai. Trudno mu było zaakceptować to, że są na świecie aż tak przebiegli ludzie jak jej matka. Sam wychował się w normalnej rodzinie, wszelkie intrygi były mu obce. Nic dziwnego, że dziewczyna była aż tak pogubiona. Żyjąc w takim jak ona świecie, każdemu byłoby trudno odnaleźć właściwą drogę. A jednak jej się udało, pomyślał z czułością. Podjęła walkę o córkę, chce zacząć od nowa.



Rozdział 25



Elektroniczny papieros, który komendant Grzelak dostał od żony na gwiazdkę, był do niczego. Już od trzech tygodni starał się go używać, ale każda próba głębszego zaciągnięcia się kończyła się fiaskiem. Bulgotało, charczało, ale kiedy zasysał, nie czuł przyjemnie drażniącego w gardle dymu.

– Durny wynalazek – mruknął i odłożył sprzęt. Sięgnął po paczkę cameli ukrytą w biurku. Były jeszcze dwie sztuki. Wspaniale.

Piecyk na posterunku przyjemnie grzał w nogi, komendantowi nie chciało się wstawać, żeby przynieść popielniczkę. Wyjął obydwie papierosy i postanowił wrzucać popiół do pustego pudełka. Zapalił. Głęboko wciągnął dym do płuc. Po tylu dniach wdychania wodnistego świństwa poczuł prawdziwą euforię. Spora dawka nikotyny w sekundę uderzyła do głowy. Zawirowało.

– Mmmm – zamruczał, delektując się papierosem.

Było przyjemnie. Zbyt przyjemnie – przeszło mu przez myśl. Nigdy się tak nie czuł. Nawet wtedy, kiedy udało mu się ustalić tożsamość Czarnej Marii i przez chwilę zabłysnąć w świetle lokalnych reflektorów, nie był aż tak szczęśliwy jak dziś. Teraz czuł się nareszcie spełniony. Wprawdzie był to dopiero początek drogi, ale za to jaki! Danka przestała marudzić i jęczeć, nawet nie domagała się pomocy w domu. Chodziła jak na paluszkach, namawiając Grzelaka, żeby jak najszybciej skończył drugą część książki. Była ciekawa, co dalej. Wydawca odesłał podpisaną umowę. Teraz miał mailem przyjść tekst po pierwszej redakcji. Szykowano także okładkę, którą niebawem miał zobaczyć. Był podekscytowany. Wszystko szło dobrze. Pozostało tylko załatwić do końca sprawę śledztwa. Już trzy tygodnie, odkąd wysłał raport, a nie otrzymał informacji zwrotnej, co dalej. Patrycja znów przyszła do niego, by zapytać, czy odzyska skradzione pieniądze.

Wybrał numer prokuratora. Odchrząknął, żeby wyostrzyć głos, dodawało mu to pewności w służbowych kontaktach.

– Halo? – Głos po drugiej stronie słuchawki należał do tych bardziej oschłych. Cały prokurator.

– Komendant Grzelak. Polanka. Dostał pan mój raport?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Grzelak. Polanka – ponownie przedstawił się Grzelak. – Chodzi o tego topielca... Sprawa z początku grudnia.

– Ach tak! – Prokuratora olśniło. – Ale przecież pan już to dawno wysyłał...

– No tak, przed świętami.

– Zamknąłem śledztwo. Nie przekazano panu?

To chuje, znowu o mnie zapomnieli – przeklął w myślach Grzelak.

– Chciałem upewnić się u źródła – powiedział głośno. – Czyli rozumiem, że te pieniądze, które znaleziono u denata, a które należały do poszkodowanej, to ona może odzyskać?

– Trzeba napisać wniosek, to już nie moja działka.

– No tak. – Komendant westchnął. Procedury. Działając od lat samotnie na wiejskim posterunku, czasami o nich zapominał.

– Ale, ale! – powiedział nagle prokurator. – Pan, zdaje się, podejmował jakiś wątek dotyczący pańskiej książki... On już nieważny, tak? Bo o tym nie było w raporcie...

– Tak – wtrącił szybko komendant. – To nieporozumienie. Za bardzo zaszalała mi wyobraźnia, jak to u pisarza – roześmiał się rubasznie.

– Dobra. To najlepszego! I gratuluję, rzecz jasna! Nawet mnie pan zaciekawiał, kupię książkę, gdy tylko będzie w księgarniach. To musi być naprawdę coś mocnego, skoro dostał pan zgodę na jej wydanie! Komendant wojewódzki chyba rzadko aprobuje takie rzeczy. Gratuluję tym bardziej. Czołem! – Prokurator się rozłączył.

Grzelak zastygł z telefonem przy uchu. Poczł się, jakby dostał obuchem w łeb. Komendant wojewódzki. Zgoda. Procedury.

– Kuuuuuurwaaaa – jęknął przeciągle. A było już tak pięknie...

**

Dochodziła czternasta, kiedy Kaja podjechała pod dom matki w podwrocławskich Siechnicach. Długo nie wysiadała z samochodu. Piętrowy budynek wyglądał okazale. Musiał być niedawno odmalowywany, ponieważ biel tynku aż biła po oczach. Na podjeździe stało srebrne audi, jak zwykle lśniące, jakby dopiero co wyjechało z myjni. Mikroskopijny roztapiający się bałwanek sugerował, że w domu mogło mieszkać dziecko.

Mieszkało dziecko. Jej dziecko.

Kaja wyszła z samochodu i zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę przy furtce. Nie ustąpiła. Matka zawsze dbała o bezpieczeństwo, nie zdarzało jej się nie zamykać furtki na klucz czy też zostawić otwartej bramy. Za każdym razem, kiedy wychodziła, uzbrajała alarm. Aż dziw, że pod domem nie błyszczały zewnętrzne czujki i kamery. A jednak małe oko umiejscowione przy domofonie patrzyło. Odezwał się brzęczyk. Kaja weszła.

Nie przywitały się, nie uściskały. Matka gestem zaprosiła ją do środka. Hol był przestronny, podłoga błyszczała. W powietrzu unosił się zapach lawendy

i cytrusów. Kaja nie zawracała sobie głowy zdejmowaniem butów. Niech myje potem podłogę – pomyślała, idąc prężnie po lśniących kaflach. W salonie zauważyła różowy rowerek. Choinka pełna była długich cukierków i krzywo wykonanych papierowych łańcuchów.

– Gdzie Kalinka? – spytała bez wstępów.

– W przedszkolu – odparła równie oschłym tonem matka.

– W przedszkolu? – prychnęła dziewczyna z powątpiewaniem. – Trzy lata skończy dopiero w maju, jest za mała na przedszkole.

– Chodzi już od września. To prywatne, anglojęzyczne.

– Dobrze. – Kaja usiadła na stylowej błękitnej kanapie. – Poczekam tu na nią.

Wyraz twarzy matki był nieprzenikniony. Podeszła do kominka i dorzuciła dREW.

– Tak nagle, ni stąd, ni zowąd przyjechałaś odwiedzić córkę? – zagadnęła po dłuższej chwili milczenia.

– Nie przyjechałam jej odwiedzić. Przyjechałam ją zabrać.

– Zabrać? – Dopiero teraz twarz matki zaczęła się zmieniać. Pojawiły się na niej trudne do zidentyfikowania emocje. Źrenice jakby się rozszerzyły, a kąciki ust lekko opadły.

– Tak. Wystarczająco długo się nią zajmowałaś. Dziękuję. Teraz zamieszka ze mną.

– Żartujesz. Nie masz się za co utrzymać, jesteś nieodpowiedzialna... – Matka zaczęła swoją mantrę.

– Być może. Ale nie takie jak ja zdołały wychować dziecko, dam sobie radę.

– Nigdzie jej nie zabierzesz.

– Zobaczymy. – Kaja była spokojna. Upajała się tą chwilą. Niech matka pierwsza zacznie. Potem przyjdzie czas na ofensywę.

– Nie pozwolę – powiedziała twardo matka. – Nie oddam dziecka osobie, która chwije się emocjonalnie niczym chorągiewka. Dopiero co próbowałaś się zabić.

– To wezwij policję. Nie wyjdę stąd bez Kalinki.

– Straciłaś wszystko i naszło cię, żeby wziąć dziecko? Bo nic innego już nie masz?

– Nie obrażaj mnie.

– Stwierdzam fakty.

– Fakty są takie, że to moja córka. Fakty są też takie, że mam gdzie mieszkać i z czego się utrzymać. Nie straciłam wszystkiego. Zdziwiona?

Matka uniosła brwi.

– Co? – ciągnęła Kaja. – Twój plan nie do końca się powiódł? Myślałaś, że skończę na bruku albo w psychiatryku? Albo w kostnicy? Nic z tego.

– Jak możesz tak mówić. – Matka wyraziła swoje oburzenie.

– Nie udawaj. Tak się składa, że Filip wyśpiewał mi wszystko. To co, wezwiemy policję? Zabawimy się w dobrą babkę i złą matkę albo odwrotnie? – prychnęła.

– Oddam ci pieniądze, co do grosza. – Matka zmieniła ton. Krew jakby odpłynęła z jej twarzy, miała blade usta. Usiadła naprzeciw córki, zatapiając się w miękkim ciemnoszarym fotelu.

– Nie chcę ich – powiedziała Kaja. – Myślisz, że przyjechałam tu po pieniądze? – parsknęła gorzkim śmiechem. – Weź je sobie. Nie potrzebuję ich.

– Kaja... – Matka spojrzała na nią łagodnym wzrokiem.

– O której jedziesz po Kalinkę? – spytała Kaja rzeczowo.

– Opiekunka przywiezie ją za godzinę.

– Proponuję, żebyś spakowała jej najważniejsze rzeczy. Resztę dokupię.

– Nie ma takiej potrzeby, dam ci wszystko.

Kaja zamrugała nerwowo. Nie spodziewała się takiej reakcji. Matka naprawdę musiała być przerażona tym, co mogłoby się stać, gdyby przyjechała policja.

– Ale Kalinka cię nie zna... – ciągnęła matka spokojnie. – Rozważ, proszę, czy nie byłoby dobrze, gdybyś trochę tu pomieszkała...

– Nie powstrzymasz mnie.

– Nie chcę. To dla dobra Kalinki, tak będzie lepiej, zaufaj mi.

– Jak śmiesz mówić do mnie o zaufaniu? Ty, która podstępnie podsunęłaś mi faceta, wiedząc, że niczego na świecie nie pragnę bardziej niż miłości, akceptacji...

– Głos jej się załamał.

– To wszystko nie jest tak, jak myślisz. Musiałam tobą potrząsnąć. Inaczej skończyłabyś jak ja. Samotna, zgorzkniała, z zaprzepaszczoną szansą na macierzyństwo. Nie zajmowałam się tobą, nie wychowywałam cię, nie doświadczyłam tych wszystkich chwil, których doświadczają inne matki. Nikt inny, tak jak ja, nie zrozumie tego, że pewnych rzeczy nie da się już cofnąć. A refleksja przychodzi zbyt późno. Zbyt późno!

– Postanowiłaś spełnić się przecież jako babcia. Wychowujesz Kalinkę.

– Na chwilę. Modliłam się o to, żebyś się wreszcie otrząsnęła. Gdybyś nie sięgnęła bruku, nie byłoby cię tu dzisiaj!

– Łzesz! Przestań mną manipulować! – Kaja wstała. Była roztrzęsiona.

– Mówię prawdę, Kaja. Nie mogłam patrzeć, jak powielasz moje błędy. Jestem twoją matką, zrozum. Nie ma nic gorszego, jak obserwować upadek swojego dziecka. Jedyne dziecko, na które nie ma się wpływu, bo się go nie wychowywało, bo się go nawet nie poznało.

– Co ty gadasz? Jakoś nie miałaś problemu, żeby patrzeć na mój upadek, kiedy wróciłam ze szpitala. Zamiast się mną zająć, zaprosić na święta, przywiozłaś

papiery, oczekując, że zrzeknę się dziecka! Nie było w tobie krzty litości, nie mrugnęłaś nawet okiem.

– Spanikowałam. – Matce zadrzała broda. – Chwyciłam się jedynej myśli, jaka mnie wtedy naszła, że jeśli okażę ci współczucie i zacznę się nad tobą roztkliwiać, skończy się tak samo jak wcześniej. Staniesz na nogi i znów zaczniesz szaleć, jak wtedy, po porodzie. Przecież to ty odrzuciłaś swoje dziecko.

– Wtedy byłam w depresji poporodowej, nie pomogłaś mi! – wykrzyczała Kaja.

– Nie umiałam ci pomóc. Próbowałam, ale mnie nie słuchałaś, zachowywałaś się dokładnie tak jak ja przed laty. Wiedziałam, jak się to skończy. Pragnęłaś życia wolnego, beztroskiego. Ja przynajmniej studiowałam, ty wolałaś się bawić.

– Będiesz mi teraz wypominać?

– Chcę, żebyś spojrzała na to wszystko z mojej perspektywy. Tak późno zrozumiałam, ile w życiu straciłam. Nie chciałam, żebyś poszła moim śladem.

– Nie zapraszałaś mnie do was, nie zachęcałaś, żebym odwiedzała Kalinkę, nie robiłaś nic, żebym choć spróbowała być matką.

– Nie posłuchałabyś mnie. Drwiłabyś, że prawie ci morały! Myślisz, że ja słuchałam swojej matki? Też próbowała jakoś do mnie przemówić, ale uważałam, że jestem mądrzejsza, odrzucałam jej rady. Wściekałam się, kiedy użalała się nad twoim losem, kiedy wyzywała mnie od wyrodných, nieodpowiedzialnych matek, kiedy nazwała mnie kukułką. Nie rozumiałam, o co jej chodzi, przecież byłam młoda, należało mi się coś od życia, chciałam zdobywać wykształcenie, przeć do przodu. Przeszkadzałaś mi w tym, przyznaję, tak to wtedy czułam. Odwiedzałam cię z obowiązku. A kiedy po śmierci dziadków wprowadziłaś się do mnie, nie mogłam wręcz na ciebie patrzeć. Drażniło mnie wszystko. Twój charakter tak podobny do mojego, twoja uroda. A potem drażniła mnie twoja ciąża. Zazdrościłam ci, bo wiedziałam, że ja już nie będę mieć dziecka. Ale kiedy urodziłaś i kiedy ujrzałam tę kruszynę, coś we mnie pękło. Tak jakby czas zatoczył koło. Zobaczyłam siebie i ciebie sprzed lat. Też byłaś taką kruszynką. Te zgubione lata uświadomiły mi, jak wielką byłam egoistką. W imię czego? Pieniędzy? Cóż mi po nich, kiedy nie miałam nikogo, kto by mnie kochał i kogo ja bym kochała? Jesteś dokładnie taka jak ja. Pamiętasz, jak zaświeciły ci się oczy, gdy zaproponowałam, że wezmę dziecko, a ty w zamian przejmiesz moją firmę? Nie oponowałaś, nawet sekundy się nie zastanawiałaś. Mówisz, że cię nie zapraszałam? A ty z własnej woli odwiedziłaś kiedyś córkę? Zadzwońska, by zapytać, co u niej?

– Lepiej posłuchaj, co mówisz – zadrwiła Kaja. – Pieprzysz farmazony. Wystarczyłoby, żebyś wtedy choć raz przytuliła mnie, powiedziała, że kochasz. Wszystko byłoby inaczej.

Paulina spojrzała ze smutkiem.

– Nie umiałam. Nie umiem. Dopiero teraz, przy Kalince, wszystkiego się uczę. Kaja, może moje działanie jest koślawe, może poruszam się wedle własnego pokrętnego umysłu... Ale po prostu chciałam cię ochronić. Nie umiałam zrobić tego inaczej.

– Co za durne tłumaczenia. – Kaja spojrzała na matkę z wyrzutem. – Myślisz, że dam się ogłupić i zostanę tu, żebyś mogła dalej mną manipulować? Myślisz, że uda ci się mnie tak omamić, że za kilka dni zmienię zdanie i wrócę do Wrocławia, zostawiając ci Kalinkę. I może jeszcze będę ci wdzięczna, że mogę ją tu zostawić? Tak to sobie wymyśliłaś?

– Możesz ją dzisiaj wziąć. Jest twoją córką. Ale proszę, przemyśl to jeszcze. To dwuipółletnie dziecko, niewiele rozumie. Właściwie nic nie rozumie. Będzie się bała z tobą iść, chcesz ją narażać na niepotrzebny stres? Za kilka tygodni sama zgodzi się z tobą zamieszkać, zobaczysz.

Kaja nie odpowiedziała. Nawet nie chciała tego słuchać.

Nie wierzyła w żadne słowo matki.

Usiadła z powrotem na kanapie. Nie chcąc patrzeć na matkę, przeniosła wzrok na choinkę. Krzywo posklejane łańcuchy wykonane niewprawną ręką dziecka nie oplatały gałęzi, zostały powieszony niczym bombki. Między nimi migotały światełka. Czub choinki przystrojony został popiersiem anioła.

**

Dziewczynka miała na sobie jasny kożuszek. Jej opiekunka przekazała dziecko w ręce babci, pożegnała się i wyszła. Dziewczynka niezdarnie ściągnęła buty, Paulina Poznańska pomogła jej zdjąć wierzchnie ubranie. Trzymając się za rękę, weszły do salonu. Kaja wstała. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Dziewczynka spojrzała na nią z ciekawością. W jasnoszarych oczach odbijały się światła choinki.

– Zobacz, mamy gościa. – Matka Kai podprowadziła dziecko bliżej. – Przywitaj się.

Dziewczynka skinęła głową, rozpostarła usta w uśmiechu.

– Dzień dołbi. – Mówiła niewyraźnie, ale dla Kai dźwięk tych słów brzmiał niczym najpiękniejsza muzyka.

– Dzień dobry – odpowiedziała wzruszona. Gardło miała ściśnięte.

Dziewczynka, uznawszy, że rytuał powitania został wykonany, pobiegła za sofę, skąd wyciągnęła wielki kosz z zabawkami. Kaja przykucnęła obok.

– Mam na imię Kaja – przedstawiła się. – A ty?

– Kainka. Kaia. – Dziewczynka nie patrzyła na nią, była zajęta nakręcaniem pluszowego łośia z pozytywką.

Kaja wstała. Spojrzała ostro na matkę.

– Kaja? – szepnęła poirytowana, oddalwszy się od dziecka na tyle, żeby nie

słyszało. – Zmieniłaś jej imię? Udajesz, że jest twoją córką? Kaja? Nie do wiary, jak możesz być taka podła?!

– Nic nie zmieniałam. – Pokręciła stanowczo głową Paulina. – Źle ją zrozumiałaś. Ona tak mówi, to dziecko. Czasem wołam na nią Kala, w skrócie – broniła się.

– Taaa, i co jeszcze? Proszę, żebyś ją spakowała.

– Ona cię nie zna.

– To pozna.

– Kalinko! – Matka zwróciła się do dziewczynki miękkim głosem. – Chodź tu na chwilkę.

Kalinka niechętnie podniosła się z podłogi i ciągnąc za ucho grającego łośia, podeszła do nich.

– Wiesz, kto to jest? – Paulina ukucnęła, wzięła dziewczynkę za rękę i spojrzała na Kaję. – To twoja mama, Kaja, wróciła z długiej podróży.

Dziewczynka podniosła wzrok. Potem przeniosła go na babcię, po czym znowu na Kaję.

– Mama... – Dziewczynka powtórzyła z namysłem.

Kaja ukucnęła i wyciągnęła do córki dłoń. Kalinka, spłoszona, cofnęła się za plecy babci.

– Hej – powiedziała Kaja, starając się, żeby jej głos brzmiał lekko. Nie potrafiła obchodzić się z dziećmi. – Nie pamiętasz mnie, bo dawno się nie widziałyśmy, ale teraz już będę zawsze.

Kalinka patrzyła na Kaję nieufnie. Mocno ścisnęła babcię za rękę.

– Chciałabym zabrać cię w bardzo fajne miejsce, pojechałabyś ze mną? – ciągnęła Kaja spokojnie.

Dziewczynka zaprzeczyła, kręcąc energicznie głową.

– Oczywiście nie dziś – dodała szybko Kaja, żeby jej nie wystraszyć. – Kiedyś, może latem... A wiesz, że mam pieska? Takiego małego, nazywa się Daisy, chcesz zobaczyć zdjęcie?

Mała spojrzała na babcię. Uzyskawszy jej aprobatę, podeszła do Kai i zerknęła na fotografię w telefonie.

– Piesiek! – Wskazała palcem. – Piesiek, baba, piesiek, pacz!

Matka Kai nachyliła się nad ekranem.

– Piesek, wspaniały. Chciałabyś mieć pieska?

Kalinka przytaknęła. Uśmiechnęła się.

– No widzisz, to mama na pewno jutro go do nas przywiezie, żebyś mogła się z nim pobawić. – Wymownie spojrzała na Kaję. Dziewczyna milcząco przytaknęła. – Dobry pomysł?

– Tak! – Kalinka klasnęła w dłonie. – Ce pieśka, ce pieśka!

– A jak ma na imię twój renifer? – zagadnęła Kaja, zadowolona, że

dziewczynka nie chowa się już za plecami babci.

– Judi.

– Jak?

– Renifer Rudi – wtrąciła matka Kai. – Urwał się z sań Mikołaja.

– Aha. – Kaja, patrząc na córkę, pokręciła głową, udając, że wie, o czym mowa. Wiele jeszcze musiała się nauczyć. – A masz jeszcze inne zwierzęta.

– Mam. Baba! Poka!

– Sama pokaż – uśmiechnęła się mama Kai. – Ja w tym czasie zrobię coś do jedzenia, Kaja na pewno zostanie na kolacji.

– Chodź, pokażesz mi, jestem bardzo ciekawa – podchwyciła Kaja. Chciała złapać dziewczynkę za rączkę, ale ta wymknęła się i pobiegła na górę.

Kaja spojrzała na matkę. Paulina miała łzy w oczach.

– Idź – powiedziała. – Zrobię naleśniki. Z dżemem.

– Z dżemem – powtórzyła bezgłośnie Kaja. Jej ulubione.

Pokój Kalinki został urządzony w dawnym pokoju Kai. Ściany ozdobiła teraz jasna tapeta, a drewniane meble przemalowano na biało. Pod jedną ze ścian stał sporych rozmiarów domek dla lalek, koło łóżka piętrzyły się maskotki. Kalinka przerzucała je, szukając zwierząt.

– Mam kota! – pochwaliła się. – I kjkodyla! Zioba, jakie ziemby!

– Ostre! Aż się wystraszyłam! Brrr!

Kalinka się roześmiała. Dała nura do wielkiego kolorowego pudła.

– I jew dzieś jeść, duzi! Ciekaj!

Kaja czekała. Rozglądała się po jasnym wnętrzu. Już nie pamiętała, jak ten pokój dawniej wyglądał. Z pewnością był ciemny. Podeszła do biurka. Wzięła do ręki ramkę na zdjęcia. Minęła chwila, zanim rozpoznała siebie. Dopiero teraz zauważyła więcej takich ramek.

– Mama, Kaja! – Kalinka, dzierżąc w dłoniach lwa wykopanego z dna pudła, dotknęła palcem zdjęcia.

– Tak, to ja. – Kaja nie kryła wzruszenia. Łzy spływały jej po policzkach, nie obcierała ich.

– Tu teś Kaja. – Dziewczynka podbiegła do ramki stojącej nad łóżkiem. – A tu baba. A tu ja, zoba!

Kaja wierzchem dłoni wreszcie wytarła nos. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

– Nie płąć. – Dziewczynka spojrzała na Kają zdziwiona. – Ciemu płacieś? Psieśtlaś się jwa? – Podniosła maskotkę.

– Taak! – Kaja roześmiała się przez łzy. – Boję się, że mnie ugryzie!

– Cioś ty. – Dziewczynka się roześmiała. Zanim Kaja zdążyła jeszcze coś powiedzieć, Kalinka wybiegła na korytarz.

– Baba! – krzyknęła nadspodziewanie mocnym głosem. – Mama Kaja

psieśtłasiła się jwa!

– Co? – dobiegło z dołu.

– Psieśtłasiła się jwa!

Nie czekając na reakcję babci, wróciła do Kai, roześmiana. Zamachała jej przed nosem maskotką.

– A on wcale nie ma ziembów! Nie ma ziembów!



Rozdział 26



Danka chodziła nerwowym krokiem po pokoju. Nie paliła i bardzo drażnił ją dym, ale tym razem pozwoliła mężowi zakopcić. Rozumiała powagę sytuacji. Na zgodę przełożonego nie było szans i dobrze o tym wiedzieli. Pomijając kolejne procedury, w których z pewnością oprócz oficjalnego pisma o zgodę trzeba by było wysłać powieść do zaopiniowania, a co za tym idzie straciliby czas, wstrzymując produkcję książki, doszłaby również sprawa tantiemów. Grzelak nie pomyślał wcześniej, że to dodatkowe źródło dochodów, mimo że legalne, także podlegałoby ścisłej kontroli. Finanse policjanta musiały być przejrzyste jak szkło. Przypomniawsobie, że w podobnej sytuacji był przed laty jego kolega. Artur napisał wierszyk dla dzieci na zlecenie jednej z firm edukacyjnych. Wierszyk dotyczył uważności na drodze i kierowany był do przedszkolaków. Ukazał się w większym zbiorze, a Artur dostał groszowe tantiemy. Musiał przekazać je na jakąś fundację, takie było polecenie komendanta wojewódzkiego. Artur nie był pazerny i nie było mu szkoda, ale kolegom zdradził, że uważa, iż sprawiedliwiej byłoby oddać połowę, nie całość. Kupiłby za swoją część nowy plecak do szkoły dla córki.

– Ciebie też to spotka – powiedziała Danka. – Cała praca pójdzie na nic. Na marne. Będziesz musiał oddać wszystko.

– O ile w ogóle dostanę zgodę.

– O ile – przytaknęła.

– Może od razu zaproponuję, że oddam jakąś część tantiem na cele charytatywne?

– Oszalałeś? – zapiekliła się. – No ty chyba nie mówisz poważnie.

– A mam jakieś wyjście? Zresztą. – Machnął ręką. – Przy kwotach, jakie będę wyciągał, tysiąc tu czy tysiąc tam nie zrobi większej różnicy.

– Powiedz mi to, jak będę w sklepie – syknęła. – Gienek. – Spojrzała na niego z determinacją. – Ja ci nie bronię dawać na sieroty, na zwierzęta, na ochronę puszczy czy na co tam chcesz. Dawaj, proszę bardzo, dawaj, jak tylko będziesz miał. Ale to nie komendant będzie nam mówił, na co i ile mamy dawać, rozumiesz? Nie dam się kontrolować! – krzyknęła bojowo. – Premii i awansu jakoś do tej pory nie dostałeś, a masz się rozliczać z dodatkowej ciężkiej pracy? Jeszcze czego! A figa z makiem! To nam się należy pomoc. Od lat haruję jak wół, pracując w domu, pomagając na gospodarstwie u twoich rodziców. Ty sam na posterunku,

na całą okolicę, samiuteńki, jeden – wyliczała. – Dach nam na strychu przecieka, wiedziałeś?

– Nie... – Grzelak się zmieszał.

– Bo garnki podstawiam, gdy pada. Przecież wiem, że nie stać nas teraz na wymianę dachu. A wiesz, co będzie wiosną, jak się teraz, zimą, jeszcze bardziej popsuje? Zostaniemy bez dachu nad głową!

– No, masz rację, Danusiu – powiedział ugodowo Grzelak. Rozboleła go głowa. Zapalił kolejnego papierosa, przestał już liczyć którego. – Ale jakie mam wyjście, no jakie? Zgłosić muszę, zapytać o zgodę, nie ma innego rozwiązania.

– A jest. – Danką bez cienia uśmiechu podeszła męża. Niespodziewanie wyjęła mu papierosa z ust i sama się zaciągnęła. – Jest, Gienuś. I to bardzo dobre rozwiązanie.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Zmienimy umowę u wydawcy, im przecież wszystko jedno – powiedziała.

Dalej patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

– Mam zmienić nazwisko? Wydać pod pseudonimem? – spytał.

– To przecież nic nie da – prychnęła. – Pseudonim na książce to jedno, a umowa na człowieka to drugie. Pieniądze i tak wpłyną na twoje konto, podatek będziesz musiał zapłacić, prędzej czy później się wyda. Zresztą, promocja, trasa, sam mówiłeś. W telewizji pokażą twarz. Myślisz, że nikt cię nie rozpozna?

– To jak inaczej?

– Umowa będzie na mnie i to mnie przedstawimy jako autorkę. – Uśmiechnęła się, dumna ze swojego pomysłu. – Ja mogę pisać i wydawać, mnie nikt nie zabroni.

Grzelak zaniemówił.

**

Kobieta, która weszła do galerii, pachniała luksusem. Długie futro zaczępiło o drzwi, ale nie przejęła się tym. Zgrabnym ruchem poprawiła fason i niemal płynąc, ruszyła w kierunku Alicji. Ta zamarła. Wreszcie ktoś. Kobieta wyglądała na taką, która ma pieniądze i zna się na sztuce.

– Dzień dobry. – Blondynka podała Alicji szczupłą dłoń odzianą w cieniutką bordową rękawiczkę z cielecej skóry. – Emilia Paź. Czy jest może właściciel galerii?

– To ja. – Alicja skinęła głową z uśmiechem. – Alicja Gawęda. Bardzo mi miło. W czym mogę pani pomóc?

– Jestem projektantką wnętrz, chciałabym nawiązać współpracę. – Podała swoją wizytówkę.

– Oczywiście, zapraszamy. Ma pani ochotę na kawę? Herbatę?

– Dziękuję, jeszcze mam kilka spraw do załatwienia. Zajrzałam przy okazji.

Jesteście tu państwo od niedawna?

– Dwa miesiące. Proszę się rozejrzeć.

– Nie muszę. Domyślam się, że ofertę można też przejrzeć w internecie.

– Tak, proszę. To jest katalog, przypnę pani wizytówkę. Zapraszamy na stronę.

– Rozumiem, że byłaby możliwość, żeby moi klienci wypożyczali obrazy przed ich kupieniem? Zazwyczaj lubią na żywo sprawdzić, czy wybrane przeze mnie dzieło będzie im pasowało, czy będą się z nim czuli dobrze. Sztuka emanuje energią, wie pani o tym?

– Jak najbardziej, wiem – potwierdziła Alicja. – Oczywiście, nie ma problemu z wypożyczeniem obrazu, podpiszemy wtedy stosowną umowę.

– Cieszę się.

– Rzeźb państwo nie macie? – Rzuciła okiem po wnętrzu.

– Jeszcze nie, być może w przyszłości...

– Okej... No dobrze, zajrzę na stronę, będziemy w kontakcie.

– Zapraszam.

Kobieta się uśmiechnęła, odsłaniając śnieżnobiałe zęby.

Wyszła, zostawiając po sobie zapach drogich perfum.

– Niesamowite – szepnęła Olga. – Przyszła, zamiotła futrem i poszła.

– Ale być może tych pięć minut przyniesie w przyszłości miliony. – Alicja się uśmiechnęła.

– Szkoda, że nie rozejrzała się dokładniej. Myślę, że gdyby pokazać jej wszystkie nasze cuda, to nie wyszłaby z pustymi rękami. – Olga jak zwykle nie mogła powstrzymać się od docinki.

– Spieszyła się. Następnym razem ty obsłużysz klienta. Proszę bardzo, właśnie ktoś wchodzi. – Przez mleczne drzwi zauważyła sylwetkę. – Zobaczymy, czy wyjdzie z pustymi, czy pełnymi rękami.

– A proszę bardzo. – Olga wzruszyła ramionami. Nie brakowało jej pewności siebie.

– Odwołuję! – krzyknęła nagle Alicja na widok wchodzącej przyjaciółki. – Marianna się nie liczy!

– Słowo się rzekło! – Olga parsknęła śmiechem. – Zapraszam panią, zapraszam. – Powitała Mariannę.

– Marianna to nie klientka, nie liczy się – droczyła się Alicja.

– Ja się nie liczę? – Marianna udała oburzenie. Zamilkła nagle, rozglądając się ciekawie po wnętrzu. – O! A co to za zmiany?

– A, takie tam drobne innowacje, rozszerzenie oferty. – Alicja skromnie pokręciła głową. – Żebyście nie gađały, że jestem niereformowalna.

– Zapraszam! – Olga podchwyciła zainteresowanie Marianny. – Od kilku dni mamy te cuda, coś specjalnie dla pani. – Chwyciła ją pod rękę i poprowadziła do

szklanych gablotek, w których wystawiona została artystyczna koralikowa biżuteria. Mariannie rozbłysły oczy.

– Rany, jakie piękne – pochwaliła. – A można przymierzyć?

– No pewnie. – Olga wyjęła kluczyk do gablotki.

– Marianna – zastrzegła wesoło Alicja. – Tylko nie wykupuj wszystkiego, bo nam zabraknie.

Marianna i Olga parsknęły śmiechem. Marianna przymierzyła srebrzysty wisior, bransoletkę i kolczyki mieniające się na niebiesko. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyłożyć do siebie także broszki, a potem kolejnego wisiorka. Trudno było jej się zdecydować. Wreszcie po długim namyśle wybrała opalizujący wisior i trzy pary kolczyków.

– Świetnie! – Olga niemal podskoczyła. Spojrzała na Alicję wymownie. Wygrała zakład. Odwróciła wzrok, żeby nie ujrzeć, jak szefowa usiłuje oczami powiedzieć „To się nie liczy”. – Zapakuję. – Wzięła od Marianny błyskotki i poszła do lady. – A pani niech sobie jeszcze poogląda – dodała wesoło.

Marianna nie potrzebowała większej zachęty. Uniosła jeden z pierścieni, by obejrzeć go pod światło.

– Cudo! – ekscytowała się. – Cudo, po prostu. Jak to jest wykonane? – Przybliżyła do oczu błyskotkę.

– Ręczna robota – powiedziała Alicja. Cieszyła się, że przyjaciółce także się podoba. Sama wybierała artystkę, z którą podjęła współpracę. – Nie byle kto. Izabella Żurawska. Wicemistrzyni Polski w tej dziedzinie. Na razie mam tylko jej biżuterię, na próbę. Może w przyszłości rozszerzę ofertę o innych...

– Świetnie, to może być dobry trop. Powoli, małymi krokami, kobiety zaczną przychodzić, zobaczysz.

– Żartujesz? To schodzi jak woda – jęknęła Alicja. – Sprzedałyśmy przez tydzień chyba z osiem bransoletek i dwa wisiorki. A tanie przecież nie są – dodała, zagryzając usta.

– Super!

Alicja wywróciła oczami.

– Nie cieszysz się? – zdziwiła się Marianna.

– Co mam ci powiedzieć? Cieszę się, ale...

– ...ale nie są to obrazy – dokończyła Marianna.

– Nie sprzedałyśmy żadnego od świąt.

– Przykro mi.

– Bardzo proszę. – Olga przerwała rozmowę, przynosząc zdobioną granatową wstążką elegancką tekturową torebkę z nadrukowanym logo galerii. – W sumie wyszło tysiąc czterysta złotych. Płatność kartą czy gotówką?

– Dla Marianny rabat – poinstruowała Alicja.

– Oczywiście. Dziesięć procent – zgodziła się niechętnie Olga. Uzgodniły

z Alicją, że przy każdej sprzedaży Olga dostanie dodatkową prowizję z zysku. To miało ją motywować do lepszego zajmowania się klientami.

Marianna wyjęła kartę kredytową.

– Wejdiesz na kawę? – zaproponowała Alicja. – Do takich zakupów kawa gratis. – Puściła oczko.

– Bardzo chętnie. Wpadłam właśnie na kawę. Nie widziałyśmy się od sylwestra, nie dzwonisz.

– Proza życia. Zaganiana jestem.

– Ale pierścionek na swoim miejscu – zauważyła z uśmiechem Marianna, kierując wzrok na serdeczny palec Alicji.

Alicja odpowiedziała uśmiechem.

– A co u was? Otwierasz cukiernię?

– Tak, byłam rano na spotkaniu z projektantem, omówiliśmy szczegóły. Wszystko idzie w dobrym kierunku. Koniecznie musicie znaleźć czas, żeby nas odwiedzić. W mieszkaniu albo w restauracji. Jesteśmy tak blisko, a widzujemy się rzadko. Ostatnio w Polance. Nie może tak być – obruszyła się.

– My też zapraszamy – zgodziła się Alicja. – A może dzisiaj, na kolację? Pokażę ci plan mieszkania.

– Przeprowadzacie się?

– Dopiero na wiosnę lub latem. Ale musimy, bo w mojej dwupokojowej klitce jest trochę za ciasno.

– No pewnie, wpadnę. Na którą?

– Dziewiętnasta? Christiána nie będzie?

– Nie ma go w Warszawie. Już od trzech dni. Strasznie mi smutno bez niego.

– A gdzie jest? – Alicja się zdziwiła. Podczas sylwestra ani Marianna, ani Christián nie wspominali o żadnej podróży.

– W Sewilli. Jego wuj zadzwonił. Chico jest na odwyku. Już drugi miesiąc. Podobno telefonował do wujka z prośbą o odwiedziny. To taki punkt w tym programie, że dobrze jest nawiązać relacje z rodziną. Christián też polecał. Wiesz, jego wujek jest księdzem. Wy tłumaczył, że powinni pokazać Chico, że nie jest w tym wszystkim sam. Owszem, z nałogami musi sobie poradzić, ale nie jest kompletnie sam na świecie. Przekonał Christiána, że to ważne. Chico potrzebuje wsparcia.

– Nie chciałaś z nim jechać? – spytała Alicja.

– Pojechałabym. No ale dostałam ten prezent, wiesz, tę umowę, musiałam to ogarnąć, w przeciwnym razie mogliby się wycofać. Nie mogłam więc lecieć. Usycham z tęsknoty, ale rozmawiamy codziennie, nie jest źle. Dam radę, to tylko dwa tygodnie. Zobaczymy się na walentynki. – Uśmiechnęła się.

– A Dorota straciła pracę. – Alicja zmieniła temat.

– Jak to? Tak nagle? Wywalili ją w Nowym Roku? Co za...

– Trochę z jej winy. Za bardzo namieszała. Awansowała latem i pierwsze, co zrobiła, to zwolniła faceta, z którym miała wcześniej romans. To znaczy on nie pracował z nią, ale ma firmę, która miała umowę z jej firmą, dobrze na tym zarabiał. I kiedy Dorota została szefem, wypowiedziała tę umowę. Z zemsty. Głupio zrobiła.

– Rzucił ją?

– Długo by opowiadać. Faktem jest, że zachował się nefajnie. Okłamywał i ją, i swoją żonę. Nieważne. W każdym razie koleś nie pozostał jej dłużny i poszedł na skargę wyżej.

– Czyli do jej szefa?

– Tak. A ten się wkurzył, bo firma tamtego odwaląca dla nich naprawdę dobrą robotę. I w dodatku byli konkurencyjni cenowo. Oskarżył Dorotę o załatwianie prywatnych porachunków i działanie na szkodę firmy. Masakra.

– Będzie miała kłopoty?

– Poszła na ugodę. Ale pracy nie ma.

– Boże. Pewnie się załamała. I to taki prezent na Nowy Rok... – Marianna westchnęła.

– Udaje, że jej to nie bierze. Mówi, że z jej doświadczeniem nie będzie miała problemu ze znalezieniem nowej pracy. Na razie nic nie szuka, bo ma zakaz konkurencji podpisany na pół roku. Całe szczęście, że mieszka teraz z Patrykiem, więc przynajmniej nie jest sama i nie płacze w poduszkę wieczorami.



Rozdział 27



Redaktorka w wydawnictwie kręciła nosem, ale zgodziła się zmienić dane w umowie i przesłać ją jeszcze raz. Nie za bardzo rozumiała, skąd tyle zamieszania.

– To żona napisała tę książkę? – upewniała się.

– Tak – tłumaczył przez telefon Grzelak. – Ja ją wysłałem jako swoją, przez pomyłkę. Bo ja też piszę.

– Ale na pliku było Eugeniusz Grzelak, tak też się nazywa bohater...

– No tak, wszystko się zgadza. Danusia jest trochę nieśmiała i wybrała sobie pseudonim, jako ja. Taki numer. I dlatego się pomyliłem. Taki numer, widzi pani.

– Czyli ta książka *Wędkarz znad jeziora* podpisana jako Eugeniusz Grzelak jest autorstwa pana żony? Dobrze zrozumiałam?

– Tak.

– Czyli pseudonim zostaje, ale umowę zmieniamy na żonę, tak?

– Pani poczeka chwilę, zaraz oddzwonię. Grzelak przetarł czoło. Okropnie się spocił.

– Danusia – powiedział do siedzącej obok żony. – Słuchaj, bo jest taka opcja. Umowa będzie na ciebie, ale na okładce będę ja.

– No coś ty. I mam występować w telewizji jako ty? Czy jako ja?

– Jako ty, ale pod pseudonimem.

– Nie rozumiem.

– Będiesz występować jako Eugeniusz Grzelak.

– Bez sensu.

Bez sensu. Musiał jej przyznać rację. Ostatnia nadzieja na zobaczenie własnego nazwiska na okładce książki właśnie pękła. Pękła nadzieja na splendor i na tłumy napalonych fanek. Ale przynajmniej jakieś pieniądze z tego będą – pocieszał się. Spojrzał smutno na telefon.

– No dzwoń, dzwoń – ponaglała Danką. – Szkoda czasu. I bierz się za pisanie, ile ta seria będzie miała części?

– Sześć – powiedział zrezygnowany komendant.

– No! To się ludzie zdziwią, że tyle książek napisałam. – Zatarła dłonie. – A jak się Wiesia zdziwi! Już nie mogę się doczekać jej miny! Gienek! Ona chyba umrze! W życiu by mnie nie podejrzewała o to, że umiem pisać. Ty wiesz, co ja

miałam z polskiego w szkole? – zarechotała. – Nawet nie pytaj!

**

Targały nią sprzeczne uczucia, ale odkąd zamieszkała z matką i córką, częściej pojawiały się te dobre. O dziwo, nie dochodziło do tarć. Nie wracały do tematu przeszłości. Wiedziała, że kiedyś trzeba będzie poruszyć to tabu, ale nie dziś. Żadna z nich nie była jeszcze na to gotowa. Na razie cieszyły się śmiechem Kalinki, która od kilku dni po powrocie z przedszkola najpierw biegła do matki, potem dopiero witała się z babcią. Zrezygnowały z opiekunki, to Kaja odprowadzała małą do przedszkola. W domu robiła z nią wyklejanki, uczyła się nowych piosenek, bawiła lalkami. Jako dorosła odkrywała dzieciństwo na nowo. Dogadały się z matką, że razem uruchomią salon medycyny estetycznej. Wspólnymi siłami i za wspólne środki. Pieniądze, które zostały Kai po sprzedaży lasu i spłacie długów, leżały na koncie, czekając na uruchomienie. Nie było tego dużo, ale na początek powinno wystarczyć. Nie wynajęła swojego mieszkania, trzymała je na wszelki wypadek, w razie gdyby sielanka miała się nagle skończyć. Nic tego jednak nie zapowiadało. Każdego dnia relacje się poprawiały, ocieplały, a bywało, że przesiadywała z matką do późnej nocy, omawiając plany na przyszłość. Była u lekarza i zdecydowała, że powoli zacznie odstawiać leki. Samopoczucie poprawiło się na tyle, że nie widziała sensu dalszego ich stosowania. Nie zdecydowała się na terapię. Najlepszą terapeutką okazała się córka. Kalinka, kiedy już dotarło do niej, że matka naprawdę wróciła, nie mogła się od niej odkleić. Spały razem, kąpały się razem, puszczać kolorowe bańki, wieczorami opowiadały sobie bajki. Kalinka uwielbiała tę o „śmoku z wielkimi ziembami”.

Było dobrze, ale czternasty lutego przypomniał jej, że mogłoby być jeszcze lepiej. Witryny sklepów upstrzone serduszkami i wyglądające zewsząd amorki uświadomiły, że tęskni za Pawłem. Odkąd wróciła do Wrocławia, widzieli się kilkakrotnie, zawsze na przyjacielskiej stopie. Nigdy nie wracali do tematu ewentualnego związku, Kaja zawsze opowiadała o córce i nawiązywanych na nowo relacjach z matką. Mówiła o swoich obawach i o nieufności. Nie umiała do końca uwierzyć w pokrętne tłumaczenia matki, ale nie potrafiła ich też odrzucić. To wszystko okazało się na tyle skomplikowane, że trudno jej było ocenić, gdzie leży prawda.

Paweł słuchał, nie naciskał. Był zawsze, kiedy go potrzebowała. Ostatnim razem u notariusza podczas podpisywania umowy sprzedaży lasu. Nawet Wilczyński, uśmiechając się do Kai i próbując zaprosić ją na kawę, wycofał się, zauważywszy wzrok Pawła. I tak nie byłaby nim zainteresowana. Prawnik był przystojny, miał w sobie coś niewątpliwie pociągającego, ale nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, by podjąć z nim flirt. Podziękowała za pomoc przy transakcji i życzyła wielu sukcesów w nowo otwieranym ośrodku wczasowym. Spodobało jej

się jednak zachowanie Pawła. Niby nic wielkiego nie zrobił, po prostu spojrzał wymownie, jakby powiedział konkurentowi, że nie ma szans. Czowała się przy nim bezpiecznie. Gdyby nie to, że w głowie ciągle tkwiło przekonanie o jego dwulicowości, zapewne wcześniej zgodziłaby się na randkę.

Przysłał SMS w walentynki. Żadne wyznanie miłości. Zwykle serduszko. Połechtalo ją to i wywołało uśmiech na twarzy. Nie odpisała jednak. Niech inne ci odpisują – pomyślała gorzko.

**

Powitała go na lotnisku. Jak zwykle czuła trzepotanie serca, kiedy go widziała. Trzymał olbrzymi bukiet róż. Zastanawiała się, jak udało mu się wejść z czymś takim do samolotu. Sewilskie róże pachniały mocniej niż te, które zazwyczaj kupował w Warszawie. Marianna wciągnęła głęboki wdech nosem.

– Cudowne. Dziękuję.

– *¡Feliz día de San Valentín! Te amo mucho...* – szepnął, obejmując jej twarz i wpijając się w usta.

Byli stęsknieni. Rozmowa o Chico mogła poczekać. Teraz Marianna miała walentynkową niespodziankę.

– Chodź, zabieram cię gdzieś. – Chwyliła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Taksówka już czekała.

Jechali niemal w milczeniu, upajając się swoją obecnością. Marianna wtuliła się w Christiána, nasłuchując bicia jego serca. Z radia płynęła spokojna muzyka. Taksówkarz na szczęście nie był rozmowny.

Kiedy dotarli do Anina i przejeżdżali cichymi zadrzewionymi uliczkami, Christián się uśmiechnął. Marianna wierciła się niespokojnie, nie mogąc się już doczekać, aż zaparkują pod podanym przez nią adresem. Wreszcie stanęli na szerokim podjeździe pod rozległym domem, obok którego rozciągał się widok na ogród ze starodrzewiem.

Kiedy wysiedli z samochodu, Christián spojrzał na Mariannę pytającym wzrokiem.

– No cóż – powiedziała, wzruszając zabawnie ramionami. – Trochę się nudziłam, kiedy cię nie było, więc znalazłam dla nas dom.

– Kupiłaś dom? – spytał z niedowierzaniem. Wydęła śmiesznie usta.

– Nie kupiłam – odparła. – Ty go kupisz.

– Aha... – Oczy Christiána się roześmiały, choć próbował zachować powagę.

– Nie martw się – szybko sprostowała. – Żartowałam. Ale chciałabym, żebyśmy go wynajęli – dodała poważnie. – Jest piękny, ma wielką kuchnię i olbrzymi stół.

– Mój obrus będzie pasował?

– Jak najbardziej, szukałam przecież domu pod obrus! – Roześmiała się. – Chodź, pokażę ci wszystko, mam klucze.

– Nie chcesz go kupić?

– A po co? Jeszcze nie wiem, czy dobrze się będzie tu mieszkać. Wolę najpierw spróbować.

– Nie podoba ci się nasze obecne mieszkanie?

– Bardzo mi się podoba, ale ci sąsiedzi... – Wywróciła oczami.

– Co z nimi? Są przecież mili – zauważył wesoło.

– Może dla ciebie. Ja lubię piec ciasta nocą. Kilka dni temu zwrócono mi uwagę, że robot ciągle pracuje. Nie będę przecież kręcić ciasta ręcznie.

– Z tym argumentem nie da się dyskutować. To kiedy się tu wprowadzamy?

– spytał, wchodząc do środka. Marianna zapaliła światło. Dom był równie zachwycający w środku, jak na zewnątrz.

– No... – zawahała się. – Jak by to powiedzieć... Już się wprowadziliśmy – pisnęła, zakrywając twarz rękoma.

– Już? – Christian naprawdę był zdumiony.

– Mówiłam ci, że mi się nudziło. Przeprowadziłam nas. To znaczy nie ja, ale firma przeprowadzkowa. Zobaczysz, będzie cudownie. – Chwyciła go za dłoń, uniosła się na palcach i pocałowała w policzek. – Zdejmij płaszcz – ponagliła. – Chodź dalej, pokażę ci ten stół.

– Szczerze? Wolałbym najpierw zobaczyć sypialnię. – Chwycił ją w ramiona i zakręcił.

**

Wysłał wiadomość z serduszkami. Walentynki to taki miły pretekst, żeby wyznać komuś miłość czy okazać sympatię. Najpierw planował przyjechać z kwiatami, ale nie wiedział, jak zostanie to odebrane. Nie chciał stawiać Kai w kłopotliwej sytuacji. Odkąd wróciła do Wrocławia, nie rozmawiali o tym, co było wcześniej między nimi albo co mogłoby się dopiero zacząć. Wiedział, że teraz cały jej świat wypełniała córka. Nie chciał się narzucać, czekał cierpliwie, aż znajdzie dla niego czas, a przede wszystkim miejsce w sercu.

Długo myślał nad tym, czy zadzwonić, a jeśli tak, to co powiedzieć. Zależało mu na tym, żeby w ten dzień nie była to zwyczajna przyjacielska rozmowa. Zastanawiał się, czy Kaja myśli podobnie. Wreszcie zdecydował się wysłać SMS. Ta opcja wydała mu się najmniej pretensjonalna, a zarazem otwierała furtkę do dalszej rozmowy.

Kaja jednak nie odpisała. Może bawiła się z córką – pomyślał. Czekał kilka godzin, lecz odpowiedź nie nadchodziła. Zadzwonić? Nie. Jutro. Nagle dopadła go myśl, że być może umówiła się z kimś innym w ten dzień. Może to ten prawnik odczekał, aż zostanie sama, i zaczął bombardować ją telefonami. Paweł widział, jak

Wilczyński zjadał Kaję wzrokiem. Tego nie dało się nie zauważyć. Umówili się w walentynki? Możliwe, dlaczego nie. Nie. Otrząsnął się. Kaja by mu tego nie zrobiła. Nie byli parą, ale przecież byli przyjaciółmi. Niedawno rozmawiali, na pewno wspomniałaby coś o Wilczyńskim.

Wziął telefon do ręki i obracał nim, zerkając na wyświetlacz. Żadnych wiadomości. Nic. A może jego SMS nie dotarł? Złudna nadzieja. W telefonie ustawioną miał opcję potwierdzenia odebrania wiadomości. Ta wiadomość bez wątplenia została odebrana. Trudno – pomyślał – nie ma co się narzucać.

**

Kalinka zasnęła. Kaja pocałowała córkę i zgasiła światło. Przeszła do swojej sypialni. Dochodziła dwudziesta pierwsza; matka oglądała jakiś film. Pewnie komedię romantyczną – przebiegło Kai przez myśl. Obydwie były ich fankami. Obydwie tęskniły za wielką piękną romantyczną miłością. Przynajmniej w filmach mogły sobie taką pooglądać.

Kaja wzięła do ręki telefon. Znow koczyło ją, żeby coś odpisać. Walentynki to taki miły pretekst, żeby wyznać komuś miłość czy okazać sympatię. Ona wyznałaby miłość, bez wątplenia. Paweł był nie tylko przyjacielem. Był jej ostoją i wsparciem. Pragnęła, żeby został także kochankiem, pociągał ją do granic. Kiedy się widywali, udawała, że zupełnie jej nie interesuje. Prawda była taka, że odkąd jej życie wróciło na właściwe tory, odkąd złapała oddech i poczuła się szczęśliwa, zaczęła patrzeć na Pawła inaczej. Był jej bliski, lubiła jego zapach, lubiła jego głos, dotyk jego dłoni, gdy niechcący ją musnął, kiedy byli razem jako przyjaciele. Powstrzymywała się ostatkiem sił, żeby go nie chwycić za tę dłoń, żeby nie wtulić się w niego. Zagadywała go wtedy, relacjonując dokładnie, co robiła w ostatnich dniach z córką. Paweł słuchał z zainteresowaniem, nigdy nie okazał znużenia. W łóżku prawdopodobnie też nie byłoby im nigdy nudno – wywnioskowała.

Ich pierwsze zbliżenie było błędem, ale na jego wspomnienie wciąż odczuwała przyjemne ciarki na plecach.

Marzyła o tym, że kiedyś jednak będą razem. Kiedyś mocno ją do tego namawiał, ale wtedy odrzucała tę myśl. Jak się okazało, słusznie, ponieważ już wtedy flirtował z innymi na jakimś durnym portalu.

Kaja nie chciała się dzielić. Kaja chciała być tą jedyną.

A może Małgosia przesadzała – przebiegło jej przez myśl. Nieraz przecież wyolbrzymiała coś, co nie miało znaczenia. Może warto samemu to sprawdzić? Przecież mógł stworzyć profil dla żartu albo jako plaster na rozstanie z Mariolą. Może wcale go już nie używa. Ta nadzieja natchnęła ją na tyle mocno, że nie chciała czekać, żeby to sprawdzić.

Otworzyła laptopa i odszukała portal, który pokazywała jej Małgosia. Zarejestrowała się, używając nieprawdziwych danych. Dała sobie na imię Ania.

Jedno z bardziej popularnych, więc nie powinno wzbudzić u Pawła podejrzeń. Zdjęcie jakiejś dziewczyny ściągnęła z internetu, wystarczyło obrobić je w prostym programie, żeby system portalu uznał je za prawdziwe.

Trochę czasu zajęło znalezienie Pawła, ale on na szczęście podał prawdziwy wiek, kolor oczu i włosów, dzięki czemu mogła okroić wyniki.

Napisała dość zwięzły tekst, jednak na tyle zaczepny, żeby zechciał odpisać.

„Cześć, Paweł. Nie znamy się, ale zwróciłam uwagę na twoje zdjęcie. To zdumiewające, lecz poczułam, jakbyśmy znali się od lat. Nie wiem, może masz w oczach coś takiego... A może to po prostu przeznaczenie? Odpisz, proszę. Bardzo chciałabym się spotkać. Dziś są walentynki, może jesteś na jakiejś kolacji. Będę czekać więc jutro, pojutrze. Po prostu będę czekać. Ania”.

Wysłała. Serce jej biło. Czuła się jak oszustka. Znowu oszustka. Ale musiała to sprawdzić.

**

Klepał w telefon, jakby to miało cokolwiek zmienić. Odpowiedź nie nadchodziła. Bez sensu. Napaliłem się jak jakiś szczeniak – pomyślał ze złością. Pewnie już spała. Cholerne walentynki, człowiek przez to tylko głupieje.

Zorientował się, że tyle godzin spędził bezproduktywnie, gapiąc się jak dureń w telefon. Uruchomił dane komórkowe. Chciał włączyć YouTube'a, obejrzeć jakiś kabaret, cokolwiek, ale prędkość transmisji była zbyt niska. Przełączył się na wi-fi. Zainstalował w domu antenę już kilka dni wcześniej, lecz korzystał z niej tylko przy okazji pracy na laptopie, zapominał włączać wi-fi w telefonie. Tym razem YouTube zadziałał jak złoto. Kabaret jednak nie poprawił Pawłowi humoru.

Odłożył smartfon i poszedł do kuchni. Był głodny, nie chciało mu się jeszcze spać.

Kiedy wrócił, okazało się, że telefon, złapawszy pierwszy raz od dłuższego czasu sieć, zaczął aktualizować aplikacje. Paweł spojrzął na ekran. Nawet nie wiedział, że aż tyle ich zainstalował. To z tego powodu smartfon ostatnio tak kiepsko działał. Może właśnie dlatego był także jakiś problem z SMS-ami. Nie... – odrzucił myśl. Naprawdę czuł się jak szczeniak. Oszałały z miłości, napalony szczeniak. A ona wciąż nie odpisywała.

Na ekranie co chwila pojawiały się nowe ikony zaktualizowanych aplikacji. Kliknął w nie bezmyślnie, otwierając jedną po drugiej. Instagram, Facebook. Nie używał ich od dawna, warto kiedyś zajrzeć i sprawdzić, co słychać u starych znajomych – pomyślał – może się nawet wreszcie uaktywnić. Kolejne aplikacje, jakieś gry. Do usunięcia. Pojawiła się ikona z serduszkami. No tak, walentynki. Od dziś serduszka będą mu się kojarzyć źle. Nie lubił durnych serduszek. Kliknął, żeby otworzyć i sprawdzić, co to takiego. Portal randkowy! Już dawno o nim zapomniał.

Wzrok przyciągnęła skrzynka odbiorcza. Dwieście nowych powiadomień. Wszystko serduszka.

– Poszalały? Nie ma innych facetów na tym portalu? – prychnął na głos, zdziwiony. Nie otworzył skrzynki. Poszukał w ustawieniach opcji skasowania profilu. Już miał nacisnąć „usuń”, kiedy otworzyło się okienko. Nadeszła nowa wiadomość. Jego wzrok automatycznie przebiegł po tekście. Dziewczyna bez wątpienia była miła. Zrobiło się mu jej szkoda. Kolejna samotna dusza siedzi przed ekranem w walentynki. I czeka na czyjaś odpowiedź. Pisała tak żarliwie, że nie mógł po prostu zignorować. Tym bardziej że widział zieloną ikonkę aktywności. Dziewczyna czekała.

„Cześć, Ania. Bardzo mi miło, że do mnie napisałaś. Wydajesz się fajną dziewczyną. Przykro mi, że spędzasz ten wieczór samotnie. Jednak ja nie jestem odpowiednim facetem. Znalazłem już swoje przeznaczenie. Nie czekaj, właśnie kasuję swój profil. Paweł”.

Wysłał. Poszło. Zasłużyła na kilka słów wyjaśnienia. Walentynki nie zawsze są słodkie. Ponownie wszedł w ustawienia i ponownie wyszukał opcję kasowania profili. Tym razem nic mu nie przeszkodziło. Usuń. „Czy na pewno chcesz usunąć swój profil?” – brzmiał komunikat. Tak.

**

Myślała, że oszaleje z emocji, zauważywszy zieloną ikonkę. Był zalogowany. Teraz, w tej chwili. Zaszło jej w gardle, czuła, jak pojawia się w nim wielka gula.

Co za dupek! – krzyknęła w myślach. – Co za bezduszny, zakłamany dupek!

Puls jej przyspieszył, oddychała ciężko, wpatrując się w zdjęcie Pawła. Nagle wyskoczyło okienko. On.

„Cześć, Ania” – Kaja przełknęła ślinę. Czuła, jak wiruje jej w głowie. „Bardzo mi miło, że do mnie napisałaś...”

– Dupek! – krzyknęła, wyszukując kursorem małego krzyżyka zamykającego okienko. Kliknęła. Nie była w stanie dalej czytać, mieniło się jej przed oczami. Kolejny oszust, który bazuje na uczuciach. Potarła powiekę. Rozmazany tusz zapiekł w oczy.

Śpiąca w pokoju obok Kalinka zawołała ją. Krzyk Kai musiał ją przebudzić. Kiedy Kaja weszła do pokoju, dziewczynka siedziała na łóżku.

– Co się stało? – Kaja ją przytuliła. – Dlaczego wstałaś?

– Nie wiem.

– Położę się z tobą, chcesz?

Dziewczynka pokiwała głową. Kaja ułożyła ją do snu i położyła się obok.

– Kocham cię, szczęście moje, mój mały aniołku.

– Ja tes cie kocham – wyszeptła Kalinka. Zasnęła.



